



KRISTIN HANNAH



ODLEGŁE BRZEGI

Tytuł oryginału DISTANT SHORES

Benjaminowi i Tuckerowi.
Jak zawsze.

Jesień

Istnieją nurty wszelkich spraw człowieczych, Które w przyływie wiodą ku fortunie, Lecz pominięte, skazują na podróż Aż po kres życia smutny na mieliźnie. Skoro jesteśmy już na morzu, trzeba Ów sprzyjający prąd przyjąć lub stracić Cały ładunek.

W. Szekspir, Juliusz Cezar przeł. Maciej Słomczyński

ROZDZIAŁ 1

Seattle, Waszyngton

Wszystko zaczęło się przy drugim martini.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Meghann. - Wypij jeszcze jednego.
- Za nic w świecie.

Elizabeth kiepsko tolerowała alkohol. Przekonała się o tym niezbitcie jeszcze w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku, kiedy była studentką University of Washington.

- Nie możesz mi odmówić. W końcu to moje czterdzieste drugie urodziny. Pamiętasz, jak się spiłam wiosną, kiedy kończyłaś czterdzieści pięć lat?

To była prawdziwa porażka!

Meghann wyczuła wahanie i, jak przystało na dobrego adwokata, błyskawicznie je wykorzystała.

- Poproszę Johnny'ego, żeby po nas przyjechał.
- Czy Johnny na pewno jest pełnoletni i może prowadzić samochód?
- Nie bądź złośliwa. Wszyscy faceci, z którymi się spotykam, mają prawa jazdy.

- A ja myślałam, że nie przestrzegasz żadnych zasad.

- Staram się, żeby było ich jak najmniej. Meghann machnęła ręką na kelnerkę.

- Prosimy o jeszcze dwa martini i talerz nachos z dużą ilością orzeszków.

Elizabeth nie zdołała opanować uśmiechu.

- To nie będzie miłe.

Po chwili kelnerka wróciła, postawiła przed nimi dwa eleganckie kieliszki i zabrała puste.

- Za moje zdrowie - oświadczyła Meghann, stukając się z Elizabeth.

Przez następną godzinę rozmowa toczyła się utartymi ścieżkami, czyli wokół dawnych czasów. Elizabeth i Meghann przyjaźniły się od ponad dwudziestu lat. Po ukończeniu studiów ich życie potoczyło się w przeciwnych kierunkach: Elizabeth całą energię włożyła w pełnienie roli żony i matki; Meghann została jedną z najlepszych adwokatów do spraw rozwodowych. Jednak ich przyjaźń przetrwała próbę czasu. W ciągu minionych lat, kiedy Elizabeth wraz z rodziną przeprowadzała się z miasta do miasta, przyjaciółki często korzystały z telefonów i poczty elektronicznej. Teraz w końcu mieszkały wystarczająco blisko, żeby przy specjalnych okazjach mogły się ze sobą spotkać. Był to jeden z dużych plusów mieszkania w Oregonie. Gdy kelnerka przyniosła po trzecim kieliszku, Meghann niepohamowanymi wybuchami śmiechu reagowała na każdy dźwięk kasy.

- Widzisz tego słodziutkiego chłoptasia, który siedzi w rogu sali?

Meg rzucała porozumiewawcze spojrzenia w stronę chłopca, który mógł chodzić do szkoły średniej.

- Sprawia wrażenie bardzo samotnego.

- Tylko popatrz, nie ma na zębach kłamek. Prawdopodobnie zdjęli mu je w ubiegłym tygodniu. Jest zdecydowanie w twoim typie.

Meghann grzebała w nachos, szukając kawałka sera.

- Nie każdej szczęście dopisało aż tak, kochanie, że wyszła za mąż za swoją miłość ze studiów. Zresztą od jakiegoś czasu nie mam już żadnego typu. Kiedyś miałam. Teraz wybieram to, co daje mi szczęście.

Szczęście. To słowo Elizabeth odebrała jak cios między oczy.

- Ciekawe, czy zgodziłby się, żeby solenizantka postawiła mu piwo... O co chodzi, Birdie?

Elizabeth odsunęła martini i splotła ręce na brzuchu, jak zwykle ostatnio. Czasami wręcz przyłapywała się na tym, że stoi w pokoju z mocno zaciśniętymi rękami; tak mocno je zaciskała, że aż trudno jej było oddychać. Zupełnie jakby próbowała utrzymać w swoim wnętrzu coś, co koniecznie chciało się stamtąd wyrwać.

- Birdie?

- To naprawdę nic ważnego. Meghann obniżyła głos.

- Posłuchaj, Birdie. Wiem, że dzieje się coś złego. Kocham cię. Powiedz, o co chodzi.

Dlatego właśnie Elizabeth unikała alkoholu. Po wypiciu nawet najmniejszej ilości trunku nieszczęście urastało do tak ogromnych rozmiarów, że trudno było dłużej utrzymać uczucia na wodzy. Zerknąwszy na swoją

najlepszą przyjaciółkę, Elizabeth zdała sobie sprawę, że musi coś powiedzieć. Po prostu nie mogła dłużej dusić tego w sobie.

Jej małżeństwo powoli zaczynało się rozpadać, nie potrafiła jednak o tym myśleć, a już w ogóle nie wyobrażała sobie, żeby udało jej się na ten temat porozmawiać.

Elizabeth i Jack nadal się kochali, ale bardziej było to przyzwyczajenie niż prawdziwe uczucie. Namietność wygasła wiele lat temu. Birdie coraz częściej czuła się tak, jakby pomylili krok i każde z nich tańczyło w rytm innej melodii. Jack chciał się kochać rano, ona wieczorem. Osiągnęli kompromis, miesiącami obywając się bez seksu, a gdy w końcu podejmowali jakąś próbę, brakowało namietności i pożądania.

Nadal jednak byli obiektem zazdrości wielu przyjaciół. Wszyscy pokazywali ich sobie palcami i mówili: „Patrzcie, ich małżeństwo wciąż trwa”. Ona i Jack do pewnego stopnia przypominali ostatni eksponat w muzeum, które opróżniano od lat.

Niestety, za nic w świecie nie chciała powiedzieć tego wszystkiego na głos. Słowa mają zbyt wielką moc. Trzeba się z nimi bardzo ostrożnie obchodzić, bo inaczej mogą dokonać ogromnych zniszczeń.

- Nie jestem ostatnio zbyt szczęśliwa, to wszystko.

- Czego pragniesz?

- To zabrzmiałoby zbyt głupio.

- Jestem mocno wstawiona. Nic nie będzie brzmiało głupio.

Elizabeth chciałyby zdobyć się na uśmiech, ale serce tak mocno waliło jej w piersiach, że aż kręciło jej się w głowie.

- Chciałabym... być kimś, kim niegdyś byłam.

- Och, skarbie. - Meghann ciężko westchnęła. - Podejrzewam, że nigdy nie rozmawiałaś na ten temat z Jackiem.

- Ilekroć zbliżamy się do jakiegoś ważnego tematu, panikuję i mówię mu, że wszystko jest w porządku. Potem mam ochotę zdzielić się młotkiem po głowie.

- Nie wiedziałam, że jesteś aż tak nieszczęśliwa.

- Najgorsze, że właściwie nie jestem nieszczęśliwa. - Wychyliła się do przodu i oparła łokcie o stolik. - Po prostu odczuwam potworną pustkę.

- Masz czterdzieści pięć lat, córki opuściły dom, a w małżeństwie wieje nudą, dlatego chciałybyś zacząć wszystko od nowa. W swojej praktyce adwokackiej spotykam bardzo dużo kobiet, które przeżywają dokładnie to co ty.

- Rozumiem. Jestem nie tylko za gruba i nieszczęśliwa, ale na domiar złego jeszcze stereotypowa.

- Stereotyp to jedynie powtarzający się wzór. Masz zamiar rzucić Jacka?

Elizabeth spojrzała na swoje dłonie, na brylantowy pierścionek, który nosiła od dwudziestu czterech lat. Nie wiedziała nawet, czy byłaby w stanie go zdjąć.

- Marzę o rozstaniu z nim i życiu w pojedynkę.

- Co więcej, w swoich marzeniach jesteś szczęśliwa, niezależna i wolna. Kiedy wracasz do rzeczywistości, znów czujesz się samotna i zagubiona.

- Tak.

Meghann wychyliła się w jej stronę.

- Posłuchaj, Birdie, codziennie do mojej kancelarii przychodzą kobiety, które mówią, że są nieszczęśliwe. Podejmują kroki, które rozrywają na strzępy ich rodziny i łamią serca najbliższych. I wiesz co? Pod koniec większości tego żałuje. Dochodzą do wniosku, że mogły bardziej się postarać i nieco mocniej kochać. Okazuje się, że zrezygnowały z domu, oszczędności i dotychczasowego stylu życia na rzecz pracy od dziewiątej do piątej i stosu rachunków, a tymczasem ich luby w dziesięć sekund po rozwodzie ożenił się z dziewczyną z pobliskiego baru z sałatkami. Ale ja jako twoja najlepsza przyjaciółka dam ci radę wartą milion dolarów: Pustka, którą odczuwasz, to nie wina Jacka, nawet nie jego problem, a rozstanie z nim niczego nie zmieni. Tylko ty jedna możesz uszczęśliwić Elizabeth Shore.

- Nie wiem już, jak to zrobić.

- Na litość boską, Birdie, spróbuj zdobyć się na szczerść, tak jak należałoby po takiej ilości martini. Mogłaś się niegdyś poszczycić wieloma wspaniałymi cechami: byłaś utalentowana, niezależna, błyskotliwa i uzdolniona plastycznie. Na studiach wszyscy myśleliśmy, że będziesz drugą Georgią O'Keeffe. Teraz organizujesz wszystkie przyjęcia charytatywne w miasteczku i pracujesz nad wystrojem wnętrza waszego domu. Decyzja o wyborze materiału na obicie sofy zajmuje ci więcej czasu niż ja potrzebowałam na ukończenie prawa.

- To niesprawie...

- Jestem prawniczką. Sprawiedliwość mnie nie interesuje. - Jej głos złagodniał. - Wiem również, ile zamętu w twojej duszy powoduje praca Jacka. W końcu zawsze marzyłaś o tym, żeby zapuścić gdzieś korzenie.

- Co ty możesz o tym wiedzieć - westchnęła Elizabeth. - Od ślubu mieszkaliśmy w kilkunastu domach, w przynajmniej kilku różnych miastach. Ty nie ruszasz się z Seattle, więc nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy człowiek

zawsze czuje się obco, a znają go tylko jako czyjaś żonę, osobę pozbawioną własnego życiorysu. Do diabła, zaczęłaś studia, mając szesnaście lat, a mimo to potrafiłaś się dopasować. Wiem, że myśl o domu stała się ostatnio moją obsesją, Meg, a wszystko dlatego, że Echo Beach uznałam za moje miejsce na ziemi. W końcu je znalazłam. Nie jest to mieszkanie ani dom wynajęty na rok lub dwa, ale mój dom.

Nagle zdała sobie sprawę, że niemal krzyczy. Zażenowana obniżyła głos.

- W nim przynajmniej jestem bezpieczna. Nie zrozumiesz, ponieważ nigdy niczego się nie bałaś.

Meghann wyraźnie zastanawiała się nad tymi słowami.

- W porządku - powiedziała po chwili. - Zapomnijmy w takim razie o domu. Mam inne pytanie. Kiedy po raz ostatni coś malowałaś?

Elizabeth cofnęła się. Zdecydowanie nie chciała rozmawiać na ten temat.

- W ubiegłym tygodniu pomalowałam kuchnię.

- Bardzo śmieszne.

Meghann milczała, czekając na odpowiedź.

- Po urodzeniu dzieci nie miałam na to czasu. Meghann patrzyła na nią twardo, chociaż w jej spojrzeniu widać było miłość.

- Mówimy o chwili obecnej.

W ten sposób łagodnie przypominała, że Elizabeth odczuwa wewnętrzny niepokój tylko dlatego, że dziewczęta wyjechały na studia. Jedynie kobieta bezdzietna może myśleć, że tak łatwo zacząć wszystko od nowa. Meg nie wiedziała, jak to jest, kiedy dwadzieścia lat poświęci się dzieciom, a potem patrzy, jak odchodzą. W wielu programach, między innymi w „Oprah”, eksperci powtarzają, że w takiej sytuacji w życiu człowieka powstaje dziura. Chociaż to spore niedopowiedzenie.

Bardziej można by mówić o kraterze. Miejscu, gdzie niegdyś były kwiaty, drzewa i życie, a teraz nie zostało nic poza nagą skałą.

W głębi duszy Elizabeth musiała przyznać, że jej samej taka myśl również przyszła do głowy. Kilkakrotnie próbowała nawet coś naszkicować, ale to okropne, gdy człowiek zbyt późno próbuje wykorzystać talent i nic mu nie wychodzi. Ostatecznie całą inwencję twórczą przelała na dom.

- Żeby malować, potrzeba namiętności. A może po prostu wystarczy być młodym?

- Powiedz to Babci Moses.

Meghann sięgnęła do torebki i wyjęła mały notes z długopisem. Otworzyła go, coś w nim zapisała, a potem wyrwała kartkę i podała ją Elizabeth.

Na kartce widniały słowa: GRUPA WSPARCIA KOBIET BEZ PASJI. CZWARTKI, 19.00. BUDYNEK UNIWERSYTETU.

- Prawie od roku czekałam na odpowiednią chwilę, żeby ci to polecić.

- Czy to spotkania gwiazd porno? O czym rozmawiają? Co zrobić, żeby podczas namiętnego seksu nie starła się szminka?

- Bardzo śmieszne. Może powinnaś zacząć zabawiać kawałami gości nocnych klubów. Bóg mi świadkiem, że namiętny seks uratował niejedno małżeństwo.

- Meg...

- Posłuchaj, Birdie. Wysyłam na te spotkania wiele moich klientek. Jest to grupa kobiet, przeważnie rozwódek, które spotykają się, żeby porozmawiać. Wszystkie niegdyś zbyt dużo z siebie dały i teraz próbują się odnaleźć.

Elizabeth nie odrywała wzroku od karteczki. Zdawała sobie sprawę, że Meg czeka na jej reakcję, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Upić się i zdradzić najlepszej przyjaciółce, że jest się nieszczęśliwą, to jedno, ale wejść do pomieszczenia pełnego obcych kobiet i przyznać, że straciło się chęć do życia, to już całkiem co innego.

- Dzięki, Meg - powiedziała w końcu, w nadziei, że jej uśmiech nie zdradza zażenowania, które odczuwała.

Nie przestając się uśmiechać, machnęła na kelnerkę i zamówiła następną kolejkę martini.

Echo Beach, Oregon

Na tonącym w ciemności zegarku koło łóżka kolejno zmieniały się czerwone cyferki. O wpół do siódmej - o całe pół godziny za wcześnie - Jack wyłączył budzik.

Leżał, patrząc na wąskie smugi światła, które przesączało się przez żaluzje. Sypialnię przecinały czarne i białe paski; w mroku wszystko wydawało się dziwnie obce. Jack słyszał cichy szmer deszczu za oknem. Wstawał następnym szary, pochmurny dzień. Na początku grudnia na wybrzeżu Oregonu była to całkiem normalna pogoda.

Elizabeth spała obok, jej platynowe włosy tworzyły na białej poduszce jasny wachlarz. Słyszał ciche, równomierne oddechy, które od czasu do czasu przerywało delikatne chrapnięcie. Prawdopodobnie gdzieś się przeziębiła. Może złapała jakiegoś wirusa podczas ubiegłotygodnio-wej wyprawy do Seattle.

Na początku małżeństwa zawsze spali przytuleni, potem zaczęli stopniowo oddalać się od siebie. Ostatnio Birdie sypiała na samym skraju materaca.

Dzisiaj wszystko zmieni się na lepsze. Jack liczył, że w końcu, mając czterdzieści sześć lat, otrzyma jeszcze jedną szansę. Stacja telewizyjna z Seattle zamierzała nadawać nowy cotygodniowy program sportowy, tworzony we współpracy z NBC. Gdyby Jack został gospodarzem, musiałby trzy razy w tygodniu dojeżdżać do Seattle, ale biorąc pod uwagę dodatkowe pieniądze, jakie by za to dostał, nie byłby to aż taki problem. Zrobiłby jednak ogromny krok do przodu, bo przecież dotychczas prowadził jedynie wkurzający program lokalny.

(Zajęcie to nawet w najmniejszym stopniu nie spełniało jego oczekiwań, ale czasami jeden błąd jest w stanie zniszczyć człowieka).

Miał szansę znów zostać kimś ważnym.

Od piętnastu lat urabiał sobie ręce po łokcie, zresztą przy tak niewielkich postępach, że trudno je było dostrzec gołym okiem. Płacił za swoje błędy w beznadziejnych, małych miścinach. W końcu miał szansę na powrót do gry. Za nic w świecie nie straci piłki.

Wstał z łóżka i syknął z bólu. Oregoński wilgotny klimat zupełnie nie służył jego kolanom. Krzywiąc się, pokuśtykał do łazienki. Jak zwykle musiał lawirować między próbkami materiałów, farb i otwartymi czasopismami. Birdie od miesięcy „przerabiała” ich sypialnię, planując każde posunięcie, jakby kierowała obroną w meczu o Super Bowl. Tak samo było z jadalnią. We wszystkich kątach leżały stosy różnych rzeczy, czekając na coś niesłychanie rzadkiego: moment, kiedy jego żona podejmie decyzję.

Kiedy wziął prysznic i ogolił się, w łazience pojawiła się Elizabeth. Szła chwiejnym krokiem i zawiązywała pasek grubego bawełnianego szlafroka.

- Cześć - powiedziała, ziewając. - Fatalnie się czuję. Chyba jestem przeziębiona. Wczesnie wstałeś.

Przez chwilę był zawiedziony, że zapomniała.

- Dzisiaj jest wyjątkowy dzień, Birdie. Jadę do Seattle na rozmowę kwalifikacyjną.

Lekko zmarszczyła czoło. Po chwili wszystko sobie przypomniała.

- Taaak. Jestem pewna, że dostaniesz tę pracę. Dawniej Birdie próbowała podbudować jego ego, zapewniła go, że na pewno mu się uda i że jest przeznaczony do tego, aby w życiu wiele zdziałać, ale od paru lat była coraz bardziej zmęczona. Oboje byli coraz bardziej zmęczeni. Zresztą w tym czasie nie udało mu się dostać wielu prac; nic dziwnego, że przestała w niego wierzyć.

Przez cały czas udawał, że jest w Oregonie szczęśliwy jak diabli i że całe życie marzył tylko o tym, aby być gospodarzem południowego programu

sportowego, w którym omawiano mecze przeciętnych drużyn uniwersyteckich. Birdie wiedziała jednak, że Jack nie lubi domku w niewielkiej miejscinie szmat drogi od wielkiego miasta. Złościło go nawet to, że jest znaną osobistością w jakiejś pipidówce. Fakt ten jedynie przypominał mu, kim był kiedyś.

Elizabeth obdarzyła go obojętnym uśmiechem.

- Przyda się więcej pieniędzy, zwłaszcza teraz, gdy dziewczęta są na studiach.

- Nie musisz mi tego mówić. Potem spojrzała na niego.

- Czy dzięki tej pracy wszystko zmieni się na lepsze, Jack?

Słyszając słowa żony, poczuł, że się dusi. Boże, był zmęczony tą rozmową. Denerwowało go, że Elizabeth ciągle poszukuje odpowiedzi na pytanie: „Co się dzieje z naszym małżeństwem?”. Przed laty bez przerwy powtarzał jej, że nie powinna całkowicie uzależniać swojego szczęścia od niego. Patrzył, jak w coraz większym stopniu rezygnowała z siebie i swoich marzeń. Nie był w stanie temu zapobiec, a teraz jakimś cudem cała wina spadała na niego. Miał już wszystkiego po dziurki w nosie.

- Nie dzisiaj, Elizabeth.

Zgodnie z przewidywaniami, spojrzała na niego nieszczęśliwa.

- Oczywiście. Wiem, że to dla ciebie wielki dzień.

- Dla nas - przypominał, tym razem już naprawdę zły. Jej uśmiech wydawał się zbyt promienny, żeby mógł być prawdziwy.

- Pozwól, że wybiorę miejsce, w którym uczcimy twoją nową pracę.

Nagła zmiana tematu była ich sposobem na unikanie nieporozumień. Jack mógł się wściec i zmusić ją do dyskusji, tylko po co? Birdie i tak nie podjęłaby walki, więc nie było o czym gadać.

- Gdzie mnie zabierzesz?

- Na Alasce jest takie obozowisko. Dolatuje się tam samolotem, mieszka w namiotach i obserwuje grizzly w ich naturalnym środowisku. Widziałam na Travel Channel wywiad z właścicielem, Laurence'em Johnem.

Jack rozwiązał ręcznik w talii i niedbale rzucił go na brzeg wanny. Nago powędrował do garderoby, gdzie wziął z półki bieliznę, włożył ją i odwrócił się do żony.

- Myślałem, że zdecydujesz się na kolację w „Heath-man” i dansing w „Crystal Ballroom”.

Podeszła do niego niepewnym krokiem. Zauważył, że jego żona obraca brylantowy pierścionek - od jakiegoś czasu często to robiła.

- Przyszło mi na myśl, że gdybyśmy wyjechali... przeżyli jakąś przygodę...

Wiedział, co miała na myśli, ale również zdawał sobie sprawę, że to nic nie da. Nowe miejsce stanowiłoby jedynie odmienną scenerię, w której rozgrywałyby się te same stare sceny, padały te same dobrze znane kwestie. Delikatnie pogłaskał ją po twarzy, mając nadzieję, że w jego głosie nie będzie słychać cynizmu. Bardzo nie lubił sprawiać jej przykrości, chociaż w ciągu ostatnich lat była tak przewrażliwiona, że bolało ją dosłownie wszystko.

- To naprawdę wspaniały pomysł. Czy będziemy spać w tym samym śpiworze?

Uśmiechnęła się.

- To da się zrobić.

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- A może, gdy wrócę, uczcimy moją pracę tutaj, w naszym łóżku?

- Mogłabym włożyć tę bieliznę, którą dałeś mi jakiś czas temu.

- Przez cały dzień nie będę mógł się skupić.

Pocałował ją. Był to długi, słodki pocałunek pełen obietnicy. Ten rodzaj pocałunku, o którym Jack już niemal całkiem zapomniał. W ułamku sekundy przypomniał sobie czasy, kiedy seks sprawiał im mnóstwo radości, a najlepszym pomysłem na spędzenie dnia było zostanie w łóżku.

Kiedy Jack się odsunął, spojrzał z góry na piękną, uśmiechniętą twarz żony. Swego czasu, wcale nie tak dawno temu, łączyła ich ogromna miłość. Tęsknił za tamtymi chwilami i za tym uczuciem.

Może jeszcze nic straconego.

Może dzisiaj rzeczywiście wszystko zmieni się na lepsze?

ROZDZIAŁ 2

W Seattle panował spory ruch. Jack nie mógł uwierzyć, że na autostradzie jest tak dużo samochodów. Widok betonowego miasta przypominał szkic w odcieniach szarości, wszystko spowijała mgła. Nawet Lake Union było tego dnia ponure i deszczowe. Co kilka minut rozlegało się wycie klaksonów i pisk gumy na wilgotnym asfalcie.

Jack uwielbiał zgiełk wielkiego miasta. Tętniącą energię. Po raz pierwszy od bardzo dawna był w centrum metropolii w godzinach szczytu. Rozwój przemysłu komputerowego przyspieszył rozbudowę Seattle.

Przejechał przez most. Nie był tu od lat, pewnie od studiów na University of Washington. Od tego czasu nastąpiła zdumiewająca zmiana.

W latach siedemdziesiątych Bellevue traktowano jak sypialnię dla ludzi, którzy dojeżdżali do pracy do miasta, ale marzyli o życiu na wsi. Kupowali oni na potrzeby rodziny trzypoziomowe domki w zaułkach, które nosiły egzotyczne nazwy, takie jak: RainShadow Glen czy Marvista Estates. Czteropasmowa asfaltowa droga przecięła teren ze wschodu na zachód i z północy na południe. Jeszcze przed jej ukończeniem pojawiły się centra handlowe. Prostokątne budynki o płaskich dachach i białych ścianach oświetlone były neonami o znanych nazwach. Stopniowo przedmieście zaczęło się rozrastać w sposób niekontrolowany, a pod koniec lat osiemdziesiątych przypominało już podobne osiedla z południowej Kalifornii.

Potem nastąpił gwałtowny rozwój Internetu. Między porzucanymi domkami pojawiły się siedziby Microsoftu i Immunexu. Wtedy okazało się, że potrzebne jest centrum miasta. Miejsce, które coraz większa liczba młodych milionerów mogłaby nazwać domem. Zmiany następowały w takim samym tempie, w jakim napływały pieniądze. W modnych restauracjach można było zjeść kolację na świeżym powietrzu na betonowej pustyni, przy stolikach pod parasolami. W starej kawiarni Barnes i Noble wybudowali standardowy megasam.

Na rogu Main Street i Sto Szóstej stał imponujący, bogato zdobiony budynek: połączenie betonu i szkła z modną, pretensjonalną fasadą. Gmach ten był doskonałym przykładem „nowego budownictwa” w Bellevue: kosztowny, krzykliwy i modny. Przestronne atrium sugerowało, że ma on północno-zachodnie korzenie.

Jack zaparkował na ulicy przed wejściem. Przez minutę siedział spokojnie w samochodzie, starając się nabrać pewności siebie, po czym wszedł do budynku. Na szesnastym piętrze szybko poprawił jedwabny krawat - bardziej

z przyzwyczajenia niż konieczności - i wszedł do przestronnego holu, w którym dominowały mosiądz i szkło.

Jestem Jumpin' Jack Flash - pomyślał. - Na pewno im się spodobam.

Podszedł do biurka.

Recepcjonistka uśmiechnęła się promiennie.

- Czym mogę służyć?

- Nazywam się Jackson Shore. Jestem umówiony z Markiem Wilkersonem.

- Proszę chwileczkę zaczekać.

Zapowiedziała go przez telefon. Po odłożeniu słuchawki zaproponowała:

- Proszę usiąść. Ktoś za chwilę do pana przyjdzie. Usiadł na lśniącej, czerwonej skórzanej sofie. Po chwili pojawiła się jakaś kobieta. Była wysoka i chuda; miała ładne ciało. Złoty łańcuszek na szyi odbijał światło jarzeniowe. Wyciągnęła rękę do Jacka.

- Miło pana poznać, panie Shore. Nazywam się Lori Hansen. Mój tata zawsze mówił, że był pan najlepszym quarterbackiem i że NFL nigdy nie miała nikogo lepszego. No, oczywiście, oprócz pana i Joego.

- Dziękuję.

- Tędy, proszę.

Jack powędrował za nią szerokim korytarzem, w którym dominował marmur. Wszędzie było mnóstwo ludzi, stali przy kopiarkach i w drzwiach. Kilku uśmiechnęło się, gdy przechodził, większość go zignorowała.

W końcu dotarli do zamkniętych drzwi. Kobieta cicho zapukała i otworzyła.

Jack na ułamek sekundy zamknął oczy i wyobrażał sobie sukces - Jumpin' Jack Flash - żeby nabrać większej pewności siebie.

Mężczyzna za biurkiem był starszy, niż Jack się spodziewał - mógł mieć siedemdziesiąt lat, może więcej.

- Witaj, Jacksonie - powiedział, wstając i wyciągając rękę.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Usiądź - zaproponował Mark, wskazując fotel naprzeciwko ogromnego mahoniowego biurka.

Jack usiadł.

Mark nadal stał po drugiej stronie biurka i sprawiał wrażenie, jakby zajmował wyjątkowo dużo przestrzeni. W czarnym garniturze od Armaniego wyglądał jak typowy przedstawiciel władzy. Od tak dawna dzierżył ją w dłoniach, że pewnie miał już odciski. Jego stacja telewizyjna była największą niezależną stacją na północnym zachodzie.

W końcu usiadł.

- Obejrzałem twoje kasety. Jesteś dobry. Bardzo dobry. Byłem wręcz zaskoczony.

- Dziękuję.

- Ileż to lat temu grałeś w Jets? Piętnaście?

- Taaak. Potem nabawiłem się kontuzji kolana. Pewnie wiesz, że poprowadziłem swój zespół do Super Bowl.

- I dostałeś nagrodę Heismana*. Tak - przyznał Mark. -Bardzo dużo nigdyś osiągnąłeś.

* Nagroda Heismana przyznawana jest w Stanach Zjednoczonych najlepszym futbolistom szkół wyższych (przyp. tłum.).

Czyżby akcent padł na słowo „nigdyś”, czy Jackowi tylko tak się wydawało?

- Dziękuję. Jak pewnie zauważyłeś w moim życiorysie, pracuję w telewizji lokalnej. Oglądalność Portland znacznie wzrosła w ciągu ostatnich dwóch lat, od kiedy tam występuję. - Pochylił się i sięgnął po aktówkę. - Zapiisałem kilka pomysłów, które przyszły mi do głowy w związku z twoim programem. Sądzę, że to może być bomba.

- A co z narkotykami?

To pytanie zostało zadane od niechcenia, ale Jack wiedział, że przegrał.

- To już przeszłość. - Miał nadzieję, że nie mówi jak człowiek pokonany. - Leżąc w szpitalu, uzależniłem się od środków przeciwbólowych. Tak to się zaczęło. Potem stacja telewizyjna dała mi ogromną szansę - program Monday Night Football - i spieprzyłem sprawę. Byłem młody i głupi. Ale to się już nigdy nie powtórzy. Wiele lat temu uwolniłem się od nałogu. Możesz spytać moich ostatnich pracodawców. Potwierdzą, że bardzo poważnie podchodzę do swoich obowiązków.

- Nie jesteśmy dużą stacją, Jack. Nie możemy sobie pozwolić na żadne skandale ani niepowodzenia, które zdarzają się w dużych sieciach telewizyjnych. Prawda wygląda tak, że zostawiłeś za sobą ruiny i zgliszcza. Nie chcę podejmować ryzyka, jakim byłoby przyjęcie cię do pracy.

Jack chciałby być taki jak nigdyś, żeby mógł powiedzieć: „Wsadź sobie ten gówniany programik telewizyjny w swój pomarszczony, biały tyłek”. Zamiast tego próbował jedynie obiecać:

- Mogę wykonać dla ciebie kawał dobrej roboty. Daj mi szansę.

Każde z tych słów wywoływało wewnętrzny opór, ale mężczyzna, który ma dług hipoteczny, topniejącą liczbę akcji i dwie córki na studiach, nie może postąpić inaczej.

- Przykro mi - powiedział Mark nieszczercze.

- W takim razie po co zapraszałeś mnie na tę rozmowę?

- Mój syn pamięta cię z UW. Był przekonany, że gdy spotkam się z tobą twarzą w twarz, zmienię zdanie na twój temat. - Niemal się uśmiechnął. - Tyle że mój syn też bierze narkotyki i wierzy, że zawsze warto dać człowiekowi jeszcze jedną szansę. Ja jestem innego zdania.

Jack podniósł aktówkę. Niegdyś myślał, że rozstanie z futbolem było ciosem, po którym już nigdy nie zdołał się otrząsnąć. Dlatego właśnie po raz pierwszy sięgnął po prochy.

Mylił się.

Najgorsza była powolna, stopniowa utrata szacunku do siebie. Takie chwile pogrążają człowieka.

W końcu wstał. Wykorzystując całą energię, po raz ostatni się uśmiechnął i powiedział:

- No cóż, w takim razie dziękuję za rozmowę.

„Chociaż w rzeczywistości wcale ze mną nie porozmawiałeś, stary kutasie”. Potem wyszedł z biura.

Elizabeth siedziała w jadalni wśród próbek farb, materiałów, z kolorowymi czasopismami na kolanach, ale nie mogła się skupić.

Może dziś wieczorem - myślała bez przerwy.

Od lat oglądała nadawane w ciągu dnia programy typu talk-show. Psychoanalicy byli zgodni co do tego, że namiętność można rozpalić na nowo, że miłość, która przepadła gdzieś przy okazji wychowywania dzieci, da się ożywić.

Miała nadzieję, że mówią prawdę, ponieważ ona i Jack zabrnęli w ślepy zaułek. Po dwudziestu czterech latach małżeństwa zapomnieli, jak nawzajem się kochać, i byli ze sobą bardziej z przyzwyczajenia niż miłości.

Ich związek przypominał stary, postrzępiony koc. Jeśli się go nie poceruje - i to szybko - każdemu z nich zostanie jedynie garść kolorowych nitczek. Elizabeth nie mogła już dłużej liczyć na to, że wszystko jakoś samo się ułoży.

Musiała podjąć jakieś działanie. Jest to następna rzecz, co do której zgadzają się wszyscy psychoanalicy: chcąc coś osiągnąć, trzeba zacząć działać.

Tego wieczoru więc sprawi, że ich życie zacznie się od nowa.

Przez cały dzień przy wykonywaniu codziennych zajęć myślała o swoim celu. Kiedy przyszła do domu, przyrządziła ich ulubioną kolację, to znaczy co à la vin.

Cały dom wypełniał wspaniały aromat kurczaka, wina i przypraw. Podpalenie w kominku w salonie zajęło jej niemal godzinę (to zajęcie zawsze

należało do Jacka, tak samo jak wynoszenie śmieci i płacenie rachunków). Potem pozapalała swoje ulubione świece o zapachu cynamonu i przygasiła światła. Przy świecach żółte ściany nabierały koloru stopionego masła. Po obu stronach niskiej sofy w jasnoniebieskie i żółte paski stały dwa mahoniowe stoliki, które w egzotycznym świetle połyskiwały czerwienią i złotem.

Cały dom wyglądał jak sceneria filmu erotycznego. Uwiedzenia.

Zadowolona z siebie, Elizabeth pobiegła do łazienki i wzięła prysznic, dwukrotnie ogoliła nogi i nasmarowała całe ciało balsamem migdałowym.

Potem powędrowała do swojej garderoby i dopóty grzebała w bieliźnie z Jockey For Her i stanikach od Calvina Kleina, dopóki nie znalazła koronkowego staniczka z białego jedwabiu i skąpych majteczek, które kilka lat temu dostała od Jacka na walentynki. Może więcej niż kilka, tak czy inaczej, nigdy nie miała ich na sobie.

Wówczas ten prezent nie przypadł jej do gustu. Teraz dostrzegła w nim romantyczny gest. Ile czasu minęło od chwili, kiedy Jack po raz ostatni chciał ją widzieć w seksownym stroju?

Zmarszczyła czoło.

Majteczki sprawiały wrażenie bardzo skąpych.

Pupa wyglądała przy nich na potwornie dużą.

- Nie pogrążaj sama siebie - powiedziała, mając zamiar odłożyć figi.

W tym momencie dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Spoglądała na nią czterdziestopięcioletnia kobieta o pokrytej zmarszczkami twarzy. Kiedyś ludzie mówili jej, że jest podobna do Michelle Pfeiffer. Oczywiście to było dziesięć lat temu, kiedy ważyła przynajmniej o siedem kilogramów mniej.

Spojrzała na bieliznę, którą trzymała w rękach. Rozmiar numer 10. Za mały. Chociaż tylko trochę...

Gdybyż tylko mogła zapomnieć, że niegdyś nosiła szóstkę!

Powolutku włożyła staniczek. Piersi przesłaniał jedynie maleńki skrawek materiału.

Kto wie, może to nawet było seksowne?

W domu panował półmrok. Miała też nadzieję, że szybko będzie naga.

Chociaż to nie była szczególnie pocieszająca myśl.

Włożyła skąpe majteczki wykończone koronką i westchnęła z ulgą. Były bardzo obcisłe, ale jakoś zdołała się w nie zmieścić.

Zerknęła w lustro.

Niemal ładnie.

Może się uda. Może kilka drobnych zmian w przyzwyczajeniach zdoła uratować małżeństwo?

Podeszła do szafy, wyjęła następny prezent sprzed wielu lat - jaskrawy szlafrok z błękitnego jedwabiu - i włożyła go. Materiał pieścił gładką, pachnącą skórę. Nagle poczuła się seksowna.

Potem zrobiła staranny makijaż, narysowała eyeline-rem nieco dłuższe kreseczki w stylu Kleopatry i pokryła wargi błyszczkiem.

Gdy udało jej się w końcu za pomocą kosmetyków zatuszować minione lata, było wpół do siódmej. Wówczas zdała sobie sprawę, że Jack się spóźnia.

Nalała sobie kieliszek wina i powędrowała do salonu, by tam zaczekać na męża. Pijąc drugi kieliszek, zaczęła się martwić. Wybrała numer jego telefonu komórkowego. Bez odpowiedzi.

Z Echo Beach do Seattle jest długa droga; pokonanie jej zajmuje przynajmniej trzy i pół godziny. Jeśli jednak wyjeżdżał z opóźnieniem, powinien wcześniej zadzwonić...

O ósmej kolacja się rozgotowała. Mięso kurczaka odpadło od kości, a cebulki przypominały galaretowatą masę. Nie zostało ani odrobiny sosu na spróbowanie.

- Świetnie.

W tym momencie usłyszała zgrzyt klucza w zamku. W pierwszej chwili ogarnęła ją złość. Już miała warknąć: „Spóźniłeś się”, wcześniej wzięła jednak głęboki wdech, żeby się uspokoić, i powoli wypuściła powietrze z płuc. Jakie to miało znaczenie, że powinien był zadzwonić?

Dzisiaj chciała być jego kochanką, nie żoną. Nalała mu kieliszek wina i skierowała się do drzwi. Stał w wejściu i spoglądał na nią. Od razu wiedziała.

- Witaj, skarbie - powiedział z ponurą miną. - Przepraszam za spóźnienie.

Ani słowa komentarza na temat kominka, świec czy jej stroju.

Podeszła do niego, nagle czując skrępowanie z powodu jedwabnego szlafroka.

- Nie dostałem tej pracy.

- Co się stało? - spytała cicho, domyślając się, co za chwilę usłyszy.

- Wilkerson nie należy do ryzykantów, dlatego nie zdecydował się na zatrudnienie faceta, który kiedyś miał problemy z narkotykami. - Jack uśmiechnął się do niej tak smutno, że aż zabolowało ją serce. - Wygląda na to, że ludzie nigdy nie zapominają o pewnych rzeczach.

Widziała, że jest nieszczęśliwy, gdy jednak wyciągnęła do niego rękę, odsunął się. Wszedł do salonu i wpatrzył się w ogień w kominku.

- Pamiętasz, jak nabawiłeś się kontuzji kolana? - spytała, podchodząc do niego. - Zaciągnęliśmy wszystkie zasłony wokół twojego łóżka szpitalnego, a potem położyłam się obok ciebie i...

- To było dawno temu, Birdie.

Spojrząwszy na niego, zrozumiała, że przegrała. Znajdował się zaledwie na wyciągnięcie ręki, ale równie dobrze mogłyby ich dzielić kilometry. Dwadzieścia cztery lata małżeństwa i oto, proszę, gdzie się znaleźli. Niepewni, zagubieni, niezdolni do tego, żeby wyciągnąć do siebie nawzajem pomocną dłoń. W trudnej sytuacji stawali się sobie obcy. Elizabeth nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć, a nawet czy w ogóle powinna coś mówić. W końcu obrała sprawdzoną metodę, ale czuła się tak, jakby łamano jej kości.

- Proszę. Twoje wino.

Wziął od niej kieliszek, usiadł, otworzył aktówkę i wyjął plik papierów. Nie unosząc głowy, powiedział:

- Możesz włączyć światło? Nic nie widzę.

- Oczywiście.

Odwróciła się błyskawicznie, nie chcąc, żeby zobaczył, jak bardzo ją zranił. Potem zacisnęła poły śmiesznego szlafroka i powędrowała do kuchni.

- Przyniosę ci coś do zjedzenia.

- Kocham cię, Birdie - powiedział do jej pleców.

- Taaak - szepnęła, wychodząc. - Ja też cię kocham.

ROZDZIAŁ 3

Następnego ranka Elizabeth siedziała na wysokim taborecie przy ladzie kuchennej, mocno zaciskając palce na filiżance z herbatką rumiankową.

- Napijesz się kawy? - spytał Jack, podchodząc do ekspresu.

- Nie, dzięki. Staram się ograniczyć kofeinę.

- Znowu?

- Taaak, znowu.

Postawiła filiżankę na marmurowym blacie. Czubkiem palca obrysowała ozdobny pasek, potem musnęła łagodnie wygięte uszko. Filiżanka była jedną z wielu pozostałości, wspomnieniem po okresie, kiedy Elizabeth interesowała się ceramiką. Często wyobrażała sobie, że po jej śmierci jakiś antropolog mógłby całkiem nieźle ją poznać, śledząc po kolei jej hobby. Ceramika. Witraże. Kilimy. Biżuteria wykonana ze starego srebra. Makramy. Fotografie. Albumy ze zdjęciami i pamiątkami. Elizabeth skończyła moc kursów w małomiasteczkowych ośrodkach kształcenia. Dzieła Szekspira, historia sztuki, nauki polityczne. Kiedy pożegnała się z talentem malarskim, szukała czegoś zastępczego, czegoś, co rozbudziłoby w niej inwencję twórczą. Nic jednak nie trwało długo.

Jack wypłukał filiżankę po kawie i z pietyzmem odstawił ją na swoje miejsce. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Nic dziwnego; przez całą noc przewracał się w łóżku z boku na bok.

- Zostań dzisiaj w domu - zaproponowała. - Moglibyśmy wybrać się gdzieś na lunch. Pospacerować po plaży. Albo zrobić w mieście świąteczne zakupy. Dwa domy towarowe są już pięknie udekorowane.

- Jest za zimno.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć. Dawniej nie miało żadnego znaczenia, czy pada deszcz, czy śnieg. Liczyło się tylko to, że są razem. Teraz przeszkadzała im nawet pogoda.

Podszedł do niej, dotknął jej ramienia i szepnął:

- Przepraszam.

Widząc w jego oczach potworny wstyd, niemal się załamała. Cofnęła się pamięcią wstecz. Przez sekundę w mężczyźnie, który stał obok niej, widziała jedynie chłopca, w którym kiedyś się zakochała.

- Jeszcze dostaniesz swoją szansę, Jack.

- Kocham cię, Birdie.

Tym razem wiedziała, że mówił prawdę.

- Ja ciebie też.

- W takim razie czemu to nie wystarcza? Elizabeth miała ochotę odwrócić głowę.

- O co ci chodzi?

- Daj spokój, Birdie, zawsze chciałaś porozmawiać na ten temat, prawda? Ciągłe powtarzałaś pytanie: „Co się dzieje z naszym małżeństwem?”. No cóż, dzisiaj ja je zadaję. Dlaczego nie wystarcza nam to, co mamy?

- Chciałabym, żeby wystarczało.

- To nie powinno być wcale takie trudne - szepnął tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Wiedziała, że teraz najważniejsza będzie jej odpowiedź. Tak rzadko wystarczało im odwagi, aby poruszyć ten temat i przyznać się, że są nieszczęśliwi. Nie potrafiła jednak zdobyć się na szczerość, nie umiała powiedzieć: „Chyba już się nie kochamy”.

- Wiem - wydusiła.

Jack przygarbił się i zmarszczył czoło.

- Jesteś męcząca, Elizabeth. - Odsunął się od niej. - Bez przerwy narzekasz i jesteś potwornie nieszczęśliwa, a gdy w końcu próbuję z tobą na ten temat porozmawiać, zamykasz się w sobie.

- Nigdy nie mówiłam, że jestem nieszczęśliwa.

W mgnieniu oka zaczęła żałować swoich słów i tego, że nie zdobyła się na szczerość, ale temat, wokół którego właśnie krążyli, był taki... bolesny... że ją przerażał.

- To oczywiste. Prawdę mówiąc, nigdy nic nie mówisz.

- Po co miałabym coś mówić? Przecież i tak mnie nie słuchasz.

Spojrzeli na siebie; żadne z nich nie wiedziało, co zrobić. Milcząc, ukrywali strach, że w końcu któreś powie prawdę.

- W takim razie w porządku - westchnął Jack pp dłuższej chwili. - Idę do pracy. Może dzisiaj trafię na trop jakiejś wielkiej afery.

Po tych słowach oboje wrócili na szeroką, bezpieczną autostradę, którą biegło ich życie. Być może Jack wkrótce zatrzyma się na światłach na jakimś skrzyżowaniu, ale z pewnością nie pozwoli sobie na zmianę pasa.

Jack stał przed stadionem przemarznięty do szpiku kości. Po parkingu hulał mroźny wiatr, który przerzucał z miejsca na miejsce suche liście i śmieci.

- Tak oto mecz dobiegł końca - powiedział, w wystudiowany sposób uśmiechając się do kamery. - Dwie drużyny zmierzyły się w walce o mistrzostwo State Boys B-8. Może zawodnicy są jeszcze młodzi i niedojrzali, ale wigorem i determinacją nadrabiają wszelkie braki. Ze stadionu w Portlandzie dla południowych wiadomości sportowych mówił Jackson Shore.

Gdy tylko zgasło światelko kamery, rzucił mikrofon swojemu operatorowi.

- Cholera, jak tu zimno - jęknął, zapinając płaszcz. Machnął ręką na pożegnanie i powędrował w stronę uniwersytetu. Mógł poczekać, aż ktoś go podrzuci, ale pracownicy techniczni zawsze bardzo długo składali sprzęt.

Gdy znalazł się w ciepłym budynku uczelni, zamówił sobie podwójną porcję mocha latte i powędrował do swojego gabinetu; potem usiadł przy ciężkim metalowym biurku i zastanawiał się, co dalej. Nic nie przychodziło mu do głowy. Wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz było szaro. Padała niemal niewidoczna dla oka mżawka. Światła na skrzyżowaniu rzucały na mokry chodnik czerwony i zielony blask.

Mógł powędrować na salę gimnastyczną i sprawdzić, co porabia uniwersytecka drużyna koszykarska, ale z pewnością brakowało w niej obiecujących zawodników.

Może coś ciekawego działo się u Trail Blazers...

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedział.

Nie miał odwagi się odwrócić. Wiedział, że niezależnie od tego, kto to taki i o co mu chodzi, będzie musiał stawić czoło rzeczywistości, ale w chwilach takich jak ta czasami potrzebował kilku sekund, żeby przywołać na twarz uśmiech prezentera telewizyjnego.

- Mogę wejść?

Odwrócił się. W drzwiach stała jedna z nowych asystentek, Sally Jakaśtam. Była młoda, piękna i ambitna. Już podczas pierwszego spotkania zauważył, że jest bardzo ambitna. Widząc ją w tej chwili, dostrzegając w jej oczach pasję, poczuł się jeszcze bardziej zmęczony.

- O co chodzi?

- Chciałam podziękować za wtorkowy wieczór. Jack przez minutę zastanawiał się, o czym Sally mówi.

- A, tak. Bridgeport Pub.

Kilku producentów i kamerzystów wybierało się po pracy do lokalu. Jack w ostatniej chwili zaprosił Sally.

Kiedy się do niego uśmiechnęła, na chwilę zamarł w bezruchu, zauroczony jej ciemnymi oczami.

- To miło, że mnie zaprosiłeś.

- Uznałem, że dobrze ci zrobi, jeśli spędzisz kilka godzin w towarzystwie producentów. W tym zawodzie trudno się przebić.

Podeszła o krok.

- No to przysługa za przysługę.

- Słucham.

- Chodzi o Drew Graylanda.

Jack nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego.

- Najlepszego zawodnika Panther?

- Moja młodsza siostra była w sobotę na tym samym przyjęciu co on. Powiedziała, że bardzo dużo pił i zażywał wszelkie możliwe prochy. Potem zabrał do swojego pokoju jakąś dziewczynę. Kiedy stamtąd wyszła, płakała i miała podarte ubranie. Nieco później tego samego wieczoru jakiś samochód potracił psa na Cascade Street. Wieść gminna niesie, że za kierownicą siedział Drew, ale policjanci z posterunku na terenie kampusu ukrywają prawdę. Nic dziwnego, bo w czwartek jest wielki mecz z UCLA.

Jack nigdy w życiu nie miał do czynienia z tak smakowitym kąskiem.

- To może być wielka afera.

Przez chwilę wyobrażał sobie skutki: ogólnokrajowy rozgłos, emisja materiału w najlepszym czasie antenowym, jego twarz na ekranie każdego telewizora. Co więcej, Henry, główny sprawozdawca sportowy, wyjechał z miasta. Był na urlopie w Australii.

- Czy mogę zostać twoją asystentką? - spytała Sally.

- Oczywiście. Musimy sprawdzić, czy ta dziewczyna wniosła przeciw niemu oskarżenie. Nie możemy opierać się na plotkach, które krążą po kampusie.

Sally otworzyła mały notes i zaczęła robić notatki.

- Porozmawiam z redaktorem naczelnym wiadomości. Ty zajmij się opracowaniem pytań i sprawdzeniem wszelkich poszlak. Zaczniemy od posterunku policji na terenie kampusu. Spotkajmy się w holu za... - Zerknął na zegarek. Była za piętnaście pierwsza. - Za trzydzieści minut, dobrze?

- Świetnie.

- Jeszcze jedno, Sally. Dzięki.

- To tylko przysługa za przysługę, Jack.

Kiedy się do niego uśmiechnęła, poczuł dawną pewność siebie.

Elizabeth wróciła do domu potwornie zmęczona. Spotkanie w bibliotece bardzo się przeciągnęło, a stolarz, z którym rozmawiała, był zdecydowanie za drogi.

Wyczerpana rzuciła torebkę na stół, wyszła na zewnątrz, na werandę i usiadła w bujaku. Równomierny, kołyszący ruch fotela - w tył, w przód, w tył, w przód - uspokoił jej rozdygotane nerwy.

Przed nią rozciągał się bezkresny, brązowy ocean. Gęsty, zielony trawnik wciąż był mokry po popołudniowej ulewie, dzięki czemu błyszczał w

znikających promieniach słońca. Dwie stare jak świat jodły o ciężkich, zwisających konarach stanowiły idealne obramowanie dla morskiego pejzażu.

Elizabeth cicho westchnęła: „Gdyby tylko...”, ale w mgnieniu oka odsunęła od siebie tę myśl. Dawno przestała już malować. Gdyby jednak wszystko potoczyło się inaczej, gdyby nie dopuściła do tego, by ogromna niegdyś pasja wygasła, z pewnością mogłaby ten widok utrwalić na płótnie.

W pobliżu zakrakał jakiś ptak. To ogromna wrona głośno protestowała, że Elizabeth wtargnęła na jej teren.

W rzeczywistości ustronie należało do Elizabeth. Wszystko było tu jej, od trzystu cebulek wsadzonych przez nią w ogrodzie, poprzez drewniany parkan, który zrobiła i pomalowała na białe, po wszystkie meble w domu. Każdy centymetr kwadratowy tej posiadłości zdradzał jej marzenia. Niezależnie od tego, jak bardzo czuła się nieszczęśliwa i zestresowana, zawsze mogła wyjść na werandę, spojrzeć na ocean i odnaleźć wewnętrzny spokój.

Patrzyła, jak złociste słońce powoli zanurza się w ciemniejącym morzu, potem wstała i postanowiła wrócić do środka.

Pora przygotować kolację.

Właśnie była w drzwiach, gdy zadzwonił telefon. Odebrała go.

- Halo, słucham?

- Cześć, kochanie, zrobiłaś wszystko, żeby wybrzeże Oregonu przetrwało do jutra?

Na przekór zmęczeniu na ustach Elizabeth pojawił się uśmiech.

- Cześć, Meg. Miło cię słyszeć. - Usiadła na fotelu w niebiesko-żółte pasy i położyła nogi na stojącej obok otomanie. - Co słychać?

- Dzisiaj jest czwartek. Postanowiłam przypomnieć ci o spotkaniu.

Kobiet bez pasji.

Elizabeth przestała się uśmiechać.

- Taaak, pamiętam - zapewniła, chociaż w rzeczywistości całkiem o tym zapomniała.

- Wybierasz się?

Jasne - pomyślała. - Zdecydowanym krokiem wejdę do pomieszczenia pełnego obcych ludzi i przyznam się, że nie mam żadnej pasji.

- Nie, prawdę mówiąc, nie. To nie dla mnie.

- A co właściwie jest dla ciebie? To zabolalo.

- Mówisz jak adwokat.

- Co zamierzasz robić dziś wieczorem? Uporządkować alfabetycznie swoją szufladę z przyprawami? Uwierz mi, Birdie, pewnego dnia po przebudzeniu

zdasz sobie sprawę, że masz sześćdziesiąt lat i nie potrafisz sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byłeś szczęśliwa.

Cóż Elizabeth mogła odpowiedzieć na takie dictum? Zwłaszcza że często dochodziła do tego samego wniosku.

- Jeśli pójdę... na razie niczego nie obiecuję, tylko się zastanawiam... ale jeśli pójdę, czego mogę się spodziewać?

- Spotkania z grupką kobiet, które prawdopodobnie będą rozmawiać o tym, co się dzieje, gdy dojrzały człowiek pobjądzi.

A więc nie zapowiadało się wcale tak źle. Wcześniej wyobrażała sobie coś w rodzaju przesłuchania inkwizycji. Może nawet za pomocą narzędzi tortur.

- Czy będę musiała zabierać głos?

- Nie, możesz milczeć jak głaz.

- Naprawdę myślisz, że to mi pomoże?

- Pozwól, że postawię sprawę inaczej: jeśli nie pojedziesz w tym tygodniu, w przyszłym urzędzę ci takie piekło, że do czwartku będziesz marzyć o wyprawie na to spotkanie.

Elizabeth mimo woli uśmiechnęła się. Wiele lat temu, gdy Meghann miała za sobą okropny, przygnębiający rozwód, Elizabeth potraktowała ją tak samo. Zrobiła to z miłości. Czasami trzeba zdecydowanie przycisnąć przyjaciółkę do muru, i tyle.

- W porządku. Pojadę.

- Obiecujesz?

- Ugryź się w ucho.

- Dla dobra sprawy pytam jeszcze raz, obiecujesz? Meghann mogła tak przez cały dzień.

- Obiecuję. A czy nie mogłabyś podręczyć jakiegoś wrednego tatusia, który znęca się nad dziećmi?

- Nie, prawdę mówiąc, nie mogę, bo wybieram się na randkę. Tym razem to Włoch. Giuliano.

- Zabrakło ci obywateli Stanów Zjednoczonych, co? Przez dwadzieścia minut rozmawiały o pustce w życiu miłosnym Meghann, potem rozłączyły się. Elizabeth naląła sobie kieliszek wina i wyjęła z zamrażalnika dwie piersi kurczaka. W czasie kiedy rozmrażały się w kuchence mikrofalowej, sprawdziła automatyczną sekretarkę. Odsłuchiwała wiadomość od młodszej córki, Jamie, i drugą - od Jacka. Wpadł na trop jakiejś wielkiej afery i wróci dopiero późną nocą.

- W takim razie wielbiciele sportu będą mieli to, co lubią - powiedziała na głos.

Coraz częściej postępowała jak zbzikowana stara kobieta: rozmawiała ze sobą.

- Jadę na spotkanie.

Wzięła prysznic, a potem weszła do garderoby. Przyjrzała się starannie poukładanym ubraniom. Miała dużo rzeczy w jasnych, żywych kolorach, ręcznie malowanych apaszek, robionych na drutach swetrów, batikowych jedwabi. Kochała sztukę w każdej postaci. Już gdy była nastolatką, chwalono ją za elegancję. Niestety, teraz w niczym jej to nie pomagało. Za nic w świecie nie chciała wyróżniać się z tłumu.

Proszę, proszę. Kobieta bez pasji - pomyślała.

Po kilku próbach wybrała czekoladowe spodnie z wełny i kremowy kaszmirowy golf. Postanowiła nie zakładać paska. Zresztą od dawna żaden na nią nie pasował. Umalowała się i zaczesła swoje proste jasne włosy (które, jak zauważyła, wymagały farbowania) do tyłu i splotła je we francuski warkocz. Zdjęła srebrno-turkusowe kolczyki, które zazwyczaj nosiła, i włożyła w uszy maleńkie perełki, potem obejrzała się w lustrze.

- Świetnie.

Była nijaka jak strzyżyk.

O szóstej zostawiła na blacie kuchennym karteczkę dla Jacka, na wypadek, gdyby wrócił do domu przed' nią. Oczywiście, było to zbędne. Przy jego spostrzegawczości Elizabeth przebrnie przez menopauzę, nim on zdoła się zorientować.

Dwadzieścia pięć minut później podjechała na parking.

Główny budynek uczelni został wybudowany pod koniec lat siedemdziesiątych. Miał betonowe ściany i pomarańczowy blaszany dach. Wzdłuż drogi rosły pozbawione liści drzewa, które nadawały kampusowi dziwnie żalosny wygląd. Na ulicznych lampach wisiały zniszczone, przerdzewiałe świąteczne ozdoby: poszarzałe bałwanki i wyblakłe menory kołysały się na lekkim wietrze.

Elizabeth mocno przycisnęła do siebie torebkę. Wędrując korytarzem, cieszyła się, że włożyła mokasyny, gdyż dzięki temu jej kroki były bardzo przytłumione. Nikt by nie usłyszał, gdyby nagle postanowiła zawrócić.

Podeszła do sali numer 106. Niestety, w drzwiach nie było szybki, nie mogła więc zajrzeć do środka, licząc na to, że zobaczy coś, co pozwoliłoby jej zmienić zdanie.

Ostrożnie uchyliła drzwi. Nie czekając, aż ogarnie ją strach, weszła do środka.

Była to mała, zwyczajna sala lekcyjna. Na zielonej tablicy widać było źle zmasowane równanie matematyczne. Na środku sali stały ustawione półkolistie metalowe krzesła, z których kilka zajmowały kobiety sprawiające wrażenie nieco zdenerwowanych. Obok stał przykryty białym obrusem stół z ekspresem do kawy i tacą z ciastami.

- Nie wstydź się. Wejź.

Elizabeth przestraszona odwróciła się. Stała oko w oko ze zdumiewająco piękną kobietą w czerwonym kostiumie. Przypięty do klapy identyfikator zdradzał, że jest to Sarah Tylor.

- Mam na imię Sarah - przedstawiła się kobieta z promiennym uśmiechem na ustach. - Witamy na naszym spotkaniu.

Elizabeth nie zdobyła się na uśmiech.

- Jestem Elizabeth.

Sarah położyła jej dłoń na ramieniu i lekko je uściśnęła.

- Wszystkie na początku jesteśmy trochę zdenerwowane. - Odwróciła się do pozostałych kobiet. - Charlotte, może powitałabyś naszą najnowszą członkinię?

Elizabeth wpadła w panikę. Przecież nie była żadną członkinią?

W jej stronę już zmierzała Charlotte, postawna kobieta w czarnej welurowej bluzie i zielonych spodniach, w jakich pracuje się w ogrodzie.

- Cześć - powiedziała. - Witamy w naszej grupie. Chodź.

Ujęła Elizabeth za łokieć i podprowadziła ją do krzeseł. Elizabeth usiadła.

Tuż obok zajmowała miejsce drobniutka, jasnooka młoda kobieta w dżinsowym kombinezonie i zdartych, kowbojskich botkach.

- Jestem Joey - przedstawiła się z uroczym uśmiechem. - Mój mąż zostawił mnie i przyłączył się do zespołu rockowego. Gra na harmonijce ustnej. Możesz sobie to wyobrazić? - Wybuchnęła śmiechem. - Nazywają się „Dog Boys”. Ja mówię na nich „Dog Shits”, chociaż nigdy nie robię tego przy dzieciach.

Elizabeth sztywno kiwnęła głową. Joey nadal mówiła, przez cały czas promiennie się uśmiechając. Pozostałe kobiety rozmawiały między sobą o całkiem normalnych sprawach. O rozkładach zajęć dzieci, o beznadziejnych byłych mężach, nudnych pracach i alimentach. Głosy zlewały się w spokojny, jednostajny szum. Pojawiło się więcej kobiet, wszystkie usiadły w półokręgu. Niektóre przyłączyły się do rozmowy. Inne, tak jak Elizabeth, siedziały w milczeniu.

W końcu Sarah zamknęła drzwi i zajęła miejsce w środku grupy.

- Witam panie. Cieszę się, że widzę dzisiaj kilka nowych twarzy. Jest to spotkanie grupy wsparcia „Kobiety bez pasji”. - Uśmiechnęła się. - Nie martwcie się, nie jesteśmy erotomankami, chociaż tak mogłoby się wydawać.

Jej uwaga wywołała śmiech, przeważnie ze strony najbardziej zdenerwowanych.

- Próbujemy sobie nawzajem pomóc. To proste. Wszystkie mamy coś wspólnego - poczucie straty. Po osiągnięciu określonego wieku nagle odkryłyśmy, że niewłaściwie ulokowałyśmy swoje uczucia. Z braku lepszego określenia mówię, że niewłaściwie ulokowałyśmy pasję. Naszym celem jest podzielenie się swoimi odczuciami z kobietami, które nas rozumieją. W grupie jesteśmy silniejsze. Na początek podzielmy się między sobą swoimi marzeniami. - Odwróciła się do kobiety, która siedziała obok niej. - Byłaś tu już wcześniej, Mino. Może więc zaczniesz.

Mina, pulchna, rudowłosa starsza pani w kwiecistej nylonowej podomce, wyraźnie czuła się tu jak u siebie w domu.

- Zaczęłam przychodzić na te spotkania mniej więcej sześć miesięcy temu, gdy u mojego męża, Billa, zdiagnozowano Alzheimera. - Potrząsnęła głową i syknęła. - To potworne, gdy kawałek po kawałku traci się ukochanego człowieka... W każdym razie obiecałam córce, że będę chodzić na te spotkania. Nie sądziłam, że uda mi się odnaleźć jakąś pasję, a jednak teraz robię kurs na prawo jazdy. Młode uczestniczki spotkania pewnie sądzą, że to nic nadzwyczajnego, ale ja odczuwam dziwną wolność. W przyszłym tygodniu zdaję ostatni egzamin. Mam nadzieję, że na następne spotkanie przyjadę już sama.

Grupa zaczęła bić brawa, a Mina się roześmiała. Gdy w pomieszczeniu zapadła cisza, odezwała się następna kobieta.

- Mam na imię Fran. Mąż uciekł ode mnie ze swoją sekretarką. Ostatnio moją jedyną pasją jest myślenie o kupieniu jakiejś strzelby. Niestety, nie potrafię się zdecydować, któremu z nas strzelić w głowę. - Uśmiechnęła się zdenerwowana. - To był, oczywiście, tylko żart.

Sarah wychyliła się do przodu.

- Co niegdyś lubiłaś robić, Fran?

- Uwielbiałam być żoną. - Urwała i wzruszyła ramionami. - Moi przyjaciele zachowują się tak, jakbym była nieuleczalnie chora. Dziś po raz pierwszy od tygodni wyszłam z domu. Na to spotkanie namówił mnie mój adwokat, który prowadzi sprawę rozwodową, ale nie bardzo wiem, jak mogłybyście mi pomóc.

- Wszystkie doskonale cię rozumiemy - zapewniła Joey.

Rozległ się pomruk aprobaty.

- Zastanów się, Fran - powiedziała Sarah. - Co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że na pewno ci się uda? Odpowiedz szybko. Nie oceniaj swoich słów.

- Śpiewałabym. - Fran sama była zaskoczona swoją odpowiedzią. - Kiedyś śpiewałam.

- Należę do chóru żeńskiego - powiedziała Mina. - Śpiewamy w szpitalach i domach pogodnej jesieni. Zawsze chętnie witamy nowe członkinie.

- Och, wcale nie twierdziłam, że dobrze śpiewam. Mina zachichotała.

- Śpiewamy dla ludzi, którzy noszą aparaty słuchowe. Naprawdę, przyłącz się do nas. Świetnie się bawimy.

Fran wyraźnie nie potrafiła się zdecydować.

- Zastanowię się nad tym.

Odezwało się kilka kobiet jednocześnie. Wyglądało na to, że niektórym z nich udało się osiągnąć niespodziewane rzeczy. Latały, skakały ze spadochronem, brały udział w biegach maratońskich. Wszystkie były zdania, że można zacząć wszystko, na co ma się ochotę.

- Tego nam właśnie trzeba - powiedziała Sarah. - Znalezienia pasji, która nie ma nic wspólnego z karierą i pieniędzmi. Dzięki temu dowiadujemy się, kim naprawdę jesteśmy. Odkrywamy osobę, z której zrezygnowaliśmy, żeby zaspokajać potrzeby i pragnienia innych. Fran, jeśli przyłączysz się do chóru, może się okazać, że poczujesz się naprawdę wspaniale.

Kiwnięciem głowy dała znak uczestnicze, która siedziała obok Fran.

Kobieta nerwowo przebierała palcami, zaciskała ręce. Była wysoka i chuda, od stóp do głów ubrana na czarno; mogła mieć około czterdziestki. Tlenione włosy kolorem przypominały słomę; przy skórze widać było czarne odrosty.

- Mam na imię Kim. Kiedy mój francowaty mąż opuszczał mnie dla dziewczyny, która jeszcze nosiła klamerki na zębach, zaczęłam pić. To stało się moją pasją. Teraz od trzech miesięcy jestem trzeźwa, ale przez cały czas marzę o kieliszku. Nie mam pojęcia, czym zastąpić alkohol. Moja mama usłyszała w telewizji o waszej grupie i zmusiła mnie, żebym tu przyszła. Dlatego jestem.

- Co robisz w wolnych chwilach? - spytała Sarah. Kim pociągnęła najpierw za jeden, potem za drugi kolczyk.

- Mam tylko wolne chwile. Mąż zostawił mi mnóstwo pieniędzy. Utleniałam włosy i kazałam sobie zrobić tatuaż: „Pieprzę Dona”. To już jakiś krok do przodu, nie sądzicie?

Nie uśmiechnęła się. Prawdę mówiąc, w obrysowanych grubą czarną kreską oczach widać było ból.

- Może poszłabyś do pracy - zaproponowała któraś z uczestniczek. - Zdobyła własne pieniądze.

- Uwierzcie mi - warknęła Kim - ciężko zapracowałam na to, co mi zostawił. Nie wiem, co mogłabym robić.

Rzuciłam szkołę średnią, żeby wyjść za mąż i wychować córkę, która teraz ma szesnaście lat i uważa, że jestem głupsza niż klucz francuski. Praca w charakterze wolontariuszki i ciągle podbudowywanie ego mojego męża to dość kiepskie kwalifikacje. Zresztą nie wyobrażam sobie, żebym dzień po dniu miała wkładać strój służbowy i powtarzać: „Czy chce pan frytki z tym, czy z tamtym?”

- Na pewno jest coś, co cię interesuje.

Kim oparła się o krzesło. Jej palce wystukiwały na czarnych spodniach jakiś rytm, zupełnie jakby grała na fortepianie.

- Nie, nic. Przykro mi. - Wbiła wzrok w sufit. - Czy zemsta się liczy?

Grupa milczała.

- Może jeśli posłuchasz nas dziś wieczorem - powiedziała Sarah - przestaniesz się bać.

- Nie boję się.

Kim sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę papierosów. Kiedy zdała sobie sprawę, co robi, wepchnęła je z powrotem.

Sarah wychyliła się do przodu.

- Jesteś w tej chwili na pustyni, umierasz z pragnienia, a mimo to boisz się sięgnąć po wodę. Nie poddawaj się, Kim. Wcześniej czy później dotrzesz do takiego punktu, gdzie bardziej przerażająca będzie bezczynność niż podjęcie jakiegoś działania, a wtedy sięgniesz po wodę.

Kim spojrzała na Sarah z ledwo ukrywaną pogardą.

- Czy będzie stała na aksamitnej poduszce w kryształowej karafce? Czyżby? A może znajdę ją w biurze rzeczy znalezionych?

Sarah przez chwilę nie przerywała ciszy, potem kiwnięciem głowy dała znak następnej kobiecie, która natychmiast zaczęła mówić. Po niej swoje historie opowiedziało kilka dalszych uczestniczek.

Nagle Elizabeth zdała sobie sprawę, że przyszła kolej na nią.

Wszystkie kobiety wbiły w nią wzrok. Mogę siedzieć jak głaz, Meg, tak? Jeśli się nie odezwie, wyjdzie na idiotkę. Wzięła głęboki wdech.

- Mam na imię Elizabeth. Jestem zwyczajną żoną i gospodynią domową, mam dwie dorosłe córki. Stephanie ma dwadzieścia jeden lat, Jamie

dziewiętnaście. Nie jestem rozwódką ani wdową, mąż mnie nie porzucił. Czuję się nieszczęśliwa, choć to tylko moja wina.

- Nie interesuje nas samokrytyka - oświadczyła Sarah. - Jesteśmy ciekawe, czego pragniesz od życia. O czym marzysz, Elizabeth?

Elizabeth wiedziała, że póki nie odpowie, nie będzie mogła przekazać głosu następnej uczestniczce.

- Kiedyś malowałam.

Co dziwne, wypowiedzenie tych słów na głos nie obeszło się bez bólu.

- Pracuję w sklepie z artykułami dla artystów malarzy. „Picture Perfect” w Chadwick - powiedziała jedna z kobiet. - Przyjdź w sobotę, pomogę ci wybrać wszystko, co potrzeba.

Elizabeth nie brakowało farb ani pędzli. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje artysta, i żadna grupa wsparcia nie przekona jej, że jest inaczej.

- To nie ma sensu, naprawdę.

- Nie bój się - wtrąciła Sarah. - Kup farby i zobacz, co się będzie działo.

- Ale z ciebie szczęściara - mruknęła Joey z zazdrością. - Prawdę mówiąc, masz jakąś pasję. Od wielu miesięcy przychodzę na te spotkania i wciąż nie wiem, co chciałabym robić.

- Och, gdybym umiała malować! - westchnęła inna kobieta.

Elizabeth rozejrzała się po zebranych. Wierzyły, że to jej pomoże. Poczula się jeszcze gorzej.

- Oczywiście, mogę spróbować - przyznała, żeby tylko zakończyć swoje zwierzenia. - Powrót do malowania byłby zabawny.

Myślała, że kobiety zaczną tańczyć z radości.

Z wyjątkiem Kim, która siedziała w żałobnej czerni i wymownie przyglądała się Elizabeth.

ROZDZIAŁ 4

Przez następny tydzień Jack i Sally po osiemnastu godzin dziennie podążali śladami wielkiej afery. Wcześniej pojawiali się w biurze i zostawali w nim do późna. Jack wyjeżdżał z domu przed wschodem słońca i dwukrotnie spał na kanapie w swoim gabinecie.

Rozmawiali z dziesiątkami osób, sprawdzali wszelkie poszlaki i próbowali na siłę pokonać zamknięte drzwi.

Insynuacje, anegdota, plotki - tego im nie brakowało. Według wszystkich rozmówców Drew był wrednym, niezbyt inteligentnym młokosem, który miał o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie, w ogóle nie liczył się z odczuciami innych ludzi i niezachwianie wierzył, że nie dotyczą go żadne normy społeczne. Innymi słowy: był prawdziwym wrzodem na dupie.

Okazał się również najlepszym sportowcem Oregonu, najlepszym od dwudziestu lat koszykarzem w tym stanie. Wielu liczyło na to, że zdoła doprowadzić nie mający szczęścia zespół Panthers do pierwszego w historii mistrzostwa NCAA.

Nic dziwnego, że żaden z członków drużyny nie chciał z nimi rozmawiać, nie zgodził się nawet wygłosić komentarza. Trener koszykarzy był nieuchwytny. Co więcej, wyszło na jaw, że oprócz siostry Sally nikt nie zwrócił uwagi na to, co spotkało nieszczęsną dziewczynę. Krótko mówiąc, nie mieli żadnych dowodów. Jasne było, że ludzie nie lubią Drew Graylanda, ale nikt nie chciał puścić farby przed kamerą.

Po następnym bezowocnym dniu Jack i Sally poszli do małej restauracji na kolację. Usiedli w boksie na tyłach lokalu, gdzie panował półmrok i cisza.

- Co dalej? - spytała Sally.

Jack uniósł wzrok znad notatek, które porozkładał na stoliku. Był zaskoczony, że lokal jest prawie pusty. Kiedy przyszli, zajęte były niemal wszystkie stoliki.

- Myślę, że wypijemy następnego drinka. Machnął ręką na kelnerkę.

Szybko podeszła i wyjęła ołówek zza ucha.

- Co mam panu przynieść, panie Shore?

Jack uśmiechnął się ze znużeniem. Tym razem chyba po raz pierwszy w życiu wolałby, żeby go nie rozpoznano. Czuł, że jest już nieźle wstawiony.

- Dewar's z lodem.

- A ja poproszę margaritę z lodem, bez soli - powiedziała Sally.

Chwilę później kelnerka wróciła z drinkami.

Jack sącył alkohol i nie odrywał wzroku od notatek. Wpatrywał się w nie od godziny, próbując doszukać się czegoś, co pominął. Kogoś, z kim zapomniał porozmawiać. Niczego nie znalazł. Nie miał pojęcia, od czego teraz, do diabła, zacząć. Uświadomił sobie, że znów przegrał. I tym razem pociągnie ze sobą w dół Sally.

- Jutro Henry wraca z Australii. Może powinnaś pójść z tą historią do niego.

- Rozgryziemy ją, Jack. Ty i ja.

Jej przekonanie o wygranej ani na chwilę się nie zachwiało. Pomimo wszystkich ślepych uliczek i tak wielu wypowiedzi ograniczających się do słów: „Bez komentarza” przez cały czas wierzyła w Jacka. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś tak w niego wierzył.

Spojrzał na nią. Nawet teraz, kiedy sprawy wyglądały naprawdę beznadziejnie, jej czarne oczy były pełne optymizmu. Chociaż dlaczego nie? Miała dwadzieścia sześć lat, całe życie przed sobą; minie sporo czasu, nim pozna gorzki smak zawodu.

W jej wieku Jack był taki sam. Po trzech wspaniałych latach na UW i zdobyciu nagrody Heismana był pierwszorzędnym kandydatem dla jakiegoś dobrego zespołu, który przegrywał i rozpaczliwie potrzebował kogoś nowego. Biegał w głębi boiska jak szalony, żeby coś wskórać, ciężko pracował i grał, jak dyktowało mu serce. Trzy lata później otrzymał propozycję z zespołu Jets.

To był jego pierwszy Złoty Rok.

W czwartym meczu pierwszego sezonu w Nowym Jorku grający na boisku quarterback odniósł kontuzję, a wówczas przyszła kolej dla Jacka. Zaliczył w tym meczu trzy przyłożenia. Pod koniec sezonu nikt nie pamiętał nazwiska zawodnika, którego Jack zastąpił. Tak oto narodził się „Jumpin’ Jack Flash”. Tłumy skandowały jego imię; gdziekolwiek się pojawił, błyskały flesze. Doprowadził swój zespół do zwycięstwa i zdobycia Super Bowl. W taki sposób powstają legendy. Przez lata był supergwiazdą. Bohaterem.

Potem doznał kontuzji.

Koniec gry. Koniec kariery.

- Jack? - Głos Sally przywołał go z powrotem do zadymionego baru. Przez kilka sekund go tu nie było. - Co ci się przydarzyło?

Westchnął. To musiało nadejść.

- Kiedy byłam małą dziewczynką... Niezły początek - pomyślał.

- ...razem z ojcem oglądałam mecze futbolowe. Byłeś jego ulubionym zawodnikiem. Komentował każdy twój ruch, analizował wszystkie podania. Umarł, kiedy miałam jedenaście lat... na raka... a ilekroć wspominam dawne

czasy, zawsze myślę o futbolu. Każdego dnia po szkole siadywałam obok jego łóżka w szpitalu. W weekendy oglądaliśmy razem mecze. Myślę, że to było lepsze niż rozmowa. - Zerknęła na niego. Po chwili na jej ustach pojawił się uśmiech. - Zawsze powtarzał, że byłeś najlepszym auarterbackiem w historii tej gry, tymczasem teraz jesteś w Portlandzie, w Oregonie, w najpodlejszej stacji telewizyjnej w mieście. Co się stało?

Wcześniej czy później wszyscy o to pytali. W jaki sposób wszystko straciłeś? Zawsze odpowiadał tak samo.

- Słyszałaś na pewno, że nabawiłem się kontuzji kolana.

Wychyliła się do przodu i przyjrzała mu się z powagą.

- Ale to nie wszystko, prawda?

Jack poczuł, że nadchodzi wyjątkowo niebezpieczna chwila; powoli, świadomie zмирzali w stronę intymności. Oczywiście był na to za mądry. Każdy mężczyzna w jego wieku dobrze wie, co mu grozi, ale od tak dawna był samotny, bardzo samotny, a w tej chwili ciężar wydawał mu się nie do zniesienia.

- Wszystko zaczęło się w szpitalu. Zdumiewające, ale powiedział jej o tym, że uzależnił się od środków przeciwbólowych, potem zaczął brać narkotyki i zawałił sprawę w „Monday Night Football”.

Wspomnienia przypominały garść potłuczonego szkła, kawałki o ostrych brzegach, okruchy, które odbijały światło. Wiedział, że gdy mocniej je ściśnie, ręka zacznie krwawić, ale nie mógł się powstrzymać.

Zawsze starał się udawać, że rozstanie z futbolem nie miało dla niego znaczenia, choć w rzeczywistości gra na boisku ukształtowała całe jego życie. Bez niej noce i dni przewijały się jak bezsensowne sceny w niemym filmie. Zniczował się prochami i alkoholem. Jego wyskoki przeszły do legendy. Ze złotego chłopca przeistoczył się w towarzyskiego błazna; Często na przyjęciach urywał mu się film.

Dobrze jednak pamiętał wypadek. Było późno, albo wcześnie, zależy, jak się na to spojrzy, zimna, śnieżna noc. Nie powinien siadać za kierownicą, zwłaszcza po wielogodzinnej popijawie w Village Vanguard, ale ta refleksja przyszła mu do głowy już po fackie. Pamiętał tylko potworny pisk opon i zapach palonej gumy.

- Nikomu nic nie zrobiłem - szepnął - ale nie to było najważniejsze. Mój agent dopilnował, żeby wszystko wymazano z akt, ale był to koniec mojej kariery. Po rehabilitacji udało mi się znaleźć pracę jedynie w lokalnej stacji w Albuquerque. Tak oto zacząłem długie, wolne wspinanie się z powrotem na szczyt.

Spojrząwszy na Sally, zdał sobie sprawę, że coś się między nimi zmieniło. Po raz pierwszy zobaczyła w nim kogoś więcej, nie tylko Jacksona Shore'a, legendę futbolu, dostrzegła mężczyznę, którym naprawdę był.

Próbował odwrócić wzrok. Nie mógł.

Dotknęła jego ramienia.

- Dzięki tej aferze i ty, i ja zrobimy zawrotną karierę. Jej dotyk przypominał porażenie prądem.

Jack zmusił się do tego, by spojrzeć w notatki, które leżały między nimi. Próbował coś przeczytać. Słowa rozmazywały mu się przed oczami, były pozbawione ładu i składu. Potem nagle coś wpadło mu do głowy.

- Dziś zamykają campus na przerwę zimową.

- Wiem.

Koniecznienie musiał coś zrobić. Wszystko było lepsze od siedzenia w niewielkiej restauracji i marzenia o kobiecie, której nie mógł mieć.

- Co byś powiedziała na powrót i ponowny objazd campusu? Dyrekcji i obsługi na pewno już nie ma. Może ktoś zechce z nami porozmawiać, gdy w pobliżu nie kręcą się strażnicy?

- Warto spróbować.

Jack zapłacił rachunek i wyszli.

Wróciwszy do campusu, próbowali w tych samych miejscach co poprzednio, odszukali wszystkich wcześniejszych rozmówców. Nie pozwalali się zbyć, byli dosłownie wszędzie. Bez skutku.

W końcu zatrzymali się na parkingu i przez chwilę siedzieli w jasnym świetle łątami. Na przedniej szybie lśniły srebrne krople deszczu.

- I to by było na tyle - powiedział w końcu, sięgając po kluczyki.

Zerknął na zegarek. Była pierwsza w nocy. Za kilka godzin znów będzie musiał pojawić się w pracy.

Gdy ktoś nagle zapukał w szybę, oboje podskoczyli przerażeni.

Jack opuścił szybę. Przy drzwiach stał policjant z tutejszego posterunku, mężczyzna, z którym wcześniej próbowali rozmawiać. Sally automatycznie sięgnęła po notes i otworzyła go na czystej stronie.

- Szukacie haka na Drew Graylanda? - szepnął policjant.

- Taaak. Słyszeliśmy, że w ostatnią sobotę przyłapano go na jeździe po pijanemu.

- Nic nowego. Dobrym sportowcom nawet morderstwo uchodzi na sucho. Niedobrze mi się od tego już robi. Mam córkę.

- Czy może pan potwierdzić, że w sobotnią noc Drew został aresztowany?

Policjant wybuchnął śmiechem.

- Aresztowany? Bardzo wątpię.

- Jak pan się nazywa?

- Mark Lundberg.

- Czy możemy zacytować publicznie pana wypowiedź? Policjant potrząsnął przecząco głową.

- Mam dwoje dzieci. Nie mogę podjąć walki, ale też nie mogę stać obok i patrzeć. Proszę, to dla was.

Przez uchyloną szybę wsunął do samochodu brązową kopertę.

Jack zerknął na papier. Nie było na nim żadnych znaków. Kiedy uniósł głowę, Lundberga już nie było.

Shore otworzył kopertę, wyjął papiery i pobieżnie je przejrzał.

- O mój Boże...

- Co to jest? - spytała Sally głosem pełnym oczekiwania.

- Raporty policyjne. Cztery kobiety oskarżyły Drew o gwałt.

- I nigdy go nie aresztowano? Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nigdy.

Elizabeth po raz ostatni sprawdziła listę. Wysłać paczki.

Odebrać rzeczy z pralni chemicznej. Poinformować pocztę o wyjeździe. Odwołać dostawę mleka. Wymienić baterie w detektorze dymu. Potwierdzić rezerwację. Wszystko zostało załatwione. Jutro o tej porze będzie już w domu ojca, żeby razem z córkami i rodziną w stary jak świat sposób uczcić Boże Narodzenie.

Po raz ostatni sprawdziła cały dom, po czym zabrała torebkę i skierowała się do drzwi.

Gdy wyszła na werandę, promienie słońca przedarły się przez zasnułe szarymi chmurami niebo i utworzyły na ziemi jasne plamy. Podwórko wyglądało jak zaczarowane, jak jakiś zapomniany zakątek zaklętego lasu.

Patrzyła na białe płyty, które prowadziły na skraj posiadłości. Zapraszały, żeby się po nich przejść. Elizabeth udała się do samochodu. Bez przeszkód dojechała do Portlandu. Przynajmniej raz nie padało, a ulice centrum miasta były opustoszałe. Przypuszczała, że to smutna oznaka naszych czasów. Dawniej, zwłaszcza w okresie gwałtownego rozwoju firm internetowych, te same ulice wypełniały tłumy ludzi, którzy robili przedświąteczne zakupy. W ubiegłym roku niemal godzinę musiała czekać przy stoisku, na którym pakowano prezenty; w tym roku w ogóle nie było tu kolejki.

Gdy podjechała pod budynek uczelni, zatrzymała się na parkingu podziemnym i poszła schodami do głównego holu.

- Cześć, Eleanor - powiedziała do dziobatej recepcjonistki. - Wesołych Świąt!

- Witam, pani Shore. Nie obchodzę Bożego Narodzenia... jest zbyt skomercjalizowane... ale i tak dziękuję. Nawzajem.

Elizabeth powstrzymała uśmiech. Nigdy, nawet w młodości, nie była tak zdecydowana i zbuntowana. W czasie, kiedy jej koleżanki ze studiów godzinami dyskutowały o kryzysie politycznym w Iranie, ona nie odrywała nosa pod płóciem i farb.

Obecnie dochodziła do wniosku, że w młodym wieku powinna bardziej się buntować. Prawdopodobnie w przypadku kobiety takiej jak ona tatuaże i kolczyk w nosie mogłyby zdziałać dużo dobrego.

Weszła schodami na piętro i zauważyła, że biuro Jacka jest puste. Zmartwiona, zerknęła na zegarek, po czym w pośpiechu wróciła na parter, powędrowała do studia i po cichutku weszła do ciemnego pomieszczenia. Było w nim mniej ludzi niż zazwyczaj - może to z powodu świąt.

Jack siedział na planie, za dużym biurkiem. Reflektory oświetlały jego twarz z grubą warstwą makijażu. Był przystojny jak gwiazdor filmowy. Jak zwykle. To niesprawiedliwe - pomyślała nagle - że on wciąż jest młody, podczas gdy ja wyraźnie się starzeję.

- ...dzięki temu ściśle tajnemu raportowi - mówił -dziennikarze Channel 6 dowiedzieli się, że gwiazdzie Panther, Drew Graylandowi, kilkakrotnie stawiano zarzuty o niestosowne zachowanie. W ciągu ostatnich dwóch lat cztery kobiety oskarżyły Drew Graylanda o to, że je zgwałcił lub molestował seksualnie. Według komendanta miasta, Stephena Landisa, posterunek z kampusu nie przekazał tych raportów policji z Portlandu. Dyrektor sportowy uniwersytetu, Bill Seagel, kiedy został przez nas powiadomiony o tych zarzutach, nie wygłosił żadnego komentarza, powiedział tylko, że z tego, co wie, przeciwko Graylandowi nie wysunięto żadnych oskarżeń. Trener Rivers potwierdził, że jego najlepszy zawodnik będzie w przyszłym tygodniu grał przeciwko UCLA. Mamy zamiar zbadać tę sprawę do końca, a w miarę zdobywania nowych dowodów o wszystkim państwa informować.

Jack uśmiechnął się do kobiety, która siedziała obok niego. Rozmawiali jeszcze przez sekundę lub dwie, potem Jack odpiął mikrofon i wstał. Przechodząc przez studio, zauważył Elizabeth i uśmiechnął się od ucha do ucha. Chwycił ją za rękę i zaprowadził do swojego biura. Radosnym kopnięciem zamknął za sobą drzwi.

- Możesz w to uwierzyć, Birdie? Udało mi się! - Roześmiał się. - To wielka afera, nad którą pracowałem w ubiegłym tygodniu. Przy odrobinie szczęścia sprawę podchwycą inne sieci telewizyjne.

Objął ją i uniósł nad podłogę.

Śmiała się razem z nim. Nikt nie umiał cieszyć się z sukcesów tak jak jej mąż. Zawsze tak było. W dobrych czasach Jack przypominał wartki nurt, który porywał człowieka ze sobą.

Poluznił uścisk i opuścił Elizabeth na podłogę.

Patrzyli na siebie; uśmiechy zniknęły z ich twarzy. Po długiej, niezręcznej chwili spytała:

- Jesteś gotowy do jazdy? - Zerknęła na zegarek. - Za dwie godziny odlatuje nasz samolot.

Jack zmarszczył czoło.

- Przecież lecimy jutro.

Sukinsyn - pomyślała. - Znów mi to robi.

Była dumna ze swojego opanowania, gdy powiedziała zdecydowanie:

- Nie. Wylatujemy dzisiaj. Dwudziestego drugiego grudnia.

- Cholera!

- Nie martw się, twoje walizki są w samochodzie. Wszystko spakowałam. Wystarczy, jeśli dowieziesz nas na lotnisko.

Drzwi do jego biura otwały się z hukiem. Do środka wbiegła młoda kobieta w szarej sukni robionej na drutach i długich do kolan botkach.

- Nie uwierzysz... - zaczęła, szybko zmierzając w jego stronę.

Pokonała połowę długości pokoju, gdy nagle zdała sobie sprawę, że Jack nie jest sam. Zatrzymała się i obdarzyła Elizabeth uprzejmym uśmiechem.

- Przepraszam za wtargnięcie, ale to wspaniała wiadomość. Mam na imię Sally.

Elizabeth zdobyła się na nieszczerzy uśmiech. Była za bardzo zła na męża, żeby silić się na uprzejmości.

- Cześć, Sally. Wydaje mi się, że spotkałyśmy się podczas pikniku z okazji Święta Pracy.

- O... taaak.

Wyraźnie zrobiłam wrażenie - pomyślała.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Jack, ale wiem, że chciałbyś to zobaczyć.

- Podała Jackowi kartkę. - Trzy następne kobiety wniosły oskarżenie przeciwko Graylandowi.

- Aresztowali go?

- Jeszcze nie. Trener Rivers powiedział: „Dzięki Bogu, w naszym wspaniałym kraju człowiek jest niewinny, póki nie udowodni mu się winy”.

- Innymi słowy, Drew będzie grał dopóty, dopóki nie zamkną się za nim drzwi więzienia.

- Dokładnie, ale mam dla ciebie jeszcze jedną wspaniałą wiadomość. Właśnie zadzwoniła do mnie jedna z tych dziewcząt. Zgodziła się wszystko nam opowiedzieć. W obecności kamery.

- Spotkajmy się w holu za trzydzieści minut. Opracujemy plan.

- Zgoda.

Sally energicznie kiwnęła Elizabeth głową i wyszła. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Elizabeth spojrzała na męża.

- Pozwól, że zgadnę. Nie jedziesz ze mną. Wziął ją w ramiona.

- Daj spokój, kochanie - mruknął tuż przy jej uchu. -Wiesz, jak bardzo jest mi to potrzebne. Jak powietrze.

A twoje potrzeby są zawsze najważniejsze, prawda, Jack? - pomyślała.

Była wściekła, że nie może powiedzieć tego na głos. Kiedy w końcu nauczy się mówić to, co naprawdę myśli?

- Przyjadę do was - obiecał. - Będę na Wigilię.

Jego głos był delikatny jak jedwab, uwodzicielski. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Jack i tak zdoła postawić na swoim, co gorsza, dobrze o tym wie. Liczył na to, że żona zgodzi się na wszystko, że będzie stanowić jedyny pewny dźwigar w rozpadającym się małżeństwie.

Stali tak blisko, że mogli się pocałować, ale Elizabeth wydawało się, że dzieli ich ogromna przepaść.

- Trzymam cię za słowo, Jacksonie - ostrzegła.

- Możesz na mnie liczyć.

Te słowa wywołały w pamięci wszystkie minione lata. Elizabeth zastanawiała się, czy powiedział je celowo.

- Dobrze, skarbie. Jadę.

Pocałował ją i puścił. Potknęła się i straciła równowagę.

- Kocham cię, Birdie.

Chciała powiedzieć to samo, ale nie mogła. Zresztą i tak chyba tego nie zauważył. Myślami był już za drzwiami, z Sally.

Później, przecinając pusty parking stacji telewizyjnej, Elizabeth zastanawiała się - i to nie po raz pierwszy - ile razy kobieta może naginać się do czyjejś woli, nim w końcu się załamie.

Elizabeth nie lubiła podróżować samolotem sama. Czuła się jak kawałek lukrecji w miseczce ryżu. Widoczna, ale całkiem zbędna.

Podziękowała za wszystko stewardesie i przez cały czas siedziała z nosem w książce.

W wypożyczalni samochodów w Nashville wybrała białego forda taurusa i wypełniła formularze. To zdumiewające, ale nigdy wcześniej tego nie robiła. Zawsze to Jack pisał, a ona stała obok, nie odzywając się ani słowem. Do niej należało potem przechowanie dokumentów w bezpiecznym miejscu aż do chwili oddania samochodu.

Gdy formalności zostały załatwione, usiadła za kierownicą i pojechała na południe.

Z każdym przejechanym kilometrem coraz bardziej się uspokajała.

Znów była w swoim ukochanym Tennessee, jedynym miejscu na świecie, w którym czuła się jak w domu, jeśli nie liczyć Echo Beach.

Przy zjeździe na Springdale wrzuciła migacz i opuściła autostradę.

Od razu dostrzegła zmiany. Od ostatniej wizyty trzy lata temu Springdale zdecydowanie się rozrosło. Miasto przede wszystkim odsunęło się daleko na wschód, jakby wszystkie wspaniałe, zabytkowe budynki były nosicielami jakiejś zaraźliwej choroby. Stały na niewielkiej przestrzeni, stanowiąc enklawę z cegły i zaprawy, zgromadzone wokół czegoś, co niegdyś było jedynym skrzyżowaniem w mieście.

Teraz przez Springdale biegła czteropasmowa ulica, przy której po obu stronach stały długie, pomalowane w pasy centra handlowe. Wal-Mart znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie Targetu; wrogowie skazani na ciągłą walkę. Złote łuki i neon zdobiły Winn-Dixie, był nawet dom towarowy Blockbuster Video. Wszystko tonęło w zielonych i czerwonych świątecznych dekoracjach. Niezliczone wywieszki zapowiadały bożonarodzeniowe wyprzedaże.

Na szczęście na rogu First i Main, między nowym Krogerem i restauracją Cracker Barrel, wciąż stała tawerna, którą tak bardzo lubił jej ojciec. Elizabeth niejednokrotnie siłą ściągała go stamtąd do domu...

Dlaczego muszę już iść, kochanie? - pytał niezmiennie swoim donośnym głosem, jakby lada chwila miał wybuchnąć śmiechem - to niemożliwe, żeby była już pora na kolację.

Półtora kilometra za miastem droga znów się zwężała i dalej biegły tylko dwa pasma. Elizabeth znalazła się w miejscu, w którym dorastała. Po obu stronach niemal pustej jezdni aż po horyzont ciągnęły się puste pola tytoniowe, tylko gdzieniegdzie urozmaicone przez nagie drzewa. Widać było kilka gospodarstw, domów ukrytych przed ludzkim wzrokiem za starannie posadzonymi roślinami zimozielonymi. Jedynym znakiem postępu były

dziesiątki billboardów. Przed Elizabeth pojawił się znak farmy: przerdzewiały, pomarańczowy traktor na sporym kawałku blachy. Ów wehikuł od zawsze stał na początku Sojourner Road.

Skręciła w długą zwirową drogę, która biegła wzdłuż granicy posiadłości ojca.

Wszystko po prawej stronie należało do Edwarda Rhodesa. Wiele akrów uprawnej ziemi. Wkrótce znów zostaną obsadzone. Do lipca kukurydza będzie miała wysokość człowieka. W październiku liście zrobią się złocistobrazowe i cienkie jak papier, a gdy nadejdą wczesnozimowe wiatry, łodygi będą szeleścić jak rój pszczół. Siew, sadzenie i zbiory odmierzały w tej krainie upływ czasu. Wszystko w świecie ojca Elizabeth podporządkowane było porom roku. Wszystko w zależności od światła słonecznego przychodziło i odchodziło, rodziło się i umierało.

W końcu dotarła na podjazd. Nad jej głową wznosiła się ogromna metalowa brama. Miedziany, pozieleniały ze starości szyld z napisem SWEETWATER kołysał się lekko na wietrze.

Elizabeth zdjęła nogę z pedału gazu i zatrzymała się pod domem. Po obu stronach podjazdu nagie, brązowe konary wznosiły się błagalnie ku szaremu zimowemu niebu.

Była w domu.

Na zadbanym dziedzińcu stał ceglany budynek w dawnym stylu. Granicę wyznaczały starannie przystrzyżone zimozielone żywopłoty, które tworzyły idealną linię, tylko gdzieniegdzie przerwana przez stareńki orzech. Na jednym z nich wciąż jeszcze wisiała huśtawka z opony, ulubione miejsce letnich zabaw małej Elizabeth. Pod huśtawką do tej pory było widać kawałek ubitej ziemi, która częściowo zarosła już trawą.

Zaparkowała przed dawną wozownią, która została zamieniona na garaż, i wyłączyła silnik. Gdy wyszła z auta, poczuła zapach dymu z komina, wilgotnej ziemi i mierzwy. Wyjęła z samochodu walizkę, podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek.

Przez chwilę panowała całkowita cisza, potem zaszurały czyjeś nogi i rozległ się przytłumiony głos.

Po chwili w drzwiach pojawił się ojciec. Miał na sobie flanelową koszulę w błękitną kratkę i pomięte spodnie w kolorze khaki. Jego siwe włosy fruwały dziko wokół głowy, przywodząc na myśl postać Alberta Einsteina, a promienny uśmiech był w stanie ująć za serce każdą dziewczynę.

- Buraczek cukrowy - powiedział poważnym głosem.

Jego charakterystyczna, wolna i miękka wymowa sprawiła, że słowa te brzmiały bardziej jak: „buraaaczek cukroowoy”.

- Myśleliśmy, że pojawisz się dopiero za godzinę lub dwie. Wejdz. Nie stój na chłodzie. Uściskaj staruszka.

Gdy Elizabeth przekroczyła próg i wpadła w jego objęcia, znów poczuła się jak mała dziewczynka. Otaczały go zapachy jej dzieciństwa: dym z fajki, drogi płyn po goleniu i miętowa guma do żucia.

Kiedy wyzwoliła się z ramion ojca, pogłaskał ją po twarzy. Zawsze ją dziwiło, że tak duża dłoń może być tak delikatna.

- Bardzo tęskniliśmy za tobą. - Obejrzał się przez ramię w głąb domu. - Pospiesz się, mamuniu, nasza córeczka przyjechała.

Nastąpiła natychmiastowa reakcja. Elizabeth usłyszała stukot wysokich obcasów na marmurowej podłodze. Potem poczuła zapach kwiatów, ściślej mówiąc, gardenii. Charakterystyczny zapach macochy.

Anita wybiegła z za rogu. Miała na sobie wiśniowe jedwabne spodnie, czarne buty na wyjątkowo wysokich obcasach i złocistą, elastyczną bluzeczkę z absurdalnie głębokim dekoltem. Długie, platynowe włosy tworzyły kok na czubku głowy. Gdy Anita ujrzała Elizabeth, cicho pisnęła i podbiegła niczym Bette Midier.

- Cześć, Birdie. Nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie.

Wykonała gest, jakby chciała uściskać Elizabeth, ale w ostatniej chwili zrezygnowała i zatrzymała się u boku męża.

- Miło, że przyjechałaś do domu, Birdie. Dawno cię nie było.

- Tak, dawno.

- No cóż...

Na grubo wymalowanej twarzy Anity pojawił się sztuczny uśmiech, który szybko zniknął. Zapadła niezręczna cisza, jakże częsta podczas rozmów obu pań.

- Lepiej będzie, jeśli zajrzę do jabłecznika. Tatuśku, zaprowadź Birdie do jej pokoju.

Elizabeth starała się przez cały czas uśmiechać. Jej macocha miała bardzo dużo wkurzających przyzwyczajzeń, ale najgorszym z nich było to, że mówiła do swojego męża „tatuśku”.

Ojciec podniósł walizkę Elizabeth i poprowadził córkę schodami na piętro, do jej dawnego pokoju, który wyglądał tak samo jak zawsze. Jasne, cytrynowe ściany, miodowe dębowe deski na podłodze, ogromne, białe łóżko, po które ojciec pojechał aż do Memphis, biały regał na książki i biurko. Ktoś - być może Anita - zapalił tu świece; w pokoju pachniało roślinami zimozielonymi.

Na ścianie nad biurkiem wciąż wisiało oprawione zdjęcie Davy'ego Jonesa z autografem. Była tam też dedykacja: „Dla Liz od zawsze kochającego Davy'ego”.

W pewne niedzielne popołudnie Elizabeth znalazła je na jakiejś prywatnej wyprzedaży w pobliżu Russellville. Przez trzy lata, to znaczy między siódmą a dziewiątą klasą, był to jej skarb. Po jakimś czasie niemal zapomniała, że dedykacja na zdjęciu wcale nie powstała z myślą o niej.

- A gdzie jest nasz złoty chłopiec? - spytał ojciec, kładąc torbę Elizabeth.

- Wpadł na trop jakiejś wielkiej afery i musiał zostać o dzień dłużej, żeby ją rozpracować. Przyjedzie jutro.

- Szkoda, że nie mógł przylecieć z tobą.

Ojciec wymówił te słowa z wyraźnym ociąganiem, jakby chciał powiedzieć coś więcej... albo mniej. Elizabeth nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Taaak.

Ojciec wyczuwał, że między nią a Jackiem dzieje się coś niedobrego. To oczywiste; zawsze potrafił przejrzeć ją na wylot. Mimo to nie naciskał. Wszystkie rodziny z Południa cechowała niezwykła dyskrecja.

- Twoja matka przygotowała dla nas grzany jabłecznik - powiedział w końcu. - Wyjdźmy na chwilę na werandę.

- Ona nie jest moją matką - odpowiedziała Elizabeth automatycznie.

Natychmiast pożałowała swoich słów.

- Przepraszam - powiedziała, bezradnie rozkładając ręce.

Mogła powiedzieć tyle innych rzeczy, przeproszać, tłumaczyć się, na przykład, przypomnieć, ile dostała w minionych latach źle dobranych swetrów, ale w ostatecznym rozrachunku zazwyczaj poprzestawali na pustych frazesach, o czym oboje z ojcem dobrze wiedzieli. Elizabeth i Anita nie przypadły sobie do gustu. Koniec, kropka. Teraz było już za późno, żeby to zmienić... albo udawać, że jest inaczej.

Ojciec ciężko westchnął, wyraźnie zawiedziony, po czym rzekł:

- Posiedź ze swoim staruszkiem na ganku. Opowiedz mi o ekscytującym życiu, jakie wiesz w samym sercu jankeskiej dżungli.

Tak jak tysiące razy wcześniej zeszli ramię w ramię szerokimi, krętymi, mahoniowymi schodami, minęli wejście z białą-czarną marmurową podłogą i skierowali się do kuchni, gdzie zwabił ich cynamonowy zapach gorącego jabłeczniaka.

Elizabeth przygotowała się na następną sztywną, niezręczną rozmowę z macochą, ale, ku jej uldze, w kuchni nikogo nie było. Na drewnianym pieńku stały dwa kubki, a między nimi srebrna cukierniczka.

- Anita zawsze pamięta, że lubisz dosładzać swój jabłecznik - zauważył ojciec.

Elizabeth przytaknęła.

- Idź na werandę, a ja wszystko przyniosę.

Gdy ojciec ruszył w stronę drzwi, Elizabeth napełniła dwa kubki i wyniosła je na werandę.

Prawdę mówiąc, wcale nie była to weranda, raczej zadaszona kwadratowa przestrzeń wykładana kamieniami. Przy białych kolumnach rosły wisteria i jaśmin, i jedno, i drugie obecnie nie miało żadnych liści. Gałęzie grube i powyginane jak ręce starca tworzyły płataninę, która dokładnie osłaniała białe bierwiona. Teraz, w środku zimy, wyglądały dość złowieszczo, ale gdy nadejdzie wiosna i wzdłuż tych z pozoru martwych, brązowych gałęzi rozwiną się zielone liście i młode pędy, tylna weranda zamieni się w pachnącą altankę. Nieco dalej tonął w ciemności ogród matki.

Przy tylnej ścianie domu stało kilka czarnych krzeseł z kutego żelaza. Elizabeth podała ojcu jabłecznik, potem usiadła obok. Stareńkie krzesła kołysały się na biegunach do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu.

- Cieszę się, że w tym roku udało ci się przyjechać do domu.

Zaniepokoiło ją coś w sposobie, w jaki ojciec powiedział te słowa. Spojrzała na niego ostro.

- Czy wszystko w porządku? Jesteś zdrowy? Roześmiał się serdecznie.

- Daj spokój, buraczku cukrowy, nie rób ze mnie starca. Mam jeszcze na to sporo czasu. Nic mi nie dolega. Do diabła, twoja mat... Anita i ja mamy zamiar wybrać się wiosną na spływ kajakowy w Kostaryce. Jest tam miejsce, które nazywają Cloud Mountain czy coś w tym stylu. Bardzo mnie do niego ciągnie. W przyszłym roku chcemy zwiedzić Machu Picchu. Po prostu cieszę się, że mogłaś przyjechać. To wszystko. Tęskniłem za tobą i moimi wnuczkami.

- Wydaje mi się, że zapomniałeś wspomnieć o Jacku -zauważyła oschle.

- Tak samo jak ty zawsze zapominasz wspomnieć o Anicie. Do diabła, złotko, moim zdaniem jesteśmy za starzy, żeby udawać w sprawie uczuć. Co nie zmienia faktu, że dopóki jesteś szczęśliwa u boku swojego złotego chłopca, nie mam nic przeciwko niemu. - Urwał, zerknął na nią. - Jesteś z nim szczęśliwa, prawda?

Roześmiała się, ale nawet w jej uszach był to przykry dźwięk, który przypominał chrzęst rozbitego szkła na kafelkach.

- Wszystko jest świetnie. W końcu nasz dom zaczyna wyglądać tak, jak powinien. W tym roku będziesz musiał nas odwiedzić. Może przyjechałbyś na czwartego lipca. Lipiec to piękny miesiąc na wybrzeżu.

- Od dwóch lat słyszę o twoim pięknym wybrzeżu, ale ilekroć do mnie dzwonisz, mówisz, że u was pada deszcz. Nawet w miesiącach letnich.

Tym razem Elizabeth naprawdę się roześmiała. Oparła się wygodnie i spojrzała na podwórko, które niegdyś wydawało jej się takie duże. W ogrodzie mamy pociemniałe łodygi błyszcząły w promieniach księżyca. Słysząc było szum strumienia, który płynął poniżej i o tej porze roku urastał do rozmiarów rzeczki. Gdy przyjdzie lato, będzie to zaledwie leniwa strużka, nad którą fruują ważki.

Elizabeth przypominała sobie dzieciństwo i chwile spędzane na podwórku. Nagle w jej pamięci ożył dzień po śmierci matki. Chwila, kiedy zrozumiała, że mama naprawdę odeszła. Na zawsze.

Chodziła wtedy jeszcze do przedszkola. Siedziała na trawie, łąpała do słoika robaczki świętojańskie i słuchała odległego pomruku rozmów dorosłych. Była wiosna - kwiecień - w wieczornym powietrzu unosił się zapach jaśminu i kapryfolium, które tak uwielbiała mama. Gdy wszyscy wyszli, ojciec podszedł do niej, przykucnął i zapytał: „Chcesz dziś w nocy spać w moim pokoju, buraczku cukrowy?”

To było wszystko, co wówczas powiedział. Ani słowem nie wspomniał o matce, o żalu czy bezbrzeżnym smutku, który miał nadejść. Tym jednym prostym zdaniem pożegnał jedno życie i powitał następne.

Elizabeth przypominała sobie, jak mizernie wówczas wyglądał i jak ją to przeraziło. Wiedziała, co się stało, ponieważ ojciec powiedział jej wcześniej, że mama poszła do nieba, ale dopiero po tych słowach ogarnął ją strach.

Patrząc przed siebie i mając przed oczami srebrzystego ducha małej dziewczynki, która zerknęła na żółtawe latarenki zamknięte w szklanym słoiku, powiedziała:

- Księżyc wygląda tak samo jak tamtej nocy.
- Jakiej nocy?
- Po pogrzebie mamy - szepnęła.

Usłyszała, że ojciec gwałtownie wciągnął powietrze w płuca. Nic dziwnego, w końcu poruszyła zakazany temat.

- Przez cały dzień bawiłam się wtedy na podwórku. Przyszli do mnie chyba wszyscy mieszkańcy hrabstwa, żeby mnie przytulić i pocałować.

Ojciec oparł duże dłonie na udach i wstał. W bladoniebieskim świetle księżycyca wyglądał na szczuplejszego niż zwykle.

- Chyba pora spać.

Pochylił się i odgarnął jej z oczu kosmyk włosów. Znała ten gest równie dobrze jak własne odbicie. Po chwili pocałował ją w czoło.

- Dobranoc, Birdie.

Nie powinna nic mówić o mamie. Zawsze był to najpewniejszy sposób, żeby pozbyć się ojca. Nim zdobyła się na odwagę, by coś powiedzieć, był już przy siatkowych drzwiach.

- Nigdy nic nie mówisz na jej temat - szepnęła. Zatrzymał się. Drzwi pisnęły. Wydawało jej się, że ojciec westchnął.

- Rzeczywiście, nie mówię.

Wiedziała, że to koniec rozmowy. Świadczył o tym głos ojca. Jak zwykle zrezygnowała z dalszych pytań, wiedząc, jak bolesne są dla niego wspomnienia o mamie.

- Dobranoc, tatusiu. Powiedz Anicie, że pogadamy jutro rano.

- Niektóre rany bywają bardzo głębokie, Birdie. - Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał tak łagodnie jak nigdy. - Lepiej, jeśli to zapamiętasz.

Potem drzwi się zamknęły, a Elizabeth została sama.

ROZDZIAŁ 5

Dziewczyna, która z własnej woli zgodziła się opowiedzieć o wszystkim przed kamerami, nazywała się Andrea Kinnear i mieszkała z dwiema koleżankami we wzniesionym w latach trzydziestych domku z cegły opodal uniwersytetu. Z zaniedbanego podwórka wchodziło się na werandę, na której pełno było pustych skrzynek balkonowych i krzeseł. Jediną świąteczną ozdobę stanowił kolorowy bałwanek przyklejony do szyby w oknie. Obok drzwi stała piramida z pustych puszek po piwie.

Jack zatrzymał się przy bramie.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział do Sally i swojego kamerzysty, Kirka. - Pozwólcie, że wejdę pierwszy.

Potem zwrócił się w stronę domu. Był zdenerwowany. Nigdy wcześniej nie robił niczego takiego, nie przeprowadzał wywiadu z ofiarą poważnego przestępstwa.

Rzekomą ofiarą.

W przypadku dziennika telewizyjnego taka różnica jest niezwykle istotna. Profesjonaliści w rodzaju Dana RATHERA i Boba COSTASA prawdopodobnie nawet nie muszą sobie o tym przypominać.

Jack bez wątplenia wkraczał na obce terytorium, ale raczej dałby się obedrzeć ze skóry, niż pozwoliłby, żeby ta sprawa wymknęła mu się z rąk. Gdyby tylko do tego dopuścił, jakiś inny reporter błyskawicznie zająłby się wszystkim zamiast niego.

Przeszedł po porozbijanych, porośniętych mchem płytach i znalazł się na zaśmieconej werandzie. Sally i Kirk trzymali się w pewnej odległości.

Zapukał do drzwi.

Minęła długa chwila, tak długa, że zaczął się martwić, czy Andrea nie zmieniła zdania. Obejrzał się na Sally. Wzruszyła jedynie ramionami.

W końcu drzwi się otworzyły. Na progu stanęła niziutka, biała dziewczyna o marchewkowych włosach. Miała na sobie bawełnianą spódniczkę, białą bluzkę i granatowy blezer.

- Witam, panie Shore. - Odchrząknęła, potem dodała: - Jestem Andrea.

- Miło cię poznać, Andreo. Proszę, mów mi Jack. A to moja asystentka, Sally Maloney.

Sally zrobiła krok do przodu.

- Cześć, Andreo. Rozmawialiśmy przez telefon.

- Cieszę się, że cię widzę. Andrea cofnęła się w głąb domu.

- Proszę, wejdźcie.

Jack machnął na kamerzystę, który szybkim krokiem zbliżył się do domu.

Andrea zaprowadziła ich do małego saloniku, w którym stały stare, używane meble. Cały stół zarzucony był gazetami i kubkami po kawie. Odwróciła się do Jacka.

- Gdzie mam usiąść?

- Może na krześle przy oknie - zaproponował Kirk. Dziewczyna usiadła, napięła wszystkie mięśnie i mocno zacisnęła dłonie.

Jack zajął miejsce naprzeciwko niej, na wyblakłej dżinsowej otomanie. Kiedy kamerzysta ustawiał sprzęt, Shore po raz tysięczny przerzucił notatki, potem odłożył je na bok.

- Zadam ci kilka bardzo osobistych pytań, ale nie będą podchwytliwe. - Zmarszczył czoło. Nagle wydała mu się taka... krucha. - Jesteś pewna, że chcesz na nie odpowiedzieć?

Wielki reporter Jack - pomyślał z drwiną. - Zaczynaj!

- To wszystko jest trochę... upokarzające.

Sally podeszła bliżej, dotknęła ramienia Jacka, a potem się odsunęła. Był to sygnał, że kamera pracuje. Jack wiedział, że może przestać kręcić, by najpierw oswoić dziewczynę z obiektywem, a potem oficjalnie zacząć wywiad, ale nie chciał przerywać rozmowy, którą już zaczęli. Wychylił się tylko do przodu i powiedział:

- Nie masz się czego wstydzić, Andreo.

Z trudem zdobyła się na uśmiech. Na ten widok aż zabolowało go serce.

- A głupota? Wcześniej znałam tego człowieka tylko z widzenia. Zobaczyłam go po przeciwnej stronie sali i od razu wiedziałam, kto to taki. Wszyscy go znają. W szkole średniej byłam cheerleaderką i często widywałam go w akcji. Zawsze wydawał się taki... idealny. Wiedziałam, że koło niego kręci się mnóstwo dziewcząt. Nigdy nie uważałam się za ładną i zawsze brakowało mi pewności siebie, ale tego wieczoru wypłam kilka drinków i jakoś dziwnie nabrałam odwagi. Pomyślałam: kto wie? Podeszłam więc do niego i zaczęłam rozmawiać. Początkowo był bardzo miły. Patrzył na mnie, jakbym była kimś ważnym. Kiedy poszedł do baru po piwo, przyniósł jedno dla mnie, a gdy obok nas pojawiły się inne dziewczęta, zbył je i został ze mną. Mówił w taki sposób... jakby przez cały czas mnie pieścił... poczułam się kimś wyjątkowym.

Głos jej się załamał. Musnęła palcami złoty krzyżyk, który zawiesiła na szyi na delikatnym łańcuszku.

Jack pomyślał: „Jesteś kimś wyjątkowym i żaden chłopak nie musi ci tego mówić”. W głębi duszy miał nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto powie coś takiego jego córkom.

Zostawiła w spokoju krzyżyk i opuściła rękę na kolana. Wbiła wzrok w palce.

- Po jakimś czasie przyjęcie zaczęło się kończyć. Drew...

- Grayland?

- Tak. Opowiadał mi zabawną historyjkę z treningu w ubiegłym tygodniu. Kiedy rozejrzałam się wokół siebie, zauważyłam, że zostało już tylko kilka osób. Przy telewizorze stała jakaś para, która nie odrywała wzroku od ekranu. Kilku facetów dopijało piwo. Drew pochylił się i pocałował mnie. Zrobił to jak... dżentelmen. Kiedy zaprosił mnie do swojego pokoju, zgodziłam się.

Przyznawszy się do tego, pobladła. Dolna warga jej drżała, więc ją zagryzła.

- Nie powinnam tam iść.

Tym razem Jack nie zdołał się powstrzymać. Była tak cholernie młoda.

- Masz dziewiętnaście lat, Andreo. Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Zaufałaś. To nie przestępstwo.

Spojrzała na Jacka. W jej oczach widać było zdumiewający spokój.

- Ale to, co mi zrobił, było przestępstwem.

- Co... ci zrobił?

Jack skrzywił się, słysząc swoje wahanie. Miał nadzieję, że uda się je wyciąć.

- Początkowo po prostu leżeliśmy na łóżku i całowaliśmy się, potem Drew nagle zaczął się zachowywać bardzo agresywnie. Położył się na mnie tak, że nie mogłam się ruszyć, a jego pocałunki... Nie mogłam oddychać. Zaczęłam go odpychać, wtedy wybuchnął śmiechem. Przycisnął mnie jeszcze mocniej. Zaczęłam na niego krzyczeć, wołałam, żeby mnie puścił.

Jack widział, jak bardzo Andrea stara się opanować łzy.

- Uderzył mnie po twarzy. Nikt nigdy wcześniej nie wymierzył mi policzka. To w niczym nie przypomina scen z filmów. Tak mnie zabolalo, że nawet nie mogłam płakać. Potem zdarł ze mnie ubranie, potargał bieliznę. Słyszałam, jak materiał pęka. Potem... potem... - Kiedy uniosła głowę, w jej oczach błyszczały łzy. - Zgwałcił mnie.

Jack wyjął chusteczkę do nosa i podał dziewczynie.

- Dziękuję - szepnęła, wycierając oczy. Dopiero po chwili ciągnęła: - Nawet nie pamiętam, jakim cudem udało mi się stamtąd wyjść. Koleżanki

zabrały mnie na pogotowie, ale musiałyśmy bardzo długo czekać. W końcu zrezygnowałam i wróciłam do domu.

- To znaczy, że tamtej nocy nie widziałaś się z lekarzem?

- Nie. Po co? Oglądałam w telewizji dużo programów prawniczych. I tak wszyscy powiedzą, że sama się o to prosiłam. Poszłam do jego pokoju i położyłam się z nim na łóżku.

Jack zdał sobie sprawę, że zacisnął ręce w pięści. Przemknęło mu przez myśl, że tak intymna rozmowa nie nadaje się do wiadomości, które nadawane są o szóstej.

- Czy powiedziałaś o tym komuś poza swoimi współlokatorkami? - spytał łagodnie. - Na przykład rodzicom?

Wydała cichy dźwięk, coś w rodzaju szlochu.

- Nie byłam w stanie. Chyba dziś wieczorem będę musiała im się do wszystkiego przyznać. Następnego dnia poszłam na posterunek policji na terenie kampusu. Wiedziałam, że nic mu nie zrobią, ale zależało mi na tym, żeby wiedzieli, co się stało.

- I co?

- Oficer wysłuchał mojej opowieści, potem przeprosił mnie i wyszedł z pokoju. Piętnaście minut później przyprowadził Billa Seagela. Dyrektora sportowego. Seagel wyłożył mi kawę na ławę. Że brak dowodu, nie mam obdukcji lekarskiej, żadnych świadków. Że mogłam wpakować się na ścianę i stąd podbite oko, że za dużo wypijałam. Powiedział, że jeśli wniosę oskarżenie, Drew i tak nic się nie stanie, za to ja będę miała z głowy rok studiów. Więc wycofałam się.

- Dlaczego w takim razie teraz o tym mówisz?

- Widziałam w wiadomościach twój reportaż. - Ponownie podniosła głowę.

- Nie byłam jedyna i oni o tym wiedzą. Te dupki o wszystkim wiedzą. Nie chcę, żeby Drew skrzywdził jakąś następną dziewczynę.

- Dlatego poszłaś na posterunek policji w Portlandzie?

- To prawdopodobnie i tak nic nie da. Zbyt długo zwlekałam i wszystko zrobiłam nie tak, jak powinnam, ale czuję się lepiej. Nareszcie nikogo się nie boję i mogę powiedzieć prawdę. Czy dobrze postąpiłam?

Jack wiedział, że nie powinien odpowiadać. Nikomu w niczym nie pomoże, jeśli podważy swoją wiarygodność, ukazując, po której stronie stoi.

Co jednak mógł zrobić, gdy Andrea siedziała obok i patrzyła na niego potwornie smutnymi oczami? Co gorsza, była tak cholernie młoda.

- Mam córkę w twoim wieku. Jamie. Każdego dnia modłę się, żeby podczas studiów nic jej się nie stało, ale gdyby spotkało ją... coś złego, mam nadzieję, że byłaby tak odważna jak ty. Dobrze postąpiłaś.

Czy to był jego głos? Taki łagodny i gardłowy? Bez wątpienia trzeba będzie skasować jego odpowiedź. Na litość boską, powiedział to tak, jakby lada chwila miał się rozplakać.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję za wywiad.

Potem oboje poczuli się niezręcznie. Nagle Jack uświadomił sobie, że są bardzo blisko siebie. Łącząca ich więź rozerwała się równie szybko, jak powstała. Pozostało skrępowanie. Jack nie wiedział, co powiedzieć, a Sally milczała. Każde z nich myślało o czym innym. Kirk wyszedł pierwszy, potem Jack i Sally pożegnali się z Andrea i wrócili do samochodu.

Jack był roztrzęsiony; dopiero dużo później zdał sobie sprawę, że jadą w stronę stacji telewizyjnej.

- Cholerny Drew Grayland - zaklął, dla podkreślenia swoich słów waląc pięścią w kierownicę.

- Jak w takiej sprawie zachować obojętność? Przez cały czas myślałam o swojej młodszej siostrze. Jest na pierwszym roku. Ostrzegałam ją przed obcymi, ale jak ją uchronić przed przyjaciółmi?

- Do diabła, nie pytaj. Zareagowałem niemal tak, jakbym był jej ojcem. Kiedy to wyemitujemy, będę mógł się pożegnać z karierą.

- Każdy, kto byłby w stanie rozmawiać z tą dziewczyną i zachować obojętność, nie miałby prawa zadawać jej takich pytań. Zasłużyła sobie na twoje emocje.

Potem nie bardzo było już o czym mówić. On i Sally zjedli w restauracji dla kierowców hamburgera z frytkami i przez cztery godziny siedzieli w pokoju montażowym. Kiepski montażysta, któremu wyznaczono świąteczny dyżur, w końcu się poddał.

- To wszystko, co można zrobić, Jacko. Albo pójdzie tak, jak jest, albo będziesz musiał zostawić tego pojebańca w świętym spokoju. Idę do domu.

Jack zerknął na zegar. Była dziesiąta wieczorem. Zbyt późno, żeby wpaść do domu do redaktora wiadomości. Będzie musiał to zrobić już jutro; niestety, miał rezerwację na samolot o siódmej rano.

Za nic w świecie nie mógł lecieć.

Elizabeth go zabije.

Lotnisko w Nashville podczas świąt było cichsze niż zazwyczaj. Następna smutna oznaka niespokojnych czasów. Po jedenastym września ludzie poważnie zastanawiają się nad każdą podróżą i coraz częściej zostają w domu.

Elizabeth przyjechała prawie o godzinę za wcześnie, musiała więc jakoś zabić czas. Podeszła do stoiska z gazetami, przerzuciła kolorowe czasopismo, które obiecywało jej: „Młodszy i bardziej płaski brzuch. Wystarczy dziesięć minut dziennie...”

(Taaak, jasne).

...i kupiła najnowszą powieść Stephena Kinga.

Po godzinie podeszła do bramki i usiadła naprzeciwko brudnego okna, z którego roztaczał się widok na pasy startowe.

Nerwowo stukała stopą o podłogę. Kiedy zdała sobie sprawę, co robi, znieruchomiała.

To żenujące, by dorosła kobieta była tak podniecona faktem, że za chwilę zobaczy swoje córki. Gdy doczeka się wnuków, pewnie będą musieli ją zamykać albo wiązać.

Nigdy nie należała do kobiet, które traktują dzieci jak coś całkiem naturalnego.

Gdy Stephanie miała dwanaście lat, chodziła do siódmej klasy, nosiła klamerki i zaczynały jej rosnać piersi, Elizabeth po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że czas posuwa się do przodu. Widząc, jak jej prawie nastoletnia córka po raz pierwszy flirtuje z chłopcem, Elizabeth musiała usiąść, tak ją to zaniepokoiło. W chłodny zimowy poranek w ułamku sekundy zrozumiała, że rodzina jest czymś wyjątkowo nietrwałym, i potem już nigdy nie zdołała się otrząsnąć. Od tego czasu każdą cenniejszą chwilę utrzymywała na taśmie wideo, a robiła to z takim uporem, że członkowie rodziny jednogłośnie jęczeli, ilekroć wołała: „Zaczekajcie!”. Wiedzieli, że zaraz pobiegnie po kamerę.

Usłyszawszy zapowiedź spikera, uniosła głowę. Samolot podjechał do rampy.

Wstała, ale nie zrobiła ani kroku. Dziewczęta denerwowały się, gdy przeciskała się przez tłum, żeby stanąć w pierwszej linii. Nauczyła się tego dawno, dawno temu, jeszcze w czasach, kiedy autobusy przywoziły dzieci z wyprawy na narty. Pewnego razu powędrowała nawet do szkoły, żeby wcześniej się spotkać z córkami.

„Nie jesteśmy niemowlakami, mamusiu” - powiedziała Jamie, zniecierpliwiona.

Oczywiście, Jamie prawie zawsze mówiła ze zniecierpliwieniem. Młodszej córeczce od urodzenia się spieszyło. Zaczęła chodzić, mając dziewięć

miesiący, w wieku dwóch lat już mówiła i od tego czasu nie zwolniła tempa. Entuzjastycznie nastawiona do życia, czerpała z niego radość pełnymi garściami.

- Cześć, mamusiu!

Jako pierwsza z tłumu pasażerów wyłoniła się Stephanie. Jak zwykle nienagannie ubrana, miała na sobie wyprasowane spodnie w kolorze khaki, biały golf i czarny blezer. Kasztanowe włosy, zaczesane do tyłu, podtrzymywała czarna aksamitna przepaska. Dziewczyna miała delikatny, ale idealny makijaż. Nawet gdy była dzieckiem, odznaczała się jakimś niezwykłym wdziękiem. Wszystko przychodziło jej z wyjątkową łatwością, a to, czego się podjęła, zawsze robiła dobrze.

Elizabeth wybiegła do przodu i energicznie uściśnęła córkę.

- Co się stało? - spytała Stephanie ze śmiechem, kiedy się odsunęła. - Nie przyniosłaś kamery, żeby zarejestrować pomyślnie lądowanie?

- Bardzo zabawne. - Elizabeth czuła, że ma kluchę w gardle. Po cichutku liczyła, że tego nie słyhać. - Gdzie twoja siostra?

- Nie mieli sąsiednich foteli. Zostałyśmy rozdzielone. Jamie wyszła z samolotu jako ostatnia. Odznaczała się w tłumie, gdyż przypominała coś w rodzaju gotyckiego stracha na wróble. Po pierwsze, była bardzo wysoka, miała prawie sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, po drugie, wzrok przykuwały jej włosy - jasne jak zboże, falami opadały aż do pasa. Ubrała się w obcisłe, czarne skórzane spodnie, czarną koszulę, z przynajmniej kilkunastoma zamkami błyskawicznymi, i czarne, wysokie botki. Błękitne oczy obrysowała grubą, czarną jak sadza kreską.

Przecisnęła się przez tłum jak typowy obrońca.

- Wielki Boże! - jęknęła zamiast powitania. - To był najgorszy lot w moim życiu. Dziecko, które siedziało obok mnie, powinno zostać umieszczone w zakładzie zamkniętym.

Jamie nie uznawała żadnych odcieni szarości; wszystko było albo czarne, albo białe.

Pocałowała Elizabeth w policzek.

- Cześć, mamó! Wyglądasz na zmęczoną. Gdzie tata? Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

- Dzięki, skarbie, za komplement. Ojciec musiał zostać na jeden dzień. Wpadł na trop jakiejś wielkiej afery.

- O rany, co za szok! - Jamie przerwała, by nabrać powietrza w płuca, po czym natychmiast zaczęła mówić. -

Chyba nie mogli już wstawić do samolotu więcej foteli! Naprawdę. Kiedy facet przede mną opuścił swoje siedzenie, moja taca upadła i o mało nie wybiła mi zębów. Poza tym tylko cyrkowiec mógłby wydostać się ze swojego miejsca.

Gdy podjechały pod dom, Jamie wciąż jeszcze mówiła.

Ojciec i Anita musieli usłyszeć warkot silnika (pewnie od pół godziny stali przy oknie i niecierpliwie czekali), bo natychmiast pojawili się na werandzie z wyciągniętymi rękami i uśmiechami na twarzach.

Jamie wysiadła z samochodu, z rozwianymi włosami przebiegła kilka kroków i rzuciła się w otwarte ramiona dziadka.

Elizabeth i Stephanie zabrały wszystkie bagaże i ruszyły za nią.

- Witaj, Stephie - szepnęła Anita ze łzami w oczach, biorąc wnuczkę w ramiona.

Po szybkiej wymianie „Witajcie!”, „Tak bardzo za wami tęskniliśmy”, „Jak minął lot?” wszyscy weszli do środka.

Dom pachniał Bożym Narodzeniem; przycięte niedawno gałązki iglaków leżały na gzymsie nad kominkiem i wiły się wokół poręczy; w powietrzu unosił się cynamonowy zapach świeżo upieczonego ciasta dyniowego. Na każdym stole w kryształowych świecznikach płonęły świece o zapachu wanilii. Wszędzie były świąteczne ozdoby, które dziewczęta wykonały jeszcze w dzieciństwie: gliniane choinki, które przechylały się na bok jak Krzywa Wieża w Pizie, bałwany z masy papierowej, pokryte błyszczącą farbą akrylową, szopka wykonana z wytłoczek na jajka.

Resztę dnia spędzili, rozmawiając, grając w karty, pakując prezenty i potrząsając pakunkami, które już leżały pod choinką. Wczesnym popołudniem Stephanie i Anita zniknęły w kuchni, żeby zrobić sos i nieco wcześniej przygotować zapiekankę warzywną.

Elizabeth grała z Jamie i ojcem w pokera. Nagrodę stanowiły wykałaczki.

- No więc, panienko - powiedział ojciec, pykając fajeczkę i bacznie przyglądając się swoim kartom. - Jak idzie w Georgetown?

Jamie wzruszyła ramionami.

- Ciężko.

Elizabeth była zaskoczona. Jamie nigdy nie przyznawała się, że coś ciężko jej przychodzi. Już jako dziecko chciała wspiąć się na Mount Everest, publikować japońskie wiersze haiku i wystartować w zawodach pływackich podczas olimpiady.

- Co się dzieje, Jamie? - spytała Elizabeth, marszcząc czoło.

- Nie dramatyzuj, mamusiu. To tylko trudna kwarta, nic więcej.

- Jak miewa się Erie?
- To już skończone. Rzuciłam go dwa tygodnie temu.
- Och!

Nagle Elizabeth poczuła się dziwnie zagubiona i zdezorientowana. Swego czasu znała nawet najdrobniejsze szczegóły z życia córek; obecnie chłopcy pojawiali się i znikali bez ostrzeżenia. W drugim pokoju zadzwonił telefon. Ktoś go odebrał.

- Spotykasz się z kimś innym?

- Do diabła z tym, Birdie. Kto by się przejmował chłopakami? Liczy się tylko pływanie. Czy będziemy mogli ci kibicować podczas następnej olimpiady?

Jamie, mając jedenaście lat, poprzysięgła sobie, że zdobędzie złoty medal olimpijski w pływaniu. Takie zobowiązanie podjęła w dniu, kiedy wygrała swoje pierwsze zawody na Ray Ember Memorial Pool.

- Oczywiście - odparła, uśmiechając się promiennie.

W jej uśmiechu było jednak coś fałszywego, coś, co zdecydowanie nie pasowało do wypowiedzianych słów. Nim Elizabeth zdołała spytać, co się stało, do pokoju weszła

Anita, stukając obcasami o podłogę. Przyciskała telefon bezprzewodowy do obfitego biustu.

- Birdie, kochanie, to Jack.

Elizabeth od razu wiedziała, że zaraz usłyszy złą wiadomość.

Elizabeth kiepsko spała. Przez całą noc obracała się z boku na bok, W końcu, koło piątej nad ranem, poddała się, wrzuciła coś na siebie i zeszła na parter.

Jack nie mógł wczoraj przyjechać.

To przecież oczywiste. „Wyskoczyło” mu coś ważnego. „Nagranie wideo, kochanie, wyszło wspaniale, ale... bla, bla, bla... Będę jutro wieczorem. Obiecuję”.

Obietnice bardzo przypominają impresje. Kolejna właściwie już się nie liczy.

Elizabeth zrobiła sobie filiżankę herbaty, stanęła przy oknie i patrzyła na padający śnieg. Potem powędrowała do salonu i zapaliła w kominku.

Na ławie stało ozdobne kartonowe pudło.

Widocznie ojciec zostawił je dla niej poprzedniego wieczoru.

Odstawiła herbatę i dotknęła ozdoby, która znajdowała się na samym wierzchu. Był to biały anioł, nie większy od dłoni. Wykonany został z lśniącej

porcelany i miał srebrne płócienne skrzydła. Elizabeth dostała go od matki na czwarte urodziny. Ostatni prezent, jaki pamiętała.

Co roku z niezwykłą starannością zawijała go i rozwijała; niezmiennie długo wybierała dla niego miejsce na choince. Kiedy się wyprowadzała od ojca, zostawiła anioła, ponieważ jego miejsce było w domu, w którym niegdyś żyła mama.

- Cześć, mamusiu - powiedziała cicho, uśmiechając się do anioła, którego trzymała na dłoni.

Niegdyś wydawał jej się taki duży. W jego przypadku właściwie najważniejsze były wspomnienia, które się z nim wiązały.

„Czy mogę go już powiesić, mamusiu? Mogę?”

„Oczywiście, Birdie. Możesz zrobić wszystko, co zechcesz. Podnieść cię?...”

Bardzo słabo pamiętała mamę, dlatego każde wspomnienie było cenne.

Zawiesiła ozdobę na drugiej gałązce od góry, potem zapaliła lampki i popatrzyła na choinkę. Była śliczna, błyszcząły na niej białe światełka, wszędzie wisiały ozdoby, które przetrwały dziesięciolecia. Od gwiazdy, którą Jamie wykonała jeszcze w przedszkolu z wycioru do fajki, po medalion Lalią, kupiony przez ojca na aukcji w Dallas. Gałązki zostały ozdobione złotymi kokardkami.

Do pokoju weszła Anita. Miała na sobie różowy, obszerny szlafrok i pantofle w stylu Barbie.

- Kupę czasu zajęło mi znalezienie tego pudła. Elizabeth się odwróciła.

- To ty zostawiłaś je tu dla mnie?

- Myślałaś, że ojcu będzie się chciało przekopywać cały strych, żeby znaleźć karton ze starymi ozdobami choinkowymi?

Elizabeth uśmiechnęła się mimo woli.

- Chyba nie.

Anita usiadła na sofie i podkuliła pod siebie nogi. Zniknęły ogromne pompony na klapkach.

- Przykro mi, że Jack nie mógł wczoraj przyjechać. Elizabeth odwróciła się do choinki. Nie chciała na ten

temat rozmawiać. Pomimo grubej warstwy makijażu i z pozoru beztróskiego podejścia do życia, Anita czasami dostrzegała rzeczy, które Elizabeth wolałaby przed nią ukryć.

- Trafił na trop jakiejś wielkiej afery.

- Mówiłaś to już wczoraj.

Powiedziała to z pewnym wahaniem, jakby nie do końca wierzyła w tę wymówkę.

- Bo to prawda - burknęła Elizabeth szorstko. Anita teatralnie westchnęła.

Zawsze porozumiewały się w taki właśnie sposób, zrywami. Od czasu, kiedy ojciec przyprowadził do domu nową żonę.

Elizabeth miała wówczas trzynaście lat; to normalnie trudny okres, a w jej przypadku - najgorszy.

Anita Bockner, kosmetyczka z Lick Skillet w Alabamie, była ostatnią osobą, którą dziewczynka wybrałaby sobie na macochę.

„To twoja nowa mama, Birdie” - oznajmił ojciec pewnego dnia i więcej nie wracał do tej sprawy.

Jakby matkę można było wymienić jak baterię.

W niskim, białym domu, zagubionym między polami tytoniu i kukurydzy, nigdy więcej nie wspomniano o mamie. Żadne jej zdjęcie nie zdobiło stołu ani gzymsu kominka, nikt nie opowiadał historyjek z jej życia, nie próbował rozgrzać serca osieroconej córki.

Anita starała się zastąpić Elizabeth matkę, ale wszystko robiła nie tak. Od początku przypominały ogień i wodę.

Elizabeth miała nadzieję, że czas i odległość przyniosą pewną poprawę w ich stosunkach, ale tak się nie stało. Nigdy nie zgadzały się ze sobą, chociaż ze względu na Edwarda zmuszały się do uprzejmości. Gdy rozmowa zbaczała na zbyt osobiste tory, zawsze któraś z nich zmieniała temat. Tym razem przyszła kolej na Elizabeth.

- Słyszałam, że wiosną wybieracie się z ojcem do Kostaryki.

- Czasami wydaje mi się, że jestem głupia. Mogłam wybrać jakąś plażę z margaritą i przystojnymi ratownikami, ale nieeeee. Zgodziłam się na wyjazd do kraju, który słynie z węży i pajaków.

- Wiele kobiet marzy o wakacjach w egzotycznym kraju u boku kochającego męża.

- Dlatego, że część z nich nie pamięta, za co niegdyś pokochały swoich mężów. Bez tego... - Anita urwała. - Czasami trzeba dołożyć wszelkich starań, żeby pamiętać tylko dobre rzeczy.

Elizabeth nie była pewna, czy ich wymiana zdań jest niezobowiązującą pogawędką, czy rozmową od serca. To zresztą nie miało znaczenia. Komentarze Anity wydawały się zbyt bliskie prawdy. Wystarczy, że małżeństwo Elizabeth znalazło się na rozdrożu. Nie zamierzała zadawać sobie dodatkowego bólu, przyznając się do tego przed macochą.

- Zauważyłaś, że pada śnieg? Podwórko wygląda pięknie - powiedziała, przeglądając prawie puste pudło i szukając zapomnianych ozdób.

- Ach, pogoda! W naszym przypadku to najbezpieczniejszy temat. Owszem, Birdie, zauważyłam, że pada śnieg. Edward zaproponował, żebyśmy wszyscy razem wybrali się dziś nad staw.

- Myślę...

Elizabeth nie dokończyła. Przerwał jej dzwonek u drzwi. Zerknęła na Anitę.

- Spodziewasz się kogoś? Anita wzruszyła ramionami.

- Może to Benny? Czasami, kiedy ma randkę, przywozi dostawę bladym świtem.

- Słodki Jezu, a któż to? - dobiegł z piętra głos ojca. Elizabeth podeszła do drzwi i otworzyła je.

Na progu stał Jack. Miał wymięte ubranie, był wyraźnie zmęczony i rozczochrany. Jego policzki przecinały delikatne zmarszczki, błękitne oczy ginęły w obrzmiałej twarzy.

- Cześć, kochanie - powiedział, niewyraźnie się do niej uśmiechając. - Obudziłem o północy redaktora wiadomości, żeby dać mu taśmę. Potem całą noc spędziłem w samolocie. Wybaczysz mi?

Elizabeth uśmiechnęła się do niego.

- Robisz mi coś takiego w chwili, kiedy właśnie zastanawiałam się nad wymianieniem cię na nowszy model.

Pozwoliła się wziąć w ramiona, a kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, nie zaprotestowała.

ROZDZIAŁ 6

Zamarznięty staw wyglądał jak kawałek lustra wetknięty między kłębki bawełnianego puchu. Na srebrzystym brzegu stał traktor, którego silnik równomiernie pracował. Przednie światła oświetlały lód. Z przenośnego magnetofonu dochodziły dźwięki Blue Christmas Elvisa.

Odkąd Elizabeth sięgała pamięcią, jazda na łyżwach po stawie była bożonarodzeniową tradycją. Na strychu leżały dziesiątki par łyżew, niektóre z nich miały nawet sto lat.

Zawsze postępowali tak samo: rano niespiesznie otwierali prezenty, potem, późnym popołudniem, jedli świąteczny obiad, podczas którego główną potrawą był indyk garniowany. W tym czasie na kominku grzał się dzban wina. Po przelaniu grzańca do termosów wsiadali do sań przyczepionych do traktora i jechali przez pokryte śniegiem pastwiska w stronę lasu, którego starej indiańskiej nazwy nikt już nie pamiętał. Tata zawsze przyczepiał dzwonki z tyłu sań.

Staw miał w sobie jakiś dziwny czar. Tutaj matka nauczyła czteroletnią Elizabeth jeździć na łyżwach. Było to chyba jej najmiłsze wspomnienie. Jeden dzień, prawdę mówiąc, jedno popołudnie, ale nigdy go nie zapomniała. Mama zbyt lekko się ubrała, dlatego kiedy ujęła rączkę Elizabeth, miała lodowaty dotyk. „Po prostu trzymaj się mamy, kochanie. Nic ci się nie stanie”.

W następnych, smutnych latach Elizabeth często przypominała sobie tę obietnicę, zwłaszcza po wprowadzeniu się Anity do Sweetwater.

Teraz siedziała przy piknikowym stole, owinięta ciasno w kolorowy wełniany koc. Na ziemi obok niej płonęło ognisko, szary dym wznosił się ku ciemniejącemu powoli niebu.

Na lodzie Jamie uczyła Jacka, jak się jeździ na łyżwach do tyłu. Dziewczyna przez cały czas śmiała się z niezgrabnych ruchów ojca i dziwnego braku koordynacji. Kiedy upadł i mocno się potłukł, Jamie szybko do niego podjechała, sprawdziła, czy wszystko w porządku, a potem wybuchnęła śmiechem.

Wtedy do Jacka zbliżyła się Anita i pomogła mu wstać. Potem jeździli razem, Adonis i Dolly Parton na lodzie.

Chwilę później obok Elizabeth pojawił się ojciec.

- Szybko zrezygnowałaś - powiedział, sapiąc i dysząc. Każdemu jego słowu towarzyszyły obłoczki pary.

- Przyglądam się.

- To już bardzo długo trwa, moja słodka. Chodź poślizgać się ze staruszkiem.

Odwinęła koc i wstała. Pomimo łyżew pewnym krokiem powędrowała na lód i wsunęła dłoń w rękawiczce w rękę ojca.

Jechali obok siebie tak jak tysiąc razy wcześniej. Blask księżyca odbijał się od zamrożonej powierzchni stawu. Z magnetofonu dobiegały dźwięki Frosty the Snow Man. Przez jedną krótką chwilę Elizabeth znów była małą dziewczynką z końskim ogonem, jeździła w za dużym o dwa numery kombinezonie, a mama z tatą stali na brzegu i bacznie ją obserwowali.

- Zawsze byłaś dobrą łyżwiarką - powiedział ojciec, kierując się w lewo, na koniec stawu. - Zresztą byłaś dobra w wielu dziedzinach.

Po tej przygnębiającej uwadze Elizabeth poczuła się staro. Przypomniała sobie rozmowę z Meg: „Spróbuj zdobyć się na szczerłość, tak jak należałoby po takiej ilości martini, Birdie. Mogłaś się kiedyś poszczycić wieloma wspaniałymi cechami: byłaś utalentowana, niezależna, błyskotliwa i uzdolniona plastycznie... wszyscy myśleliśmy, że będziesz drugą Georgią O'Keeffe”.

- Życie jest krótkie, Elizabeth Anne. Kiedy po raz ostatni byłaś w jakimś egzotycznym kraju? Albo pozwoliłaś się głupio przestraszyć? A może zrobiłaś coś szalonego, na przykład leciałaś na lotni albo skakałaś ze spadochronem?

W ciągu ostatnich lat dziesiątki razy wracali do tego tematu. Za każdym razem coraz bardziej ją to bolało.

- Wolę bać się z bardziej normalnych powodów, tatusiu. Na przykład gdy dziewczęta wyjeżdżają na drugi kraniec kraju na studia. Po co zaraz skok na bungee, skoro wystarczy wpuścić przedszkolaka do autobusu szkolnego? To jest prawdziwy horror. - Roześmiała się, jakby powiedziała kawał.

Ojciec pchnął Elizabeth, więc zatoczyła kółko i wróciła do niego.

- Powiem to tylko raz, Birdie, potem, jeśli będziesz chciała, możemy udawać, że w ogóle się nie odzywałem. - Zniżył głos. - Marnujesz swoje życie. Wszystko przechodzi ci obok nosa.

Po tych słowach zabrakło jej tchu, jakby otrzymała potężny cios.

- Skąd to wiesz?

- To, że noszę szkła grube jak denko butelki, wcale nie oznacza, że nie widzę serca mojej córeczki. Słyszę, jak rozmawiasz z Jackiem... i jak z nim nie rozmawiasz. Potrafię rozpoznać nieszczęśliwe małżeństwo.

- Daj spokój, tatusiu, byłeś żonaty dwa razy i do szaleństwa zakochany w obu swoich żonach. Co możesz wiedzieć o... - wzruszyła ramionami,

niepewna słów. - Niezależnie od tego, jak można nazwać to, przez co właśnie przechodzę.

- Myślisz, że nigdy nie miałem złamanego serca? Jesteś w błędzie, pannico. Twoja matka prawie mnie zabiła.

- Jej śmierć wszystkim nam złamała serce, tatusiu. To nie to samo.

Miał zamiar coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

Wyczuła, że jest szansa, aby w końcu uchylił rąbka tajemnicy.

- Tak, tatusiu?

Uśmiechnął się. Nagle zdała sobie sprawę, że chwila minęła, niezależnie od tego, ile chciał zdradzić. Jak zwykle nie powie nic na temat mamy.

- Pokaż mi jeden z tych ładnych piruetów, których nauczyła cię Anita.

Odwrócił ją i lekko pchnął.

Robiła piruet tak długo, aż jej się zakreśliło w głowie. Potem, z trudem łapiąc powietrze, zwolniła. Szerokim łukiem podjechała do brzegu.

Zbliżył się do niej Jack, jadąc i kuśtykając. Ciężko dyszał i wypuszczał z ust kłęby pary. Chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

- Czy ten staroświecki rytuał, typowy dla południa kraju, zbliża się do końca? Jeśli jeszcze trochę czasu poświęcę na podtrzymywanie tradycji, pewnie złamię sobie biodro.

Elizabeth mimo woli się uśmiechnęła. Tak niewiele rzeczy Jack robił kiepsko. Prawdę mówiąc, miło było przynajmniej raz w czymś nad nim górować.

- Możesz postać przy ognisku.

Zerknął w tamtą stronę. Edward i Anita przytulali się do siebie.

- I rozmawiać z twoim ojcem? Nie, dziękuję. Wczoraj wieczorem niemal wyzwiał mnie od alkoholików, chociaż sam sączył czwartego bourbona z wodą sodową.

- On nie rozumie sposobu, w jaki zarabiasz na życie, to wszystko.

- Nieprawda. Twój ojciec uważa, że nic nie robię. Myśli, że gra w piłkę nie ma sensu, a rozmawianie o niej to jedynie strata czasu.

Jack o mało nie upadł. Elizabeth go przytrzymała.

- Po prostu ma na ten temat odmienne zdanie niż my.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz wywiad, który przeprowadziłem. To było... Nie, zaczekaj. Pozwól, że opowiem ci wszystko od początku. Mniej więcej tydzień temu...

„Marnujesz życie”.

Bardzo chciała wysłuchać męża, jednak w uszach wciąż dźwięczały jej słowa ojca. Zresztą była to tylko następna opowieść Jacka, który próbował w

ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Słyszała ich już tyle, że wystarczyłoby na całe życie.

„Życie jest krótkie” - powiedział ojciec.

Wiedziała, że mówił prawdę. Każde pozbawione matki dziecko dobrze o tym wie.

Jednak, słuchając słów, które płynęły z ust męża, nie mogła do końca tego wszystkiego zrozumieć.

Powodem była jeszcze druga, równie prawdziwa strona medalu. Kiedy człowiek ma czterdzieści pięć lat i marnuje swoje życie, czuje się tak, jakby trwało ono bardzo, bardzo długo.

Zazwyczaj tydzień po Bożym Narodzeniu bywał spokojny, wręcz nudny. W tym czasie wkładało się ozdoby choinkowe z powrotem do pudeł, zdejmowało dekoracje, dojadło resztki indyka i oglądało w telewizji stare filmy.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny po powrocie do Echo Beach Elizabeth zorientowała się, że tym razem wszystko potoczy się zupełnie inaczej. Dwudziestego siódmego grudnia byli na lotnisku w Nashville, gdy ktoś zadzwonił do Jacka. Wówczas Elizabeth prawie nie zwróciła na to uwagi, gdyż jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że w ubiegłym tygodniu ich życie uległo całkowitej zmianie. Kiedy odpoczywała z rodziną w Tennessee, sprawy w Oregonie przybrały całkiem inny obrót.

Jack znów stał się bohaterem.

Historię Drew Graylanda wyemitowano dzień po Bożym Narodzeniu. Nazajutrz sportowiec został aresztowany i oskarżony o gwałt. Wiadomość natychmiast obiegła cały kraj. Znalazła się nawet na okładce „National Enquirer”.

W całym kraju ludzie przy barze prowadzili ostre dyskusje. Czy można mówić o gwałcie podczas randki? Kiedy „nie” naprawdę oznacza odmowę? Czy kobieta może „się o to prosić”? Czy zasady dotyczą także wyjątkowych sportowców? Te pytania i wiele innych nagle zaczęły zaprzętać umysły wszystkich ludzi w Ameryce. Dziennikarze radiowi pytali słuchaczy o opinie. Relacje na ten temat pojawiały się w gazetach od Portlandu w Oregonie po Portland w Maine.

Od chwili, kiedy Jack i Elizabeth wrócili do domu, telefon dosłownie się urywał. Wyglądało na to, że nagle wszyscy chcą porozmawiać z Jackiem. Z dnia na dzień stał się legendą. Po tylu latach zapomnienia znów był sławny. Oczywiście, nie tak sławny jak w przeszłości, był jednak kimś.

W końcu historię Drew Graylanda ujawnił nie byle kto.

O nie. Sprawę tę zaprezentował Ameryce człowiek, który kiedyś był bardzo dobrym sportowcem, ale potem popełnił błąd i musiał za niego zapłacić. I oto teraz pojawia się ponownie w blasku chwały. Podstarzali, otyli, nieszczęśliwi mężczyźni od Kalifornii po Nowy Jork, widząc powrót Jacka Shore'a, myśleli: „Może coś takiego zdarzy się i mnie... może moje życie również zmieni się w ułamku sekundy”.

Teraz Jack dzierzył pałeczkę z napisem: „nigdy się nie poddawaj”. Stał się przykładem odkupienia własnych grzechów.

Zmianę, jaka w nim nastąpiła, widać było we wszystkim, co robił. Chodząc, wydawał się wyższy, promienniej się uśmiechał, lepiej sypiał.

Niestety, kiedy on rósł, Elizabeth wyraźnie malała. Tym razem nie potrafiła cieszyć się jego sukcesem i miała z tego powodu wyrzuty sumienia.

Była jego żoną. Wszystkie kobiety doskonale wiedzą, co następuje po ceremonii kościelnej. Każda z nich zostaje cheerleaderką, niezależnie od tego, czy o tym wie, czy nie, czy ma na to ochotę, czy nawet nie chce o tym myśleć.

Mówi się, że wszystko, co jest dobre dla jednego z małżonków, jest dobre dla obojga.

Jak miała się przyznać, że jest zazdrosna o szczęście i sukces męża? Gdyby spróbowała powiedzieć to Jackowi, poczułby się urażony i zażenowany. Spojrzałby na nią, marszcząc czoło - zawsze robił taką minę, ilekroć chciała mówić coś na temat ich związku - i powiedziałby rzeczowo: „O co ci, Birdie, właściwie chodzi?”.

Zaczynała nienawidzić tego pytania.

A więc zamiast powiedzieć Jackowi, że czuje się zagubiona i samotna z powodu jego nagłego szczęścia, jak szalona urządziła jadalnię.

Było to bardzo funkcjonalne pomieszczenie, między kuchnią a salonem. Jak wiele starych domków w tej części wybrzeża, ich dom został zbudowany jako dacha dla jakiejś bogatej rodziny z Portlandu. Miał być używany tylko w lecie, więc zaprojektowano go tak, żeby miał ogromny parter z dużą kuchnią, jeszcze większy salon i dwie maleńkie sypialnie na piętrze. Przez lata przechodził z rąk do rąk; bywał wtedy rozbudowywany i bardzo zmieniany. Gdy Jack i Elizabeth zamieszkali w nim w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, stanowił obraz nędzy i rozpacz.

Jack widział tylko koszty: walący się dom wymagał zdercia farby, wymiany instalacji sanitarnej... sypialnie były za małe, okna wypaczone, podwórko zaniedbane. Nie wspominając już o dojeździe. Echo Beach znajdowało się wiele kilometrów od Portlandu.

Elizabeth zobaczyła coś więcej: ujrzała piękną, małą chatkę z biegnącą dookoła werandą i widok, za który warto umrzeć. Zakochała się w wydmach nad niewielkim skrawkiem plaży.

Jeden jedyny raz w ich małżeństwie uparła się, a Jack ustąpił.

Od razu zaczęła pracować. W ciągu dwóch lat dokonała wielu przeróbek. Sama rozebrała wszystkie dobudówki, odsłaniając pierwotny kształt. Zerwała zielony, poszarpany dywan. Okazało się, że jest pod nim złocista dębowa podłoga, więc Elizabeth ją odnowiła. Potem dokładnie zdarła białą farbę z kominka, który zbudowano z kamieni rzecznych, i usunęła plastikowy gzyms, który biegł wzdłuż drewnianej ściany. Zdrapała pięćdziesięcioletnią warstwę farby z szafek kuchennych i wyłożyła blaty wspaniałymi płytkami z granitu.

Pracowała w pojedynkę, więc remont posuwał się do przodu bardzo wolno. Chociaż (prawie) skończyła kuchnię i salon, nadal miała bardzo dużo do zrobienia. Jeszcze w ubiegłym tygodniu jadalnia nie była najważniejsza, ustępowała miejsca gabinetowi pana domu. W końcu dziewczynki nieczęsto się pojawiały, a gdy przyjeżdżały, wychodziły z przyjaciółmi na kolację. Ona i Jack rzadko miewali gości, mieszkali za daleko, by ktoś z pracy miał ochotę ich odwiedzić.

Ostatnia noc zmieniła wszystko. Elizabeth nawet nie była pewna dlaczego.

Ona i Jack siedzieli w salonie i oglądali telewizję. Co piętnaście minut dzwonił telefon. Jack za każdym razem odbierał i bez końca opowiadał o sobie i całej historii.

Elizabeth słyszała w jego głosie nowy zapach, co wzbudziło wiele wspomnień. Przeważnie przykrych.

W pierwszych latach małżeństwa kochała futbol. Uwielbiała oglądać Jacka podczas meczów uniwersyteckich. Dla zbyt potulnej dziewczyny, którą na Południu wychowano tak, by mówiła cicho i tylko wtedy, gdy ją o to poproszą, hałaśliwy świat futbolu był czymś zdumiewającym. Za każdym razem, kiedy Jack wygrywał, przynosił ze sobą do domu smak zwycięstwa i sławy. Wtedy łączyła ich mocna, głęboka, szalona miłość.

Czas wszystko zmienił, ich również. Gdzieś po drodze -Elizabeth wydawało się, że wtedy, kiedy przeprowadzili się do Nowego Jorku - Jack został gwiazdą, a gwiazdy zachowują się inaczej niż normalni ludzie. Nie wracają do domu przez całą noc, piją z kolegami z drużyny, a potem śpią cały dzień, nie zwracając uwagi na żonę i dzieci. Miewają romanse z innymi kobietami.

Ona i Jack ledwo przebrnęli przez ten ponury, okropny okres. O ironio, uratował ich koniec jego sławy. Kiedy nabawił się kontuzji kolana i uzależnił od prochów, znów potrzebował Elizabeth.

Poprzedniego wieczoru, słuchając, jak aż do znudzenia opowiadał o sobie, Elizabeth ujrzała ich przyszłość; zapowiadała się taka sama jak przeszłość.

Nagle spojrzała w stronę jadalni i pomyślała: „Ta ściana powinna być cała przeszklona”.

Nazajutrz rano, kiedy Jack wyjechał do pracy, powędrowała do sklepu żelaznego, kupiła maskę przeciwpyłową i młot, po czym zabrała się do pracy. Ilekroć dzwonił telefon, waliła młotem w ścianę.

Teraz, prawie osiem godzin później, odłożyła młot na bok. Ciężko dyszała, bolały ją ręce.

Ogromna dziura wychodziła na mokry, zimowy ogród za jadalnią. Zdaniem Elizabeth otwór był odpowiedniej wielkości, by umieścić w nim przeszklone drzwi.

Odcięła kawałek grubej, niebieskiej folii i zasłoniła nią dziurę. Jutro będzie musiała zamówić drzwi. Miała nadzieję, że dostanie je od ręki.

Pogwizdując z zadowolenia, weszła do kuchni i zrobiła kolację. Na ten wieczór nie zaplanowała dużo, tylko zapiekanekę z kurczaka i ryżu. Prawdę mówiąc, tak bardzo bolały ją ręce, że ledwo udało jej się otworzyć drzwi piekarnika.

Tuż przed siódmą usłyszała, jak podjeżdża samochód Jacka. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła mu pokazać, co zrobiła. Zawsze z niej żartował, że potrzebuje bardzo dużo czasu, aby podjąć jakąkolwiek decyzję. No cóż, tego dnia zadziałała bardzo szybko.

Weszła do salonu.

Uśmiechnął się od drzwi wejściowych.

- Cześć - powiedziała, odbierając od niego aktówkę i płaszcz. - Chcę ci pokazać...

- Nie uwierzysz, co mnie dzisiaj spotkało - przerwał jej. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale pewnie wyjeżdżałaś.

- Parę razy byłam w sklepie żelaznym.

- To zbyt wspaniała wiadomość, żeby nagrać ci ją na automatyczną sekretarkę. Chodź.

Otoczył ją ramieniem i poprowadził do sofy. Usiedli. Wyciągnął nogi i oparł stopy na ławie.

Z miejsca, w którym siedzieli, roztaczał się widok na całe wnętrze, aż do jadalni. Widać było długi pas niebieskiej folii. Elizabeth nerwowo tupiała, czekając, aż Jack zauważy.

- Zgadnij, kto do mnie dzisiaj zadzwonił?

Nie lubiła zgadywać, ale Jack zawsze zadawał jej to pytanie. Ponownie zerknęła do jadalni.

- Lepiej od razu mi powiedz, kochanie.

- Daj spokój. Do trzech razy sztuka.

- Julia Roberts. Muhammad Ali. Prezydent Bush. Roześmiał się.

- Blisko. Redaktor naczelny programu Larry'ego Kinga.

- Żartujesz?

- Nie. Zaprosił mnie na wtorek. Odsunął na później jakiegoś ważnego polityka, żeby Larry mógł porozmawiać ze mną. Co więcej, nie będzie to wywiad za pośrednictwem łączy satelitarnych. Mam zaproszenie do studia.

Oparła się o sofę.

- Orany!

To naprawdę wielka sprawa. Jak za dawnych czasów Elizabeth była dumna z męża.

- Zmierzasz prosto do celu.

„Zmierzasz”. Użyła złej formy; w jakiś sposób sama się wykluczyła, została w tyle.

- Przysłała mi dwa bilety na pierwszą klasę. Będziemy się świetnie bawić. Słyszałem o pewnej restauracji... Birdie?

Nie odrywała wzroku od jadalni, od dziury w ścianie. Nie uda jej się skończyć tego tak szybko, żeby z nim polecieć, a już na pewno nie wyjedzie, zostawiając dom w takim stanie. Na wybrzeżu przestępstwa należały do rzadkości, ale to wcale nie oznacza, że trzeba ryzykować. Próbowwała wymyślić, do kogo zadzwonić, ale wszystkie przyjaciółki miały dzieci i mężów, nie mogły tak po prostu przeprowadzić się na weekend do jej domu. Pewnie dałoby się zabić otwór kawałkami sklejk, pod warunkiem że zdobyłaby odpowiedni materiał w tak krótkim czasie - ale prawdę mówiąc, bardzo spodobała jej się myśl o spędzeniu kilku dni w samotności.

- O co chodzi, skarbie? Wskazała na jadalnię.

- Dzisiaj rozwaliłam ścianę.

Wstał i zmarszczył czoło. W miarę jak przechodził przez pokój, widział coraz więcej folii. Zatrzymał się w łukowym przejściu między obydwojma pomieszczeniami i spojrzał na Elizabeth.

- Po jasnego czorta?

- Zawsze chciałam mieć tu większe okno. Wychodzi na ogród. Dzisiaj zdecydowałam się na przeszklone drzwi.

- Dzisiaj? Dzisiaj się zdecydowałaś? Potrzebujesz siedmiu miesięcy, żeby wybrać kolor farby do kuchni, a w dwadzieścia minut podejmujesz decyzję o wyburzeniu ściany?

Bezradnie rozłożyła ręce. Czuła się wyjątkowo głupio.

- Skąd mogłam wiedzieć, że zadzwoni do ciebie człowiek od Larry'ego Kinga?

Jack ciężko westchnął i przekroczył kupkę gruzu na podłodze. Nie odwracając się w jej stronę, powiedział:

- Nie możesz zostawić domu w takim stanie. Obeszła gruz dookoła i stanęła za nim.

- Przykro mi, Jack - szepnęła, obejmując go w pasie i przyciskając policzek do jego pleców.

Odwrócił się i wziął ją w ramiona. Widziała, jak bardzo stara się być sprawiedliwy.

- To nie twoja wina. Przepraszam, nie chciałem być złośliwy. Wykonujesz tu kawał świetnej roboty. Jestem pewien, że przeszklone drzwi będą wyglądać wspaniale.

Dlaczego ostatnio zawsze tak jest? Wszystko tak bardzo się komplikuje, nie ma nawet miejsca na romantyczną wyprawę we dwoje. Elizabeth powinna się cieszyć na myśl o wyjeździe. W dawnych czasach poruszyłaby niebo i ziemię, żeby tylko móc jechać.

- To nie powinno być wcale takie trudne - szepnęła, zdając sobie sprawę, że zaledwie kilka tygodni temu Jack powiedział dokładnie to samo.

- Tylko nie rozmawiajmy o tym dziś wieczorem, Birdie - powiedział, odsuwając się.

Wiedziała, co miał na myśli. Ona również nie czuła się na siłach, żeby znów zastanawiać się nad tym, co dzieje się z ich małżeństwem.

Zmusiła się do uśmiechu.

- No cóż. Pomyślmy w takim razie, w co powinieneś się ubrać. Może trzeba będzie wyciągnąć panią Delaney z łóżka, żeby coś ci wyprała.

Odpowiedział uśmiechem. Był wyraźnie zmęczony, dlatego liczył się wysiłek, jaki włożył w ten uśmiech.

- Myślałem o granatowym garniturze, który latem kupiłaś mi na wyprzedaży na rocznicę w Nordstrom.

- Z żółtym krawatem i koszulą?

- Co o tym sądzisz?

„Co o tym sądzisz?" Była to studnia zbyt głęboka, by ją zbadać, lepiej trzymać się na powierzchni wody.

- Sądzę, że będziesz w nim zabójczo przystojny.
- Kocham cię, Birdie.
- Wiem - powiedziała, marząc, by to uczucie przychodziło równie łatwo jak słowa. - Ja też cię kocham.

RS

Zima

Kobieta samodzielnie musi osiągnąć dojrzałość.. Sama musi odkryć swoje prawdziwe wnętrze.

Anne Morrow Lindbergh, Gift from the

ROZDZIAŁ 7

W ów chłodny, ponury zimowy dzień ani jeden promień słońca nie zdołał się przedrzeć przez grubą warstwę szarych chmur.

Jack zameldował się w hotelu i udał do swojego apartamentu. Odstawił torbę i natychmiast podszedł do ozdobnej szafki z wiśniowego drewna. Wyjął z minibarku butelkę chivas regal i nalał sobie drinka.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Wiedział, że to Birdie. Zawsze jakimś cudem potrafiła wyczuć, kiedy się pojawiał w pokoju.

- Halo, słucham?

- Pan Shore?

Usiadł na łóżku. Lód zagrzechotał w kieliszku.

- Tak, Jack Shore.

- Jestem Mindy Akin ze studia Larry'ego Kinga. Jutro o trzeciej samochód podjedzie po pana i panią Maloney.

- Dziękuję.

„Pana i panią Maloney”. W tych słowach było coś złowieszczonego. Jack zastanawiał się - i to nie po raz pierwszy - czy nie lepiej by było, gdyby przyjechał sam.

Uważał jednak, że Sally zasłużyła sobie na tę wyprawę. Zresztą przysłali mu dwa bilety pierwszej klasy; byłoby głupio nie wykorzystać jednego.

Co więcej, nie zaprosiłby Sally, gdyby Elizabeth chciała z nim jechać. Więc, prawdę mówiąc, to wina jego żony, że Sally miała sąsiedni pokój.

Ledwo zdążył odłożyć słuchawkę, gdy telefon zadzwonił ponownie. To już Elizabeth.

- Cześć, skarbie. Jak minął lot?

Położył się na poduszce i oparł nogę o brzeg łóżka.

- Powinnaś zobaczyć mój apartament, Birdie. Spodobałby ci się.

- Apartament? Świetnie, Jack.

Zmarszczył czoło. Zdumiewające, ale powiedziała to tak, jakby jego słowa w ogóle nie zrobiły na niej wrażenia, jakby było jej wszystko jedno.

Boże, czuł się tym zmęczony. Ich związek stał się morzem pełnym niebezpiecznych prądów i kipieli, co więcej, nigdzie nie można było znaleźć płytkiej, spokojnej wody.

- Taaak, świetnie.

- Jadalnia nabiera kształtu. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczysz.

Znów dom. Chryste! Można by pomyśleć, że to rezydencja w Bel Air, a nie wyremontowany domek letniskowy na jakimś potwornym zadupiu.

- To świetnie.

- Jak długo ci tam zejdzie?

- Dwa dni. Wywiad jest jutro. Wrócę do domu w środę wieczorem.

- Jestem zazdrosna - powiedziała.

To chyba oczywiste. Powinna być z nim tutaj. Gdyby naprawdę chciała, mogłaby ściągnąć którąś ze swoich przyjaciółek do pilnowania domu.

Odezwał się drugi telefon.

- Zaczekaj chwilę, kochanie. Mam rozmowę na drugiej linii.

Przełączył telefon. To Sally. Powiedziała, że spotka się z nim za godzinę w samochodzie. Poczł wyrzuty sumienia, jakby został przyłapany na jakimś niecznym uczynku. To czyste szaleństwo; przecież chodziło tylko o zwykłą kolację z koleżanką z pracy.

- Wspaniale. - Wrócił do rozmowy z Elizabeth. - Muszę już kończyć, skarbie - powiedział. - Mam rezerwację w restauracji.

- Jestem z ciebie dumna, Jacksonie - szepnęła.

Na te słowa czekał, chociaż nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Kocham cię - powiedział.

Tak bardzo chciał, aby to była prawda, że aż się zdziwił.

- Ja też cię kocham. Zadzwoń do ciebie jutro, po wywiadzie.

- Doskonale. Cześć, kochanie.

Odłożył słuchawkę i poszedł do łazienki. Nim wziął prysznic i wysuszył włosy, dokończył pierwszego drinka i nalał sobie następnego. Szybko włożył szare spodnie i czarny sweter od Calvina Kleina. Potem stanął w oknie i sączył alkohol, póki nie nadszedł czas na wyjście.

O wpół do ósmej zszedł na parter. Czekala na niego limuzyna. Kierowca w uniformie wysiadł i otworzył przed nim drzwi.

- Dobry wieczór, panie Shore.

Jack wsiadł do samochodu i usadowił się wygodnie na ciemnym pluszowym siedzeniu. Chwilę później przyłączyła się do niego Sally.

Była zaskakująco piękna. Miała na sobie gładką, czarną sukienkę z okrągłym kołnierzykiem i krótkimi rękawkami. Jej włosy - dlaczego nigdy

wcześniej nie zauważył, że Sally ma takie jasne, niemal białe włosy? - opadały jej aż do połowy pleców. Kiedy usiadła obok, nie mógł oderwać wzroku od jej nóg... ani seksownych bucików na wysokich obcasach. Elizabeth nie założyłaby takich szpilek nawet w środku lata, nie wspominając o zimie.

- Wyglądasz... pięknie.

Miał zamiar powiedzieć „ładnie”. Próbował rozluźnić kołnierzyk, który nagle sprawiał wrażenie zbyt ciasnego.

- Czy ogrzewanie jest włączone? - spytał kierowcę. Nachyliła się nad nim.

- Pozwól, że to zrobię - zaproponowała.

Poczuł jej perfumy i słodki, cytrusowy zapach szamponu.

Rozpięła górny guzik jego swetra.

- O, tak. Teraz wyglądasz bardziej na hippisa. Spojrzał na nią. Widział tylko czerwone wargi.

- Jestem za stary na hippisa - przypomniał, próbując się od niej odsunąć.

Różnica wieku była naturalną granicą.

- Henry Kissinger jest stary. Ty jesteś... doświadczony. Nagle zdał sobie sprawę z otwierających się przed nim możliwości.

Spojrzał na kierowcę.

- Tagliacci Grill - powiedział. - Mamy stół zarezerwowany na ósmą.

Elizabeth była wyczerpana. Przez dwanaście godzin pracowała w jadalni. Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu: w miejscowym sklepie żelaznym mieli ładne przeszklone drzwi po obniżonej cenie. Ktoś je zamówił, a potem z nich zrezygnował.

Drzwi były właśnie takie, jakie chciała Elizabeth. Musiała tylko powiększyć otwór o dodatkowe piętnaście centymetrów, potem wstawić framugę i dojść do tego, jak należy je zamontować. Wszystko to zajęło jej sporo czasu i kosztowało dużo ciężkiej pracy.

Teraz bolały ją plecy i miała palce pomarszczone jak u starca, za to nowe drzwi znajdowały się na swoim miejscu. Odłożyła narzędzia i zrobiła sobie filiżankę herbaty. Sącząc ją, wyszła na werandę.

Nad głową świecił księżyc w pełni; był ogromny, jasno-błękitny na tle srebrzystego nieba. Z maleńkiego skrawka lądu, który odważnie wcinał się w morze, gwiazdy wyglądały, jakby znajdowały się dosłownie na wyciągnięcie ręki. Dzięki temu Elizabeth czuła się mała i bezpieczna, tak samo nieistotna we wszechświecie jak najmniejsze źdźbło trawy.

Zeszła schodami z werandy i poczuła pod stopami równą trawę na podwórku.

Właśnie miała wrócić do domu, kiedy usłyszała jakiś dziwny dźwięk.

Początkowo myślała, że to wiatr jęczy wśród drzew, ale nie, to nie był wiatr. Powoli odwróciła się i spojrzała na ocean.

W oddali fale posrebrzone blaskiem księżyca w nierównych liniach oddalały się od brzegu.

Znów usłyszała ten dźwięk. Przypominał żalostną elegię, która trwa jeszcze długo po tym, jak przebrzmi ostatnia nuta. Tym razem Elizabeth domyśliła się, co to takiego.

Pokonała podwórko, nie zwracając uwagi na to, że jej buty zapadają się w wilgotnej ziemi, i zatrzymała się na skraju urwiska.

Chybotliwe schody prowadziły na półkolistą plażę, która znajdowała się dziewięć metrów poniżej. Elizabeth zatrzymała się, jak małe dziecko, które matka nagle chwyciła za ramię. Było ciemno, a schody mogły być śliskie i niebezpieczne.

W tym momencie je zobaczyła.

Wieloryby. Przynajmniej dwanaście.

Ich płetwy sterczały nad wodą. Każda wydawała się przecinać na pół światło księżyca.

Elizabeth szybko zeszła na plażę, kurczowo trzymając się pękniętej poręczy.

Znów się odezwały, niespokojnie i żałośnie. Był to pomruk nie z tego świata; muzyka zrodzona w wodzie i niesiona przez fale. W oddali wieloryby wyskakiwały z wody i z powrotem w nią opadały; chwilę później rozlegał się wspaniały świszczący dźwięk, a z nozdrzy olbrzymów wzbijała się potężna fontanna.

Patrzyła jak zahipnotyzowana.

Kiedy odpłynęły, zniknął po nich wszelki ślad. Księżyc tak jak poprzednio oświetlał falującą wodę. Można się było zastanawiać, czy wieloryby naprawdę się tu pojawiły, czy to tylko sen.

Elizabeth chciała, żeby Jack był przy niej. Odwróciłaby się do niego, pozwoliła wziąć w ramiona. On jednak przebywał tak daleko...

Larry King.

O cholera!

Zapomniała do niego zadzwonić.

Zapomniała. Co gorsza, nawet nie obejrzała programu. Co się z nią, do diabła, dzieje?

Pobiegła schodami i wpadła do domu jak burza.

Gdy wykręcała numer, przez głowę przemykały jej nerwowe usprawiedliwienia: „Przepraszam, kochanie, utknęłam z powodu karambolu. Uwolniono mnie dopiero kilka minut temu. Przybiegłam prosto do budki telefonicznej”. „Zjadłam coś niedobrego i zapadłam w śpiączkę”.

Centrala hotelowa przełączyła rozmowę do pokoju Jacka.

Telefon dzwonił i dzwonił.

- Wstań z łóżka, Jack - szepnęła zrozpaczona.

Nie może aż tak bardzo go zawieść. Musi porozmawiać z nim jeszcze dziś wieczorem. Zasłużył na to.

Włączyła się poczta głosowa. Elizabeth zostawiła wiadomość i odłożyła słuchawkę. Przez następne trzy godziny dzwoniła co piętnaście minut, ale ani razu nie podniósł słuchawki.

Niemożliwe, żeby przespał tyle dzwonek. Nawet gdyby po wywiadzie się spał.

Zbyt dobrze go znała: Jack zawsze odbierał telefon.

W takim razie, gdzie się podziewa?

Jack nie powiedział podczas wywiadu tego, co powinien.

Kilka minut po rozpoczęciu rozmowy Larry zadał mu proste pytanie, coś w rodzaju: „Czy dzisiejsi sportowcy dają dobry przykład, Jack? Czy powinni to robić?”

Jack kilkanaście razy przećwiczył odpowiedź na to pytanie. Dobrze wiedział, co powinien powiedzieć, ale potem, gdy otworzył usta, wyrzucił z siebie wszystko to, co leżało mu na sercu.

- Wiesz, Larry - zaczął - jestem zły. Robimy z dziewiętnastoletnich dzieci gwiazdy, które zarabiają miliony dolarów. Zwalniamy je z odpowiedzialności za wszystko, oprócz występów na boisku. Gdy jeżdżą po pijanemu, klepiemy ich po plecach. Kiedy gwałcą kobiety, mówimy, że panie same tego chciały. Na litość boską, odgryzają części ciała swoim przeciwnikom, a kilka lat później znów są na ringu i zarabiają krocie. Gdy byłem w NFL, otworzył się przede mną cały świat. Wymagano ode mnie tylko jednego, żebym dobrze grał. Zdradzałem żonę i nie zajmowałem się dziećmi. I wiesz co? Nikt mnie za nic nie winił. Każdy mówił o presji, jaką odczuwam jako gwiazda futbolu. Tylko że życie nikogo nie rozpieszcza. Potrzebowałem piętnastu ciężkich lat, ale w końcu przekonałem się, że wcale nie jestem wyjątkowy. Po prostu umiałem kiedyś dobrze rzucać piłkę. Wielka mi sprawa! Musimy przestać zgadzać się na to, żeby ważne osobistości i sportowcy żyli według własnych norm. Musimy wrócić do dawnych dobrych tradycji sportowych.

- Wielu ludziom taka odpowiedź się spodoba - zauważył Larry. - Chociaż będą też i tacy, którzy się z tobą nie zgodzą.

W tym momencie Jack zrozumiał. Swoją szczerością wcale nie zniszczył sobie kariery; on ją w ten sposób zrobił. Rozkapryszeni sportowcy i właściciele zespołów będą go nienawidzić. Kibice i rodzice go pokochają. Wzbudził kontrowersje.

Tymczasem nic nie powoduje w mediach takiej sensacji, jak właśnie kontrowersje.

Do jutra fragmenty jego wyważonej wypowiedzi będą powtarzane w najdalszych zakątkach kraju.

Po programie pojechał prosto do hotelu i zadzwonił do Birdie. Nikt się nie odezwał. Potem zatelefonował do córek. Tu również nikogo nie było.

Zawiedziony, zszedł do baru i zamówił sobie drinka. Podwójny dewar's z lodem.

Godzinę później sączył drugiego.

Wypił go, a potem wbił wzrok w pusty kieliszek. W topniejącym lodzie nagle światło mieniło się miliardem kolorów. Nigdy nie lubił samotności, a w takich chwilach jak ta było mu jeszcze trudniej.

- Nie powinieneś dzisiaj wieczoru spędzać sam.

Jack uniósł głowę. Obok niego stała Sally. Miała na sobie obcisłą, błękitną sukienkę na niezwykle cienkich ramiączkach, a między nimi widać było biały jak mleko dekolt. Spinka w kształcie motyla trzymała jej włosy z dala od twarzy.

Uśmiechnęła się; wówczas zabrakło mu tchu.

- Mogę usiąść?

- Oczywiście. - Jego głos był niski i zachrypnięty. Odchrząknął. - Myślałem, że dzisiejszy wieczór spędzasz u cioci.

Roześmiała się i usiadła.

- Kilka godzin na przedmieściach mi wystarczyło. Gdyby opowiedziała jeszcze jedną anegdotkę o pierwszych ząbkach małego Charliego, wybiegłabym z krzykiem na ruchliwą ulicę. I pomyśleć, że chodzi o normalne zęby! Każdemu kiedyś wyrastają. Co innego, gdyby napisał koncert fortepianowy.

Jack poczuł jej nogę przy swojej. Ciepłe, kobiece ciało było takie miłe. Próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni Elizabeth patrzyła na niego naprawdę z pożądaniem; takie wspomnienie pomogłoby mu się teraz bronić, ale niczego takiego nie znalazł w pamięci. Żona od lat nie zainicjowała seksu.

Teraz łatwo przyszło mu zapomnieć, jak wspaniale niegdyś bywało im razem w łóżku. Czasami zdarza się, że ogień wygasa i zostaje tylko lodowaty chłód.

Przyszła kelnerka. Jack spojrzał na Sally.

- Margarita z lodem, bez soli, tak?

- Dobrze zapamiętałeś.

Dokończył swojego drinka i zamówił następnego. Niemal słyszał, jak słabną stalowe dźwigary małżeńskiej przysięgi. Wydawały niski, zgrzytliwy dźwięk, podobny do męskiej rozpaczki.

- Byłeś dzisiaj fenomenalny - powiedziała Sally, gdy zostali sami.

- Dzięki.

Kelnerka postawiła przed nimi drinki i oddaliła się. Gdzieś w głębi lokalu zaczęła grać szafa grająca. Ktoś puścił Time After Time.

- Po dzisiejszym wieczorze zostaniesz gwiazdą.

Jej słowa dotknęły delikatnego, spragnionego pochwały dna jego duszy. Nagle poczuł się tak, jakby to on był człowiekiem młodym, a ona osobą doświadczoną. Spojrzał na nią.

- Wiem, że jesteś żonaty - szepnęła. - Nie chcę tego psuć. Po prostu chętnie spędziłabym z tobą noc. Jedną noc, potem będziemy mogli zapomnieć, że cokolwiek się zdarzyło. Nikt nigdy się nie dowie.

Jack próbował przypomnieć sobie twarz Elizabeth, ale w tej chwili nie pamiętał, jak wygląda jego żona, a nie pieścił jej od tak dawna, że nawet nie próbował sobie przypomnieć, jaka jest w dotyku. Po raz pierwszy od wieków czuł się pożądany. Jego ciało było obolałe z pragnienia, by ulec pociągowi fizycznemu.

- Wystarczy, że ja będę wiedział - wydukał. Dotknęła jego twarzy, zmusiła go, by spojrzał na nią.

- W takim razie tylko pocałunek - mruknęła.

Poczuł jej gorący, wilgotny oddech na wargach. Niemal jęknął.

- Możesz powiedzieć, że to był pocałunek zwycięstwa. Teraz była jeszcze bliżej. Czuł jej perfumy i słodki zapach szamponu. Musnęła wargami jego usta.

- Nie ma nic złego w pocałunku zwycięstwa - powiedziała.

Usłyszał chrypkę w jej głosie. Pragnęła go tak bardzo, jak on jej. Gdyby teraz sięgnął pod stolik i wsunął dłoń pod jej sukienkę, byłaby już wilgotna.

- Nie - szepnął i jęknął z powodu własnej słabości. - Muszę już iść.

Wstał.

Musiał zaangażować wszystkie siły, żeby odejść.

Następnego ranka Elizabeth obudziła się, gdy zadzwonił telefon. Odwróciła się i powiedziała niemal przez sen.

- Halo, słucham?

- Cześć, Birdie. Wstawaj, śpiochu. Oglądałaś program? Usiadła i przeczesała palcami poplątane włosy.

- Cześć, skarbie.

Nie mogła się przyznać. Za bardzo by go tym zraniła. Próbowwała wymyślić jakieś rozsądne usprawiedliwienie. Wyraźnie nie zauważył jej niezręcznego milczenia.

- Udało mi się, dziecinko. Jesteś żoną supergwiazdy.

- Zawsze byłam żoną gwiazdy, Jack. - Wypuściła powietrze z płuc. - Wiedziałam, że jesteś dobry. Jestem z ciebie dumna.

- Muszę zostać o dzień dłużej, żeby udzielić prasie kilku wywiadów. Masz coś przeciwko temu?

- Ależ skąd.

- Świetnie. W takim razie będę w domu jutro. Uczymy to razem, dobrze?

- Dobrze. Kocham cię.

- Kocham cię. Cześć.

Elizabeth powoli odłożyła słuchawkę. Nie miała odwagi spytać go, gdzie był poprzedniego wieczoru.

Przez cały czas zastanawiała się, czy był z inną kobietą.

Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni wątpiła w jego wierność, ale znów stał się sławny, a poprzednim razem sława wiązała się ze zdradą. Niewierność wprawdzie można wybaczyć, ale nie da się o niej zapomnieć.

Co dziwne, nie to martwiło ją najbardziej.

Największym powodem do niepokoju był fakt, że niewiele ją to obchodzi.

ROZDZIAŁ 8

Jack siedział przy swoim biurku, sączył kawę i przeglądał rozłożone przed sobą notatki.

W ciągu ostatnich dni historia Drew Graylanda rozprzestrzeniła się po kraju jak ogień, a przy okazji we wszystkich relacjach wspomniano o Jacku. Dzięki wywiadowi z Larrym Kingiem z powrotem znalazł się w centrum uwagi. Jednak świadomość, że znów był na ustach wszystkich, mu nie wystarczała. Telewizja to świat, w którym każda historia ma krótki żywot. Wczorajsza wiadomość jest starą wiadomością.

Dostał szansę, o której marzył od lat. Znów na niego patrzono. Teraz potrzebował następnej wielkiej sprawy, żeby na dobre zapisać się w ludzkiej pamięci. Czegoś, dzięki czemu zauważyłyby go media.

Poprzedniego wieczoru leżał w łóżku i słuchał, jak Birdie opowiada o swoich nowych planach dotyczących sypialni, a jednocześnie rozpaczliwie szukał jakiegoś pomysłu. Wpadł na niego około trzeciej w nocy.

Wszystko zaczęło się od Alexa Rodrigueza. Gdy ten znany zawodnik podpisał kontrakt z Teksasem, w Seattle potraktowano go jak śmiecia. Zupełnie jakby odrzucił najlepszą propozycję w historii baseballu.

Ludzie nie rozumieli, że zawodowe życie sportowca jest niezwykle krótkie. Mając trzydzieści lat, człowiek jest stary, w wieku trzydziestu pięciu lat - wiekowy, i to jeszcze pod warunkiem, że organizm nie odmawia posłuszeństwa. Z drugiej strony, jak organizm, który rok po roku musi znosić tak potworne obciążenie, ma nie zawieść? Trzeba brać pieniądze, póki ktoś je proponuje. Jutro może być za późno. Żaden czynny sportowiec nie ma odwagi mówić o takich sprawach - są zbyt bogaci, żeby można było im uwierzyć. Do tego celu idealnie będą się nadawali ludzie nieco starsi, którzy niegdyś byli wielkimi gwiazdami, ale ich kariera jakiś czas temu dobiegła końca.

Jack spojrział na to, co właśnie napisał: Oczami sportowców. Jak czuje się upadły bóg.

Ten temat łączył w sobie sławę, korupcję i poczucie porażki. Co więcej, Jack znał go od podszewki.

Nagle zadzwonił telefon. Odebrał go.

- Jackson Shore.

Głos, którego nie słyszał od lat, powiedział:

- Cześć, Spaghettiarm. Jak leci?

- Warren! - Jack oparł się o krzesło. - Do diabła, Butterfingers, nie dawałeś znaku życia od czasu, kiedy po raz ostatni brałeś ślub i chciałeś, żebym został

twoim pierwszym drużbą. Czy tym razem też o to chodzi, czy ponownie się żenisz?

- Nie, nie. Prawda wygląda tak, że jakiś czas temu miałem drobne kłopoty z sercem. Kilka dni przeleżałem w szpitalu podpięty do wszystkich możliwych urządzeń, a to wystarczy, żeby człowiek przestał myśleć o głupotach.

- Dobrze się czujesz?

- Lepiej niż kiedykolwiek. Okazało się, że to tylko atak paniki. Uwierzysz? Piętnaście lat zawodowego futbolu i nic. Tymczasem wystarczyło kilka lat pracy w telewizji i pokonał mnie stres. Lekarze powiedzieli, że powinienem odpocząć. Więc postanowiłem zrezygnować z komentowania meczów. Za dużo jeżdżenia po kraju i niewygody, ale moi szefowie nie chcą mnie puścić. Wymyślili nowy jednogodzinny program. Chcą go zatytułować Good Sports. Ma to być swego rodzaju połączenie Real Sports i Oprali, wyobraź sobie. Chodzi o to, żeby spojrzeć na sportowców w całkiem inny sposób, spróbować zrozumieć ich niepowodzenia i presję, jakiej ulegają. Pokazać dobre przykłady.

- Bardzo podoba mi się ten pomysł. Wiesz, mógłbym nawet w którymś momencie wystąpić w roli gościa i opowiedzieć o sprawie Graylanda.

- Prawdę mówiąc, chętnie widzieliby cię w innej roli. Mieli zamiar dzisiaj do ciebie zadzwonić, ale ubłagałem ich, żeby zostawili to mnie. Grube ryby z Fox uważają, że świetnie byś się spisał, gdybyś prowadził ten program razem ze mną, a ja się z nimi całkowicie zgadzam. Od lat próbowałem namówić ludzi z Nowego Jorku, żeby zaryzykowali i dali ci zajęcie. Po sprawie Graylanda w końcu zgodzili się mnie wysłuchać. Zastanów się nad tą propozycją, Jacko, byłoby jak za dawnych czasów. Znów stanowilibyśmy zespół.

- Nie pieprz, Warren. Dałbym sobie uciąć lewe jajo,, byle dostać tę robotę.

- Zachowaj swoje skarłowaciałe jaja. Lepiej po prostu przyjedź jutro do Nowego Jorku na rozmowę.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Powiedz swojej sekretarce, żeby zadzwoniła do Bilia Campbella z Fox. Wyślą ci bilet. Potem podaj mojej sekretarce, kiedy przylatujesz. Wyjadę po ciebie na lotnisko.

- Wskakuję w pierwszy samolot. Dzięki, Warren. Naprawdę.

- To jeszcze nic pewnego, Jacko, ale wiem, że ich znokautujemy. Do zobaczenia jutro.

Jack odłożył słuchawkę i natychmiast zadzwonił do domu. Elizabeth podniosła słuchawkę przy drugim dzwonku.

- Halo, słucham?

- Cześć, kochanie, nie uwierzysz... - Urwał.

A co będzie, jeśli nie dostanie tej pracy? W przeszłości zbyt często sprawiał żonie zawód. Lepiej nie rozbudzać w niej nieuzasadnionych nadziei.

- Muszę jutro lecieć do Nowego Jorku. Możesz spakować mi walizkę?

- Do Nowego Jorku? Po co? Próbował szybko coś wymyślić.

- Jakiś niezwykle popularny w tej chwili quarterback ma zamiar podpisać kontrakt z Ducks. Chcę przeprowadzić z nim wywiad.

- Dziwne. Jak długo cię nie będzie?

- Dwa dni. Wybierzmy się dziś wieczorem gdzieś na kolację. Co byś powiedziała na Stephanie Inn? Tam jest romantycznie jak diabli.

W słuchawce zapadło milczenie.

- Co jest grane, Jack?

- Nic. Od dawna nie byliśmy w żadnym lokalu, to wszystko - zapewnił.

To była prawda. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zadzwonił z biura i umówił się na randkę z własną żoną. Teraz wszystko się zmieni. Poruszy niebo i ziemię, żeby dostać tę pracę; potem wróci do domu jako zwycięzca. Och, Elizabeth z pewnością będzie narzekać na to, że musi przeprowadzić się na Wschód, ale koniec końców zrobi to, co będzie musiała. Ta praca będzie dla nich obojga ogromną szansą.

- Wszystko świetnie mi idzie.

I szło. Przynajmniej raz w życiu.

Elizabeth cofnęła się i zacisnęła ręce na brzuchu.

Jack stał we frontowych drzwiach z zapakowaną torbą. Nawet o tak wczesnej porze - ledwo świtało - wyglądał na pełnego energii i podnieconego, niemal jak chłopiec.

Był tak przystojny, że aż zapało jej w piersiach dech. Co dziwne, przypomniawszy sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy ją pocałował. Było to wieki temu. Leżeli na trawie w Quad, udając, że się uczą. Nie spodziewała się pocałunku, nie była na niego przygotowana, a kiedy jego wargi dotknęły jej ust, nie wiadomo, dlaczego zaczęła płakać. Zdała sobie wówczas sprawę, że ten jeden pocałunek całkowicie odmienił jej życie... że będzie kochać Jacksona Shore'a aż do śmierci.

Chyba wciąż go kocha.

Tylko czy to wystarczy?

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy w jej oczach widać tęsknotę. A może Jack tak często i od tak dawna widywał to spojrzenie, że po prostu stało się dla niego „spojrzeniem Elizabeth”.

- Chętnie pojechałabym z tobą - powiedziała. Powinna to powiedzieć, gdy wybierał się na program

Larry King Live.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Odstawił torbę i podszedł do żony.

- Nie tym razem, Birdie. Będę bardzo zajęty. Nie mógłbym poświęcić ci ani chwili.

Przytaknęła i przełknęła kluczę, która stanęła jej w gardle. Kiedyś zapraszał ją, ilekroć wybierał się w podróż służbową, wtedy jednak nie chciała zostawiać dziewczynek. Późno - o wiele za późno - zdała sobie sprawę, co ta decyzja tak naprawdę oznaczała. Elizabeth sama sobie była winna, że przegapiła szansę.

- Może następnym razem. Zresztą i tak nie cierpię Nowego Jorku.

Pogłaskał ją po twarzy i delikatnie uniósł jej głowę, żeby spojrzała mu w oczy.

Objęła go i mocno uścisnęła, nagle bojąc się go puścić.

- Uważaj na siebie - szepnęła. Odsunął się.

- Zadzwoń do ciebie z Big Apple. Mam pokój w Carlyle. Numer telefonu jest na lodówce.

- W porządku. Miłej podróży. Życzę szczęścia.

- Zwycięzcy nie potrzebują szczęścia.

Jeszcze długo stała z zaciśniętymi rękami, chociaż Jack dawno temu zniknął jej z pola widzenia.

Gdzieś w głębi domu osunął się dźwigar; zaskrzypiało drewno. W salonie zegar na gzymsie nad kominkiem wybił piątą.

Próbowała nie myśleć o długim dniu, który miała przed sobą. Było wcześnie; mogła wrócić do łóżka, ale i tak nie zdołałaby zasnąć.

Weszła do kuchni, otworzyła kalendarz i zaczęła układać plan dnia. Była w połowie listy spraw do załatwienia, gdy przypomniała sobie, że jest czwartek.

Spotkanie kobiet bez pasji.

Może pójdzie. I tak nie miała nic lepszego do roboty.

Jackowi w pierwszej klasie podobało się dosłownie wszystko: niewiarygodnie krótka kolejka do odprawy na lotnisku, szerokie, wygodne szare fotele, czyste białe tace ze smacznym jedzeniem, co chwila przynoszone drinki.

- Napije się pan czegoś, sir? Czy po obiedzie mogę przynieść panu brandy, panie Shore? Mogę wziąć pański płaszcz?

Zapomniał już, że w powietrzu istnieje coś takiego jak obsługa. Od kilku lat ich rodzinne wakacje zawsze wyglądały tak samo: cztery osoby stłoczone w pociągu w jednym przedziale.

Sięgnął po aktówkę. Zauważywszy przetarcia i zadrapania na czarnej skórze, zastanawiał się, czy nie powinien kupić sobie nowej. Wiedział, co powiedziałyby Birdie. „Nigdy nie będziesz miał drugiej szansy na wywarcie pierwszego wrażenia. Zrób to porządnie za pierwszym razem”.

Nagle zaczął żałować, że nie powiedział jej prawdy. Starannie wybrałaby dla niego strój, dopasowała odpowiedni krawat i koszulę. Nie byłoby sprawy, jeśli chodzi o aktówkę.

W taki właśnie sposób dawno temu pomagała mu przygotować się do pracy w Albuquerque. „Jesteś gwiazdą - mówiła zdecydowanie, ściskając mu rękę - i ani na sekundę o tym nie zapominaj. Ludzie z Channel 2 powinni paść na kolana z radości, że mogą zatrudnić wspaniałego Jacksona Shore'a”.

- Gwiazda - mruknął.

O sekundę za późno zdał sobie sprawę, że powiedział to na głos. Rozejrzał się, ale stwierdził, że nikt nie zauważył.

Wciąż pamiętał tamto uczucie; było niesamowite, do dziś go prześladowało. Kiedy człowiek jest na szczycie, raczej fruwa niż chodzi... drzwi jakimś cudem same się przed nim otwierają na długo przed tym, nim sięgnie do klamki... a w najlepszych restauracjach zawsze jest dla niego stolik. Jack jednak najlepiej zapamiętał to, jak patrzyli na niego ludzie.

- Panie Shore? Kapitan włączył znak, żeby zapiąć pasy. Za chwilę lądujemy.

Zamknął aktówkę, potem uśmiechnął się do stewardesy.

- Dziękuję.

Samolot osiadł na płycie łagodnie, kilka razy zadrżał i spokojnie pokołował do terminalu. Po chwili obok Jacka znów pojawiła się stewardesa, tym razem trzymając jego torbę.

- Proszę, panie Shore. Nie miał pan płaszcza, prawda? Uśmiechnął się do niej.

- Zapomniałem zabrać. Od dość dawna nie byłem na Wschodzie.

- Czy ktoś, kto grał w drużynie Jets, może zapomnieć, jak wyglądają nowojorskie zimy?

Znała go. To nie była normalna obsługa, typowa dla pierwszej klasy. Stewardesa wyraźnie z nim flirtowała.

- Jestem z Minneapolis. Mam tu dwudniową przerwę... mieszkam w hotelu Warwick.

Wystarczyło, żeby kiwnął głową, powiedział: „Co za przypadek, ja też tam właśnie zatrzymuję się na noc!” i poprosił o jej nazwisko. Mogliby spędzić dzisiejszy wieczór w ciemnym narożniku zadymionego hotelowego baru z podniecająco przyciśniętymi do siebie nogami, rozmawiając o wszystkim i o niczym, aż nadszedłby czas, żeby w ogóle przestać rozmawiać...

Przez chwilę pragnął tego - pragnął jej - tak bardzo, że aż zakręciło mu się w głowie. Potem pomyślał o Franku Giffordzie i wziął głęboki wdech. Odzyskał równowagę. Te czasy ma już za sobą.

Sięgnął po torbę i wziął ją od stewardesy.

- Dziękuję. Życzę miłej zabawy w Nowym Jorku. Uśmiech zniknął z jej twarzy, jednak szybko odzyskała rezon.

- Życzę miłej podróży, panie Shore.

- Nawzajem.

Załóżył torbę na ramię i wysiadł z samolotu. Przy bramce było dużo ludzi, którzy czekali na następny lot.

Warren wyróżniał się z tłumu, jak dwustuletnia jodła w młodniku. Był wysoki i elegancko ubrany, ale nie dlatego było go widać.

Sprawiał wrażenie kogoś ważnego. Ruszył do przodu z uśmiechem na ustach. Tłum. rozsunął się, żeby go przepuścić. Pokazywano go sobie, szeptano między sobą. Jackowi wydawało się, że Warren nawet tego nie zauważył.

- Co u ciebie słychać, Warlordzie?

- Jumpin' Jack Flash! - zawołał Warren tak głośno, że ludzie odwrócili głowy.

Na kilku starszych twarzach widać było, że go rozpoznali. Dzieciaki z tlenionymi włosami i kolczykami w uszach poszły dalej, nie okazując zainteresowania.

Warren chwycił Jacka w niedźwiedzi uścisk, potem otoczył go ramieniem i poprowadził w stronę wyjścia.

- Boże, jak miło cię widzieć.

Ani na chwilę nie przestawał mówić rzeczy w rodzaju:

„Kopę lat”, „Co porabiałeś?”, „Czy widziałeś ten program?”. W tym czasie wyprowadził Jacka z terminalu, wsadził go do swojego czerwonego vipera i z rykiem silnika wyjechał na autostradę.

Był szary zimowy dzień. Chmury wisiały nad jezdnią, drobny deszcz zasnuwał przednią szybę.

- Pamiętasz, jak graliśmy w tym gównie? - spytał Warren, naciskając klakson i zmieniając pas, żeby nie wpaść na lexusa SUV-a.

Jack uśmiechnął się. On i Warren grali w jednej drużynie podczas studiów na University of Washington w Seattle. Był pewien, że kiedyś musieli grać w słońcu, ale tego nie pamiętał. Pamiętał natomiast mecze na stadionie Husky w dniach, kiedy mogło się wydawać, że sam Bóg sika na boisko.

- Pamiętasz, Elizabeth i Mary zazwyczaj wkładały na mecze ogromne worki na śmieci.

Warren wybuchnął śmiechem.

- Pamiętam tylko cycki Mary i to, że nigdy nie powinienem się z nią żenić.

Póki byli w Seattle, stanowili nierozłączną czwórkę: Jack i Elizabeth, Warren i Mary. Potem Warren wyjechał do Denver, a Jack do Pittsburgha. Po kilku latach i kilku następnych transferach on i Warren ponownie spotkali się w Nowym Jorku. W tym czasie Warren miał już drugą żonę, Phyllis, i obaj, on i Jack, byli supergwiazdami w rozgorączkowanym, szalonym świecie NFL. W owych złotych latach jedna Elizabeth z całej czwórki zachowała zdrowy rozsądek. Wtedy pieniądze przeciekały im przez ręce jak woda, tymczasem ona oszczędzała tyle, ile mogła, chociaż Jack nie ułatwiał jej zadania. Myślał, że sława będzie trwać wiecznie.

- Jak się miewa Birdie?

- Świetnie. Dziewczęta też. Obie studiują w George-town. Stephanie wciąż jest cicha i za poważna na swój wiek. Chodzi z chłopakiem, który zdobył Westinghouse

Award. Ona sama dostaje wspaniałe oceny. W tym roku, w czerwcu kończy studia... będzie miała tytuł z mikro... czegoś tam.

- Zupełnie jak mama, no nie? Birdie była jedyną znaną mi studentką, która zawsze ze wszystkiego dostawała najwyższe oceny.

Jack zapomniał, jak bardzo jego żona uwielbiała naukę. Przez wiele lat po ukończeniu studiów wspominała, że chciałyby pójść na wydział sztuk pięknych, ale nigdy tego nie zrobiła. Cała Elizabeth; o wielu rzeczach jedynie dużo mówiła.

- Jamie jest podobna do mnie. Gdyby nie była jedną z najlepszych pływaczek w kraju, walczyłaby jak diabli, żeby w jak najmłodszym wieku zrobić studia.

- Pamiętasz Callaghan's Pub? Rzucanie kuflami?

I podrywanie dziewczyn. Tego Warren nie powiedział na głos. Jednak niedopowiedzenie nie zmieniało przeszłości. Jack znaczną część młodości

spędził w tym barze, flirtując z wielką liczbą dziewcząt, które interesowały się futbolem. Wciągając je do łóżka.

W tym czasie Elizabeth siedziała w śmiesznie dużym domu na Long Island i samotnie wychowywała dzieci. Gdy Jack w końcu wracał do domu, śmierdząc alkoholem, dymem papierosowym i perfumami innych kobiet, niezmiennie udawała, że niczego nie dostrzega.

Jak oni przebrnęli przez ten okres? Jak to możliwe, że byli wtedy szczęśliwsi niż teraz?

Tego rodzaju pytania spędzały mu sen z powiek.

- To budynek telewizji - powiedział Warren, wskazując głową w lewo. - Jutro w porze śniadaniowej mamy się tu spotkać z szefami. Twoje przesłuchanie odbędzie się o wpół do jedenastej. Będę przy tobie.

Jack rozluźnił krawat.

- Żadnych rad dla starego kumpla?

Warren podjechał pod hotel i odwrócił się do Jacka.

- Widziałem twój wywiad z tą studentką. Moja jedyna rada, to spróbuj się bardziej rozluźnić. Dobrze wiesz, że kamera jest jak kobieta - potrafi wyczuć strach i desperację - a zdesperowani faceci nigdy nie dostają porządnej roboty.

Jack wybuchnął śmiechem. Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni dostał porządną robotę. Może przez cały czas był za bardzo zdesperowany?

Otworzyły się drzwi. Uśmiechnął się do niego mężczyzna w uniformie.

- Witam w Carlyle, sir.

Jack wysiadł z samochodu i podał swoją torbę odźwiernemu.

- Dzięki.

Warren nachylił się nad pustym siedzeniem pasażera.

- Może przyjdiesz dzisiaj do nas na kolację? Beth jest beznadziejną kucharką, ale robi niesamowite martini.

- Zostanę w hotelu. Chcę mieć jutro świeżą pałę.

- Zawsze przed ważną rozgrywką znikalesz z powierzchni ziemi. Podjadę o ósmej. Zjemy śniadanie w hotelu.

- Świetnie. Jeszcze jedno, Warrenie... dzięki za wszystko.

- Nie dziękuj, póki nie dostaniesz tej pracy. Szyba samochodu zamknęła się bezgłośnie.

Jack obserwował, jak czerwony viper z rykiem silnika jedzie ulicą i z piskiem opon zatrzymuje się na czerwonych światłach. Potem zameldował się w hotelu i poszedł do swojego pokoju. Zaraz po wejściu przygotował sobie drinka. Był roztrzęsiony jak nowicjusz przed pierwszym meczem. Bez przerwy zastanawiał się, ile może zyskać.

Proszę, Boże - pomyślał. Zerknął na telefon. Wiedział, że powinien zadzwonić do Birdie, ale ta myśl go męczyła. Musiałby udawać, że jest na mieście i właśnie czeka na spotkanie z jakimś sportowcem, a ona gadałaby i gadała o materiałach obciowych na sofę. Żadne z nich naprawdę nie słuchałoby drugiego.

Tak było od lat. Dlaczego więc ostatnio tak bardzo go to martwi? Z westchnieniem podniósł słuchawkę i wykręcił numer domowy.

Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrany głos Birdie powiedział: „Cześć, dodzwoniłeś się do Jacka i Birdie. Nie ma nas w domu, ale jest automatyczna sekretarka. Zostaw wiadomość”.

- Cześć, skarbie - powiedział - jestem w hotelu Carlyle, w pokoju numer pięćset jeden. Numer jest na lodówce. Zadzwoń do mnie. Kocham cię.

Powiedział to automatycznie, ale gdy po wyznaniu nastąpiła cisza, zaczął się zastanawiać nad tymi słowami... i ile czasu minęło od chwili, kiedy naprawdę kryła się za nimi prawdziwa miłość.

Podszedł do okna i spojrzał na błyszczące światła Manhattanu. Ujrzał rozmyte odbicie własnej twarzy. Zamknął oczy i w nagłej ciemności zobaczył młodszą, żywszą wersję siebie. Młodego mężczyznę wciąż pewnego swojej wielkości.

Człowiek ten pochodził z innej epoki i innego miejsca, daleko, daleko stąd. Z Seattle.

Był zmierzch, chłodny zimowy dzień...

W żeńskim akademiku Delta Delta Gamma przy Czterdziestej Piątej dowiedział się, że Elizabeth Rhodes zawsze spędza niedzielne wieczory w Arboretum. Nie pozostało mu zatem nic innego, jak poszukać jej właśnie tam. Był zdesperowany, a nie ma człowieka bardziej zdesperowanego niż student, który jest gwiazdą futbolu i jednocześnie ma beznadziejne stopnie.

Znalazł ją na podmokłych ścieżkach, które biegły wzdłuż Lake Washington. Malowała. Początkowo widział tylko jej włosy, pozłacane przez promienie zachodzącego słońca. Miała na sobie niebieski wełniany sweter i obszerny kombinezon dżinsowy, który całkowicie ukrywał jej sylwetkę. Z tylnej kieszeni sterczały trzy pędzle.

Dziwne, że zapamiętał ten szczegół, ale naprawdę miała trzy pędzle.

Wciąż niemal słowo w słowo pamiętał ich rozmowę...

Odchrząknął i powiedział:

- Elizabeth Rhodes ?

Odwróciła się tak szybko, że upuściła pędzel.

- Kim jesteś?

Był zaskoczony jej urodą.

Ośloniła ręką oczy i przymrużyła powieki w promieniach zachodzącego słońca. W rozpięciu dzinsowego kołnierza zauważył sznur pereł.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Jackson Shore... Twoje nazwisko podał mi doktor Lindbloom z Wydziału Anglistyki. Powiedział, że może znajdziesz czas, żeby przyjąć jeszcze jednego ucznia. - Uśmiechnął się zmieszany. - Oblewam egzamin z literatury.

Zmarszczyła czoło.

- Na którym jesteś roku ?

- Pierwszym.

- Jak to możliwe, że student pierwszego roku oblewa egzamin z literatury angielskiej i prosi o pomoc... w niedzielę... w ostatnim tygodniu semestru.

Przymrużyła zielone jak ocean oczy.

- Pozwól, że zgadnę: jesteś sportowcem.

- Futbolista.

Uśmiechnęła się do niego niewyraźnie.

- No tak. Posłuchaj... jak masz na imię? Jock?... Bardzo chciałabym ci pomóc, ale...

- To świetnie. Doktor Lindbloom powiedział, że mogę na ciebie liczyć. Kiedy zaczynamy? Ostatni egzamin mam zdawać z pentametru jambicznego, niezależnie od tego, co to, do diabła, jest. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Westchnęła i przeczesła palcami włosy, przy okazji zostawiając na czole smugę żółtej farby.

- Myślę, że moglibyśmy spotkać się dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem? O rany... praca domowa w niedzielny wieczór? Nie, chyba żartujesz.

Widział, że Elizabeth ponownie próbuje przypomnieć sobie jego imię i, co dziwne, to mu się spodobało. Był przyzwyczajony do tego, że dziewczęta za nim gonia, sypiają z nim, ponieważ jest quarterbackiem, tymczasem ciągnęło go do kobiety, która nawet nie mogła zapamiętać jego imienia.

- Przykro mi. Będziesz musiał sobie znaleźć kogoś innego. Pochyliła głowę na znak, że rozmowa skończona, i wróciła do malowania.

Zrobił krok w jej stronę. Jego tenisówki zapadły się w mokrej, grząskiej trawie.

- A jeśli chcę ciebie?

Odwróciła się. Bacznie mu się przyjrzała i wetknęła jasny kosmyk włosów za ucho. Wtedy zauważył duży brylantowy pierścionek zaręczynowy.

- Posłuchaj, Jake...

- Jack.

Zbliżył się do niej o następny krok. Cofnęła się.

- Pomagam tylko tym, którym naprawdę zależy na nauce. Podeszedł do niej jeszcze bliżej.

- Jesteś mi potrzebna. Wybuchnęła śmiechem.

- Daj spokój. Ich naprawdę guzik obchodzi, czy wy, sportowcy, coś umiecie.

Usłyszał w jej głosie coś, co go zaskoczyło, jakiś dziwny akcent. Jest z Południa - pomyślał. Podobał mu się miękki, niespieszny sposób mówienia.

- Mnie to obchodzi.

Zerknęła na niego. Po chwili zarumieniła się.

- Świetnie. Spotkajmy się jutro rano w Suzzallo. O wpół do jedenastej.

- O rany, tylko nie Suzzallo. To istna kostnica.

- To biblioteka.

- Co byś powiedziała na spotkanie w Quad? Mogę przynieść kawę?

- To nie randka. - Zerknęła na zegarek. - Będę o wpół do jedenastej w pokoju przy fontannie na pierwszym piętrze biblioteki. Jeśli naprawdę potrzebujesz pomocy, nie spóźnij się.

Tak oto wszystko się zaczęło.

Jack szybko zakochał się w Elizabeth i nie potrzebował dużo czasu, żeby ją oczarować. W tamtych dniach obiecywał jej księżyc i gwiazdy, przysięgał, że zawsze będzie ją kochał. Naprawdę tak myślał. Wierzył w to.

Nie zrobili nic złego, ani on, ani ona.

Po prostu nie wiedzieli, że „zawsze” tak długo trwa.

ROZDZIAŁ 9

Elizabeth stała na środku garderoby, nie bardzo wiedząc, w co się ubrać. Odnosiła wrażenie, że wszystko, co posiadała, jest nieodpowiednie. Na ścianie na kołkach wisiały całe rzędy ozdobnych pasków.

Obecnie, w okresie, który nazywała latami powolniejszej przemiany materii, były całkiem bezużyteczne. Stare paski mogła teraz zapiąć najwyżej na udzie. W miarę jak przybierała na wadze, zamieniała paski na chusty. Miała dziesiątki malowanych ręcznie chust, którymi maskowała krągłą sylwetkę, ale kawałek zwiewnego materiału nie był raczej zbyt odpowiedni na spotkanie grupy kobiet bez pasji.

Wzrok Elizabeth padł na robioną na drutach zieloną suknię do kolan. Nie tracąc więcej czasu, włożyła ją. W szufladzie komody znalazła kuty ręcznie cynowy wisiołek, zabytek z okresu, kiedy jej pasją była biżuteria.

- Gotowe.

Nie spojrzała ponownie w lustro. Zeszła schodami na parter, zabrała z kuchni torebkę i wyszła z domu.

Kiedy dotarła do budynku uniwersytetu, zatrzymała się na chwilę przed zamkniętymi drzwiami sali, po czym weszła.

Tym razem zobaczyła znajome i przychylnie nastawione twarze. Mina, ubrana w inną kwiciastą nylonową podomkę, rozmawiała na stojąco z Fran, która słuchała z wyraźnym natężeniem. Sliczniutka mała Joey, kelnerka z Pig-In-a-Blanket, prowadziła ożywioną dyskusję z Sarah. Kim stała przy ławie i bawiła się paczką papierosów. Joey uśmiechnęła się i podeszła do Elizabeth.

- Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz - powiedziała, po czym ugryzła kawałek precla i zaczęła go przeżuwać jak wiewiórka ziemna.

Elizabeth była zaskoczona, że ktoś w ogóle o niej myślał.

- Dlaczego?

Joey znacząco spojrzała na lewą rękę Elizabeth.

- Jaki wspaniały brylant.

Elizabeth zerknęła na pierścionek zaręczynowy - półtorakaratowy soliter w szerokiej złotej obrączce. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Większość nas została porzucona. Kilka przy okazji, tak jak ja, spadło z pieca na łeb. Na beton. Z dziesiątego piętra. - Uśmiechnęła się. - Na szczęście udało mi się jakoś wylądować.

- Wszystkie kobiety jakoś lądują - zapewniła Elizabeth, zaskakując samą siebie. - W końcu możemy wylądować albo się rozbić, prawda? Mój mąż w

ciągu ostatnich piętnastu lat pracował w ośmiu miastach. Uwierz mi, wiem coś na temat lądowania.

- O kurczę. Wojskowy?

- Nie.

Nie miała zamiaru podawać zawodu męża. Za nic w świecie nie chciała ujawniać, że jest żoną Jacksona Shore. To zawsze wywoływało okrzyki: „Och, ty to masz szczęście!”. Nie chciała tego usłyszeć z ust tych kobiet. Niemniej musiała coś powiedzieć.

- Nie potrafi dłużej skupić się na jednym. Joey zachichotała.

- Nosi go, tak? Oni wszyscy są tacy.

Sarah, która w tym czasie stała pod tablicą, zaklaskała w dłonie.

- Dobry wieczór paniom. Cieszę się, że widzę tyle znajomych twarzy.

Joey chwyciła Elizabeth za rękę i poprowadziła ją do dwóch wolnych krzeseł. Usiadły obok siebie.

Sarah była w środku mowy wprowadzającej, kiedy Mina nie wytrzymała i poderwała się na równe nogi. Miała na twarzy tak promienny uśmiech, że jej skóra pomarszczyła się jak na suchym jabłku.

- Sama dziś przyjechałam! - Dolna warga, pogrubiona różową szminką, drżała. - Teraz mogę dostać się wszędzie, gdzie chcę.

Otrzymała gromkie brawa.

Elizabeth była zaskoczona tym, jak bardzo poruszyło ją kilka prostych słów. „Teraz mogę dostać się wszędzie, gdzie chcę”.

To musi być wspaniałe uczucie! Jak to się stało, że sama nigdy go nie zaznała, chociaż od lat prowadziła samochód? Zawsze miała wolność w zasięgu ręki, wystarczyło jedynie włożyć kluczyki do stacyjki. Wolność każdej kobiety, która ma odwagę odłożyć na bok to, co zaplanowała, i pomyśleć: „Ciekawe, dokąd zaprowadziłaby mnie ta droga?”

Brawa ucichły. Panie wróciły na swoje miejsca. Tym razem nie było żadnych „nowych” twarzy, więc Sarah namówiła zebrane, żeby baczniej przyjrzały się wyrażonym poprzednio marzeniom.

Pierwsza odezwała się Joey.

- Wczoraj zabrałam dzieci do dentysty. Uwielbiam czystość gabinetów. - Westchnęła. - Technik dentystyczny kupił sobie właśnie nowiutkiego volkswagena. Jesteście w stanie w to uwierzyć? Chciałabym jeździć takim samochodem.

- Myślałaś kiedyś, żeby zostać technikiem dentystycznym? - spytała Sarah.

- Taaak. Ledwo przebrnęłam przez szkołę średnią. Chyba byłam najgorszą uczennicą. - Próbowała się uśmiechnąć, potem pochyliła się i zaczęła grzebać

w przepastnej torbie. - Za to w tym tygodniu pomyślałam o czyimś marzeniu. Kilka dni temu jeden z klientów zostawił to na stoliku.

Wyjęła pędzel i wręczyła go Elizabeth.

- Jest w tym chyba jakieś zrządzenie losu, czy jak to się tam nazywa.

Był to kiepski pędzel, prawdopodobnie z dziecięcego kompletu farbek. Z pewnością nie używałby go żaden szanujący się artysta.

Dlaczego więc Elizabeth poczuła, że ma w oczach łzy?

- Dziękuję, Joey - szepnęła, przyjmując pędzel. Kiedy go dotknęła, poczuła żywsze uderzenie serca.

- Opowiedz nam o swoim malowaniu - poprosiła Sarah.

Elizabeth wzięła głęboki wdech.

- Podczas studiów profesorowie mówili, że mam talent. Kilka wydziałów sztuk pięknych przyjęło nawet moje papiery.

- Zrobiłaś studia? - spytała Joey z wyraźnym respektem w głosie.

- Nie. Po urodzeniu dziewczynek nie miałam na to czasu. Potem, gdy Jamie poszła do pierwszej klasy, próbowałam wrócić do malowania, ale nic mi nie wychodziło.

Rozejrzała się wokół siebie. Każda z uczestniczek spotkania doskonale ją rozumiała. Czasami człowiek bezpowrotnie traci szansę.

A jednak... gdy spojrzała na pędzel w dłoni, poczuła, że coś w niej drgnęło. Nie było to nic wielkiego, żaden głos boży ani nic w tym stylu, ale coś się obudziło.

Przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy malowała. To było jak... fruwanie... wzbijanie się w obłoki.

Nagle nie mogła myśleć o niczym innym.

Po spotkaniu zaparkowała przed domem i wbiegła do środka. Nawet nie zadając sobie trudu, żeby zapalić światła na parterze, poszła do swojego pokoju. Zajrzała w głąb szafy, rozsunała ubrania i przyklękła.

Znalazła kartonowe pudło ze wszystkim, czego potrzeba do malowania. Wyjęła je i wciągnęła głęboko w płuca zapach wyschniętej farby. Na wierzchu leżał pędzel z sobolich włosów. Włosie było piękne, lśniące, czekoladowo-brązowe. Elizabeth wzięła pędzel do ręki i dotknęła nim podbródka.

Z uśmiechem na ustach wstała, powędrowała do sypialni i podeszła do przeszklonych drzwi, które prowadziły na balkon. Przycisnęła palec do zimnej szyby i spojrzała na czarne morze, które tonęło w ciemności nocy.

Gdyby miała malować, mogła zrobić to tutaj, w zaciszu swojego podwórka. Zamknęła oczy, przez moment wyobrażając sobie wspaniałą, nową przyszłość.

Jack jechał powoli w stronę domu krętą drogą, która kiedyś była wysypana żwirem, ale teraz pokrywała ją gruba warstwa błota. Chociaż Stormwatch Lane miała ponad dwa kilometry, nie było przy niej żadnych domów. Niemal na całej długości po lewej stronie ciągnęło się nagie urwisko. Poniżej wiatr smagał powierzchnię Oceanu Spokojnego.

Jack zajechał pod dom, zaparkował, potem zabrał torbę i poszedł do drzwi.

Weranda tonęła w pomarańczowym świetle pojedynczej lampki. Wiklinowy fotel bujany rzucał cień na podłogę z desek.

W domu pachniało cynamonowymi świecami, które Elizabeth paliła podczas Bożego Narodzenia. Zawsze mówiła, że zostawi je na święta, ale nigdy na nie, nie czekała. Używała świec każdego wieczoru, póki nie zostały po nich jedynie czarne resztki knota.

- Elizabeth?!

Żadnej odpowiedzi.

Zamknął za sobą drzwi wejściowe i znalazł się w niewielkim korytarzyku. Na lewo od niego znajdował się salon, na prawo - kuchnia. Oba pomieszczenia były puste. Jack przeszedł przez pół domu, minął jadalnię - czy powiedział jej już, jak ładnie wygląda to pomieszczenie z przeszklonymi drzwiami? - i skierował się w stronę sypialni.

Elizabeth stała właśnie przy przeszklonych drzwiach, tyłem do niego. Wodziła palcem po szybie. W świetle, które padało z nocnej lampki, wyglądała niemal jak zjawa. Z jej postaci emanował smutek i żal. Jack zauważył to pomimo przyćmionego światła.

- Dałbym wszystko, żeby poznać twoje myśli - powiedział.

Odwróciła się gwałtownie. Kiedy go zobaczyła, wybuchnęła śmiechem.

- Ale mnie przestraszyłeś!

- Udało mi się dostać bilet na wcześniejszy samolot. Znów spojrzała na morze.

- Dopisało ci szczęście.

Wyraźnie przestała już zwracać na niego uwagę. Zainteresuje się, gdy usłyszy najświeższą wiadomość. Jack zaczął coś mówić, ale mu przerwała.

- Spójrz, jest taka piękna noc. Tyle kolorów kryje się w ciemności. Chciałabym znów zacząć malować. - W końcu odwróciła się w jego stronę. - Byłam dzisiaj na spotkaniu i...

- Mam dla ciebie niespodziankę.

Wpadło mu na myśl, że może powinien zrobić to inaczej... przekazać jej nowinę po wspaniałej kolacji w „L'Auberge”. Nie mógł jednak już dłużej zwlekać.

- Pamiętasz Warrena Mitchella? Westchnęła cicho, a potem powiedziała:

- Najbardziej napalonego zawodnika ostatniej linii w Nowym Jorku? Oczywiście, że go pamiętam. Teraz jest... sprawozdawcą sportowym w telewizji, prawda?

- Był. Miał jakieś problemy z sercem i uznał, że musi zmienić styl życia. Gdy próbował się zwolnić, jego zwierzchnicy zaproponowali mu jednogodzinny cotygodniowy program. Coś w rodzaju sportowego talk-show.

- Jakby w telewizji brakowało facetów, którzy rozmawiają o sporcie - zadrwiła.

Jack był zaskoczony jej słowami.

- To ma być całkiem nowy program. Podpisali kontrakt na dwadzieścia sześć odcinków. Będą kręcone w studio Fox w Nowym Jorku, toteż koniec z wyjazdami na mecze i inne tego typu imprezy.

- To wspaniale dla Warrena.

- Dla nas też.

- Dla nas? Uśmiechnął się.

- Mam prowadzić ten program razem z nim.

- Co takiego?

- Prawdę mówiąc, po to pojechałem do Nowego Jorku. Na przesłuchanie.

- Okłamałeś mnie?

Jej słowa zabrzmiały, jakby popełnił poważne przestępstwo.

- Nie chciałem ponownie cię zawieść. Na szczęście, tym razem udało mi się dostać pracę. Oczarowałem facetów w telewizji, skarbie. Pomyśl tylko, zaczniemy wszystko od nowa. Czuję się tak, jakbyśmy znów byli młodzi.

- Znów młodzi? O czym ty mówisz?

- Będzie wspaniale, zobaczysz. Może uda nam się nawiązać kontakt z dawnymi przyjaciółmi. Co więcej, będziemy zaledwie kilka godzin drogi od Waszyngtonu. Jeśli zechcesz odwiedzić dziewczęta, wystarczy, że wsiądziesz do pociągu.

- Kilka godzin drogi od Waszyngtonu? Nie rozumiem. Skrzywił się. To był największy problem.

- Musimy się przeprowadzić do Nowego Jorku.

- Co takiego?

Ogarnęło go paskudne poczucie winy.

- Wiem, obiecałem ci, że to ostatnia przeprowadzka, ale zaproponowali mi tyle pieniędzy, że aż trudno uwierzyć. Mam nawet nowego agenta - faceta w rodzaju Jerry'ego Maguire'a. Teraz możemy sobie pozwolić na wszystko.

- Wszystko, co ty chcesz. - Była na niego potwornie zła. - Ani przez moment nie pomyślałeś o tym, na czym mnie zależy. Całą duszę i serce oddałam temu domkowi.

- To tylko dom, Birdie. Cztery walące się ściany, dziurawe rury i nieszczelne okna. - Podszedł do niej. - Czy ten dom znaczy dla ciebie więcej niż ja? Wiesz, od jak dawna o tym marzę.

- A wiesz, o czym ja marzę, Jack?

- O czym?

- Dobra odpowiedź. Zawsze muszę na pierwszym miejscu stawiać twoje marzenia. Kiedy nadejdzie moja kolej?

- A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć, że ty w ogóle chcesz, aby nadeszła kolej na ciebie, Birdie? Całe życie spędziłaś na bocznym torze. Chcesz, żeby nadeszła twoja kolej? W takim razie wykorzystaj szansę tak jak my wszyscy, to znaczy, wyłóż kawę na ławę, ale nie zwalaj całej winy na mnie tylko dlatego, że mam odwagę podążać za swoimi marzeniami.

Zbladła. Zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. W obecności Birdie bez problemu można było wygłaszać tyrady, wrzeszczeć i krzyczeć, byle tylko nie zbliżać się za bardzo do prawdy.

Cofnęła się o krok.

- Za chwilę do tego wrócimy. Muszę się zastanowić.

- Nie, do diabła, zostań ze mną i porozmawiaj. Nie uciekaj.

Wiedział jednak, że taka taktyka nie prowadzi do niczego dobrego. Elizabeth zawsze wychodziła w środku kłótni i wracała dopiero po chwili, gdy nieco ochłonęła. Nie potrafiła stawić czoła swoim gwałtownym emocjom.

Ujął ją za brodę i zmusił do tego, żeby na niego spojrzała.

- Zastanów się, Birdie. Dwa lata spędziłem na zadupiu. Codziennie przez trzy godziny siedziałem w samochodzie tylko dlatego, że chciałaś mieć domek marzeń. Przez cały czas wiedziałas, że to dla mnie powolna śmierć. Zrobiłem to dla ciebie. - Potem dodał cicho: - Myślałem, że będziesz się cieszyć w moim imieniu.

Ciężko westchnęła.

- Och, Jack. To jasne, że tak właśnie myślałeś.

Nie wiedział, co powiedzieć. W milczeniu patrzył, jak Elizabeth opuszcza sypialnię. Nie poszedł za nią; to i tak nie miałyby sensu. Stał więc przy oknie i czekał.

Oczywiście po chwili zauważył, że wyszła na werandę. Przecięła tonące w ciemności podwórko i powędrowała na najdalszy kraniec posiadłości, w miejsce gdzie stary, zniszczony płot biegł wzdłuż urwiska. Stała na najwyższym stopniu schodów i spoglądała na morze.

Nie miał pojęcia, o czym myśli Elizabeth. Następny znak, jak bardzo się od siebie oddalili.

Po jakimś czasie wróciła do domu. Czekając na nią, napalił w kominku i włożył do piecyka mrożone lasagne. W domu pachniało pomidorami i roztopionym serem.

Elizabeth powiesiła płaszcz na wieszaku i weszła do salonu. Przez całą wieczność stała, patrząc na Jacka oczami pełnymi schnących powoli łez.

- Myślę - szepnęła w końcu - że możemy zamieszkać w Nowym Jorku, przynajmniej na jakiś czas.

Wziął ją w ramiona i przytulił.

- Kocham cię, Birdie.

- Lepiej, żeby naprawdę tak było.

- Tym razem będzie wspaniale, zobaczysz. Dziewczęta już nie trzymają nas w domu, a moja praca nie będzie mnie zmuszać do wyjazdów poza miasto.

Widział, że Elizabeth sceptycznie podchodzi do całej sprawy, a jednocześnie bardzo chce wierzyć jego słowom.

- W porządku. Chcę jednak ten dom tylko komuś wydzierżawić, nie sprzedawać go. To nie będzie przeprowadzka na stałe. Albo się na to zgodzisz, albo nie ma żadnej umowy.

- Zgadzam się.

- Kiedyś tu wrócimy. Chcę, żebyśmy się zestarzelili w tym domu.

- W porządku.

- Jeszcze jedno, nie będziemy mieszkać na Manhattanie. Może w Westchester County. W poniedziałek zacznę dzwonić do pośredników handlu nieruchomościami. Do lata powinni coś dla nas znaleźć.

- W poniedziałek zaczynam pracę.

- Co takiego?

- Taka była umowa. Szefowie chcą jak najszybciej wyemitować pierwszy odcinek programu.

- O czym ty, do diabła, myślałeś? - Odsunęła się od niego. - Do poniedziałku nie zdołamy się przeprowadzić.

- Zaproponowali mi kontrakt, a ja go podpisałem, Birdie. Nie zapominaj o mojej przeszłości. Co miałem zrobić? Negocjować?

- Nie znajdziesz tak szybko w Nowym Jorku miejsca do mieszkania. Poprzednim razem zajęło nam to sześć miesięcy.

- Póki nie znajdziemy czegoś odpowiedniego, możemy korzystać z mieszkania służbowego. Ja lecę w niedzielę. Gdy zamkniesz ten dom, przyjedziesz do mnie i wybierzesz dom swoich marzeń. Tym razem pieniądze nie stanowią problemu. - Uśmiechnął się. - Daj spokój, Birdie, przestań się wkurzać. Uznaj to za wspaniałą przygodę.

- Pozwól, że sprawdzę, czy dobrze cię rozumiałam. Mówiła powoli, jakby myślała, że jego mózg przestał funkcjonować.

- Przyjąłeś pracę bez porozumienia się ze mną i zgodziłeś się skorzystać z mieszkania służbowego, którego nigdy nie widziałam na oczy. Przez ciebie musimy się przeprowadzić na drugi kraniec kraju, ale to ja mam zamknąć dom, w dodatku sama.

Mówiła to tak, jakby popełnił ciężkie przestępstwo. Jack traktował sprawę nieco inaczej. Do diabła, wiele razy postępowali tak samo.

- Spróbujemy pomieszkać tam kilka lat. Jeśli nam się nie spodoba, zawsze możemy tu wrócić.

Podeszła do okna.

Stanął za nią, położył dłonie na jej spiętych ramionach i pocałował ją w kark.

- Pamiętasz, byliśmy w Nowym Jorku tacy szczęśliwi.

- Nieprawda - zaprotestowała. - Nie przypominam sobie, że bym w Nowym Jorku była szczęśliwa.

Nie powinien tego mówić. Wracanie do przeszłości było kiepskim pomysłem.

- Tym razem będziemy szczęśliwi.

- Czyżby?

W jej głosie słyhać było ogromną tęsknotę. Cichą nadzieję, że nowe miejsce ożywi stare uczucia.

- Będziemy bliżej dziewcząt - przypomniał jej, wiedząc, że to najlepszy argument. - Kiedy tylko zechcesz, będziesz mogła wsiąść do pociągu i odwiedzić je.

- To prawda.

- Uwierz mi, Birdie, to dla nas doskonałe rozwiązanie.

- Na pewno masz rację - przyznała w końcu, nie opierając się o niego, tak jak kiedyś to robiła. Odsunęła się. - Chyba muszę zabrać się do roboty. Jest milion spraw do załatwienia. Będziemy musieli zadzwonić do dziewcząt. Jutro skontaktuję się z firmą, która zajmie się przeprowadzką.

Pod wpływem stresu wyraźniej było słychać jej południowy akcent.
 - Będziemy szczęśliwi - powtórzył. - Zobaczysz. Ciężko westchnęła.
 - Oczywiście.

Przez cały weekend Elizabeth czuła się jak skazaniec, którego egzekucja ma się odbyć w poniedziałek rano.

Jack zachowywał się jak dziecko w Boże Narodzenie, był tak podekscytowany, że momentami wybuchał śmiechem, chociaż nie miał ku temu żadnego powodu. Praca w Nowym Jorku była spełnieniem wszystkich jego marzeń.

Elizabeth nie mogła podnieść ręki, odchrząknąć i powiedzieć: „Nie chcę jechać”.

Nic nie stało na przeszkodzie, żeby się przeprowadzili. Jeśli o to chodzi, Jack miał rację. Poza tym naprawdę była to wspólna przygoda.

Niestety, przygoda Jacka, nie Elizabeth; ona jedynie została po drodze zabrana na tę wyprawę. Była towarzyszką podróży. Podróż, na którą kupuje się jeden bilet, a drugi organizatorzy dokładają za darmo.

W niedzielę spędzili ostatni wspólny wieczór przed kilkutygodniową rozłąką. Elizabeth popadała w coraz większe przygnębienie. W którą stronę spojrzała, dostrzegała coś, co było dla niej ważne, coś, czego za nic w świecie nie chciała zostawić. Bardzo lubiła domek nad morzem, bardziej, niż potrafiła wyrazić czy zrozumieć. Na myśl o opuszczeniu go robiło jej się niedobrze.

Od dwóch lat po obudzeniu się każdego ranka widziała malowniczy Pacyfik. Nie wyobrażała sobie, że teraz po przebudzeniu miałyby podejść do okna i zobaczyć budynek po drugiej stronie ulicy. Jak będzie żyła, nie mogąc nocą patrzeć w gwiazdy albo nie słysząc w zimowe dni huku oceanu? Jak wytrzyma w miejscu, gdzie nigdy nie jest cicho, gdzie miliony ludzi żyją w kłatkach poustawianych jedna na drugiej wysoko aż do nieba?

Niestety, nie miała innego wyboru. Była żoną Jacka.

W ostatni wspólny wieczór starannie nakryła do stołu, poustawiała na nim najlepsze naczynia i sztuce. Na kolację podała coquilles Saint-Jacques w pięknej porcelanie, która należała niegdyś do jej prababci.

Kiedy ona i Jack usiedli po przeciwnych stronach stołu, wydawało się, że dzielą ich kilometry. Kolacja przypominała smutną scenę z zagranicznego filmu o problemach małżeńskich, o ludziach, którzy całe wieki temu pobrali się z miłości, a teraz byli jedynie... bladymi cieniami tamtych osób i jeszcze blebszą ilustracją tego, kim chcieli być w przyszłości.

Jack obrócił głowę w lewo i zamarł w bezruchu z widelcem w powietrzu. Elizabeth wiedziała, że mąż słucha telewizora włączonego w salonie. Nadawano właśnie jakąś reklamę.

- Może pewnego dnia zaczniesz robić głupie reklamy dla telewizji.

Uśmiechnął się.

- Czy to nie byłoby wspaniałe? Miała ochotę go uderzyć.

- Taaak, wspaniałe.

- Wymyśliłaś już, co będziesz robiła w Nowym Jorku? Miło, że w końcu pytasz - pomyślała. Na siłę odsunęła od siebie tę cyniczną uwagę i głośno powiedziała:

- Na razie nie wiem. Chętnie zajęłabym się ogrodem, ale w tym mieście nie ma zbyt wielu ogrodów.

- Może urządzisz ogródek w skrzynkach na parapecie?

Przypomniała sobie ogród na tyłach domu. Od osiemnastu miesięcy przygotowywała plan. Sprawdziała, gdzie powinna posadzić jaką roślinę. Zeszłej wiosny wetknęła w ziemię trzysta cebulek. Żonkile, krokusy, hiacynty, lilie. Starannie zaplanowała ich rozmieszczenie, żeby odpowiednio wyeksponować poszczególne barwy.

- To wspaniały pomysł.

Potem zamilkli. Po kolacji poszli do kuchni i razem umyli naczynia. Elizabeth płukała, Jack wkładał je do zmywarki. Rutyna, którą dopracowywali przez lata.

Gdy blaty zostały wytarte, powiedział:

- Zaraz wracam.

Rzeczywiście po chwili był z powrotem. Trzymał w ręce duże, płaskie pudło w opalizującym różowym papierze. Wziął Elizabeth za rękę i poprowadził ją do salonu.

- Chodź - szepnął.

Przypomniała sobie, jak wiele lat temu ujął ją za rękę i ofiarował jej serce. „Nie masz się czego obawiać - powiedział wtedy. - Jestem człowiekiem, którego pragniesz”.

Wziął z ławy pilota i ściszył telewizor.

Gdy siadała na sofie, próbowała nie myśleć o tym pokoju, ponieważ było to jej ulubione miejsce. Każdemu centymetrowi kwadratowemu oddała serce i duszę. Nie myśl o tym - nakazała sobie.

Jack klęknął przed nią.

- Wiem, że tym razem podrzuciłem ci sporą bombę. Nie odpowiedziała, bojąc się, że jeśli się odezwie, nie zdoła ukryć złości.

- Tak - to było wszystko, na co się odważyła.

- Przykro mi.

Przeprosiny odebrały jej pewność siebie, nawet nieco ją zawstydziły. Naprawdę chciała być kobietą, która z radością wita zmiany, a przynajmniej cieszy się z sukcesu męża.

- Mnie też jest przykro. Chyba zapomniałam, co to przygoda.

- Teraz będziemy naprawdę szczęśliwi.

Zaskoczył ją jego dźwięczny głos; przypomniała sobie, że Jack ostatnio był tak samo nieszczęśliwy jak ona. Pchnął w jej stronę paczkę.

- Przywiozłem to dla ciebie z Nowego Jorku.

- Jest nieco za duże na brylant - zażartowała, otwierając pudło.

W środku były szare spodnie od dresu i szara bluza z napisem „Fox Sports”. Rozmiar „M” - średni. Wyraźnie Jack nie zauważył, że Elizabeth nosi obecnie „L” - duży.

- Uwielbiałaś kiedyś swoje uniwersyteckie dresy, pamiętasz?

Miała wtedy dziewiętnaście lat - pomyślała. Uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, skarbie.

Wychylił się do przodu i położył dłonie na jej udach.

- Uda nam się, Birdie. Przeprowadzimy się do Nowego Jorku i zaczniemy wszystko od nowa.

Siedziała nieruchomo. Była kobietą w średnim wieku, tymczasem trzymała w rękach strój, który uwielbiała jako nastolatka. Jack mógł wierzyć, w co chciał, ale ona nie była naiwna. Dla niego wszystko się zmieni, dla niej nie. Za kilka tygodni poleci do nowego miasta i zadomowi się w starym małżeństwie.

- Będzie wspaniale - powiedziała.

- Na pewno.

Tym razem się uśmiechnął. Zauważyła, że odczuł ogromną ulgę. Ogarnęła ją złość.

Objął ją ramieniem i podciągnął na nogi.

- Chodź, pooglądamy telewizję w łóżku. Jak za dawnych czasów.

Położyli się do ogromnego łóża i obejrzeli Seks w wielkim mieście i Kancelarię adwokacką.

Gdy program się skończył, Jack wyłączył światło i obrócił się na bok.

- Kocham cię, Birdie - powiedział i pocałował ją. Poglaskał ją po plecach, po czym wsunął rękę pod flanelową koszulę nocną i położył na nagim udzie.

Odpowiedziała pocałunkiem. Kochali się w milczeniu, w dobrze znany sposób, który wypracowali przez dziesięciolecia. Gdy było po wszystkim, Jack odwrócił się i zasnął.

Elizabeth delikatnie odsunęła się od niego. Położyła głowę na swojej poduszce i słuchała oddechu męża. Przypomniła sobie, jak cudowne bywały niegdyś ich stosunki. Przez lata, nawet gdy małżeństwo zaczęło się psuć, łączyła ich namiętność. Teraz zgasła nawet ta iskierka.

Chociaż z drugiej strony... byli małżeństwem od tak dawna. Spędziła u boku Jacka ponad połowę życia. Myślała, że zestarzeją się razem w tym domu. Głupio uwierzyła w jego obietnicę, że już się stąd nie wyprowadzą.

Nawet w ubiegłym tygodniu, gdy wyobrażała sobie przyszłość, widziała, jak siwowłosi i uśmiechnięci siedzą razem na werandzie albo ogrodowej ławce z kutego żelaza i patrzą, jak bawią się wnuki.

Teraz, spoglądając w przyszłość, nie widziała niczego.

RS

ROZDZIAŁ 10

Jack szedł przez Broadway, łokciami torując sobie drogę wśród tłumu. Mieszkał w Nowym Jorku od dwóch tygodni, ale już czuł się nowojorczykiem.

Nowy Jork zawsze był jednym z jego ulubionych miast. Jako chłopiec dorastał w małym, przygnębiającym, zapyziałym miasteczku Aberdeen w stanie Waszyngton, gdzie rodzice ciężką pracą przedwcześnie wpędzali się do grobu. Miał wtedy dwa marzenia: jedno to grać w futbol w NFL, drugie - mieszkać w dużym mieście, w którym bez przerwy coś się dzieje. Zawsze chciał być grubą rybą w ogromnym stawie, a teraz po piętnastu anonimowych, straconych latach WRÓCIŁ.

Mieszkanie służbowe znajdowało się w samym centrum tętniącego życiem miasta. W pobliżu było mnóstwo wspaniałych restauracji. Nawet gdyby o trzeciej w nocy miał ochotę na pączki Krispy Kreme, na Boga, mógł je dostać. Kochał wszystko, co wiązało się z Nowym Jorkiem, ale najbardziej cieszyło go to, że w ciągu zaledwie dwóch tygodni znów stał się kimś.

Będzie jeszcze lepiej. Program Good Sports na razie nie został wyemitowany, ale w świecie mediów już dużo się o nim mówiło, w telewizji również, powiadano nawet, że to coś w rodzaju świętego Graala. Sieć telewizyjna Fox na okrągło trąbiła o tym, że Jumpin' Jack Flash i Warlord znów wystąpią razem. Była to najlepsza promocja. Ich twarze widniały wszędzie: na billboardach, na autobusach, w reklamach.

Jack dobrze wiedział, że to poskutkuje. Sława znanych osobistości zawsze działa na zwyczajnych ludzi. To tak jak w starej reklamie: ona powiedziała dwóm przyjaciółkom... on powiedział dwóm przyjaciołom... a potem okazało się, że ktoś zostawił dla człowieka wolny stolik w „Le Cirque”.

Skręcił w Pięćdziesiątą i powędrował w stronę domu. Zabawne, że już myślał o nim w taki sposób. Bezosobowy apartament z jedną sypialnią i kuchnią mniejszą niż większość łazienek szybko stał się domem.

Odźwierny wpuścił Jacka do budynku. Shore przeszedł przez wąskie, wykładane marmurem foyer, wsiadł do windy i pojechał nią na dwudzieste trzecie piętro.

W mieszkaniu wszystkie rzeczy znajdowały się dokładnie tam, gdzie je zostawił. Na ladzie kuchennej stała opróżniona do połowy butelka piwa, a na ławie leżał otwarty numer „Sports Illustrated”. Nikt nie posprzątał podczas nieobecności Jacka. Mógł podjąć czytanie w miejscu, w którym je skończył.

Przeszedł przez ciemną minikuchnię. W sypialni zrzucił z nóg buty. Jeden ze stukotem uderzył o ścianę, drugi potoczył się po kremowym dywanie i zniknął pod nie-zasłanym łóżkiem.

Jack usiadł na wymiętym stosie pościeli i koców. Odkąd się wprowadził, nie ścielił łóżka. Elizabeth natychmiast by to zmieniła.

Elizabeth - pomyślał.

Włączył lampkę obok łóżka i rozejrzał się po pokoju jej oczami. Wiedział, że maleńkie pomieszczenia nie przypadłyby jej do gustu. Birdie kochała kolory, fakturę i sztukę, dlatego uznałaby apartament za nudny. Natychmiast zaczęłaby gorączkowe poszukiwanie miejsca, które mogłaby nazwać domem. Na myśl o tym Jack poczuł zmęczenie.

Kochał ją, ale ostatnio łatwiej mu było trzymać się z daleka. Przyznawszy się do tego, poczuł się jak skończony dupek, ale w tej chwili nie miał powodu kłamać. Zwłaszcza tutaj, gdy siedział na łóżku dość dużym dla dwojga, ale cholernie wygodnym dla jednej osoby.

W końcu był w Nowym Jorku i miał wszystko, czego pragnął. Duże miasto, pieniądze, sławę.

Niestety, jego marzenia różniły się z marzeniami Elizabeth. Niezależnie od tego, za czym tęskniła - w końcu zapytała, kiedy przyjdzie „jej kolej” (a Jack nie miał pojęcia, o czym jego żona marzy) - nie znalazłaby tego w apartamencie z jedną sypialnią i łazienką zbyt małą, żeby zmieścić w niej wieszak na ręczniki. Ewentualna szafka za oknem musiałaby mieć rozmiary kuchennego telewizora, poza tym Elizabeth wolałaby patrzeć na wysypisko toksycznych odpadów niż na ruchliwą ulicę.

Chciała mieszkać na jakichś eleganckich przedmieściach, w Connecticut albo Westchester County, w tradycyjnym domu z podwórkiem, ogrodem tak dużym, żeby mogła hodować swoje ukochane róże, i salonem, w którym odpowiednio wyeksponowałaby wszystkie starannie wybrane meble.

Dotychczas robił tak, jak chciała.

Spędził dwa lata w zapomnianej przez Boga, zapyziałej dziurze, z dala od ludzi, którzy się liczyli. Zrobił to, bo przyszła kolej Elizabeth, a ona wybrała dla siebie wymarzony dom, tylko czy naprawdę myślała, że będą tam mieszkać do końca życia? Do diabła, pod względem pogody gorsze było w Stanach Zjednoczonych tylko jedno miejsce: Barrow na Alasce.

Kiedy Jack przestał grać w futbol i rzucił narkotyki, próbował żyć jak odpowiedzialny, dorosły człowiek. Mieszkał w porządnym domu, w dzielnicach, w których były dobre szkoły, ale znajdowały się tak daleko od

świateł i neonów, że o ósmej wieczorem było tam ciemno jak w mysiej dziurze. Koniec z tym.

Teraz przyszła jego kolej.

Zaburczało mu w brzuchu z głodu, żołądek przypominał, że Jack od śniadania nic nie jadł. Nie zaglądając do lodówki, chwycił płaszcz.

Na ulicy panował spory ruch. Wszedł do jednego ze swoich ulubionych lokali, baru, który szczycił się telewizorem z ogromnym ekranem i tym, że podczas jedzenia można było obejrzyć nocne mecze.

Jack machnął ręką barmanowi i usiadł w boksie, w głębi lokalu. Kiedy do jego stolika podeszła kelnerka, zamówił piwo i cheesburgera. Po minucie postawiła przed nim szklanice.

Właśnie sięgał po serwetkę, kiedy po przeciwnej stronie stolika dostrzegł jakąś kobietę.

- Mogę się na chwilę przysiąść? - zapytała.

Był tak zaskoczony, że automatycznie kiwnął głową.

Wyjątkowo nie pasowała do tego baru. Miała na sobie długą do ziemi, beżową sukienkę bez ramiączek. Kreacja podkreślała wąską talię. Między piersiami tkwił przyczepiony biały jedwabny kwiat. Wyglądała jak ktoś z Seksu w wielkim mieście.

Uśmiechnęła się do niego ze znużeniem i podniosła rękę. Gdy barman ją zobaczył, krzyknęła:

- Dwie tequille bez dodatków! - Uśmiechnęła się do Jacka. - Jezu, jak to dobrze, że w pobliżu jest bar.

Była piękna i młoda. Mogła się zbliżyć do trzydziestki.

- Mam na imię Jack - powiedział.

Rzuciła na stół torebkę od któregoś z kreatorów mody i przeszukała ją. Po chwili znalazła papierosy. Gdy zapaliła, poczuł zapach goździków.

- Amanda - przedstawiła się, spojrzała na niego i wypuściła dym. - Znam cię. Jesteś nowym nabytkiem Fox Sports, prawda? Szastają pieniędzmi na prawo i lewo, żeby wypromować ciebie i Warrena. A ja pracuję w BBDO. Reklamy sportowe to moje życie.

- Naprawdę?

- Lepiej wyglądasz na żywo. Pewnie wciąż to słyszysz.

Próbował nie okazywać radości, ale jej komplement podziałał na niego jak kieliszek czegoś mocniejszego.

- Zastanawiasz się chyba, dlaczego mam na sobie taką śmieszna kieckę. Moja siostra właśnie wyszła za mąż. Byłam na ślubie.

Barman podszedł i postawił drinki na porysowanym stoliku. Spojrzał na Jacka.

- Podać następne?

Jack w tym momencie zauważył, że opróżnił swoją szklanicę. Kiedy on to zrobił?

- Jasne.

- Już przynoszę.

Amanda wzięła kieliszek i jednym łykiem wypija całą tequillę. Potem pochłonęła drugą, uderzyła otwartą dłońią o stół i zachichotała.

- Ufff. Potrzebowałam tego. - Spojrzała na Jacka i uśmiechnęła się promiennie. - Nie jestem alkoholiczką, nawet taką jak Bridget Jones, ale ślub to dla mnie straszne przeżycie. Moja siostra ma dwadzieścia cztery lata i udało jej się złapać jednego z tych facetów, którzy jeżdżą ferrari, mieszkają w TriBeCe i prowadzą firmę internetową. Tymczasem ja musiałam iść na ślub bez chłopaka. Można by pomyśleć, że skoro wiedziałam o tym wydarzeniu od ośmiu miesięcy, mogłam znaleźć kogoś, z kim spędziłabym jeden wieczór, ale nieeee. Musiałam iść sama i wysłuchiwać, jak wszystkie siwowłose damy powtarzają: „No więc, Amando, kiedy zaprosisz nas na swój ślub?” Chryste. - Spojrzała na niego. - Ty z pewnością zamknąłbyś starym sukrom buzie.

Jack nie miał pojęcia, o czym Amanda mówi, więc zrobił uprzejmą minę i przytaknął.

Uśmiechnęła się i wychyliła do przodu.

- Zrobisz to?

- Co?

- Pójdiesz ze mną na przyjęcie. Odbywa się w Mar-riocie. Dostaniemy kilka darmowych drinków, zjemy jakieś frykasy, które kosztowały mojego tatę więcej niż podróż do Grecji. Gra wspaniały zespół.

Oparł się o krzesło, próbując zwiększyć dzielący ich dystans.

Zerknęła na jego rękę i obrączkę.

- To nie będzie randka. Naprawdę. Tylko wesoła noc na mieście.

Obiecuj mi - powiedziała Elizabeth zaledwie dwa tygodnie temu - obiecuj mi, że nie staniesz się człowiekiem, jakim kiedyś byłeś.

- Uratowałbyś mnie. Naprawdę.

Uniosła rękę, by dać znać barmanowi, że chce zapłacić; potem wstała i wyciągnęła rękę do Jacka.

W ostatniej sekundzie cofnął się. Wiedział, że jeśli jej dotknie, może ulec słabości, dzięki której wiele lat temu zszedł na złą drogę.

- Nie mogę - szepnął. - Przykro mi.

Stała przez minutę, spoglądając na niego z góry. W końcu się uśmiechnęła.

- Ale z niej szczęściara. No cóż, w takim razie życz mi powodzenia. Wracam na pole walki.

Kiedy wyszła, Jack zauważył, że ręce mu się trzęsą. Czuł się jak człowiek, który zdążył skręcić na czas i dzięki temu udało mu się uniknąć zderzenia czołowego.

Elizabeth spojrzała na listę. Po dwóch tygodniach ciężkiej pracy powoli zbliżała się do końca. Nie zdążyła zapakować tylko kuchni.

Stała w pustym salonie. Zniknęły piękne fotele, które sama pokryła obiciem w paski, i żółto-niebieska sofa. Nie było też fotografii rodzinnych, które dotychczas stały na każdej półce. Większość z nich została oddana na przechowanie; te, bez których nie wyobrażała sobie życia, wysłała do Jacka do Nowego Jorku.

W miejscu jej skarbów stały teraz kartonowe pudła. Dziesiątki pudeł, każde starannie opisane. Za dwa dni zatrudniona przez nią firma, która zajmuje się przeprowadzkami, przyjedzie po ostatni ładunek i odwiezie je do składu na przechowanie. Wtedy będzie mogła wyjechać.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Lepiej o tym nie myśleć. Gdy patrzyła w zbyt daleką przyszłość, traciła siły.

W końcu chodziło tylko o dom. Powtarzała to sobie przynajmniej pięćdziesiąt razy dziennie.

Od wyjazdu Jacka codziennie z nim rozmawiała. Od wielu lat nie był taki szczęśliwy. Bardzo odpowiadała mu nowa praca. Za każdym razem, kiedy odkładała słuchawkę, łapała się na tym, że się modli. „Boże, spraw, proszę, żebym znalazła tam szczęście... spraw, żebyśmy oboje byli szczęśliwi”.

O wpół do piątej zadzwonił dzwonek. Podskoczyła na ten dźwięk, chociaż się go spodziewała.

Jeszcze nie jestem gotowa - pomyślała.

Nie miała jednak wyboru. Wyprostowała plecy, wygładziła pomięte ubranie i powędrowała do drzwi.

Na werandzie stała Sharon Solin, mocno dociskając ręce do ciała. Miała na sobie gładką, czarną spódnicę i sweter z angory z marynarskim kołnierzem. Elizabeth przypomniała sobie scenę z Love Story, Jenny Cavilleri i jej pierwszą wizytę w domu, który chciała wynająć.

- Pani Shore? - spytała, wyciągając rękę. - Jestem Sharon Solin.

- Proszę, mów do mnie Elizabeth. Wejdz.

- Jak tu pięknie! - westchnęła Sharon, gdy przekroczyła próg.

Elizabeth bez trudu umiała spojrzeć na swój dom oczami Sharon. Salon był jasny, miał ściany w kolorze masła i lśniąca, białą sztukaterię. Dwa ogromne okna wpuszczały do środka bardzo dużo światła nawet w ten ponury zimowy dzień. Dębowe, własnoręcznie odnowione podłogi odbijały złociste światło.

Sharon weszła do kuchni i aż krzyknęła, zobaczywszy piękne, białe szafki i granitowe blaty. Bardzo spodobał jej się staroświecki piec. W jadalni zachwycił ją piękny widok.

Elizabeth z trudem podtrzymywała bezmyślną rozmowę, gdy przechodziły przez kuchnię, gościnną łazienkę i wędrowały schodami na piętro. Podała pewne szczegóły ze swojego życia: „Mój mąż został przeniesiony...”, „Mieszkaliśmy w tym domu ponad dwa lata...”, „Gdy wprowadziliśmy się do niego, był kompletnie zniszczony...”, „Poprzedni właściciel całkiem go zaniedbał...”, „Nie zdążyłam wykończyć sypialni, ale wybrałam kolory...”, „W ubiegłym roku wiosną zaczęłam sadzić kwiaty w ogrodzie...”

Załamana się dopiero pod koniec obchodu. Powinna wiedzieć, że to się zbliża, ale nie dostrzegła znaków ostrzegawczych. Beztrosko weszła do sypialni i zobaczyła widok.

Przeszklonym drzwiom - była to pierwsza zmiana, jaką wprowadziła w tym domu - towarzyszyły po bokach wysokie od podłogi do sufitu okna. Wspaniały widok obramowany piękną sosnową sztukaterią.

Ocean rozciągał się od jednego krańca pokoju do drugiego i mienił błękitem jak w kalejdoskopie. Tego dnia niebo było szare, ale Elizabeth wiedziała, że gdyby przyjrzała się uważniej, dostrzegłaby dziesiątki wspaniałych barw. Na balkonie za przeszklonymi drzwiami błyszcząły dwa fotele bujane, moknące w strugach deszczu. Między nimi była rozwieszona ogromna, zawila pajęczyna. Dzięki kropelkom wody przypominała kryształowy naszyjnik Swarovskiego.

- Piękny widok - powiedziała Sharon, podchodząc do okna. - To cudowne budzić się z takim widokiem.

W ubiegłym roku Elizabeth zwichnęła rękę. Teraz czuła się tak jak wtedy: jakby ktoś odrywał jej mięśnie od kości. Uśmiechnęła się - może zbyt promiennie, ale Sharon nie mogła tego wiedzieć.

- Tak, to prawda. Zostawię cię na chwilę samą. Wszystkie warunki podałam ci przez telefon, mam wypełniony przez ciebie formularz. Będę na parterze, gdybyś miała jakieś pytania.

- Dzięki.

Elizabeth zeszła na parter. Znalazłszy się w salonie, próbowała sobie przypomnieć, czy już spakowała aspirynę. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyły się, nim zdołała do nich podejść.

Na progu stanęła Meghann z promiennym uśmiechem na ustach. W jednej ręce trzymała pudełko z pizzą, w drugiej - butelkę wina.

- Wyczułam twoje wołanie o pomoc i przywiozłam ulubiony środek uspokajający dla gospodyni domowej z małej miejsciny.

Elizabeth nigdy tak bardzo nie ucieszyła się na widok przyjaciółki.

- Kocham cię, Meg.

Na schodach rozległy się kroki.

- Potencjalna najemczyni - wyjaśniła Elizabeth, gdy Sharon weszła do pokoju.

Kobieta uśmiechnęła się nerwowo.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żeby mój mąż obejrzał ten dom. Prawdę mówiąc, chciał coś kupić, ale na razie nie bardzo możemy sobie na to pozwolić. Wolę wynająć piękny dom, taki jak ten, niż być właścicielką czegoś wstrętnego.

- Z pewnością. Będę jeszcze przez dwa dni. Zadzwoń, wtedy umówimy się, kiedy będzie mógł obejrzeć dom.

- Nie darowałabym sobie, gdybym przegapiła taką okazję, ale wiem, że mój mąż będzie chciał osobiście go obejrzeć.

Elizabeth doskonale to rozumiała; sama powiedziała by to samo. Nagle poczuła ogromną ochotę, żeby ostrzec Sharon, wytłumaczyć jej, jak łatwo w małżeństwie pobłądzić. Oczywiście wszystko zaczyna się od decyzji, której nie wolno podjąć w pojedynkę.

- Nie martw się. Nie miałam zbyt wielu chętnych. Ludzie nie chcą mieszkać tak daleko od drogi.

Sharon zrobiła krok do przodu.

- Pewnie ciężko ci opuszczać ten dom. Widać, że go kochałaś.

Elizabeth była bliska łez.

- Dziękuję, że przyszedłaś. Będę czekać na telefon. Odprowadziła Sharon do drzwi i pożegnała się z nią.

- Mój Boże - powiedziała Meg, gdy Sharon wyszła. - Toż to dziecko. Czy w tych okolicach dzieci wynajmują domy z widokiem na ocean?

- Uważaj, mówisz jak stara mieszkanka wielkiego miasta. A teraz otwórz wino, zanim się rozplącę.

- Po to tu jestem, Birdie. Żebyś mogła popłakać.

- Otwórz wino.

Meghann weszła do kuchni, wyjęła dwa kieliszki i napełniła je. Jeden wręczyła Elizabeth.

- Czy ty i Jack kiedykolwiek rozmawialiście o tym?

Elizabeth usiadła ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej podłodze przed zimnym kominkiem. Odchyliła się do tyłu i oparła o pudło. Nie chciała na ten temat rozmawiać, ale tak to już jest, kiedy człowiek zdobędzie się na wyznanie. Kiedy powie się przyjaciółce o problemie, trzeba bez przerwy do niego wracać, a jeśli do tego wszystkiego najlepsza przyjaciółka jest prawniczką, wtedy, no cóż, używając nieśmiertelnego określenia Tony'ego Soprano: *fuggedaboutit*. Przytaknęła.

- Do pewnego stopnia.

- On też jest nieszczęśliwy?

- Już nie, przynajmniej odkąd dostał nową pracę. Zachowuje się jak więzień na zwolnieniu warunkowym z pieniędzmi w kieszeni. Przypuszczalnie ta praca - i Nowy Jork - wszystko między nami zmienia.

- To możliwe.

- Taaak.

Meg zerknęła na Elizabeth znad oprawek okularów.

- Czy grupa wsparcia pomogła?

- Uważają, że powinnam znów malować.

- Od lat mówię to samo.

Elizabeth westchnęła. Naprawdę nie chciała w tej chwili dyskutować na ten temat, gdy wokół nich stały pudła, a ona myślała tylko o przeprowadzce.

- Malowanie to nie jazda na rowerze, Meg. Nie można po latach po prostu wskoczyć na siodełko i pojechać. Sztuka potrzebuje... ognia, a ja jestem zimna.

Meghann bacznie jej się przyjrzała.

- Może Jack ma rację. Może Nowy Jork jest dobrym rozwiązaniem. Z całą pewnością ugrzęzłaś na tym odludziu po uszy.

- Porozmawiajmy o czymś zabawnym. Opowiedz mi o sobie. I o swoim nowym chłopcu.

- Dlaczego myślisz, że mam nowego chłopca?

- Rokrocznie w sylwestra postanawiasz, że już więcej nie będziesz się spotykać z dziećmi, więc przez kilka miesięcy chodzisz na randki z łysemi.

Meghann wybuchnęła śmiechem.

- Jezu, jakie to żałosne, ale tak się składa, że właśnie spotykam się z bardzo miłym księgowym. Oczywiście, to nie potrwa długo. Dobrze wiesz, że raczej

dość szybko zrywam z facetami, którzy odnieśli sukces. Stanowiliby poważne zagrożenie dla mojego głównego zajęcia, które polega na przyciąganiu nieudaczników.

- Nie cierpię, kiedy mówisz o sobie w taki sposób.

- Stanowimy wspaniałą parę, nie sądzisz? Jedna nie ma odwagi, drugiej brakuje nadziei. Nic dziwnego, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. - Meghann uniosła kieliszek w milczącym toaście. - Będę za tobą tęsknić, Birdie.

- Przypuszczam, że będziemy musiały wrócić do naszych wieczornych czwartkowych rozmów telefonicznych. Robiliśmy to przez tyle lat.

- Taaak.

- Wszystko będzie dobrze. Rozmowy to też coś.

Obie jednak wiedziały, że już nie będzie tak jak dawniej.

RS

ROZDZIAŁ 11

W ostatnim tygodniu stycznia bardzo się ochłodziło. Niebo całkowicie zatraciło swój błękit i pochylało się tak nisko, jakby przygotowywało się do bitwy. Drzewa wzdłuż linii brzegowej drżały na wietrze i czekały, kiedy lodowaty deszcz zamieni się w śnieg.

Elizabeth po raz ostatni wybrała się do miasta. Jechała dwupasmową szosą, która biegła wzdłuż wybrzeża i wiła się leniwie tuż nad skrajem urwiska. Po lewej stronie rozciągał się potężny Pacyfik, po prawej - stary las, w którym rosły najwyższe drzewa na świecie. Miejscowi mówili, że w owym lesie żyją stada potężnych łosi, a kiedy próbowało się przebić wzrokiem czarno-zieloną ciemność, łatwo było w to uwierzyć.

Po ostatnim zakręcie droga zaczęła biec w dół, w stronę oceanu.

WITAMY W ECHO BEACH, GDZIE BÓG ODPOWIADA NA KAŻDE ZAWOŁANIE - głosił napis po lewej stronie jezdni.

Centrum miasta mieściło się w kwadracie, który tworzyły cztery ulice. Nie było tu świateł, które zmuszałyby do zmniejszenia prędkości, niskich domów wypoczynkowych ani restauracji. Najbliższy czterogwiazdkowy hotel to Stephanie Inn, wiele kilometrów stąd.

Staroświeckie lampy uliczne stały na brukowanych chodnikach. Sklepy miały eleganckie wystawy i łukowe wejścia. Wszystkie daszki nad wejściami pokryte były gontem; stare drewniane powierzchnie miały kolor popiołu. Nieliczne szyldy wykonano ręcznie z drewna i żelaza. Wisiały one dyskretnie obok zamkniętych drzwi.

Nawet nazwy były tu inne. „The Tee-it-up Sportswear Shop”; „Take a Hike Shoe Store”, „Hair We Are Beauty Salon”. Oczywiście, nie brakowało sklepów z pamiątkami, restauracji i lodziarni. Brązowe, pozbawione liści gałązki clematisu i wisterii pięły się po płocie, który oddzielał miasto od staroświeckiej nadmorskiej promenady.

Elizabeth zaparkowała przed restauracją „Beachcom-ber” i pozalätwiała ostatnie sprawy. Podrzuciła pudła z ubraniami i przeczytanymi powieściami do domu pomocy społecznej, zgłosiła na poczcie zmianę adresu, odebrała bilety na samolot i przypomniała szeryfowi, że jej dom będzie pusty, póki nie znajdzie się chętny do wynajmu (John Solin powiedział, że jest zbyt zajęty, aby umówić się z nią na spotkanie, ale Sharon wciąż miała nadzieję).

Ostatnim przystankiem była biblioteka. Elizabeth podrzuciła pudło jedzenia w puszkach do miejscowej gar-kuchni, potem ruszyła w drogę powrotną do samochodu. Gdy przechodziła przez ulicę, przestał padać deszcz.

Nagle chmury rozdzieliły się i na ulicę padł snop żółtych promieni słonecznych. Krople deszczu lśniły na chodniku. Uniosła się delikatna mgiełka, odsłaniając ocean.

Podmuch wiatru podrzucił na ulicach mokre liście. W lekkiej bryzie Elizabeth wyczuła słony zapach wody i delikatną woń nadmorskiej trawy.

Przeszła przez pustą ulicę i skręciła na promenadę. Szeroka ścieżka była wyłożona różowawymi kamieniami, a po jej obu stronach rosły w drewnianych skrzynkach idealnie przystrzyżone rośliny zimozielone, które tworzyły żywopłot. Go kilka metrów stała piękna żelazna ławka. Na najbliższej znajdowała się plakietka: „Ku pamięci Esther Hayes”. Staroświeckie lampy uliczne z kutego żelaza stały w równych odstępach wzdłuż całej trasy spacerowej. Można było sobie wyobrazić, jak Gatsby i Daisy, wytwornie ubrani, spacerują po tej promenadzie, podczas gdy dzieci w zbyt obszernych strojach kąpielowych przebiegają ze śmiechem przez piasek.

Elizabeth zeszła na plażę. Nad jej głową krążyły mewy, co chwila gwałtownie zniżając lot, żeby sprawdzić, czy nie przyniosła jakiegoś jedzenia dla ptaków.

Przed nią rozciągała się plaża, kilometry szarego, rzeźbionego przez wiatr piasku. Z płytkiej wody wystawały gigantyczne, czarne głazy, które przypominały ogromne płetwy rekina. Fale leniwie sunęły w stronę brzegu, co chwila radośnie oblizując piasek.

Elizabeth szła wzdłuż brzegu, czując podmuch wiatru na twarzy. W niewielkiej zatoczce usiadła na płaskim kamieniu. Za jej plecami trawa kołysała się na wietrze.

Samo patrzenie uspokajało nerwy.

Tutaj była nikiem; być może to właśnie bardzo jej odpowiadało. Nie była żoną Jacksona Shore'a, matką Jamie i Stephanie ani ukochaną córeczką Edwarda Rhodesa.

Wzięła głęboki wdech i powoli opróżniła płuca. Powietrze było przesycone zapachem piasku, wodorostów i morza. Po raz pierwszy od tygodni, może nawet dłużej, Elizabeth mogła oddychać pełną piersią.

Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu źle oddychała. Wstrzymywała powietrze w płucach. Ciężko wzdychała. Napięcie i nieszczęście pozbawiły ją naturalnego daru.

Jednak zegar nie przestał tykać. Jutro rano musi wsiąść do samolotu i polecieć na Wschód, do miasta, które nawet w najlepszych czasach ją przerażało, a teraz daleko jej było do najlepszych czasów.

W Nowym Jorku będzie musiała wprowadzić się do apartamentu, którego sama nie wybrała, i sypiać u boku męża, którego nie potrafiła już kochać.

Ostatni dzień w Echo Beach był, co dziwne, piękny i bezchmurny. Wszystkie obłoki gdzieś zniknęły, a niebo nabrało jasnoniebieskiej barwy.

Elizabeth obudziła się wcześniej - gdy odezwał się budzik, wydawało jej się, że dopiero przed chwilą zasnęła -wzięła prysznic i przygotowała się do drogi. Zadzwoiła po taksówkę i poprosiła, żeby samochód podjechał po nią za godzinę, potem wyciągnęła z trudem swój bagaż na werandę.

Zdjęła pantofle i włożyła buty ogrodowe, które zawsze stały przy drzwiach, potem pokonała całe podwórko i dotarła na skraj urwiska.

Na plaży poniżej biała piana zalewała piasek, potem się cofała, zostawiając za sobą nikły, nieco jaśniejszy ślad. Nic - i nikt - nie mógł zostawić na plaży trwałego znaku.

Elizabeth powinna to sobie zapamiętać.

Było jej zimno, więc skrzyżowała ręce na piersiach. Potem odwróciła się i spojrzała na dom. Na swój dom.

Teraz, kiedy słońce oświetlało ściany z białych desek, domek wyglądał jak z bajki - urocza chatka wśród zielonych wzgórz i szarego oceanu.

Elizabeth starała się nie myśleć o ogrodzie i wszystkich roślinach, które chciała w nim zasadzić...

Wydawało jej się, że stała tam minutę lub dwie, kiedy podjechała taksówka.

- Do widzenia, domku - szepnęła i powędrowała zabrać swój bagaż.

Gdy dojechała do lotniska, znów źle oddychała.

Podróż z Portlandu do Nowego Jorku przypominała wspinaczkę na Mount Everest bez tlenu. Ciągnęła się bez końca. Nim Elizabeth dotarła do celu, dosłownie nie miała już czucia w kończynach. Najpierw doleciała do Seattle, potem do Detroit, a w końcu wylądowała na lotnisku Kennedy'ego. Wszystko to było niczym w porównaniu z jazdą taksówką do śródmieścia.

Kiedy kierowca zatrzymał się przy krawężniku, Elizabeth czuła potworny ból kręgosłupa.

Zapłaciła taksówkarzowi, szybko weszła do budynku i ledwo skinąwszy głową odźwiernemu, udała się do windy. Później będzie czas na zawarcie znajomości, teraz rozpaczliwie potrzebowała kręgarza albo przynajmniej excedrinu.

Ściskając w ręce klucz, który przysłał jej Jack, wjechała windą na dwudzieste trzecie piętro i znalazła jego apartament.

- Jack?

Żadnej odpowiedzi. Zerknęła na zegarek.

- Jack?

Było dopiero piętnaście po szóstej. Najpóźniej za pół godziny powinien być w domu.

Elizabeth postawiła torbę na podłodze i rozejrzała się. Apartament był elegancki i bezosobowy, jak typowy drogi pokój hotelowy. Wąski korytarz prowadził przez maleńką kuchnię do umiarkowanie dużego salonu. Nigdzie żadnych elementów, które świadczyłyby o osobowości lokatora. Podłogi wyłożone zostały kremowymi płytkami i marmurem w brązowe żyłki. Pośrodku pokoju stała elegancka, nowoczesna sofa pokryta adamaszkiem. Po jej obu stronach znajdowały się stoliki ze szklanymi blatami, a na nich kryształowe lampki. Ławy, zarzuconej kolorowymi magazynami i puszkami po piwie, prawie nie było widać. Na ścianie nie wisały żadne obrazy, na półkach nikt nie porozstawiał bibelotów.

W kącie przy oknie dostrzegła ogromny, czarny aksamitny barcalounger, który wybitnie nie pasował do tego miejsca. Gdy go zobaczyła, przypomniała sobie telefon Jacka. „W ubiegłym tygodniu kupiłem od Warrena wspaniały mebel. Na pewno ci się spodoba”. Gdy poprosiła o opis, usłyszała, że to niespodzianka. „Ale właśnie w nim siedzę” - dodał ze śmiechem.

- Dobry wybór, Jack - mruknęła, podchodząc do fotela. W ogromnym, grubo wyściełanym oparciu zauważyła zagłębienie na kieliszek. Coś takiego! Zagłębienie.

Usiadła w fotelu. Oparcie na stopy natychmiast się uniosło, a ona sama znalazła się w pozycji półleżącej. Kiedy kurczowo zacisnęła palce na podłokietniku, obity bok rozłożył się. Była w nim wbudowana minilodówka. Na wąskich półkach stało kilka puszek piwa.

Elizabeth wygrzebała się z fotela i ruszyła na dalszy obchód apartamentu.

W małej jadalni stał ładny stół z kamienia i szkła, a przy nim cztery krzesła z obitymi oparciami. Przy ścianie znajdował się starannie dobrany kredens bez żadnych ozdób.

Oczywiście była tylko jedna sypialnia. Apartament z założenia był tradycyjny, a co za tym idzie, brakowało w nim miejsca do spania dla dziewcząt. Jaka piękna wiadomość dla dzieci: „Przykro mi, ale w tym lokalu nie ma dla was miejsca”. Elizabeth zastanawiała się, czy Jack w ogóle o tym pomyślał.

Łóżko było duże i zwyczajne, z jasnoszarą pościelą. Bez wątpienia dodatek od Jacka to czerwony moherowy koc „Fox Sports”. Była zdziwiona, że na poduszkach nie ma poszewek w małe piłki.

Weszła do kuchni. Zerknąwszy do lodówki, doszła do wniosku, że jej mąż nie jadał w domu. Były tam trzy sześciopaki piwa, ogromny słoik majonezu i butelka gatorade. Do połowy zjedzona kanapka rozkładała się na bezbarwną masę. Wyraźnie Jack odkąd tu mieszkał, nie gotował.

W kącie kuchni, przy małym oknie stało duże pudło. Na boku był napis: PAMIĄTKI. Elizabeth rozpoznała swoje pismo. Były to drobiazgi, bez których nie wyobrażała sobie życia.

Jack nawet nie zadał sobie trudu, żeby je rozpakować.

Jak zwykle, szczegóły codziennego życia zostawiał jej. On ograniczał się do strzelania zwycięskich bramek. Elizabeth sprzedawała bilety i sprzątała stadion.

Nalała sobie szklanek wody i otworzyła pudło. Na wierzchu leżała starannie owinięta w grube warstwy papieru kolekcja zdjęć rodzinnych. Elizabeth po kolei je rozwinęła i poustawiała na parapetach i blatach. Wszędzie, gdzie znalazła miejsce.

Miała nadzieję, że dzięki temu apartament bardziej będzie przypominał dom. Gdy skończyła, cofnęła się i sprawdziła efekty.

Nie pomogło. Zdjęcia jedynie przypominały Elizabeth, co straciła.

Zadzwoił telefon.

- Halo, słucham?

- Birdie? Witam w Nowym Jorku! Prawda, że apartament jest wspaniały?

- Taaak. Wspaniały.

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. - W słuchawce zatrzeszczało. - Ale za piętnaście minut mam spotkanie. Powinienem być w domu za półtorej godziny. Góra dwie. Poradzisz sobie, prawda?

Musiała zebrać wszystkie siły, by powiedzieć zwyczajnie:

- Oczywiście.

- Jesteś cudowna. Kocham cię, Birdie.

- Naprawdę?

Nie miała zamiaru o to pytać. Te słowa same wyrwały jej się z ust.

- Oczywiście. Muszę już biec. Do zobaczenia wkrótce.

- W porządku.

Odłożyła słuchawkę. Chwilę później zdała sobie sprawę, że nie powiedziała: „Kocham cię”. Stało się to po raz pierwszy. W przeszłości zawsze potrafiła się zdobyć na wyznanie, nawet gdy daleko jej było do miłości. Ciekawe, czy Jack zauważył.

Podeszła do okna. Ujrzała czarne niebo, błyszczące neony i przemykające poniżej żółte taksówki.

Z westchnieniem wróciła do pudła i rozpakowała album na zdjęcia.

Oto oni, ona i Jack. Stali przed Frosh Pond na UW i trzymali się za ręce.

Każde zdjęcie było kamieniem milowym na długiej drodze ich małżeństwa. Najpierw UW... potem dom w Pittsburghu, gdzie Jack grał w Steelers, drugi dom w Pittsburghu, większy od pierwszego... dom na Long Island... w Albuquerque, i tak dalej, i tak dalej...

Elizabeth wędrowała fotograficzną ścieżką swojego życia małżeńskiego, uświadamiając sobie, jak często po drodze szła na kompromis.

Bez przerwy się przeprowadzała.

Za każdym razem było tak samo: „Następna zmiana, następna praca, następne miasto? Oczywiście, Jack”.

Teraz znów się przeprowadziła i jak dawniej czekała na Jacka. Miała wrażenie, że w taki właśnie sposób spędziła całe życie - czekając na męża.

O wpół do dziewiątej odezwał się jej telefon komórkowy. Wiedziała, że to Jack. Na pewno powie jej, że wróci później, niż się spodziewała. „Tylko godzinę później, skarbie, obiecuję”. W taki oto sposób nowe wielkie miasto porwie ich w stary taniec.

Wyjęła telefon z torebki.

- Halo, słucham?

- Birdie? - powiedział miękki, południowy głos. - To ty?

- Anita?!

Elizabeth zerknęła na zegarek. Było za późno na przyjacielską pogawędkę. Ogarnął ją strach, objęła się zziębniętą ręką.

- Co się stało?

- Twój ojciec miał wylew. Przyjedź jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 12

Elizabeth natychmiast zadzwoniła do Jacka.

- Och, kochanie - powiedział cicho. - Tak mi przykro. Będę w domu za pół godziny. Muszę jeszcze... bla, bla, bla... Poradzisz sobie, nim przyjdę?

Oczywiście, poradziła sobie. Jej mąż nigdy nie umiał stawiać czoła tragedii. Elizabeth wiedziała, że nawet kiedy Jack się pojawi, tak naprawdę nadal będzie sama.

Potem zadzwoniła do córek. Stephanie jak zwykle stanęła na wysokości zadania; prawdopodobnie już podczas rozmowy zamawiała przez Internet bilety na samolot. Jamie nie powiedziała wiele; była zbyt wstrząśnięta niespodziewaną wiadomością. Ona i dziadek byli sobie bardzo bliscy...

Elizabeth słyszała strach w jej głosie, gdy Jamie mówiła:

- Może się z tego wygrzebie. Jak myślisz, wygrzebie się, prawda?

Elizabeth natychmiast chciała pospieszyć z pomocą, pocieszyć córkę, ukoić jej ból, ale nie była to odpowiednia pora na takie obietnice.

Potem zajęła się sprawami organizacyjnymi. Nim Jack wrócił do domu, pozatalowała wszystko, co trzeba, i spakowała mu walizkę.

Potrzebowali ponad dwóch godzin, żeby dotrzeć na lotnisko, przejść kontrolę i zatrzymać się przy bramce. Potem nie odzywali się do siebie ani słowem.

W końcu ogłoszono lot. Wsiedli do samolotu i zajęli miejsca w pierwszej klasie.

Kiedy byli już w powietrzu, pojawiła się stewardesa. Przekazała przez głośnik instrukcje na wypadek jakiegoś nieprzewidzianego wydarzenia.

Elizabeth nie słyszała ni słowa. Kiedy człowiek pokonuje w powietrzu setki kilometrów, żeby zobaczyć ojca,

który być może właśnie umiera, trudno myśleć o innych sprawach.

Dzięki ci, Panie, za Boże Narodzenie - westchnęła w głębi duszy.

Nie myśl tak - skarciła się zaraz.

- Dobrze się czujesz? - spytał Jack ponownie. Elizabeth ścisnęła jego dłoń.

- Nie.

W końcu samolot wylądował w Nashville. Złapali taksówkę i skierowali się na północ.

Czterdzieści pięć minut później auto podjechało pod rozległy, szary szpital.

- Może być to wejście? - spytał taksówkarz, odwracając się do nich.

- Oczywiście - odparł Jack, podając kierowcy zwitek banknotów.

Elizabeth wysiadła z taksówki i zacisnęła ręce, czekając, aż Jack zabierze ich bagaże.

Była bliska załamania, ale nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Macierzyństwo z pewnością uczy kobietę jednego - że w kryzysowych sytuacjach nie można się poddawać.

Mimo to kurczowo trzymała się ramienia męża, gdy wchodzili przez przeszklone drzwi do sterylne, pachnącego antyseptykami foyer.

W recepcji powiedziała:

- Szukamy Edwarda Rhodesa. Recepcjonistka uniosła głowę.
- Pułkownik jest na oddziale intensywnej terapii. Piąte piętro, skrzydło zachodnie.

Jack ścisnął dłoń Elizabeth.

- Obok są windy.

Spojrzała na niego. Nagle uznała, że chce samodzielnie zmierzyć się ze swoim strachem.

- Wolałabym pójść tam sama.
- A jeśli będziesz mnie potrzebować?
- To miłe z twojej strony, ale naprawdę wolę, żebyś tu został. Zresztą i tak nienawidzisz szpitali, a lekarze nie wpuszczają zbyt wielu osób na oddział intensywnej opieki medycznej.

- Przyjdiesz i powiesz mi, jak tylko będziesz coś wiedziała?

- Oczywiście.

Przytulił ją do siebie i mocno pocałował. Tuż przy jej wargach szepnął:

- Wyzdrowieje.

- Wiem.

Niepewnie odwróciła się od niego. Nie oglądając się za siebie, poszła do windy.

Na piątym piętrze wysiadła.

Na oddziale intensywnej opieki medycznej panował ogromny ruch. Elizabeth podeszła do biurka siostry przełożonej i spytała o ojca. Pielęgniarka - starsza, czarnoskóra kobieta o włosach w kolorze popiołu - natychmiast spoważniała.

- Dzień dobry, pani Elizabeth. Jestem Deb Edwards. Pewnie mnie pani nie pamięta. Niegdyś pracowałam u doktora Treamora.

- Dzień dobry, Deb. Miło znów cię widzieć. - Była zdumiona, że jej głos jest tak silny. - Jak on się miewa?

- Ze smutkiem muszę wyznać, że kiepsko, ale zna pani swojego tatę. Jest silniejszy niż przeciętny mężczyzna.

Elizabeth uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Dziękuję - odparła.

Powędrowała korytarzem w stronę jego sali.

Pomieszczenie to było przeszklone z trzech stron. Elizabeth zobaczyła z zewnątrz łóżko, które stało wśród urządzeń podobnych do żurawi. W brzydkich czarnych pudłach błyskały światelka, zielona linia ukazywała każde uderzenie serca.

W łóżku leżał mężczyzna. Był nieruchomy i wyprostowany, nogi tworzyły równoległe grzbiety pod białym kocem, owłosione, naznaczone wiekiem ręce spoczywały przyciśnięte do ciała.

W niczym nie przypominał Edwarda Rhodesa. Ojciec Elizabeth był ruchliwym mężczyzną, zawsze zajmował sporo przestrzeni.

Podeszła do niego, stukając butami o linoleum.

- Cześć, tatusiu - wychrypiała.

Odsunęła mu z oczu siwe włosy. Dłużej przytrzymała palce na wysokim, pomarszczonym czole. Nawet nieprzytomny sprawiał wrażenie, jakby intensywnie myślał, planował jakąś następną przygodę.

Ugięły się pod nią nogi. Przytrzymała się łóżka, żeby nie upaść. Metal zaskrzypiał.

Pochyliła się.

- Witaj, tato. To ja, Birdie.

Zaczęła mówić wszystko to, co zwykle mówi się przy takich okazjach, słowa, które codziennie są powtarzane przy wszystkich łóżkach szpitalnych. Na przykład: „Wyjdiesz z tego...” i „Jesteś silny, wyzdrowiejesz”.

Przez cały czas ojciec był nieruchomy i blady. Skóra, która zawsze, nawet w środku zimy, sprawiała wrażenie opalonej, teraz wydawała się szarawa, blada jak poszewka na poduszkę. W nosie miał przewód do oddychania, w białym, pokrytym żyłami ramieniu tkwiła igła, do której podłączona była kroplówka.

Miał siedemdziesiąt sześć lat, ale wyglądał na starszego. Nie był już tym mężczyzną, który każdego dnia obchodził swoje pola, bo, jak mawiał, „człowiek powinien mieć kontakt ze swoją ziemią”. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze w ubiegłym roku przemierzył Nepal, a rok wcześniej przepłynął bystrzyny Snake River.

- Jesteś cudowny, tatusiu - szepnęła, głaszcząc go po czole.

Pochyliła się i pocałowała go w skroń. Nie poczuła normalnego dla ojca zapachu rumu i dymu z fajki. Pachniał nieświeżym potem i chorobą. Zamknęła oczy, zastanawiając się, jak do niego dotrzeć.

Po jakimś czasie poczuła zapach kwiatów. Ściślej mówiąc, gardenii.

Powoli wyprostowała się. Wiedziała, że nie jest sama. Odwróciła się.

W drzwiach stała Anita. Miała na sobie obcisły, żółty sweter z angory, czarne spodnie i wysokie do kostek czarno-żółte botki.

- Witaj, Birdie - powiedziała cicho nieswoim głosem, bez typowego ożywienia. - Cieszę się, że zdołałaś tak szybko przyjechać. - Podeszła do łóżka. - Cześć, tatuśku - szepnęła, dotykając jego twarzy.

- Jak się miewa?

Gdy Anita uniosła głowę, Elizabeth zauważyła niebieskie cienie pod szarymi oczami macochy.

- Lekarze mają nadzieję, że się obudzi. Elizabeth przygotowała się na najgorsze.

- Ale może nie odzyskać przytomności?

- Im dłużej jest... w takim stanie, tym gorzej. Są pewni, że ma sparaliżowaną lewą stronę.

- Boże - szepnęła Elizabeth.

Przyciągnęła krzesło i usiadła obok łóżka. Anita zrobiła to samo po przeciwnej stronie. Elizabeth doszła do wniosku, że ich zachowanie zdradzało prawdę. Były dwiema kobietami, które kochały tego samego mężczyznę. Zawsze był między nimi, kochał je obie, chociaż nie potrafił sprawić, żeby się do siebie zbliżyły. Przez kilka minut prowadziły uprzejmą pogawędkę, rozmawiały o niczym - o pogodzie i podróży - ale po chwili poddały się. Siedziały w milczeniu prawie dwie godziny, gdy otworzyły się drzwi.

Na salę wszedł niski, przysadzisty mężczyzna.

- Cześć, Phil - powitała go Anita, próbując się uśmiechnąć. Wstała. - Wciąż się nie rusza.

Doktor spojrział na Elizabeth.

- Nazywam się Phillip Close - powiedział, wyciągając rękę. - Jestem lekarzem Edwarda. Pani jest pewnie Birdie. Zawsze mi o pani opowiadał.

Elizabeth wyobraziła sobie, jak ojciec siedzi na kozetce i raczy doktora typowymi opowiastkami dumnego taty. Pod wpływem tej wizji łzy napłynęły jej do oczu. Wstała i uścisnęła wyciągniętą dłoń.

Phillip pochylił się nad ojcem, sprawdził kilka urządzeń, potem wyprostował się.

- Wciąż pozostaje nam tylko czekanie. Chciałbym móc zrobić coś więcej.

- Wyzdrowieje, prawda? - spytała Anita.

- Nigdy nie założyłbym się z pułkownikiem. Może obudzić się za dziesięć minut i poprosić o drinka - odparł Phillip.

Elizabeth musiała znać prawdę; był to jedyny sposób, żeby przygotować się na najgorsze.

- Albo może nigdy się nie obudzić, czy to właśnie próbuje pan powiedzieć?

- Tak - odparł Phillip. - Na razie jest sporo możliwości. Prawdę mówiąc, lepiej nie spodziewać się zbyt wiele, po prostu poczekamy, zobaczymy. Jak już wcześniej powiedziałem Anicie, im dłużej jest nieprzytomny, tym gorzej, ale Edward zawsze był silnym mężczyzną.

- Anita powiedziała mi, że może być jednostronnie sparaliżowany - szepnęła Elizabeth.

- Tak. Sanitariusze przez dobrą chwilę go reanimowali. Może mieć uszkodzony mózg, ale, jak powiedziałem, niczego nie możemy być pewni, póki nie odzyska przytomności. Najbardziej obawiam się w tej chwili o jego serce. Prawdę mówiąc, jest bardzo słabe.

- Dziękuję, Phillipie - powiedziała Elizabeth.

Czuła się śmiesznie dziękując komuś za to, że dał jej kilka dodatkowych powodów do zmartwienia, jednak musiała zachować dobre obyczaje. Tak wypadało.

- Zostańcie przy nim jeszcze jakiś czas - powiedział, po czym wyszedł.

Sparaliżowany - pomyślała Elizabeth. Uszkodzony mózg. Słabe serce.

Te słowa nie wypłynęły z doktorem. Zostały na sali. Elizabeth spojrzała na drugą stronę łóżka, na macochę. Gruby makijaż nie maskował bólu Anity.

- Wyzdrowieje - powiedziała Elizabeth. - Jest zbyt uparty, żeby umrzeć.

Anita sprawiała wrażenie żałośnie wdzięcznej za to niepewne pocieszenie.

- Tak, z całą pewnością jest bardzo uparty.

- Wcale... nie...

Elizabeth i Anita sapnęły. Jednocześnie pochyliły się nad chorym.

Ojciec miał otwarte oczy; jedna strona twarzy pozostawała bezwładna.

- Słyszemy cię, tatusiu. Jesteśmy tu obie.

- Wcale... nie... jestem... uparty.

Anita ujęła jego nieruchomą rękę i mocno ją ścisnęła. Łzy błysnęły na jej rzęsach.

- Wiedziałam, że mnie nie zostawisz.

Sięgnął z trudem przez swoje ciało i pogłaskał delikatnie Anitę po twarzy.

- Jesteś tu, mamuniu. Szukałem cię.

- Jestem przy tobie, tatuśku - zapewniła Anita zadyszana, cicho płacząc. - Nigdzie nie wychodzę.

Elizabeth wiedziała, że to dziecinne, ale czuła, że ich miłość wyrzuciła ją poza nawias. Zawsze tak było. Anitę i Edwarda łączyło coś nadzwyczajnego, tak wspaniałego, że wszystko wokół nich bledło.

- Jest tu nasza Birdie. Gdy tylko usłyszała, natychmiast wskoczyła do samolotu - powiedziała Anita, odgarniając włosy z jego oczu.

Powoli odwrócił się i spojrzał na Elizabeth. W jego oczach zobaczyła coś, czego nigdy wcześniej nie widziała - poczucie porażki - i to ją przestraszyło.

- Cześć, tatusiu - szepnęła. - Potwornie nas przestraszyłeś.

- Zostaw mnie na chwilę z moją córunią, dobrze, mamuniu?

Anita pochyliła się i pocałowała go w czoło, zostawiając na nim odcisk czerwonej szminki.

- Kocham cię - szepnęła, potem wyszła.

Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie. Na salę wpadły pielęgniarki w białych strojach. Uprzejmie odsunęły Elizabeth na bok i zajęły się pacjentem, sprawdzając urządzenia, mierząc ciśnienie krwi, osłuchując mu serce. Jako ostatni przyszedł Phillip. Wpadł na salę nieco zdyszany, ale na widok Edwarda uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Widzę, że postanowiłeś przestać symulować, co? Nic dziwnego, w końcu zajmowały się tobą dwie piękne kobiety.

Ojciec uśmiechnął się jedną stroną twarzy.

- Chciałem, żebyś chociaż w ułamku zapracował na gigantyczny rachunek, który z pewnością mi przyślesz. Prawdopodobnie na jego widok dostanę zawału serca.

Phillip przez chwilę osłuchiwał klatkę piersiową pułkownika, na moment zmarszczył czoło, a potem się wyprostował. Zapisując coś na karcie, powiedział:

- Ciężko zapracowałem na każdego centa, zajmując się twoim pomarszczonym tyłkiem, i dobrze o tym wiesz. Podejrzewam, że przez jakiś czas będę musiał pozwalać ci, żebyś wygrywał w golfa. - Odwrócił się do Elizabeth. - Niech pani przypilnuje, żeby stary bałwan za bardzo się nie denerwował. Za jakiś czas wrócę, żeby dokładniej go zbadać. Będę chciał zrobić następne EKG.

Phillip wygonił pielęgniarki z sali i zamknął za sobą drzwi. Elizabeth widziała przez szklaną ścianę, jak lekarz rozmawia z Anitą.

- Cholerne konowały - burknął Edward, ciężko dysząc. - Jakby nie mogli dać człowiekowi świętego spokoju. - Próbował się uśmiechnąć.

Przez całą drogę Elizabeth powtarzała w myślach, co mu powiedzieć, ale teraz nic nie przychodziło jej do głowy. Bała się, że jeśli otworzy usta, wybuchnie płaczem.

- Gdzie jest złoty... chłopiec? I moje wnuczki?

- Jack siedzi w poczekalni. Stephanie i Jamie wkrótce się pojawiają.

Edward zamknął oczy. Wziął kilka niespokojnych wdechów, potem gwałtownie się ocknął i krzyknął:

- Anita!

- Kazałeś jej wyjść na zewnątrz, tatusiu. Powiedziałeś, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Ach... tak.

Uspokoił się. Powoli uniósł rękę i dotknął dłoni Elizabeth.

- Gdy oglądałem Forresta Gumpa, myślałem tylko o moim cukiereczku. Byliśmy sobie bardzo bliscy, prawda?

Zamknęła oczy, potem powoli je otworzyła.

- Tak.

- Nie załatwiłem wszystkiego jak należy. Na pewno. Elizabeth nie wiedziała, o czym ojciec mówi. Nim zdążyła zapytać, podjął wątek.

- Chodzi mi o Anitę i Marguerite. Bóg mi świadkiem, powinienem zrobić to inaczej, ale twoja mama niemal mnie zabiła... słowo daję, nie wiedziałem, co ci powiedzieć.

- O czym ty mówisz, tatusiu?

- Uznałem, że lepiej, żebyś o niczym nie wiedziała. Próbowałem cię ochraniać. Czasami wspomnienia... są bardzo ważne, ważniejsze niż prawda. Niestety, to się odbiło na Anicie. Odbiło się na nas wszystkich.

- Tatusiu...

Zaczął kaszleć i dyszeć.

- Jesteś moim największym skarbem, Birdie. Zawsze byłaś. Wiedziałem o tym od chwili, kiedy twoja mama dała mi cię potrzymać. Tak bardzo się w tobie zakochałem, że dałbym sobie urwać głowę. Powinienem tylko częściej z tobą rozmawiać.

- Zawsze mi to powtarzałeś, tatusiu.

Próbował podnieść się z poduszki i usiąść. Z bólem serca obserwowała jego nieudolne próby. W końcu z westchnieniem położył się na łóżku.

- Chcę, Birdie, żebyś coś dla mnie zrobiła, chociaż to nie będzie dla ciebie łatwe.

- Wszystko, tatusiu. Wiesz o tym.

- Zajmij się Anitą. Dobrze?

- Nie mów tak! - zawołała, słysząc w swoim głosie desperację. - Ty sam się nią zajmiesz.

- Nie oszukuj mnie. To dla mnie bardzo ważne. - Z trudem łapał każdy oddech. - Obiecuj mi, że się nią zajmiesz.

- Obiecuję. - Elizabeth pochyliła się i pocałowała ojca w czoło. - Kocham cię, tatusiu.

Spojrzał na nią, ale jego oczy były szkliste, nie mogły się skupić. Jakby zużył całą energię i nic mu już nie zostało.

- Twoja miłość przeprowadzi mnie przez bramy raju, cukiereczku. Teraz poproś tu Anitę.

- Nie... proszę.

- Już czas, Birdie. Przeprowadź tu swoją matkę. Elizabeth stała przez minutę, nie chcąc go opuścić.

- Idź już - powiedział cicho.

Zmusiła się do ruchu. W drzwiach po raz ostatni uśmiechnęła się do niego, potem wyszła.

- Chce z tobą rozmawiać - powiedziała do Anity.

Macocha wydała dźwięk, który w połowie był westchnieniem, w połowie szlochem, po czym szybko weszła na salę i zamknęła za sobą drzwi.

Elizabeth stała przy szybie, z dala od ich miłości. Gorąco się modliła. „Trzymaj się, tatusiu. Trzymaj się”. Nagle jedno z urządzeń wydało sygnał alarmowy.

Anita odskoczyła od łóżka, krzycząc:

- Pomocy! Pomocy!

Elizabeth gwałtownym ruchem otworzyła drzwi, ale została odsunięta na bok przez pielęgniarki i lekarzy, którzy wypełnili małe pomieszczenie, przy okazji odpychając Anitę. Ludzie otoczyli jej ojca. Hałas zamienił się w uszach Elizabeth w tępy ryk. Mocno przycisnęła czoło do szyby.

- Nie umieraj, tatusiu. Nie umieraj...

Na salę wbiegł Phillip i łokciami utorował sobie drogę do łóżka jej ojca. Sięgnął po defibrylator.

Elizabeth mocno zacisnęła powieki. Nie mogła oddychać. Czowała, że serce łomocze jej w piersiach. „Proszę, Boże, proszę, nie zabieraj go. Jeszcze nie teraz...”

Gdy otworzyła oczy, lekarze i pielęgniarki stali nieruchomo przy wyłączonych urządzeniach. Anita siedziała obok ojca i cichutko pochlipywała. Makijaż strumieniami spływał jej po twarzy.

Po chwili spojrzała przez szybę na Elizabeth.

- Odszedł - powiedziała samym ruchem warg.

Po tych słowach ponownie się rozplakała. Tym razem jej szloch rozdzierał serce.

Elizabeth weszła powoli na salę i stanęła przy łóżku ojca. Położyła dłoń na szczupłym ramieniu Anity i ścisnęła je mocno, żeby dodać jej otuchy.

Ojciec leżał z zamkniętymi oczami, jego wspaniała klatka piersiowa zapadła się.

- Żegnaj, tatusiu - szepnęła.

Po chwili zdała sobie sprawę, że oczekuje odpowiedzi. Oczywiście nie usłyszała jej.

Jego serce - które zawsze tak bardzo ją kochało - nie biło.

RS

ROZDZIAŁ 13

Elizabeth wypatrzyła puste miejsce na podziemnym parkingu na lotnisku. Jack skręcił w nie i zaparkował.

Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze z płuc. Przez całą drogę była bardzo opanowana. Żadnego radia (ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła, była jakaś smutna piosenka), żadnej gonitwy myśli, żadnych wspomnień. Patrzyła tylko na drogę i myślała o pogrzebie. O sprawach, którymi mogła się zająć. Nie o uczuciach, z którymi nie potrafiła sobie poradzić.

Wysiadła z auta...

To samochód taty, ale lepiej o tym nie myśleć...

...i energicznym krokiem udała się w stronę terminalu.

Jack szedł obok niej. W ciągu ostatnich godzin parę razy na niego warknęła; to wystarczyło, żeby trzymał się z daleka. Wyraźnie uznał, że lepiej w ogóle się nie odzywać.

Elizabeth jako pierwsza dostrzegła córki. Stephanie stała w bramce ze swoim chłopcem, Timem. Jak zawsze wyglądała nienagannie. Długie do ramion ciemnobrązowe włosy podtrzymywane były przez dwie srebrne spinki. Miała na sobie czarne wełniane spodnie i ładny żółty sweter. Tim, w luźnych spodniach i koszuli w paski, trzymał ją za rękę. Jamie stała obok nich. Ubrana była w zbyt obszerny dżinsowy kombinezon. Czapeczkę baseballową ściągnęła nisko na czoło.

Elizabeth przyspieszyła kroku.

- Cześć, dziewczęta... Witaj, Timie - powiedziała cicho, obejmując córki.

Po raz pierwszy od kilku godzin Elizabeth porządnie nabrała powietrza w płuca.

Kiedy się odsunęła, podszedł do nich Jack. Otoczył je ramionami. Zastanawiała się, czy mąż wyczuł, że właśnie była bliska załamania, czy po prostu dopisało mu szczęście. Niezależnie od wszystkiego, jego dotyk uspokoił ją.

Jamie spojrzała na ojca. Smutno się do niego uśmiechnęła.

- Niech to diabli. Wyglądasz wspaniale. Zrobiłeś sobie lifting twarzy czy coś w tym stylu?

Elizabeth była szczerze zaskoczona. Z powodu ostatnich wydarzeń nawet nie przyjrzała się mężowi. Dopiero teraz to zrobiła. Od razu zrozumiała, co Jamie miała na myśli.

Wzruszył ramionami.

- Kazali mi ufarbować włosy. Kiedy właśnie zacząłem się przyzwyczajać do pierwszych oznak siwizny, musiałem się jej pozbyć. Od ósmej klasy nie miałem takich jasnych włosów.

Jamie zmarszczyła czoło.

- Słowo daję, wyglądasz jak gwiazdor filmowy. Elizabeth cofnęła się o krok. Nagle poczuła się stara, sflaczała i pomarszczona. Nie miała czasu utlenić włosów i przy skórze widać już było wyraźne siwe odrosty. Poza tym ostatniej nocy kiepsko spała, dlatego jej skóra miała kolor tapioki. Tymczasem u jej boku stał człowiek, który od dwudziestu czterech lat był jej mężem i wyglądał jak Jeff Bridges w Ukrytej prawdzie. Jack objął Jamie.

- Złuszczyli mi skórę z twarzy. Bolało jak diabli, co więcej, potem prawie przez tydzień wyglądałem, jakbym padł ofiarą pożaru. Dlatego właśnie ludzie bogaci tak dobrze wyglądają. Wydają pieniądze na różne zabiegi i nie zwracają uwagi, że to boli.

Stephanie objęła Elizabeth w talii, która nagle wydała się dziwnie gruba.

- Ty też jesteś śliczna, mamusiu. Jak zawsze - zapewniła.

- Dzięki - wydukała.

Wiadomość o śmierci obiegła miasteczko lotem błyskawicy. Na pogrzeb przyszli wszyscy. Ostatnie pożegnanie odbyło się w firmie pogrzebowej, potem na cmentarzu, a teraz w domu.

Wszędzie stały zdjęcia ojca, na stołach, blatach i parapetach. Niektóre miały ozdobne ramki, inne drewniano-plastikowe oprawki z pobliskiego marketu. Wszyscy, którzy po pogrzebie pojawili się w Sweetwater, przynieśli zapiekanki i zdjęcia. Wchodząc do domu, Elizabeth za każdym razem mogła być pewna, że usłyszy cichy śmiech, kilka westchnień i wypowiedziane szeptem imię ojca.

W miasteczku takim jak to ludzie wspólnie przeżywają chwile radości i smutku. Dzielą się wszystkimi uczuciami, chociaż nikt otwarcie o nich nie mówi. Żaden gość nie spytał więc Elizabeth, jak się czuje, ani nie podał nazwiska znanego terapeuty, który pomógłby jej pogodzić się ze stratą bliskiej osoby. Tak postępuje się w Wielkim Mieście. Tutaj ludzie ściskają człowiekowi ramię i mówią, że „dobrze się trzyma”.

Od czasów krynolin kobietom z Południa wpajano skrywanie uczuć. Uczono je tego tak samo jak robienia wspaniałej miętówki i pieczenia jedynej w swoim rodzaju szynki. Elizabeth postępowała tak, jak od niej oczekiwano.

Chociaż bardzo starała się odsuwać od siebie smutek i żal, nie przychodziło jej to zbyt łatwo.

Kiedy bała się, że już dłużej nie wytrzyma, uciekła na tylną werandę.

Nie mogła wybrać gorszego miejsca. Często siadywała tu z ojcem, słuchała cykad i opowieści taty. Ze wszystkich stron otoczyły ją wspomnienia. Przypomniła sobie, jak stała nad stawem i próbowała wyłowić pstrąga albo jak chodziła z ojcem po polach w okresie żniw, kiedy w powietrzu unosił się słodki zapach kukurydzy i dymu tytoniowego...

To tu właśnie przyszła dzień po pogrzebie matki. Wówczas była wiosna, cieplej niż dzisiaj. Podobnie jak w tej chwili dom był pełen zdjęć i gości, którzy cicho rozmawiali. „Chcesz dziś w nocy spać w moim pokoju, cukiereczku?”

Trzymaj się, Birdie - powiedziała do siebie, zamykając oczy i zaciskając pięści.

Wbiła paznokcie we wnętrze dłoni.

Bez skutku. Wiedziała, że musi stąd uciec. Za kilka sekund przestanie nad sobą panować. Wróciła do domu i zamknęła się w łazience.

Opuściła klapę muszli i usiadła na niej.

Na podłodze tuż obok leżało kolorowe czasopismo „Travel and Leisure”.

Kiedy wzięła je do ręki, otworzyło się na dwustronnej, wymiętej wkładce, która zachęcała do odwiedzenia Kostaryki. Była tam reklama obozu na wybrzeżu karaibskim. Ktoś - tata? - zaznaczył ją czerwoną gwiazdką.

„Jest takie miejsce w Kostaryce, które nazywają Cloud Mountain czy coś w tym stylu. Bardzo mnie do niego ciągnie”.

Czasopismo głośno upadło na podłogę. Elizabeth rozplakała się. Wylewała łzy nad wszystkimi chwilami, które spędziła z ojcem, które spędziła bez niego i których nie zdoła z nim już spędzić.

Gdy zabrakło jej łez, niepewnie wstała.

Przemyła twarz zimną wodą, potem poprawiła fryzurę i wróciła na pole walki. Gdy kluczyła wśród tłumu, czuła, że lada chwila rozpadnie się na kawałki. Nawet jeśli ktoś zauważył, że ma opuchnięte oczy, obeszło się bez jakichkolwiek komentarzy.

Sprawdziła jedzenie i otworzyła butelki z winem, potem udała się do biblioteki, w której ukryła się jej najbliższa rodzina.

Stephanie i Tim siedzieli razem na sofie. Stephanie jak zwykle była uosobieniem przyzwoitości. Jej drobną figurę spowijała gładka czarna sukienka bez dekoltu, z długimi rękawami. Na białych policzkach wyraźnie widać było wypieki, a szare oczy zasnuwały łzy. Tim trzymał ją za rękę. Wyglądali jak para, którą można pokazywać jako dowód, że „miłość pomaga pokonać smutek i żal”.

Jamie nie zwracała uwagi na strój. Siedziała przygarbiona na otomanie, jej rozczochrane, jasne włosy zakrywały połowę twarzy. Miała na sobie pomiętą, granatową sukienkę. Jasnoniebieskie oczy nosiły ślady opuchlizny i były wyraźnie zaczerwienione.

- Nie mogę już dłużej słuchać opowieści o dziadku - powiedziała cicho do matki, a w jej oczach znów pojawiły się łzy.

Elizabeth dobrze ją rozumiała. Rzeczywiście trudno było to wytrzymać. Wszyscy bardzo go kochali, dlatego chcieli podzielić się swoimi najmiłszymi wspomnieniami, ale każde słowo powodowało w sercu nową ranę.

Jack wstał ze skórzanego fotela i podszedł do Elizabeth, ani na moment nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Wziął ją w ramiona. Cofnęła się w obawie, że jeśli chociaż na chwilę się rozluźni, znów wybuchnie płaczem.

- Kocham cię - szepnął jej Jack na ucho, żeby nie usłyszały go dziewczęta.
- Gdy po raz pierwszy go spotkałem, powiedział mi, że mnie zabije, jeśli cię skrzywdzę. Przypomni mi o tej obietnicy, kiedy poprosię o twoją rękę. Powiedział dokładnie tak: „Jeśli skrzywdzisz mojego cukiereczka, Jacksonie, to tak ci dołożę, że zobaczysz Drogę Mleczną”.

Elizabeth spojrzała na Jacka. Nigdy wcześniej jej o tym nie mówił. Przez krótką, cudowną chwilę znów słyszała donośny, wesoły głos ojca. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć - nie była pewna co - ale zabrakło jej słów.

Jack delikatnie pogłaskał ją po twarzy.

- Nie musisz cierpieć w samotności, Birdie - zapewnił. - Rozluźnij się, popłacz.

Próbował pomóc, ale jakimś cudem poczuła się jeszcze bardziej samotna. Wiedziała, że smutek nadejdzie później i będzie trudny do wytrzymania; nagle uświadomi sobie, że ojciec odszedł, że nigdy więcej po podniesieniu słuchawki nie usłyszy jego głosu ani nie wyjmie ze skrzynki listu napisanego jego zamaszystym pismem.

- Och, Jack...

- Chciałbym ci jakoś pomóc, Birdie - powiedział, głaszcząc ją po włosach.

Kochała go za to, że tak bardzo się starał, ale w takiej sytuacji nikt i nic nie było w stanie jej pomóc. Smutek i żal to najbardziej samotna droga na świecie.

- Wystarczy mi, że jesteś obok mnie - zapewniła. I to była prawda.

Potem mocno do niego przywarła, czerpiąc siłę z jego ramion. Przez jedną magiczną chwilę czuła się tak, jakby znów się kochali.

ROZDZIAŁ 14

Dzięki Bogu, Jack był z powrotem w Nowym Jorku.

Wiedział, że to słabość z jego strony, wręcz porażka, ale nienawidził wszystkiego, co wiązało się ze śmiercią. Płaczu, pogrzebu, okropnego, prymitywnego rytuału zwanego „wystawieniem zwłok”.

Tak jak się spodziewał, gdy spojrzął na drugi koniec nawy i zobaczył okrytą kwiatami trumnę, ożyły wspomnienia z pogrzebu matki.

Tyle że wtedy nie było kwiatów, nie było drogiej mahoniowej trumny, a co najsmutniejsze, nie było żałobników. W uroczystości brał udział tylko jeden chudy chłopiec w pożyczonym płaszczyku i przygarbiony, załamany mężczyzna, który sam za kilka lat miał rozstać się z tym światem.

Jack kochał żonę i uwielbiał córki, ale dwa dni w pograżonym w żałobie i całkowitej ciszy domu to więcej, niż był w stanie wytrzymać.

Na szczęście Birdie doskonale spisywała się w sytuacjach kryzysowych. Jack nawet nie musiał błagać jej o zgodę na wyjazd - nie musiał używać kiepskich wymówek - puściła go, mówiąc: „Wracaj do Nowego Jorku; ty i dziewczynki nie macie tu już nic więcej do roboty”.

Próbował oponować, ale nie wyszło mu to zbyt przekonująco: „Gdybyś mnie potrzebowała...” Nie potrzebowała go. W ciężkich chwilach Birdie zachowywała się, jakby była ze stali.

Teraz znów był wolny.

Wysiadł z taksówki, dał kierowcy spory napiwek (w końcu znów był kimś) i powędrował do studia. Wszedł prosto do swojego gabinetu, włożył torbę do szafy i usiadł za biurkiem.

Leżał na nim stos papierów i sporo kartek z zapisanymi telefonami. Zapomniał już, jak często dzwoni telefon, gdy jest się kimś. Obiecano mu sekretarkę, która będzie załatwiała wszystkie typowo biurowe sprawy; to miał zapewnione. Nie mógł już dłużej osobiście odpowiadać na wszystkie telefony, a gdy wkrótce zacznie nadchodzić korespondencja od wielbicieli, przyda się również ktoś, kto znajdzie czas i na to.

Nie miał ochoty na poszukiwanie i przygotowywanie sekretarki. Potrzeba tygodni, niekiedy nawet miesięcy, żeby nauczyć kogoś, co się lubi, a czego się nie lubi, przyzwycząić go do swoich dziwactw i wymagań. Wcześniej niezbędne są rozmowy kwalifikacyjne, czytanie życiorysów, szukanie odpowiedniej kandydatki.

Jeszcze bardziej potrzebna mu była asystentka. Ktoś, kto nauczyłby wszystkiego jego sekretarkę i pomógł mu przygotowywać pytania do rozmów

ze sportowcami. Chcąc wyjąć asa z rękawa, często trzeba było wcześniej sporo poszperać.

Oczywiście, zajmowali się tym scenarzyści i producenci, ale na przykład Warren miał asystenta, a jak Jack zauważył, to właśnie jego przyjaciel zadawał najlepsze pytania.

Jack wziął do ręki długopis i zaczął sporządzać listę cech, które chętnie widziałby u swojej asystentki czy asystenta: musiały to być ktoś inteligentny, ambitny, oddany i błyskotliwy. Najlepiej taki jak... Sally.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Sally ma już pewne doświadczenie. Dobrze pracowało im się razem w Portlandzie, co więcej, była genialna, jeśli chodzi o wszelkie przygotowania. Sprawdziła każdy, nawet najdrobniejszy szczegół historii Graylanda. Dodałaby rumieńców nowemu programowi. Tak się składa, że wszyscy producenci i scenarzyści byli mężczyznami. Młoda kobieta, która kocha sport, wniosłaby z pewnością coś nowego. Poza tym dopilnowałaby, żeby Jack dobrze wypadł.

Co więcej, zrobiłaby to z prawdziwą przyjemnością. Nie miał co do tego wątpliwości. Sally była kobietą o wielkich aspiracjach. Na pewno wykorzystałaby szansę na to, żeby zostać asystentką w sieci telewizyjnej w Nowym Jorku.

Oczywiście, chodzi tylko o pracę, o nic więcej. To, że Sally mu się podobała, było bez znaczenia. Zawsze ciągnęło go do młodych kobiet; miał to zakodowane w DNA, tak samo jak błękitne oczy i jasne włosy. W ciągu minionych piętnastu lat często go kusiło - a ostatnio jeszcze częściej - ale nie uległ i ani razu nie zdradził żony. Te czasy miał już za sobą.

Tak, to sprawa czysto zawodowa.

Elizabeth nie mogła zasnąć, włożyła więc jeden z grubych szlafroków, które Anita powiesiła w szafie w pokoju gościnnym, i po cichutku zeszła na parter. Stary dom trzeszczał i jęczał. Wiatr uderzający o szyby okienne wydawał odgłosy podobne do kota, który drapie w drzwi, żeby wpuścić go do domu.

Z pewnością dom wyczuwał, że jego właściciel opuścił ziemski padół, ale stary budynek przetrwał już niejedną zawieruchę i śmierć. Pierwszy Rhodes zawitał na te tereny jeszcze przed wojną secesyjną. Był jednym z biednych angielskich robotników, którzy mieli odwagę marzyć o lepszym życiu. Przeplłynął morze jako majtek i zaczął pracować u farmera z pobliskiego Russellville. Nie żałował potu ani rąk. Wkrótce dobrze się ożenił i został założycielem rodu.

W ciemnej kuchni Elizabeth zrobiła sobie filiżankę herbaty i przez chwilę stała przy zlewie, spoglądając na podwórko. Światło księżyca zabarwiło na perłowo nagie, czarne gałęzie. Po ciemnym niebie sunęły małe obłoczki. Po ogrodzie wędrowały plamy światła i cienia.

Elizabeth zawiązała mocniej pasek szlafroka i wyszła na zewnątrz. Siatkowe drzwi głośno stuknęły. Nagle wiatr się uciszył. Zapanowała niemal złowroga cisza.

Elizabeth zadrżała, chociaż nie tylko pod wpływem zimna. Czowała się tak, jakby ktoś ją tu zawołał. Może wołały ją wspomnienia Bożego Narodzenia.

- Witaj, tatusiu - szepnęła, czując się głupio, a jednocześnie mając nadzieję.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, nie jęknęło ani jedno drzewo, nie pojawił się duch. Obok niej nie stanął wysoki mężczyzna we flanelowej koszuli i wytartych spodniach.

Zeszła na wyłożoną ceglami ścieżkę, która przecinała i obiegała ogród. Cienkie kapcie, które miała na nogach, chroniły ją przed chłodem, gdy szła wzdłuż idealnie przyciętego żywopłotu. Gdzieś tam sterczał nieco wyższy krzew kamelii; lśniące, zielone liście kontrastowały z brązowym tłem.

Niegdyś było to jej ulubione miejsce, teraz czowała się tu jak ktoś obcy. W młodości często wychodziła do ogrodu, zwłaszcza w długie letnie noce, kiedy z powodu upału trudno było zasnąć. Od czasu do czasu wyruszała tu na swoje poszukiwania. Zimą wśród poczerniałych grządek chciała znaleźć pierwsze oznaki wiosny. Kępkę zielonego mchu, nasionko, które wypuściło kiełek.

Oczywiście, naprawdę szukała matki i wydawało jej się, że wyczuwa jej obecność wśród kwiatów, o które Marguerite tak bardzo dbała.

Elizabeth często próbowała wyobrazić sobie, jak mama zrywa w ogrodzie żonkile albo przycina róże, ale widziała jedynie czarno-białe zdjęcia matki, a nawet i tych było jak na lekarstwo. Większość fotografii to typowe portrety - zdjęcia wykonane z okazji ślubu, zakończenia studiów czy innych tego typu uroczystości, toteż dziewczynka wyobrażała sobie pozbawioną kolorów ładną, młodą kobietę, która zawsze elegancko wyglądała, ale nigdy się nie śmiała i niczego nie mówiła.

Elizabeth przyklękła przy rabatce z różami. Wilgotna, czarna ziemia ugięła się pod osłoniętymi materiałem kolanami.

Pozbawione liści, szarawe krzewy róż rzucały cienie na czarną ziemię. W blasku księżyca przypominały powykręcane łapy pradawnego gada, pogrubiałe ze starości i zakończone ogromnymi cierniami-szponami.

Elizabeth usłyszała, że za jej plecami skrzypnęły drzwi, potem stuknęły. Następnie na ceglanej ścieżce rozległy się kroki.

- Cześć, Anito - powiedziała, nie odwracając się.
- Aż trudno uwierzyć, że za kilka miesięcy te róże będą w pełni rozkwitu.
- Właśnie pomyślałam dokładnie o tym samym.

Gdy Elizabeth była mała, często płakała, widząc, że ulubione kwiaty mamy więdną i usychają. Teraz, jako dorosła kobieta, rozumiała, jak ważny jest odpoczynek. Tylko dzięki ponurej zimie może przyjść wiosna. Elizabeth chciałaby, żeby ta sama zasada dotyczyła gospodyń domowych i żon, które zbłądziły, żeby zamiast przegrywać życie, mogły przejść w okres hibernacji i zebrać siły na nadejście wiosny.

Dmchnął wiatr, na ścieżce zawirowały suche liście.

- Od początku osobiście zajmowałam się różami. Nigdy nie pozwoliłam, żeby zbliżył się do nich ogrodnik.

Elizabeth przysiadła na piętach i spojrzała na Anitę.

- Dlaczego?

Anita uśmiechnęła się smutno. Jej platynowe włosy były ponawijane na lokówki, na policzkach i czole błyszczała gruba warstwa kremu nawilżającego na noc. Niebieska koszula flanelowa spowijała ją od stóp do głów. Choć miała sześćdziesiąt dwa lata, wyglądała, jakby była starsza przynajmniej o dziesięć lat.

- Pewnego razu poczułam tu jej perfumy. Elizabeth zadrżała. Przypomniała sobie małą buteleczkę, która stała na toalecie mamy.

- Mamy? - szepnęła.

- Był to jeden z tych dni, kiedy, jak mawiał tata, byłeś w złym nastroju i nie zgadzałaś się z niczym, co powiedziałam. Wtedy w ogóle przestałam mówić. Wysłałam tutaj, gotowa wyładować złość na ogrodzie twojej mamy. Chciałam stoczyć walkę z czymś, co mogę zobaczyć, ale gdy usiadłam tutaj w samotności, poczułam jej perfumy. Shalimar. Nie przemówiła do mnie, obeszło się bez zjawisk nadprzyrodzonych. Po prostu... nagle zdałam sobie sprawę, że walczę z jej córeczką, dziewczynką, która ma złamane serce. Potem, ilekroć doprowadzałaś mnie do szału, wychodziłam tu, do ogrodu.

Elizabeth słyszała w głosie Anity ból. Po raz pierwszy w życiu rozumiała macochę.

- Nic dziwnego, że tak często tu bywałaś.

- Podejrzewam, że powinnam zrobić wszystko inaczej. Wiedziałam, że potwornie za nią tęsknisz.

- Zaczęłam ją zapominać. To było najgorsze. Dlatego zawsze pytałam o nią tatę, ale on nic nie chciał mi powiedzieć, nigdy. Zawsze powtarzał: „Nie

wracaj do wspomnień, Birdie". Chyba nie wiedział, że moje wspomnienia przypominały dym. Nie miałam się czego trzymać.

- Podejrzewam, że teraz twoja mama prawi mu niezłe kazanie.

- Nie sądzę, by kogokolwiek kochał tak jak ciebie, Anito.

Chociaż bardzo się starała, w jej głosie słychać było nutkę gorczy.

- Dziękuję. - Anita spojrzała na dalekie pola. - Dlaczego nie poleciałaś do domu z Jackiem i dziewczętami?

Elizabeth nagle zrobiło się zimno. Zadrzała, wstała i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Jack musiał iść jutro rano do pracy. A ja pomyślałam, że zostanę i pomogę ci posprzątać dom.

- Sprzątaniem domu zajmuje się Heloise. Robi to, odkąd byłaś dzieckiem. - Anita spojrzała na nią. - Możesz mi, oczywiście, powiedzieć, żebym nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

- Właściwie to sama nie wiem dlaczego. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa na powrót do Nowego Jorku.

Anita zrobiła krok w jej stronę. Głupie różowe pantofelki zapadły się w rozmokłym gruncie.

- Twój ojciec często powtarzał: „Mamuniu, jeśli nasza dziewczyna nie rozwinie skrzydeł, pewnego dnia zapomni, jak się lata”. Martwił się, że nie korzystasz z życia.

- Wiem.

Elizabeth nie chciała o tym rozmawiać. To był bolesny temat, a tu, w ogrodzie mamy, nie czuła się zbyt pewnie. Wytarła oczy - a tak swoją drogą, kiedy zaczęła płakać? -i spojrzała na Anitę.

- A co z tobą? Poradzisz sobie? - spytała.

- Wszystko się ułoży.

Prawdę mówiąc, była to żadna odpowiedź. Obie wiedziały, że nadejdzie dzień, kiedy Anita zostanie sama w białym, ogromnym domu. Przez jakiś czas telefon będzie dzwonił niemal co godzina, a na werandzie będą się pojawiali przyjaciele z zapiekankami, ale w końcu źródło wyschnie i Anita będzie musiała stanąć oko w oko z wdowieństwem.

- Zadzwoń do ciebie, gdy dotrę do Nowego Jorku. Żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- To miło z twojej strony.

Znów zapadło między nimi milczenie. Wiatr szumiał w krzewach i bawił się dzwoneczkami, które zwisały z dachu na werandzie. Wydawały smutny dźwięk.

Elizabeth nagle pomyślała o tym, jak dobrze by było, gdyby sprawy między nią a Anitą wyglądały inaczej, gdyby mogły wziąć się za ręce i nawzajem dodać sobie otuchy. Niestety, było za późno, żeby zmienić związek, którego czas minął.

- Straciłyśmy szansę, prawda? - spytała Anita cicho. Elizabeth przytaknęła. Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

- Szkoda - ciągnęła Anita. - Ale nie martw się o mnie, skarbie. Poradzę sobie. Wychodząc za mąż za człowieka o czternaście lat starszego od siebie, wiedziałam, że go przeżyję. Zawsze liczyłam się z tym, że pewnego dnia zostanę sama.

Elizabeth nigdy nie brała tego pod uwagę. Dla niej różnica wieku zawsze działała na korzyść ojca. Patrzyła z punktu widzenia mężczyzny. Dzięki młodszej żonie mąż jest szczęśliwszy. Wszyscy o tym wiedzą. Mężczyźni - płytkcy jak talerz na drugie danie - dowodzili tego od lat.

Teraz nagle dostrzegła drugą stronę medalu. Oczywiście, Anita miała wspaniałe życie i nigdy nie brakowało jej pieniędzy. Została zaakceptowana przez lokalną społeczność i wyszła za mąż za człowieka, który traktował ją jak najcenniejszą porcelanową figurkę.

Niestety, nie miała dzieci, które mogłyby ją teraz pocieszyć, ani partnera, z którym mogłaby spędzić starość. Była sześćdziesięciodwuletnią wdową, być może już do końca życia skazaną na samotność.

- Dlaczego ty i tata nie mieliście dzieci? - spytała Elizabeth. Zastanawiała się nad tym od lat.

Anita westchnęła.

- Och, skarbie, to pytanie na inną okazję, może na rozmowę między dwiema innymi kobietami.

- To znaczy: nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

- Tak. - Uśmiechnęła się, może po to, żeby jej odpowiedź tak bardzo nie bolała. - Ten temat sprawia, że krwawi mi serce, i tyle. Nie chcę go poruszać podczas zwyczajnej pogawędki o północy, dwa dni po śmierci męża.

Elizabeth rozumiała. Straciły szansę na bliski kontakt. Teraz były po prostu dwiema dorosłymi kobietami, które łączyło dalekie pokrewieństwo; każda z nich podążała w swoją stronę.

- Przykro mi - powiedziała w końcu, wybierając słowa, które w ciągu ostatnich kilku dni słyszała przynajmniej ze sto razy. - Zadzwoń do mnie, jeśli dokuczy ci samotność.

- W życiu są gorsze rzeczy niż samotność. Elizabeth miała wrażenie, że Anita starannie dobiera słowa. Nagle poczuła się przejrzysta jak szkło, jakby

w jej żyłach płynęło nieszczęście, a Anita była w stanie zobaczyć maleńkie, błękitne linie, które wychodzą z serca pasierbicy.

Starsza pani podeszła bliżej.

Elizabeth się cofnęła, chciała być sama.

- Lepiej pójdę już do łóżka. Muszę wstać o szóstej. Oddaliła się, dokładając wszelkich starań, żeby iść prosto przed siebie. Nie bardzo jej to wychodziło.

Weszła do domu i strzeliła drzwiami, potem ostrożnie wyjrzała przez okno.

Anita wciąż stała w ogrodzie. Widać było, że drży. Jej głowa z włosami nakręconymi na kilkanaście różowych lokówek trzęsła się. Elizabeth wydawało się, że w słabym świetle księżycy dostrzegła błyszczącą strużkę łez na twarzy macochy. Anita płakała.

Patrzyła na róże.

Elizabeth zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła przed terminalem w Nashville.

Było zimno. W powietrzu pachniało zbliżającym się śniegiem, a niebo spowijały szare chmury.

Ciągnęła za sobą walizkę, która podskoczyła na progu, gdy otworzyły się automatyczne drzwi. Przy stanowisku United Airlines stał tłum pasażerów, Elizabeth podeszła więc do komputerów, które zamontowano wzdłuż ściany. Po kilku minutach znalazła odloty. Przejrzała numery.

Znalazła swój - 989 - Nashville przez Detroit do Nowego Jorku. W chwili kiedy odczytywała numer bramki, informacja się zmieniła.

Lot był opóźniony o dwie godziny.

Jęknęła, stanęła w kolejce i powoli posuwała się do przodu w rozgadany tłumie. W końcu dotarła do okienka. Agent sprawdził bilet i potwierdził, że lot jest opóźniony, potem dał Elizabeth talon na posiłek.

Jakby na lotnisku można było zjeść lunch za pięć dolarów.

Podziękowała i odeszła od okienka. Wędrując przez terminal, ciągnęła za sobą walizkę. W księgarni kupiła najnowszą powieść Anne Rivers Siddons i ostatni numer „House and Garden”.

Kiedy obejrzała wszystko, co było do obejrzenia, weszła do restauracji, znalazła stolik przy oknie i usiadła. Spoglądała na płytę lotniska, obserwując, jak samoloty startują i lądują.

„Jest takie miejsce w Kostaryce, cukiereczku, które nazywają Cloud Mountain czy coś w tym stylu. Bardzo mnie do niego ciągnie”.

„Kiedy po raz ostatni byłeś w jakimś egzotycznym kraju? Albo pozwoliłaś głupio się przestraszyć? A może zrobiłaś coś szalonego, na przykład leciałaś na lotni albo skakałaś ze spadochronem?”

Dotychczas starała się nie wracać do wspomnień, ale teraz otoczyły ją ze wszystkich stron. Nie mogła zapomnieć...

„Marnujesz życie. Wszystko przechodzi ci koło nosa”. „To, że noszę szkła grube jak denko butelki coki, wcale nie oznacza, że nie widzę serca mojej córeczki. Słyszę, jak rozmawiasz z Jackiem... i jak z nim nie rozmawiasz. Potrafię rozpoznać nieszczęśliwe małżeństwo”.

Czy mogła coś zrobić, żeby to zmienić? Może powinna wsiąść do pierwszego lepszego samolotu i polecieć gdziekolwiek. Wylądować w dziwnym kraju i stać się kimś innym.

Tylko gdzie miałyby polecieć? Na Machu Picchu, do Paryża, Nepalu? Nawet nie miała paszportu.

Nie należała do tego rodzaju kobiet. W przeciwieństwie do ojca nie marzyła o zdobyciu Mount Everestu ani skakaniu na lotni z urwiska. Było tylko jedno miejsce na ziemi, do którego tęskniła.

Dom.

Chatka nad morzem. Przypomniała sobie wieczór, kiedy zeszła o północy na plażę i widziała przepływające wieloryby. Ich przejmujący, żaloszny krzyk przyciągał ją, przemawiał do smutnego, ukrytego w jej sercu miejsca, w którym przechowywała wszystkie odłożone na bok marzenia.

Często w życiu to robiła, odkładała marzenia na bok.

„...Życie przechodzi ci koło nosa”.

To była prawda. Bolała ją świadomość, że ojciec też o tym wiedział. Że patrzył w oczy swojej dorosłej córki i widział w nich nieszczęście.

Zastanawiała się, jak by to było, gdyby zerknęła w lustro i zobaczyła, że spogląda na nią spełniona, szczęśliwa kobieta?

Tymczasem za niecałą godzinę wsiądzie na pokład samolotu i polecą do Nowego Jorku. Tam wprowadzi się do modnego, bezosobowego apartamentu i jeszcze raz spróbuje dostosować swoje życie do Jacka.

- Nie chcę jechać.

Szepnąwszy te słowa, rozejrzała się dookoła. Smutna, wyglądająca na zmęczoną kobieta bezgłośnie powtórzyła jej słowa. Spoglądała na swoje odbicie, zastanawiając się, kiedy właściwie straciła urodę. Czy przekreśliła ją wraz z marzeniami? Jak dotarła do tej chwili tak mocno zakorzenionej w szarej rzeczywistości?

Trudno w to uwierzyć, ale czekała, aż straci młodość i wychowa dzieci, żeby w końcu się zastanowić, co dalej. Co ważniejsze, kiedy przyjdzie kolej na nią.

Nie mogła się opędzić od tego pytania. Płonęło w niej jak chrust, wymykało się spod kontroli, a Elizabeth potwornie się bała, że spali ją doszczętnie, tak że w końcu nikt jej nie pozna.

Każda niewielka z pozoru decyzja była cegiełką, która budowała mur między kobietą, którą się stawała, a osobą, którą mogła być.

„Jeśli nasza dziewczyna nie rozwinie skrzydeł, pewnego dnia zapomni, jak się lata”.

Ojciec trafił tymi słowami w sedno sprawy. Gdzieś w ciągu minionych, nieciekawych lat zapomniała, jak się lata. Pełniąc rolę żony i matki, musiała się trzymać zbyt blisko ziemi.

Nie, nieprawda. Skrzydła podcięło jej nie to, co robiła, lecz sposób, w jaki do wszystkiego podchodziła. W Ameryce nie brakuje kobiet, które będąc dobrymi matkami i dobrymi żonami, potrafią również być sobą. Po prostu Elizabeth do nich nie należała.

Może to oznaka słabości, ale strach przed porażką sprawiał, że bezpieczeństwo wydawało się jej ważniejsze niż spełnienie. Chociaż możliwe, że sprawa wyglądała jeszcze prościej. Może jedynie... szła przed siebie, robiła to, co trzeba było w danym dniu, a wieczorami czuła się zbyt zmęczona, żeby sięgnąć po coś innego. Całymi dniami -nawet latami - nie umiała znaleźć w ciągu dnia dziesięciu minut dla siebie. W tamtych czasach, kiedy Jack grał w futbol, a dziewczynki pochłaniały jej każdą chwilę, największym marzeniem Elizabeth była spokojna wieczorna kąpiel.

Zerknęła na zegarek.

Wkrótce ogłoszą jej lot. Z Nashville przez Detroit do Nowego Jorku.

W tym momencie podjęła decyzję.

Koniec z czekaniem i modleniem się, żeby zmiana nastąpiła samoistnie, tak jak reakcja chemiczna.

Wstała, zapłaciła za lunch i poszła przez tłum w stronę kiosku. Tam kupiła papeterię - jedyną, jaką mieli. W górnej części każdej kartki znajdował się rysunek Gracelandu i słowa: ELVIS WITA CIĘ W DZIKIM I CUDOWNYM TENNESSEE.

Wróciła do restauracji i usiadła na tym samym miejscu. Bez zastanowienia - ani martwienia się - zaczęła pisać.

Drogi Jack!

Kocham Cię. Bardzo zależy mi na tym, żeby zacząć swój list od tych słów. Przez cały czas powtarzaliśmy je sobie i wiem, że mówiliśmy prawdę. Zdaje sobie również sprawę, że obecnie to już nie wystarcza, prawda? Żadnemu z nas.

Przez dwadzieścia cztery lata byłam Twoją żoną. Na początku nie chciałam robić niczego innego. Myślę, że to stało się samospełniającą się przepowiednią. Obecnie nie potrafię przypomnieć sobie dawnych marzeń, chociaż bardzo za nimi tęsknię, Jack. Tęsknię za sobą.

Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Skończyły się dla mnie czasy cheerleaderki. Muszę włączyć się do gry. Obawiam się, że jeśli nie zrobię tego teraz, nigdy mi się nie uda, a nie chcę już dłużej być kobietą cieniem. Nie mogę.

Dlatego - teraz nastąpi najgorsze - nie przeprowadzę się z Tobą do Nowego Jorku. Nie tym razem.

Powinnam zdobyć się na odwagę i powiedzieć Ci to osobiście. Chciałabym mieć tyle siły. To zabawne, mogłabym podnieść autobus, żeby uratować Ci życie, ale nie potrafię przyznać się na głos, że zapomniałam, jak to było, kiedy Cię kochałam. Między innymi bardzo chciałabym odzyskać głos.

Podczas wszystkich wspólnie spędzonych lat tylko jedno miejsce było naprawdę moje. Nie chcę go opuszczać. Nie chcę znów iść za Tobą.

Wracam do domu. Potrzebuję trochę czasu i samotności. Chcę odkryć, kim jestem i kim mogę być.

Modłę się, żebyś zrozumiał.

Kocham Cię, Jack E.

Nawet nie przeczytawszy ponownie listu, złożyła go, wsunęła do koperty, przykleiła znaczek i wysłała. Potem poszła poszukać samolotu do Portlandu.

ROZDZIAŁ 15

Wystarczyło zaledwie kilka dni na plaży, żeby Elizabeth odżyła. Spała do późna, prawie do wpół do dziewiątej, i niezmiennie budziły ją odgłosy nadbrzeżnych ptaków. Potem robiła sobie filiżankę herbaty, miseczkę płatków zbożowych i wychodziła na zewnątrz.

Były cudowne, słoneczne, rześkie zimowe dni, które wciąż przyciągają turystów na wybrzeże Oregonu. Godzinami spacerowała wzdłuż plaży i głęboko oddychała. Ów zwyczajny dar odzyskała w chwili, kiedy zobaczyła morze.

Obowiązkom i codziennym sprawom poświęcała minimum czasu. Odnowiła zlecenie na pocztę, załatwiła przywiezienie mebli z powrotem z magazynu i kupiła tyle gotowych dań do odgrzania, żeby wystarczyło jej na tydzień. Taki styl życia bardzo jej odpowiadał. Żadnych kontaktów z przyjaciółmi, żadnego zgłaszania się na ochotnika do licznych akcji charytatywnych, żadnego sprzątania ani gotowania. Całkowita beczynność. Nawet poprosiła na pocztę, żeby nie spieszyli się z ponownym włączeniem jej telefonu, i przez cały czas miała wyłączoną komórkę.

Kontakty ze światem zastąpiła spacerami po plaży. Swojej plaży. Miała ją do dyspozycji od dwóch lat, odkąd ona i Jack tu zamieszkali. Pas piachu znajdował się dziewięć metrów poniżej jej skrawka ziemi, ale na dół zeszła tylko raz, tej nocy, kiedy w pobliżu pojawiły się wieloryby. Schody ją przerażały, tak samo jak pływy. Gdy pierwszego dnia obchodziła swoją posiadłość, Jack ostrzegł ją przed korzystaniem ze schodów: „Są zbyt chybotałe” - powiedział - oraz przed pływami: „Dorastałem w pobliżu plaży, pamiętasz? Wielka fala może nadejść znikąd i porwać dorosłego człowieka”.

Tymczasem to właśnie strach wciągnął Elizabeth na głębiny i zostawił tam, żeby utonęła. Tylko strach. Teraz chodziła po schodach tam i z powrotem, a w tylnej kieszeni spodni nosiła tabelę pływów. Podczas długich spacerów poznała każdy centymetr Echo Beach. Odkryła „swoją” skałę, płaski, szary głaz, wypolerowany przez fale. Czasami siedziała na nim godzinę lub dłużej, patrząc na morze.

Znów zaczęła marzyć. Nie były to niewyraźne wizje, które pojawiają się i znikają podczas snu, ale prawdziwe nadzieje i aspiracje. Chociaż wciąż brakowało jej odwagi, żeby wziąć cło ręki pędzel, przejrzała swoje rzeczy. Znalazła stary szkicownik i wyrysowany kawałek węgla drzewnego. Odkryła, że palce lepiej pracują w nadmorskim powietrzu; sztywność, która dokuczała jej od lat, zniknęła. Rysowała; jeszcze nie z taką łatwością jak niegdyś, ale

jednak. Po tylu smutnych latach wzięcie do ręki kawałka węgla drzewnego było ogromnym triumfem.

Nowe życie Elizabeth niosło ze sobą wolność, której nigdy wcześniej nie zaznała. Kładła się do łóżka, kiedy miała na to ochotę, wstawała, kiedy chciała, spędzała całe dni, robiąc to, co przychodziło jej do głowy.

Wczoraj wczesnym rankiem wybrała się do miasteczka i wędrowała od sklepu do sklepu. Nawet nie zabrała ze sobą torebki. Nie chodziło jej o robienie zakupów, lecz o oglądanie. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni chodziła po miasteczku. Czuła się jak turystka, dostrzegała twarze ludzi... ich dziwactwa... uśmiech dziecka na widok otwieranej lodziarni. W sklepach z pamiątkami pełno było pięknych przedmiotów, o czym dotychczas nawet nie wiedziała. Ponieważ tu mieszkała, obojętnie przechodziła obok modnych sklepików, a przez inne przebiegała w pośpiechu, ściskając w ręce listę zakupów. Jak dużo kiedyś traciła!

Mimo to wciąż myślała o Jacku.

Według jej obliczeń wczoraj powinien dostać list. To dlatego nie włączyła telefonu; na razie nie chciała rozmawiać z mężem. Zawsze starał się zmienić jej decyzję i namawiał ją tak długo, póki nie uległa.

Zerknęła na szkicownik, zastanawiając się, co narysować tego ranka. Wszędzie znajdowała inspirację.

Zauważyła sójkę, która przysiadła na złamanej, nagiej gałęzi. Piękny żółty kolor na skrzydłach ostro kontrastował z szarą korą.

Nagle ze wszystkich stron otoczyły Elizabeth kolory, zupełnie jakby ktoś uniósł zasłonę, której nigdy nie opuszczała, i w jednej chwili ujrzała świat w pełnej krasie zamiast jego bladej, poszarzałej wersji, której się spodziewała. Szarobiałe niebo... brązowy piasek... rośliny zimo-zielone... ochrowe urwisko... białe grzbiety fal...

Po raz pierwszy od lat miała ochotę coś namalować.

Spadła pierwsza kropla deszczu, kapnęła na czoło Elizabeth, potem spłynęła po jej policzku.

Otworzyła oczy i zobaczyła nadciągające chmury. Niebo zrobiło się ciemnoszare, miejscami wręcz złowieszczo czarne.

Zarzuciła kaptur, włożyła wszystkie rzeczy do rysowania do płóciennej torby i pobiegła do domu.

Nim dotarła do schodów, lało jak z cebra. Wiatr smagał urwisko i targał odzież Elizabeth.

Przebiegła przez trawnik. Gigantyczne krzaki drżały na wietrze i uderzały jeden o drugi. Czarne, suche liście wirowały i uderzały ją w golenie.

Wycierając oczy, przebiegła ostatnie metry, które dzieliły ją od domu, i wpadła pod zadaszenie. Skostniałymi palcami otworzyła drzwi i weszła do środka. Wiatr stukał o okna.

Nacisnęła włącznik; dom załało światło.

W tym momencie za oknem przemknęła błyskawica. Gdzieś w pobliżu piorun trafił w drzewo i powalił je na ziemię.

Światło zgasło.

Przez ułamek sekundy Elizabeth poczuła strach. Jack zawsze zajmował się domem podczas burzy. Znajdował latarkę, zapalał świece i podkładał ogień w kominku. Elizabeth nawet nie wiedziała, czy ma gdzieś pod ręką jakieś świece, czy może znajdują się w jakimś pudle gdzieś daleko stąd...

Co by było, gdyby szukając ich, nadepnęła na przegniłe deski w łazience dla gości.

„Znaleziono kobietę, pod którą załamały się deski podłogowe. Nie żyła od kilku dni”.

Wzięła głęboki wdech.

- W porządku. Wszystko po kolei. Najpierw musisz zapalić w kominku i poszukać jakichś świeczek.

Skupiła się na tych dwóch zadaniach, powoli posuwając się przez ciemny dom. Ponieważ nie było mebli, nie było się czego trzymać. Tuż za tylnymi drzwiami znalazła drewno na podpałkę. „Dzięki Bogu, że Jack pilnował takich rzeczy”.

Ściskając w ręce drewno, powoli wróciła do kuchni, gdzie miała wczorajszą gazetę. Ułożyła wszystko w kominku, na palenisku. Gdy czerwony blask zalał środek pokoju, strach zniknął.

Przez chwilę grzała ręce. Kiedy nabrała pewności, że płomień już nie zgaśnie, ruszyła na poszukiwanie świec. W spiżarni, pod stosem starych książek telefonicznych, znalazła pudełko ze świeczkami i starymi kalendarzami. Porozstawiała świece na gzymsie nad kominkiem i na parapetach. Po chwili dom tonął w cudownym, złocistym blasku.

Czuła się jak Tom Hanks w Poza światem. Rozpaliła... ogień.

Chwyciła śpiwór, który ostatnio kupiła, rozpięła go i owinęła się nim jak szalem. Potem wyszła na werandę obserwować burzę.

Nigdy wcześniej nie robiła czegoś takiego. Zawsze bała się żywiołów. Była to następna cecha, której chciała się pozbyć. W ciągu ostatnich dni zrozumiała, jak ważne są wstrząsy. Najwyższe góry powstały dzięki gwałtownej sile i chaosowi; podobnie też kobieca niezależność rodziła się w ogniu.

Daleko nad oceanem grube, szare chmury złowieszczo mknęły po niebie, ich cienie przesuwaly się jak w kalejdoskopie po wzburzonej powierzchni wody. Wiatr gwizdał między konarami drzew, rozrzucał suche liście i szyszki sosnowe.

Było bardzo głośno: fale rozbijały się o brzeg, wył wiatr, grzechotały szyby, lał deszcz. Co jakiś czas jakaś gałąź z trzaskiem łamała się i upadała na ziemię.

Elizabeth była zachwycona każdą chwilą. Obserwowanie szalejącego żywiołu z werandy, a nie z bezpiecznego wnętrza domu, sprawiło, że poczuła się jakoś inaczej. Jak ktoś mocniejszy.

Po chwili - straciła rachubę czasu - przez odgłosy burzy dotarł do niej dziwny dźwięk. Początkowo Elizabeth nie potrafiła umiejscowić źródła hałasu, tak bardzo nie pasował do sytuacji, a ona była tak głęboko pogrążona w zadumie. Potem uniosła głowę, zobaczyła w ciemności przednie światła samochodu i rozpoznała warkot silnika.

Wstała, ciaśniej owinęła się śpiworem i wsunęła się w ocieniony kąt.

Kierowca prawdopodobnie zablądził... zawróci na podjeździe i zniknie.

Samochód zatrzymał się. Przednie światła zgasły i podwórko znów pogrążyło się w ciemności. Weranda stanowiła maleńką oazę pomarańczowego światła.

Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadł z niego jakiś mężczyzna.

Nagle Elizabeth uświadomiła sobie, że jest całkiem bezbronna. Sama. Bez telefonu. Bez żadnej opieki...

Nieznajomy przeszedł przez podwórko i zatrzymał się w kręgu światła.

Jack.

Krople deszczu zmoczyły mu włosy i spływały po twarzy. Próbował się uśmiechnąć, ale był to smutny uśmiech, który nie dotarł do oczu.

- Cześć, Birdie.

Dziwnym trafem, stojąc przed nim, poczuła się mniejsza. Powinna być zaskoczona jego widokiem, ale gdzieś w głębi duszy chyba się go spodziewała.

Mimo to jakoś dziwnie nie miała ochoty wpuszczać go do środka. Dom wciąż należał do nich obojga, ale w ciągu kilku ostatnich dni stał się jej sanktuarium. Elizabeth stała się dziwnie zaborcza, jeśli chodzi o swoją samotnię.

- Wejdz, nim się utopisz.

Wszedł za nią do domu i zaczął szukać wycieraczki, która normalnie leżała przy drzwiach wejściowych. Nie było jej.

Z mokrych nogawek spodni kapało na podłogę.

- Lepiej zdejmij mokre ubranie, bo się przeziębisz - powiedziała rzeczowo.

Zawsze postępowała zgodnie z tym wzorem, to znaczy „zajmowała się nim”.

- Przyniosę ci jakiś szlafrok. Odwróciła się i poszła schodami na piętro. Otworzyła szafę i zdjęła szlafrok z wieszaka. Kiedy się odwróciła, wpadła na Jacka.

Cofnął się.

- Przepraszam. Myślałem, że wiesz, iż jestem tuż za tobą.

Zachowywali się jak para czternastolatków podczas pierwszej randki. Nic tylko nerwy i emocje.

- Napijesz się herbaty?

- Wolałbym szkocką z lodem.

- Niestety, nie mam.

Wziął szlafrok, wszedł do łazienki, żeby się przebrać, i zamknął za sobą drzwi.

Uznała, że te drzwi ucieleśniają wszystko, co ich dzieli.

W czasie kiedy się ubierał, zeszła na parter i dorzuciła następne szczapy do ognia.

Kiedy się odwróciła, Jack już tu był. Zniszczony, sprany różowy szlafrok wyglądał śmiesznie na wysokim, dobrze zbudowanym mężczyźnie. Materiał opinał szeroką klatkę piersiową; dolny obrąbek sięgał do połowy ud.

Spojrzał na świecę.

- Na Sycamore Street upadło ogromne drzewo. Przez kilka godzin nie będzie prądu.

- Przeleciałeś taki kawał drogi, żeby porozmawiać o elektryczności?

Usiadła przy kominku i spojrzała na Jacka.

- Nie.

- Przypuszczam, że dostałeś mój list?

- Tak.

Powiedział to tak cicho, że ledwo usłyszała jego słowa.

- W takim razie pewnie powinniśmy o tym porozmawiać.

Sprawa miała wrażenie, jakby nagle się skurczył, jak balon, z którego uszło powietrze. Usiadł obok niej.

- Nie wiem, co chcesz usłyszeć. Przykro mi, że przyjąłem tę pracę bez uzgodnienia z tobą.

- Pozwól więc, że zadam ci pytanie.

Cofnął się. Chociaż wykonał minimalny ruch, i tak go dostrzegła. Instynktowna ucieczka.

- W porządku.

- Czy kiedy czytałeś mój list... - patrzyła mu prosto w oczy - ...nie poczułeś ulgi?

Zbladł. Wiedziała, że miał ochotę skłamać, zaprzeczyć, on jednak powiedział:

- Od dawna marzyłem o takiej pracy. Teraz, kiedy w końcu udało mi się ją dostać, postanowiłaś ode mnie odejść.

- Daj spokój, Jack. Nie jesteśmy szczęśliwi. Od dawna.

- Ale ja cię kocham. Te słowa zaboląły.

- Naprawdę? W takim razie wróć do Echo Beach. Zaczniemy wszystko od nowa, ale tutaj.

- Chcesz, żebym zrezygnował z tej pracy? O to ci chodzi?

Dobrze wiedziała, co Jack wybierze, ale wciąż ją to bolało.

- Byłoby to zbyt trudne, prawda, Jack?

- Od lat czekałem na taką pracę. Marzyłem o niej.

- Całe nasze małżeństwo było podporządkowane twoim marzeniom, Jack. Przez dwadzieścia lat przeprowadzałam się z tobą z miasta do miasta. Przez dwadzieścia lat. Byłam najlepszą żoną i matką, jaką umiałam być, ale teraz jestem... pusta. Budzę się w środku nocy i nie mogę oddychać. Wciąż mi powtarzałeś, że powinnam wziąć sprawy w swoje ręce. No cóż, właśnie je wzięłam, Jack. Potrzebuję czasu, żeby sobie przypomnieć, jak wyglądają moje marzenia.

Pomimo szczyrych chęci głos jej się załamał. Jack przecesał palcami włosy i niespokojnie westchnął.

- Jezu Chryste, Birdie, ty naprawdę masz taki zamiar. Myślałem, że po prostu próbujesz zwrócić na siebie uwagę, żebym szybciej przeprowadził się do Connecticut albo Westchester County. - Wychylił się do przodu i oparł ręce na kolanach. Potem na nią spojrział. - Ludzie, którzy chcą jakiś czas spędzić w samotności, dążą do rozwodu. Czy o to ci chodzi? Otworzyła buzię.

- Nie prosiłam o rozwód.

- Jak to sobie wyobrażałaś, Birdie? Że rozstaniemy się i nadal będziemy małżeństwem? Że to niczego nie zmieni? Pieprzenie. A co z dziewczętami? Co im powiemy, gdy spytają, dlaczego mieszkamy osobno?

Dziewczęta.

Elizabeth na moment spanikowała. Zdała sobie sprawę, co tak naprawdę zrobiła. Kiedy prosiła o separację, myślała tylko: „Potrzebuję czasu”. Tylko tyle. Teraz Jack chce wiedzieć, jak wytłumaczyć to córkom.

Miała ochotę powiedzieć: „Zaczekaj, Jack, przedyskutujmy tę sprawę jeszcze raz”. Oparła się jednak pokusie.

Poszedł na piętro i z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi. Kilka minut później wrócił do salonu. Miał na sobie mokre ubranie, a w ręce trzymał kopertę.

- Chcesz poznać ironię losu?

- Nie - odparła szybko. - Chyba nie.

Podał jej kopertę. Wzięła ją drżącymi palcami. W środku był jakiś urzędowy dokument. Zauważyła słowo „dzierżawa”. Dokument był niepodpisany.

- Och, Jack...

Nawet na nią nie spojrział.

- Przeczytaj.

Na moment zamknęła oczy, starając się zebrać odwagę, której gwałtownie jej ubywało. Nie do końca jej się to udało. Rozłożyła kolorową reklamówkę pięknego domu w East Hampton.

- Z sypialni roztacza się widok na morze. Pośrednik handlu nieruchomościami zatrzymał ten dom dla mnie. Chciałem sprawić ci niespodziankę z okazji walentynek.

Spojrzała na niego przez łzy. Jack chciał, żeby wróciła i żeby znów była jego żoną. Nie mogła tego zrobić. Trudno jej było zachować milczenie. Wiedziała jednak, że jeśli teraz się wycofa, przegra. Może tym razem na zawsze.

- Kocham cię, Birdie.

Głos mu się załamał. Przez sekundę widziała, że jest bardzo nieszczęśliwy.

Zastanawiała się, jak długo zachowa tę chwilę w sercu, jak długo zapamięta smutny, potworny ból.

- Ja też cię kocham.

- Myślisz, że to pomoże?

Przez minutę spoglądał na nią, potem wyszedł z domu i głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 16

Dlaczego, do diabła, użył słowa „rozwód”?

Jack nadepnął na hamulce. Wypożyczony samochód poślizgnął się na błotnistej drodze i stanął. Jego przednie światła skierowane były w stronę wzburzonego, czarnego oceanu.

Jack nie był tak roztrzęsiony od ponad trzydziestu lat, od śmierci matki. Wówczas, tak samo jak teraz, emocje stanowiły potworną plataninę, w której trudno się było dopatrzeć czegoś konkretnego.

Gdyby jeszcze tydzień temu ktoś go spytał, przysięgłby, że on i Birdie przechodzą przez jeden z trudnych okresów, które tak często zdarzają się starym małżeństwom. Powiedziałby, że to minie, że między nimi właściwie nic się nie zmieniło.

Kiedy czytał list, myślał, że Elizabeth próbuje jedynie zwrócić na siebie uwagę, że wymierza mu przysłowiowy cios między oczy. To poskutkowało. Porozmawiał z przemądrzałym agentem handlu nieruchomościami z East Hampton, potem zadzwonił do pracy, że jest chory, i pojechał prosto na lotnisko.

Ani przez chwilę nie przyszło mu na myśl, że Elizabeth naprawdę postanowiła wrócić do Echo Beach.

Nie mogła tego zrobić jego Birdie, która nie potrafiła podjąć decyzji, nawet gdyby od tego zależało czyjeś życie. Jak to się stało, że nagle znalazła odwagę, żeby go rzucić? Śmierć ojca musiała naprawdę nią wstrząsnąć. Oczywiście, widział, że była nieszczęśliwa, ale... tego się nie spodziewał.

Od dwudziestu czterech godzin więcej zastanawiał się nad swoją żoną niż w ciągu dwudziestu czterech lat. Układając, co jej powie, kierował się wszystkim, co do tej pory o niej wiedział. Stworzył nawet scenariusz i ćwiczył go, lecąc przez całe Stany.

Tymczasem kobieta, z którą właśnie rozmawiał, to nie była Birdie.

„Nie jesteśmy szczęśliwi. Od dawna” - powiedziała.

Te dwa zdania pokrzyżowały wszystkie jego plany. Przestraszyły go, wręcz przeraziły. Wtedy zdał sobie sprawę, że Elizabeth mówi poważnie. Strach od razu zepchnął go do defensywy, kazał powiedzieć to, czego w innych okolicznościach nigdy by nie powiedział, wręcz nigdy by o tym nie pomyślał.

Pochylił się nad kierownicą i wsłuchał w szum deszczu. To niesamowite, ale na tym zadupiu zawsze pada.

Niewiele brakowało, a byłby zawrócił. Miał tak ogromną ochotę wziąć żonę w ramiona i błagać o wybaczenie, że aż nie mógł oddychać.

Tylko co wtedy?

Miała rację, i to właśnie, do jasnej cholery, było najgorsze. Mógł zareagować impulsywnie - co za idiota, na litość boską, mówi w takiej sytuacji o rozwodzie?! - ale to nie zmieniało prawdy.

Gdyby teraz zawrócił, przyjęłaby go (nie wyobrażał sobie innego rozwiązania), a wówczas wróciliby do nudnej, pozbawionej miłości rutyny, którą wypracowali w ciągu minionych lat.

Siedząc samotnie w samochodzie, mógł przyznać, że Elizabeth miała rację. Oboje zasługiwali na lepsze życie.

Po tylu latach w końcu wzięła swoje sprawy w swoje ręce.

Zamknął oczy, potem powoli je otworzył. Deszcz obmywał przednią szybę, głośno dudnił o dach samochodu. - Kochałem cię, Birdie - szepnął.

Nie umknęło jego uwagi, że nawet w tanim, małym aucie, w którym nikt go nie mógł słyszeć, użył czasu przeszłego.

Nazajutrz firma, która zajmowała się przeprowadzką, przywiozła meble. Elizabeth tylko ze względu na robotników wstała z łóżka, ale gdy wyszli, zaraz położyła się z powrotem. Nie opuszczała go przez trzy dni.

Co więcej, nadal nie chciała wstawać.

Podciągnęła kołdrę pod brodę i leżała. Deszcz dudnił o dach, stukał w okno, kap-kap-kap.

W końcu zrozumiała, dlaczego pary się rozchodzą i wracają do siebie, nawet gdy miłość straciła swój blask. To, co znane, zapewnia bezpieczeństwo.

O ironio, o tym właśnie marzyła. Przez wszystkie minione lata, gdy czas, obowiązki i codzienność powoli - bardzo powoli - niszczyły małżeństwo i jej osobowość, marzyła o byciu panią siebie.

Zawsze wyobrażała sobie, że to będzie coś wspaniałego. Cudowny cel. Sen z rajskimi ptakami szczęścia w tle.

Wiedziała, że podjęła słuszną decyzję, mimo to późną nocą, gdy dom tonął w ciemności i deszcz tłukł o dach, martwiła się, że zawsze będzie sama, że nikt jej już nigdy nie pocałuje ani nie zasiądzie z nią do kolacji, nie porozmawia o wszystkim i o niczym. Co gorsza, że nikt nie spojrzy na jej powoli starzejącą się twarz i nie powie: „Jesteś piękna, Birdie”, albo tuż przed zgaszeniem światła nie szepnie: „Kocham cię”.

Odrzuciła kołdrę i usiadła.

Pora zacząć nowe życie.

(Od wyjazdu Jacka powtarzała to sobie przynajmniej dwa razy dziennie).

Tym razem naprawdę miała taki zamiar.

Opuściła nogi i oparła bosc stopy o zimną podłogę. Z ogromnym trudem wstała.

- Przecież mogę malować - powiedziała na głos.

Powtarzała sobie wszystko, co ma do zrobienia, ale gdy tylko słowa przebrzmiały, traciła pewność siebie.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Cicho sapnęła i z powrotem usiadła na łóżku.

Jeśli nie zacznie czegoś robić, popadnie w depresję.

Zazwyczaj, gdy kobieta znajduje się w poważnych tarapatach, może zrobić tylko jedno. Niestety, telefon zostanie podłączony dopiero „gdzieś między dwunastą a czwartą po południu”.

Sięgnęła po papier i długopis. Nie czekając, aż zmieni zdanie, zaczęła pisać.

Droga Meghann!

Wpakowałam się w niezłe tarapaty. Po latach narzekań w końcu postanowiłam zrobić coś ze swoim nieszczęściem. Jack i ja jesteśmy w separacji. To zabawne, jak bardzo jedno słówko, zaledwie kilka sylab, może zmienić życie człowieka.

Teraz powiem Ci najgorsze (choć słyssałaś to już wcześniej): Jestem jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Marzę o tym, żeby nic nie robić i świętować do zachodu słońca, ale jakoś nie mogę podnieść z łóżka swojego ogromniastego tyłka.

Wygląda na to, że miałaś rację.

W tej chwili przydałaby mi się odrobina śmiechu. (Więc może opowiesz mi coś o swoim ostatnim chłopaku?)

Kocham Cię

Elizabeth

Od razu poczuła się lepiej.

Zwrócenie się z prośbą o pomoc do kogoś bliskiego było lepsze niż siedzenie i zastanawianie się, co zrobić z resztą życia. Jak czuje się samotna kobieta?

Nagle przypomniała sobie, że Anita też nikogo nie ma.

„Zajmij się Anitą. Dobrze?”

Była to ostatnia prośba ojca.

Obiecała mu to na łożu śmierci... a potem nawet palcem nie kiwnęła, żeby dotrzymać przyrzeczenia. Wyjęła następną kartkę.

Droga Anito!

Zostałam sama w domku na plaży.

Wokół panuje cisza, taka cisza, że zaczynam zdawać sobie sprawę, jak hałaśliwe było dotychczas moje życie. Podejrzewam, że wszystkie kobiety słuchają tego, kto mówi najgłośniej, i bez przerwy robią wszystko dla innych.

Próbuję odnaleźć własny, stracony głos. Może Ty też nad tym pracujesz? Pusty dom to przerażające miejsce dla kobiet takich jak my, kobiet, które przyzwyczyły się do słuchania innych.

Ostatnio często biegnę myślami na Południe. Modlę się, żeby u Ciebie wszystko było w porządku, jeśli w jakiś sposób mogę Ci pomóc, proszę, zadzwoń. Wiem, że dotychczas nie żyłyśmy w zgodzie, Anito, ale, jak śpiewa Bob Dylan: „Czasy się zmieniają”. Może uda nam się nieco zbliżyć do siebie.

Serdecznie pozdrawiam

Elizabeth

Wstała z łóżka, włożyła na siebie wyświechtany dres, gumowce i pelerynę, jakiej używają rybacy i jaką zakładała Kate Hepburn w filmie Nad Złotym Stawem, po czym powędrowała do skrzynki pocztowej.

Gdy wróciła do domu, ciężko dyszała i cała była zlane potem. Zdecydowanie potrzebuję więcej ruchu - pomyślała.

Była w sypialni i zdejmowała mokry dres, gdy nagle coś przyszło jej do głowy.

Kobiety bez pasji. Teraz była jedną z nich.

Po rozpadzie małżeństwa Jack zaczął robić wszystko, żeby nie spędzać zbyt dużo czasu w samotności. Codziennie budził się o czwartej i o piątej był już w biurze. Po kilku godzinach pracy znajdował kogoś - kogokolwiek - z kim mógł spędzić jakiś czas w barze przy Pięćdziesiątej Ulicy.

Nie umiał inaczej radzić sobie z separacją. Nigdy nie lubił samotności.

Tego wieczoru został w knajpie aż do zamknięcia, popijając drinka za drinkiem w towarzystwie Warrena. Gdy w końcu dotarł do domu, był nieźle wstawiony.

Wszedł do apartamentu i zawołał Birdie.

Zaskoczyła go cisza.

Wtedy uświadomił sobie, jak wygląda rzeczywistość. Byli w separacji. Bez głębszego zastanowienia chwycił telefon i wybrał jej numer. Odebrała dopiero po ósmym sygnale.

- Halo, słucham? - spytała zmęczonym głosem. Zerknął na zegarek. W Nowym Jorku była trzecia w nocy, w Oregonie północ.

- Cześć, Birdie - powiedział, krzywiąc się.

- O, cześć.

Wyobraził sobie, jak Elizabeth siada na łóżku i włącza światło.

- Dziwnie się czuję bez ciebie - przyznał cicho, siadając na niezasałanym łóżku.

- Wiem.

- Nie powinienem użyć słowa „rozwód”. - Nawet teraz poczuł ucisk żołądka. - Byłem zły.

Nie od razu odpowiedziała. Wkurzało go jej milczenie; czuł się, jakby tylko on był winien. W końcu powiedziała:

- Może ja też powinnam zrobić wszystko trochę inaczej.

- Co dalej? - spytał.

Naprawdę chciał to wiedzieć. Przez dwadzieścia cztery lata mieszkał z nią, sypiał u jej boku, troszczył się o nią. Dawno temu zapomniał, że można żyć inaczej.

- Nie wiem - powiedziała dziwnie daleka. - Potrzebuję trochę czasu i samotności.

- Co będzie z nami?

- Jak sądzę, pójdziemy przed siebie. Sprawdzimy, dokąd zaprowadzi nas ta droga.

- No cóż, taaak. - Próbował wymyślić, co powiedzieć. - Na rachunku bankowym jest mnóstwo pieniędzy. Jeśli chcesz, możesz wysłać swoje rachunki na mój adres.

- Dzięki, ale mam książeczkę czekową. Poradzę sobie.

- No tak.

Zamilkł zażenowany. Czuł się tak, jakby już byli sobie całkiem obcy.

- W takim razie dobranoc, Birdie.

- Dobranoc, Jack.

Odłożył słuchawkę, opadł na łóżko i wpatrzył się w sufit. „Pójdziemy przed siebie”.

Co innego mogli zrobić? Na tym etapie mieli tylko dwie możliwości. Iść przed siebie albo się cofnąć.

Podobnie jak ona, nie był gotów na powrót do starego życia.

ROZDZIAŁ 17

Z dnia na dzień Elizabeth nabierała coraz więcej pewności siebie. Teraz już nie przeszkadzało jej, że śpi sama. Z pewnością miliony Amerykanek w samotności spędzają wszystkie noce, ale dla niej, dla kobiety, która przez całe dorosłe życie sypiała z tym samym mężczyzną, było to coś całkiem nowego.

Nie bała się już chodzić do restauracji. Poprzedniego dnia sama samiuteńka zjadła śniadanie w „Wild Rose”. Spróbowała nawet tofu.

Teraz przyszła kolej na pierwszą próbę malowania.

Zdjęła płaszcz z haka przy drzwiach wejściowych i sięgnęła po czarną płócienną torbę, w której nosiła wszystkie przybory do malowania. Pilnowała, żeby zawsze znajdował się tam kawałek węgla drzewnego, papier, farby, pędzle i nadzieja.

Powietrze było chłodne i rześkie. Elizabeth przeszła przez werandę i zatrzymała się na górnym podejściu schodów. Ocean wyglądał jak szarolawendowa plama. Trawa na podwórku przypominała kawałek bożonarodzeniowego filcu, rozłożonego pod gołym niebem i gdzieś tam pokrytego śnieżnobiałymi grzybami, które wyrosły w nocy. Po niebie leniwie krążyła para kormoranów.

Elizabeth zarzuciła kaptur na głowę i przeszła przez miękki dywan, starając się obchodzić piękne grzyby. Zatrzymała się nad schodami, które prowadziły na plażę, i spojrzała z góry.

Był przyptyw.

Zawiedziona, usiadła na najwyższym, mokrym po nocy stopniu. Poniżej urwiska białe grzbiety fal uderzały o nagie skały i zamieniały się w pianę. Od czasu do czasu Elizabeth czuła na twarzy pył wodny.

Przypomniała sobie dawne czasy, gdy wiele lat temu tata zabrał ją łódką na Florida Keys. Pan Potter, pragnąc spłacić dług, pozwolił ojcu skorzystać ze swojej motorówki, a tata uznał: Czemu nie? Czy jazda motorówką może być trudna? Popłynęli.

Oczywiście nic im nie wychodziło. Za każdym razem, kiedy wpływali do portu, Elizabeth musiała kłaść się na dziobie i odpychać motorówkę od innych łodzi. Ojciec żartował, że dziewczynka pełni funkcję zderzaka.

Elizabeth uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Birdie?

Odwróciła się.

Obok zabłoconego, czarnego porsche boxstera stała Meghann. Jej piękne dzinsy i kaszmirowy sweter były mokre od deszczu, a włosy poskręcane w spiralki.

- Zauważyłaś, że pada?

- Meg!

Elizabeth poderwała się na równe nogi, chwyciła torbę i podbiegła do przyjaciółki. Meg chwyciła ją w niedźwiedzi uścisk, z którego Elizabeth przez dobrą chwilę nie mogła się wyrwać.

- Tylko nie próbuj płakać. A teraz zabierz mnie pod dach i jeśli to możliwe, daj mi drinka.

Elizabeth mocno ujęła Meg za rękę i poprowadziła ją przez szare podwórko.

- Jadąc tutaj, miałam wrażenie, że ryby pływają po szosie.

Elizabeth ze śmiechem wprowadziła Meg do domu, potem napaliła w kominku i wyjęła jedyny alkohol, jaki miała. Wino w kartonie.

Meghann zerknęła z obrzydzeniem.

- To znaczy, że jest gorzej, niż przypuszczałam. Wyraźnie pomyliłaś mnie z mieszkańcami Echo Beach. Zaczekaj chwilę.

Wyszła z domu, a po minucie wróciła z walizką. Rzuciła ją na ławę i otworzyła.

- To buty sprzedaje się w pudełkach, wino potrzebuje butelki.

Pogrzebała wśród ubrań i wyjęła tequile.

- Po otrzymaniu twojego łzawego listu uznałam, że może się przydać coś mocniejszego.

- Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć.

Wypiły po dwa kieliszki czystej tequili, nim ponownie się odezwały. W końcu Meghann wyprostowała się i oparła o sofę.

- No więc, kochanie, powiedz mi, jak, do diabła, się miewasz?

Elizabeth westchnęła.

- To smutne, Meg. Przez lata śniłam o tym, żeby zacząć nowe życie, ale teraz jestem zbyt samotna. Śmiertelnie przerażona. A co, jeśli popełniłam błąd? Co, jeśli...

- Uwierz mi, wszystko, przez co przechodzisz, jest całkiem normalne. Będzie lepiej.

- Powiedz mi coś mądrzejszego od bzdur, które mogę wyczytać na karteczkach załączonych do ciasteczek szczęścia.

- Zwykle nie potrzebujesz moich rad. Jestem zbyt bezpośrednia.

- Wiem, ale teraz jestem zdesperowana. Co byś mi powiedziała, gdybym była twoją klientką?

- Żebyś wyjęła książeczkę czekową.

- Bardzo śmieszne. Pomóż mi. Meghann wychyliła się w jej stronę.

- Powiedziałabym ci, że czasami pewne decyzje podejmujemy zbyt szybko. Kochasz Jacka od bardzo dawna.

- Próbujesz mnie namówić, żebym do niego wróciła?

Elizabeth sama też się nad tym zastanawiała, przeważnie wieczorami, kiedy samotność i strach wkradały się za nią do łóżka. Wiedziała, że gdyby zawróciła z obranej drogi, byłoby jej łatwiej, ale miała dość łatwych dróg.

- To było życie na ruchomych piaskach, Meg. Wciągało mnie na dno. Za każdym razem coraz bardziej znikiałam. Nie mogę do tego wrócić.

- Powiedz mi, co się stało.

- Będąc w Tennessee, napisałam do niego list. Po prostu poinformowałam go, że nie chcę się przeprowadzać do Nowego Jorku i że wracam do Oregonu.

- Tylko tyle?

Elizabeth zignorowała to pytanie.

- Kiedy tu przyjechał, powiedziałam mu, że potrzebuję trochę czasu i samotności. To wszystko, co dotychczas zdążyłam wymyślić.

- Zakładam, że Jack zrobił z tego wielką aferę.

- Użył nawet słowa „rozwód”. Tymczasem ja nawet o tym nie pomyślałam.

- Jezu, Birdie, czego się właściwie spodziewałaś? Na litość boską, Jack jest mężczyzną. Opuściłaś go, nie zgodziłaś się pójść tam gdzie on. To trochę tak, jakbyś odmówiła współżycia.

- Niestety, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Myślałam, że chodzi nam o nasze serca.

- W przypadku mężczyzn cały świat kręci się wokół penisa. Gdybym miała córkę, byłaby to jedyna naprawdę ważna rada, jakiej bym jej udzieliła.

- Wystarczający powód, żebyś nie przestawała brać pigułek antykoncepcyjnych. - Uśmiechnęła się, a potem westchnęła. - Chyba powinnam przewidzieć, że Jack wpadnie w złość - zawsze miał zdrowe ego - ale dobrze wiem, że on też był nieszczęśliwy. Myślałam, że ucieszy się na myśl o chwilowej rozłące.

- Prawdopodobnie po otrzymaniu listu nie uwierzył, że o to właśnie ci chodzi. Potem, kiedy przekonał się, że mówisz całkiem poważnie, puściły mu nerwy. To, że powiedział coś o rozwodzie, wcale nie oznacza, że naprawdę go pragnie.

- Wiem. W takim razie udziel mi rady w innej sprawie, Meghann. Czuję się tak, jakbym skoczyła do wody w najgłębszej części basenu. Chciałabym poznać twój plan wart trzysta dolarów za godzinę.

Meghann upiła łyk tequili, potem powiedziała powoli:

- No cóż, w przypadku kobiet takich jak ty zazwyczaj...

- Kobiet takich jak ja? Meghann skrzywiła się.

- Wspaniała matka, przyzwoity dochód, żadnego konkretnego przygotowania do zawodu.

- Och, kobiet takich jak ja. Mów dalej. Elizabeth zdecydowała się na następny kieliszek.

- Tak czy inaczej, zazwyczaj namawiam je, żeby znalazły sobie jakąś pracę. To dobrze wpływa na wiarę w siebie, nie wspominając już o stanie konta. Ale przed chwilą przejeżdżałam przez Echo Beach... Elizabeth opróżniła kieliszek.

- Taak. Może na targu rybnym potrzebują kogoś do patroszenia łososi. Bóg mi świadkiem, że czyszczenie to moja specjalność.

- Myślę, że powinnaś zrzucić swoją sieć nieco dalej. Bez żadnych dwuznaczników.

- Na przykład na Cannon Beach? Meghann przysunęła się bliżej.

- Jadąc tutaj, przez cały czas zastanawiałam się nad jednym. Zawsze marzyłaś o ukończeniu wydziału sztuk pięknych, pamiętasz? Nadszedł czas, żeby zrealizować dawne plany.

- To było sto lat temu.

- Powoli zaczyna ci brakować wymówek, Birdie. Mogłaś skończyć te studia dwadzieścia lat temu, ale nie zdecydowałaś się. Naprawdę chcesz rzucić Jacka i postępować tak jak dawniej?

To prawda. Mogła ukończyć wydział sztuk pięknych, nim urodziły się dziewczynki. Dlaczego więc tego nie zrobiła?

To skomplikowałoby jej życie. Co by było, gdyby spóźniła się z podaniem Jackowi kolacji? Albo egzamin wypadł w dniu, w którym mąż grał mecz?

Mogło się również okazać, że Elizabeth wcale nie ma wielkiego talentu.

- Chyba zbyt słabo tego pragnęłam.

Owszem. Elizabeth nigdy nie lubiła podejmować ryzyka, chyba że działało ono na korzyść dziewczynek. I oto, co udało jej się osiągnąć: nie miała się do czego uciec ani po co sięgnąć.

- Zdobądź się na odwagę, Birdie. Wyślij papiery. Rusz drogą, z której kiedyś zrezygnowałaś. Czyż nie o to właśnie chodzi?

- Daj spokój, Meg. Mam czterdzieści pięć lat i od dwudziestu lat nie malowałam. Czasami człowiek dostaje w życiu tylko jedną szansę.

Nie chciała rozmawiać na ten temat.

- Jak mogłabym z moimi referencjami składać papiery na wydział sztuk pięknych?

Meghann była wyraźnie zawiedziona.

- W takim razie może zapisałaabyś się przynajmniej na kurs malarstwa?

Elizabeth zadrżała na tę myśl. Miałyby siedzieć w jednym pomieszczeniu z gromadą obcych ludzi i udawać, że odnajduje utracony talent? Nic z tego.

Meghann zerknęła na nią.

- Dobrze, już dobrze. Widzę, że drga ci powieka. Zmieńmy temat.

- Dziękuję.

- W takim razie teraz kolej na mnie. Potrzebuję twojej pomocy. Próbuję skończyć z łajdackim stylem życia. Muszę dojść do tego, jak zainteresować się mężczyzną w moim wieku.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

- Powinnaś zrobić to stopniowo. Najpierw przestań chodzić na randki z facetami, którzy mówią „super”, „ale dupek” i „to jest klawe”.

- I miałabym z nimi rozmawiać? Myślę, że to się nie uda. Pozwól, że coś ci powiem, Birdie. Otóż pole do manewru jest bardzo ograniczone. Sama zobaczysz. Mój ostatni chłopak wytarł w „Canlis” nos w obrus, a i tak stał wyżej w łańcuchu ewolucji od gościa, który wydmuchiwał nos przez okno samochodu, bo skończyły mu się chusteczki higieniczne. Zaczekaj chwileczkę, Birdie. Za sześć miesięcy uznasz, że facet, który mógłby być twoim synem, jest pociągający. Gdy w końcu zrozumiesz, jacy są mężczyźni w naszym wieku, zadzwoń do mnie. Ściągnę cię znad skraju przepaści. Tylko zaczekaj! A jeszcze lepiej, przeprowadź się do Seattle. Mogłabyś zająć moją drugą sypialnię.

- Podoba mi się tutaj i dobrze o tym wiesz.

- Tutaj? To jakaś inna planeta, co gorsza, całkiem wyludniona. Pozwól, że powiem ci jeszcze jedno - to nie jest zwyczajny deszcz. Mieszkam w Seattle. Mieszkańcy tego miasta naprawdę wiedzą, jak wygląda deszcz.

Elizabeth ze śmiechem objęła przyjaciółkę i przyciągnęła ją do siebie.

- Jest tu piękna plaża.

- Tak, jeśli ją widać. Jadąc tutaj, widziałam grupę japońskich turystów, którzy wybrali się na spacer wzdłuż brzegu. Pewnie nigdy nikt ich już nie znajdzie.

- Kiedy świeci słońce...

- To znaczy, dwa razy do roku...
- ...jest to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Można oddychać pełną piersią.
- Ja mogę oddychać pełną piersią nawet w Bejrucie. To wcale nie znaczy, że chcę tam mieszkać.

Zabrzęczał budzik. Elizabeth podniosła się gwałtownie. W tym momencie zdała sobie sprawę, że jest pijana. Miała nogi jak z waty i w ogóle nie czuła czubków palców. Zachichotała.

- Chodź ze mną.

Meghann z trudem wstała z sofy.

- Dokąd idziemy? Na tańce? Kocham tań... - Zmarszczyła czoło. - O czym to ja mówiłam?

Przytuliły się do siebie jak dziewczęta z ósmej klasy, pochyliły głowy w swoją stronę i zachichotały. Elizabeth poprowadziła Meghann przez kuchnię.

W drzwiach wyjściowych Meghann stanęła jak wryta.

- Wychodzimy na zewnątrz? Tam leje jak z cebra.
- Odrobina wody na pewno ci nie zaszkodzi.
- Nie mam na nią ochoty.
- Idziemy na dół, na plażę. Schodzę tam co wieczór o tej porze. To mój nowy rytuał. Coś w rodzaju antidotum na strach.
- Dlatego, że brak ci zajęcia. Mam zamiar zostać tu dwa dni i trochę cię rozerwać.

Elizabeth pchnęła ją przed sobą.

- Pospiesz się, bo inaczej ich nie zobaczysz. Moje wieloryby są niezwykle punktualne.

Meghann zamarła w bezruchu.

- Wieloryby? Żartujesz, prawda?

Elizabeth wybuchnęła śmiechem. Cholera, świetnie się czuła.

- Chodź, terapeutko. Przynajmniej raz ktoś pokieruje tobą, a nie ty kimś.

Ruszyła przez ciemne podwórko. Meghann wędrowała obok przyjaciółki, co chwila potykając się i mocno ściskając jej rękę. Ulewny deszcz zamienił cały teren w ogromną, błotnistą kałużę.

- Uważaj, jest ślisko - ostrzegła gospodyni.

Były w połowie podwórka, gdy rozległo się pierwsze nawoływanie.

- Pospiesz się - powiedziała. - Już są.
- Zdecydowanie potrzebujesz pomocy - zawyrokowała Meghann, wypływając deszcz. - Poważnej, długofalowej pomocy, z zastosowaniem lekarstw.

Jack przyjechał do studia nieco później niż zazwyczaj. Poprzedniego wieczoru długo był na mieście, opróżniał kufle piwa z Warrenem w „Hogs 'n Heifers”. Prawie nie pamiętał, jak i kiedy wrócił do domu.

Miał co świętować: w ubiegłym tygodniu odbyła się premiera Good Sports, co więcej, program od razu stał się przebojem. Wykres oglądalności wystrzelił do nieba.

Jack znów był na topie.

W sali konferencyjnej podszedł prosto do ekspresu do kawy i napełnił filiżankę.

- Dobry Boże - powiedział Warren ze śmiechem. -Koszmarnie wyglądasz. Chyba nie możesz się już bawić tak jak dawniej, nie sądzisz, Jacko?

Zapytany z uśmiechem na ustach usadowił się w skórzanym fotelu.

- Ty sam też nie prezentujesz się najlepiej, Butterfingers. Może zaszkodził ci ostatni talerz nachos?

Nim Warren zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi. Do pomieszczenia energicznym krokiem wszedł producent programu, Tom Jinaro. Towarzyszył mu asystent, Hans. Cieniuchne jak gałązki ręce mężczyzny uginały się od żółtych notesów i stosów papieru.

Tom jak zwykle usiadł na najważniejszym miejscu przy stole konferencyjnym. Chwilę później pojawił się asystent Warrena i usadowił się obok niego.

Jack siedział sam po swojej stronie stołu.

Tom zajrzał do notatek, potem przyjrzał się twarzom zebranych.

- Hans uważa, że powinniśmy zrobić program na temat efedryny w preparatach odżywczych. Coś w rodzaju ostrzeżenia przed ukrytym zabójcą. Co o tym sądzisz, Warren?

Warren wzruszył ramionami.

- Gdyby ktoś padł trupem, prawdopodobnie byłby to niezły temat.

- Jack, jakie jest twoje zdanie?

- Prawdę mówiąc, Tom, uważam, że to nudne jak diabli. Temat dobry dla 60 Minutes albo Dateline, czyli programów, które są często emitowane. My powinniśmy pójść dalej, zmusić ludzi do myślenia. Kiedyś czytałem pewien artykuł... chyba w „Christian Science Monitor”, ale równie dobrze mógł to być „Times”. W każdym razie chodziło o sytuację w Irlandii Północnej. W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi po jedenastym września, Irlandczycy wiedzą więcej o życiu w niebezpiecznych, niepewnych czasach. Musi być jakiś sposób, żeby powiązać to ze sportem.

Tom zastukał długopisem w stół. Po długiej chwili powiedział:

- Jack ma rację. Gównu wiem o Irlandii, ale to lepszy temat niż jakiś związek chemiczny, którego nazwy nikt nie potrafi wymówić. - Odwrócił się do Hansa. - Wiesz coś na temat Irlandii?

Hans zmarszczył czoło i podsunął okulary na nosie.

- Na Bliskim Wschodzie organizuje się obozy sportowe, na których spotykają się dzieci żydowskie i palestyńskie. Może tak samo jest w Irlandii. Na przykład katolicy i protestanci grają razem w piłkę nożną albo coś innego.

Na twarzy Toma pojawił się uśmiech.

- To dlatego jesteś moim asystentem, Hans. Sprawdź to. Jutro rano chcę dostać raport. - Potem walnął dłonią w stół. - W porządku, wielbiciele sportu, przejrzyjmy dzisiejszy scenariusz.

Następne dwie godziny spędzili, czytając i poprawiając scenariusz. Potem Jack i Warren udali się do studia, w którym czekał ich gość: skoczek w dal, olimpijczyk, z odkrytym ostatnio stwardnieniem rozsianym.

Po programie Jack przez jakiś czas kręcił się po studiu i rozmawiał z pracownikami technicznymi, którzy również zostali do późna. Po godzinie, a może później, kiedy budynek był już prawie pusty, wrócił do swojego gabinetu.

Usiadł za biurkiem, podniósł słuchawkę i z pamięci wybrał numer.

Odezwała się po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Cześć, Sally - powiedział, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

- Jack! Miło cię słyszeć. Jak ci leci w Nowym Jorku? Słyszałam, że twój program bije rekordy oglądalności.

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni ktoś był tak szczęśliwy, że go słyszy.

- Wszystko idzie wspaniale. Uważają, że jestem dobry.

- Wszyscy jesteśmy tego samego zdania, Jack. Chociaż bez ciebie tutaj nie jest już tak zabawnie.

- W takim razie może nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby przeprowadzić się do Nowego Jorku? Potrzebna mi asystentka.

- Żartujesz sobie ze mnie? - spytała po dłuższej chwili.

- Nie. To poważna propozycja, potwierdzona przez mojego szefa. Nie możemy zaproponować ci wielkich pieniędzy, ale na pewno dostaniesz więcej, niż teraz zarabiasz.

- Mogę przyjechać za dziesięć dni. - Roześmiała się. - Jeśli będę musiała, zamieszkać choćby w domu Chrześcijańskiego Zrzeszenia Młodzieży Żeńskiej. Dzięki, Jack. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Zaslugujesz na to, Sally.

- Dziękuję.

Po odłożeniu słuchawki Jack przez minutę siedział w całkowitym bezruchu. Zamierzał właśnie wyjść do domu, gdy zadzwonił telefon.

To był Warren.

- Cześć, Jacko. Dziś wieczorem Beth ma zajęcia z jogi. Co byś powiedział na kolację w „Sparks”?

- Możesz na mnie liczyć.

- O wpół do ósmej?

- Spotkamy się na miejscu.

Dotarcie do domu zajęło Jackowi więcej czasu, niż się spodziewał. Przebrał się w lewisy i czarny podkoszulek, po czym złapał taksówkę. Podjechał pod restaurację za piętnaście ósma.

Na zewnątrz dostrzegł swoje odbicie w ciemnym oknie. Zatrzymał się na chwilę i przeczesał palcami teraz całkiem jasne włosy.

Hostessa, ładna, młoda kobieta w obcisłej czarnej sukience, powitała go promiennym uśmiechem. Miała mocno zaróżowione policzki.

- Witamy w „Sparks”, panie Shore.

Obdarzył ją wystudiowanym, telewizyjnym uśmiechem.

- Dziękuję. Cieszę się, że tu jestem. Mam się spotkać z Warrenem Mitchellem.

- Już tu jest. Proszę za mną.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Jej drobny, zgrabny tyłeczek kołysał się delikatnie w tę i w tamtą stronę. Jack powędrował za nią do stolika na tyłach lokalu.

Dotarłszy na miejsce, hostessa dotknęła ramienia Jacka i uśmiechnęła się do niego słodko.

- Jestem tu do zamknięcia. Gdyby pan czegokolwiek - wyraźnie podkreśliła to słowo - potrzebował, jestem do dyspozycji.

Jak to miło być znów pożądanym.

- Zastanowię się nad tym, kochanie - powiedział, siadając.

Patrzył, jak się oddalała. Warren wybuchnął śmiechem.

- Zamówiłem ci dewar's z lodem. - Wzniósł toast swoim kieliszkiem. - Aż trudno uwierzyć, jak występy w telewizji zwiększają sex appeal mężczyzn, nie sądzisz? Nawet takich wapniaków jak my.

Jack sięgnął po swojego drinka.

- Tak, miło znów być kimś. Warren upił łyk alkoholu.

- Chyba nie było ci łatwo. W końcu zamieniłeś występy w NFL na rolę sprawozdawcy sportowego w Sioux Falls.

- Nigdy nie byłem w Sioux Falls, ale to prawda. Przeżyłem piekło.
- Nie pomogłem ci, kiedy wysiadło ci kolano.
- Niczego nie mógłbyś zrobić.
- Chrzanisz. - Warren zamówił następnego drinka. -Potwornie się wtedy przestraszyłem, wiesz? W jednej chwili byłeś na szczycie, a zaraz potem zniknąłeś z powierzchni ziemi.

- Zawsze wiedziałem, że mam słabe kolana i że wcześniej czy później dadzą o sobie znać.

- Jak udało ci się przez to wszystko przebrnąć?

Jack oparł się o wyściełany fotel. Od lat nie chciał nawet wspominać, w jaki sposób można wszystko stracić. Pamiętał, że po operacjach dużo spał. Dniami, może nawet tygodniami nie wychodził ze swojej sypialni, leżał w ciemności, udawał, że boli go bardziej niż naprawdę, i łykał prochy jak cukierki.

Pewnego dnia Elizabeth rozsunęła zasłony.

- Dość tego lenistwa, Jacksonie. Wstań, ubierz się i przyjdź do salonu. Musimy poważnie się zastanowić nad naszym dalszym życiem. Jeśli nie wstaniesz, za dziesięć minut obleję cię lodowatą wodą, więc nie udawaj chorego!

Dotrzymała słowa i wylała mu na głowę kubek zimnej wody. Potem, po kilku minutach... a może godzinach... odważyła się użyć zakazanego słowa: uzależnienie.

- Elizabeth mnie z tego wyciągnęła.

- Nic dziwnego. Dopisało ci szczęście, chłopie. Gdybym ja ożenił się z dziewczyną taką jak Birdie, zamiast...

- Jesteśmy w separacji.

Po raz pierwszy powiedział to na głos. Był zaskoczony swoimi odczuciami: przygnębieniem i jednoczesną radością. Poprzedniego wieczoru, gdy siedzieli w lokalu i tego popijali, Warren bacznie mu się przyglądał; kilkakrotnie spytał nawet, kiedy Birdie wraca do Nowego Jorku.

- Potrzebowałem trochę czasu, żeby się do tego przyznać. I tyle.

- Jezu, byliście małżeństwem od wieków. Stanowiliście dla nas wszystkich jedyną nadzieję.

Słyszał to przez lata od wszystkich przyjaciół, którzy żenili się, rozwodzili i znów się żenili.

- W takim razie nie ma już nadziei.

- Dobrze się czujesz?

Trudno było odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Prawda wyglądała tak, że Jack nie chciał roztrząsać tej sprawy. Gdy to robił - przeważnie późną nocą, kiedy dokuczała mu samotność - przypominał sobie dobre chwile zamiast złych i tęsknił za tym, co stracili. Lepiej było pływać po powierzchni i cieszyć się nowym życiem.

- Tak. Ostatnio między nami wiało nudą.

- Wiem, jak to jest. Milczenie czasami potrafi człowieka zabić. Jak ona sobie radzi?

Warlord zakładał, że właśnie Jack zdecydował się na separację. To chyba oczywiste. Nikt nie uwierzyłby, że Birdie mogła zdobyć się na odwagę i położyć kres ich małżeństwu.

- Dobrze. Czy teraz moglibyśmy zmienić temat?

- Jasne, Jack - powiedział Warren. - Dla ciebie wszystko.

RS

ROZDZIAŁ 18

Plaża stała się dla Elizabeth sanktuarium. Mówiąc wprost, uratowała ją. W ciągu minionych tygodni żona Jacka godzinami przesiadywała na „swojej” skale, niezależnie od tego, czy świeciło słońce, czy padał deszcz. Pogoda jej nie przeszkadzała. Dzień po dniu, godzina po godzinie nabierała sił.

Teraz była już gotowa wrócić do normalnego życia.

Według jej terminarza tego dnia odbywała się doroczna uroczystość w bibliotece: aukcja połączona z balem. Dziwne, że Elizabeth całkiem o niej zapomniała, bo kiedyś poświęciła wiele godzin na zorganizowanie tej imprezy.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Współprzewodniczącej komitetu organizacyjnego, Allison Birch.

- Cześć, Ali - powiedziała, gdy przyjaciółka się odezwała. - To ja, Elizabeth.

- O, cześć! Wydawało mi się, że przeprowadziłaś się do Nowego Jorku.

- Wróciłam.

Próbowała szybko wymyślić jakieś uzasadnienie, gdy Ali powiedziała:

- Czy Jack znów występuje w telewizji? Nie widziałam go.

- Mówię o sobie. To ja wróciłam. Jack i ja...

Nastąpiła długa przerwa.

- Rozstaliście się?

- Chcemy trochę od siebie odpocząć, to wszystko.

- Jezu! Nigdy nie myślałam, że Jack cię zostawi. To znaczy... wiedziałam, że macie jakieś kłopoty, ale myślałam, że to... no wiesz. Każdy od czasu do czasu bywa nieszczęśliwy.

Elizabeth nie miała pojęcia, od czego zacząć. Oczywiście, Allison zakładała, że separacja była pomysłem Jacka. Kobiety takie jak Elizabeth nie zostawiają mężczyzn takich jak Jack.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała Allison.

- Chyba rozejrzę się za jakąś pracę.

- W Echo Beach? - Allison się roześmiała. - Co byś chciała robić?

- Jeszcze nie wiem. Tak czy inaczej, jestem na miejscu i chcę, żebyś o tym pamiętała. Może w następną środę po posiedzeniu komitetu zjadłybyśmy razem lunch?

- Chętnie.

- A dzisiaj jest aukcja w bibliotece. Pewnie się spotkamy.

Tym razem, kiedy Allison przez chwilę milczała, Elizabeth napięła wszystkie mięśnie.

- To bal - przypomniała przyjaciółka. - Z kim przyjdiesz?

Elizabeth zapomniała, że świat żyje w parach.

- Nie pomyślałam o tym.

- Musiałabyś siedzieć sama przy stole. Czy to nie byłoby przykre?

- Myślę, że muszę się nauczyć bywać sama tu i tam - powiedziała Elizabeth, słysząc, że lekko się zacina.

- Taaak - westchnęła Allison. - Pewnie tak. Czy Chuck i ja mamy po ciebie przyjechać?

- Nie - odparła cicho, wiedząc już, że nigdzie nie pójdzie.

Nie może. Jeszcze przez chwilę prowadziła niezręczną rozmowę, potem wymówiła się bólem głowy i odłożyła słuchawkę. Opadła ciężko na sofę.

Cholerna separacja była niekończącą się serią spóźnionych ciosów.

Elizabeth stała się kobietą samotną, osobą, która bez mapy i kompasu próbuje się poruszać po nieznanym terenie.

Zaczęła przeproszać, że żyje, ale wcale jej się to nie podobało. Wystarczająco długo się ukrywała.

Pora wrócić do dawnego stylu życia. Co z tego, że teraz nikt jej nie pomoże? Mówi się: trudno. Najważniejsze, żeby pokonać strach.

Wstała i powędrowała do kuchni po szklankę wody. Przy lodówce zauważyła kalendarz, a na nim zapisane dwie sprawy do załatwienia tego dnia. aukcja w bibliotece, 6.30 kobiety bez pasji, 7.00

Całkiem zapomniała o spotkaniu. Dziwne, ponieważ, prawdę mówiąc, zamierzała się na nie wybrać.

Jednak dzisiaj pójdzie na aukcję.

Poszła na piętro, wzięła prysznic, umyła włosy, a potem wcisnęła swoje nieco za obfite ciało w elegancką czerwoną sukienkę, którą kupiła w ubiegłym miesiącu. Z niezwykłą dbałością zrobiła makijaż, starając się uwydatnić wszelkie swoje walory. Na końcu wybrała biżuterię: misterny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie motyla, wykonany ręcznie ze srebra i onyksu.

Gdy przejrzała się w wysokim lustrze, zobaczyła kobietę z lekką nadwagą w opiętej, seksownej sukience. Nie była to wcale „nowa” Elizabeth.

Zamarła w bezruchu, zastanawiając się jeszcze raz nad swoim wyglądem, potem sięgnęła do szafy po elegancki szal i wyszła z domu.

Przejechała przez kilka małych nadmorskich osad. W Manzanicie skręciła z drogi głównej w krętą, trzypasmową szosę, która prowadziła wzdłuż plaży. Gdziekolwiek w zapadającej ciemności błyskały światła domostw. W końcu

droga zawiodła Elizabeth na parking jednego z niewielu okazałych czterogwiazdkowych hoteli. Zbliżając się do celu, czuła coraz większe zdenerwowanie.

Co ona właściwie tu robi? Nie powinna przyjeżdżać sama...

Powinna.

Zaparkowała samochód i chwilę w nim siedziała.

Było dwadzieścia pięć po szóstej. Aukcja zacznie się lada chwila. Jeśli zbyt długo będzie czekała, wszyscy zauważą jej wejście. Lepiej wślizgnąć się teraz, po cichutku.

Wzięła głęboki wdech.

- W porządku. Teraz wysiadam z auta.

Owinęła się kaszmirowym szalem i skierowała kroki w stronę hotelu.

W foyer zobaczyła kilka znajomych twarzy. Uśmiechała się, kiwała głową na powitanie i przez cały czas posuwała się do przodu, ale mimo to wydawało jej się, że usłyszała za swoimi plecami szept: „Gdzie jest Jack?”

Z pewnością tylko jej się wydawało.

Szybko pokonała wyłożone czerwonym dywanem szerokie schody, które prowadziły do sali balowej. Zatrzymała się w otwartych drzwiach.

Elegancko ubrani ludzie siedzieli przy stołach nakrytych białymi obrusami i rozmawiali między sobą.

Wiedziała, co mówią: to samo co zazwyczaj opowiada się podczas takich spotkań, niezależnie od tego, czy są to ludzie z małego miasteczka, czy z wielkiego miasta. Mężczyźni rozmawiają o pracy i sporcie. Kobiety mówią o szkole, dzieciach i dietach.

W kącie trio jazzowe grało przerobioną wersję starej piosenki Elli Fitzgerald.

Elizabeth nie musiała zerkać na zaproszenie, żeby znaleźć swoje miejsce przy stole. Było w samym środku. Jedną z korzyści ubocznych organizowania w Echo Beach wszelkich aukcji charytatywnych było najlepsze miejsce przy stole. Oczywiście nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że jest, a raczej była żoną jednej z miasteczkowych osobistości.

Allison i Chuck już przyszli. Nawet z tej odległości Elizabeth widziała, że Allison ma na sobie to, co zawsze: czarną sukienkę robioną na drutach. Przy stole siedziały już trzy inne pary, cicho między sobą rozmawiając i sącząc szampana. Elizabeth знаła tu wszystkich, jednych lepiej, drugich gorzej. W małych miejscowościach wszyscy się znają.

Przy stole były dwa puste miejsca.

Elizabeth wiedziała, że może to zrobić. Może unieść wysoko głowę, przejść wśród szepczącego tłumu i zająć jedno z dwóch wolnych miejsc.

Tylko po co?

W końcu to nie było jej życie, tylko życie, które przejęła z dobrodziejstwem inwentarza. Produkt uboczny życia Jacka. Dlatego w tym pomieszczeniu miała tylu znajomych, a tak niewielu przyjaciół.

Dawno temu, gdy dziewczynki były małe, na wszystko brakowało pieniędzy i co dwa lata przeprowadzali się do nowego miasta, Elizabeth przekonała się, że najlepszym sposobem zawierania nowych znajomości jest zgłaszanie się na ochotnika do wszelkich akcji. Ten sam wzór postępowania przenosiła z miasta do miasta. Przeprowadzała się, zaczynała pracę charytatywną, nawiązywała kruche przyjaźnie i znów się przeprowadzała.

W Echo Beach automatycznie dostosowała się do modelu życia Jacka, nawet nie zastanawiając się nad dokonaniem przez siebie wyborem.

Teraz też to zrobiła, chociaż już nie musiała.

Nie chciała być kobietą taką jak dotychczas. Czyż nie na tym polegał jej błąd? Nie chciała stapiać się z tłumem, rozmawiać o zwyczajnych sprawach, być „starą dobrą Elizabeth”. Żoną Jacka.

Pożegnała dawną siebie i odwróciła się na pięcie. Niczym Kopciuszek zbiegła ze schodów, ciągnąc za sobą szal, i wsiadła do samochodu.

Zerknęła na tablicę rozdzielczą. Była za dwadzieścia siódma.

Za dwadzieścia minut zaczyna się spotkanie kobiet bez pasji.

Zapuściła silnik i nacisnęła pedał gazu. Do miasteczka dotarła piętnaście po siódmej.

Owinęła się ciasno szalem, przeszła przez puste korytarze i weszła na salę.

- Elizabeth! - zawołała Sarah Taylor na jej widok. - Bałyśmy się, że w tym tygodniu nie przyjedziesz.

Aż trudno uwierzyć, ale Elizabeth wybuchnęła śmiechem. Potrzebowała ciepłego przyjęcia.

- Zabłądziłam. Mina zachichotała.

- Wszystkie zabłądziłyśmy, kotku. Chodź. Elizabeth przez chwilę kluczyła między kobietami, aż w końcu usiadła na pustym krześle obok Kim. Kim nie uśmiechnęła się.

- Powinnaś trzymać się z daleka od tej grupy. Pójdiesz z nią na dno.

Elizabeth spojrzała na twarze kobiet, które wiedziały dokładnie, jak się w tej chwili czuła.

- Ostatnio sama ściągnęłam się na dno.

- Naprawdę? Wyglądasz na szczęśliwszą - zauważyła Kim.

Nim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, Sarah rozpoczęła spotkanie.

- Kto chciałby zacząć nasze spotkanie?

Ku własnemu zaskoczeniu Elizabeth podniosła rękę. Poczula strach dopiero wtedy, gdy wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

- Mój mąż i ja jesteśmy w separacji.

- I jak to znosisz? - spytała łagodnie Sarah.

Kiedy Elizabeth zaczęła mówić, złapała się na tym, że nie może przestać. Wyrzuciła z siebie całą historię. Zakończyła ją słowami:

- Dzisiaj wieczorem próbowałam wrócić do swojego dawnego życia, ale w końcu uznałam, że to byłby błąd. Chciałabym zacząć nowe życie, ale nie bardzo wiem, jak. Dlatego przyszedłam tutaj.

Mina wychyliła się do przodu.

- Myślałam o tobie w tym tygodniu. Może mam zdolności parapsychiczne.

- Obdarzyła Elizabeth smutnym uśmiechem. - W każdym razie wczoraj przeglądałam informator uczelniany, żeby sprawdzić, czego teraz mogłabym się uczyć, i zauważyłam, że wkrótce zaczyna się kurs malowania.

Elizabeth poczuła dziwny ucisk w sercu. Może była to nadzieja?

- Naprawdę?

Mina sięgnęła do swojej skórzanej, patchworkowej torby i wyjęła wymięty katalog.

- Zachowałam go dla ciebie. Podeszła i podała go Elizabeth.

- Dzięki - powiedziała z niekłamaną wdzięcznością obdarowana.

Potem dyskutowały już wszystkie. Od czasu do czasu łącząca je bliska więź objawiała się nagłymi wybuchami emocji i płaczu lub śmiechu.

Jedyną osobą, która się nie odzywała, była Kim. Przez cały czas siedziała sztywno obok Elizabeth, obracając w palcach pustą do połowy paczkę papierosów i niekiedy szyderczo prychając.

Gdy spotkanie dobiegło końca, Elizabeth jeszcze przez kilka minut rozmawiała z kobietami; potem wyszła do samochodu.

Była niemal na parkingu, gdy zauważyła Kim, która stała samotnie i paliła papierosa.

Elizabeth przez chwilę się wahała. W swoim poprzednim życiu nigdy nie ośmieliłaby się okazać, że dostrzega czyjś ból. Z pełnym szacunkiem trzymałaby się z daleka.

W błękitnawym świetle lampy ulicznej zerknęła na Kim. Ich spojrzenia się spotkały.

Elizabeth podeszła do koleżanki. Gdy była bliżej, zauważyła, że na bladej twarzy Kim widać łzy.

- Chcesz papierosa?

- Nie, dzięki.

Stały w milczeniu, spoglądając na parking. Dym unosił się w zimnym powietrzu.

- Widziałaś kiedykolwiek konkurs zamków z piasku na Cannon Beach? - spytała Kim, wypuszczając dym.

- Oczywiście.

Elizabeth знаła dobrze to wydarzenie; wszyscy miejscowi o nim wiedzieli. Ludzie przyjeżdżali z daleka, by zbudować wspaniałe, skomplikowane rzeźby. Było tam wszystko, od zamków po syreny. Każde dzieło wyglądało pięknie i solidnie, ale rano nie było po nim ani śladu.

Zrozumiała. Kim, tak jak niegdyś Elizabeth, myślała, że małżeństwo jest czymś trwałym. W rzeczywistości jednak bardziej przypomina zamek z piasku: w jednej chwili przybiera piękną formę, by chwilę później się rozpląnąć.

Kim spojrzała na Elizabeth.

- Sarah myśli, że się boję. Że boję się nadziei.

- Wszystkie się boimy.

- Chyba tak. - Kim rzuciła papierosa i przygniotła go obcasem. - No cóż, do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Na pewno przyjadę.

Kim wsiadła do ładnej, błękitnej miaty i odjechała. Elizabeth poszła w jej ślady. Na autostradzie ich drogi rozeszły się.

Elizabeth zatrzymała się przy Stormwatch Lane, wyjęła korespondencję ze skrzynki pocztowej i pojechała dalej, do domu.

Gdy zaparkowała, znów padało.

W domu zrzuciła w kuchni szal i przejrzała korespondencję. Była wśród niej duża brązowa koperta od Meghann.

Elizabeth rozerwała ją. Na stół wypadły katalogi wyższych uczelni. Columbia. New York University. Uniwersytet Stanowy w Nowym Jorku. Trzy spośród uczelni, które przed laty przyjęły podanie Elizabeth.

W postscriptum widniały słowa: „Teraz nie możesz powiedzieć, że nie masz czasu”.

Elizabeth unikała rozmów z córkami. Starannie wybierała pory, kiedy miały zajęcia albo trening, i zostawiała im radosne wiadomości, jakby wszystko było po staremu. Tata świetnie sobie radzi w Nowym Jorku, znów jest gwiazdą; mama ciężko pracuje, by przygotować dom do wynajęcia. Kłamstwa, które przypominały domek z kart.

Zerknęła na zegar nad kominkiem. Za piętnaście druga.

W Waszyngtonie za piętnaście piąta.

Obie będą teraz na treningu, na basenie. W sobotę są ważne zawody przeciwko University of Virginia.

Tchórz - pomyślała Elizabeth, wybierając numer. Była zbyt zajęta obmyślaniami jakiejś optymistycznej wiadomości, dlatego nie od razu zorientowała się, że telefon odebrała Stephanie.

- Halo, słucham?

Elizabeth roześmiała się zdenerwowana.

- Cześć, skarbie, cieszę się, że cię słyszę! Dużo ostatnio o was myślę.

- Cześć, mamu. - W głosie Stephanie słychać było zmęczenie. - Chyba odezwał się twój instynkt macierzyński. Leżę chora.

- Co ci jest?

Na chwilę zapadło milczenie. W tym czasie Elizabeth wyobrażała sobie wszystko, co najgorsze. Tak właśnie działa instynkt macierzyński; spycha człowieka na skraj przepaści, a potem mówi: „Uważaj, nie patrz w dół”.

- Właściwie nic takiego. Po prostu mam jakieś kłopoty z żołądkiem. Zwracam wszystko, co zjem.

- Jamie się tobą zajmuje, prawda?

- O, taaak, to jej specjalność. Dziś rano powiedziała: „Gdybyś zamierzała zwymiotować, celuj z dala od moich nowych butów”.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem. Cała Jamie.

- Jestem pewna, że wkrótce wyzdrowiejesz.

- Mam nadzieję. Cieszę się, mamusiu, że zadzwoniłaś. Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Rodzice Tima zaprosili Jamie i mnie na ferie zimowe na wyprawę na narty. Mają domek w Vermoncie. To drugi tydzień marca.

Dzięki Bogu - pomyślała Elizabeth.

Martwiła się, jak ona i Jack poradzą sobie, gdy córki przyjadą do domu. Można unikać mówienia prawdy przez telefon, ale całkiem inaczej wygląda sprawa, gdy kłamie się w żywe oczy.

- To mi się podoba.

- Tylko trochę będzie kosztowało. Bilety na wyciągi...

- Wasz tata może sobie na to pozwolić.

Elizabeth skrzywiła się. Powinna powiedzieć: „Możemy sobie na to pozwolić”.

- Byłaby to pierwsza przerwa wiosenna, na którą nie przyjechałybyśmy do domu. Nie masz nic przeciwko temu?

Kochana Stephanie, zawsze martwi się, że może komuś sprawić przykrość. Elizabeth chciała powiedzieć: „Nie przejmuj się, kochanie, jakoś sobie poradzimy”, ale poprzestała na stwierdzeniu:

- Oczywiście, będziemy za wami tęsknić, ale powinniście jechać. Zabawić się.

- Dzięki, mamusiu. Powiedz, co słyhać w domu. Musisz chyba dostawać szału. Ilekroć dzwonię do taty, z zachwytem opowiada o Manhattanie. Pewnie bardzo za nim tęsknisz.

- Tęsknię - powiedziała, krzywiąc się przy tym słowie.

- Jak długo będziesz jeszcze w Oregonie?

- Nie wiem. Wygląda na to, że nikt nie chce mieszkać tak daleko od ludzi, a przecież nie mogę zostawić pustego domu.

Zerknęła na lewą rękę, którą zacisnęła na udzie w pięść. Wciąż miała na palcu brylantowy pierścionek. Dotychczas wszystko, co się wiązało z nim i z faktem, że go nosiła, było zarówno kłamstwem, jak i najgłębszą prawdą. Teraz dostrzegła jedynie kłamstwo.

- Jak studia? - spytała, pragnąc zmienić temat.

Poskutkowało. Stephanie opowiedziała kilka zabawnych „historyjek z życia Jamie”, czyli o tym, jak jej siostra pakuje się w tarapaty i jak z nich wychodzi.

- Jak zwykle - skomentowała Steph - Jamie powoduje towarzyski odpowiednik karambolu na dziesięć aut i nawet tego nie dostrzega. Tim mówi, że przydałoby jej się lusterko wsteczne, wówczas mogłaby przynajmniej zobaczyć swoje życie.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

- Ma to po dziadku. On też nigdy nie patrzył przed skokiem na główkę. Mówił, że wtedy nie byłoby żadnej niespodzianki.

Głos jej się załamał, gdy pomyślała „Tata odszedł”.

- Dobrze się czujesz, mamusiu?

- Brakuje mi go.

- Wiem. Jamie nie może się z tym pogodzić. Ona i dziadek byli sobie tacy bliscy. Wydaje mi się, że wszystko odbija się na jej pływaniu. Kiepsko też sypia.

Elizabeth westchnęła. Jej biedna córeczka. Jamie sprawiała wrażenie twardej jak głaz, ale naprawdę była bardzo wrażliwa.

- Miej ją na oku. Zadzwoń do niej jutro, po wykładach.

- Próbowałam ją skłonić, żeby skorzystała z porady uczelnianego psychologa, ale znasz Jamie. Powiedziała mi, że bym się odpieprzyła.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Steph - powiedziała Elizabeth. - Czy wystarczająco często ci to mówię?

- Tak, mamusiu.

Następne słowa Elizabeth dobrała bardzo starannie.

- Nigdy nie zapominaj, żeby zawsze na pierwszym miejscu stawiać Stephanie. Czasami trzeba być egoistą, bo inaczej życie może się człowiekowi prześlizgnąć między palcami.

- Dobrze się czujesz, mamusiu?

- Jasne. Jestem po prostu trochę zmęczona, to wszystko. Stephanie przez chwilę milczała. W tle słychać było telewizor. Rozległy się oklaski.

- Czy jest coś, co chciałaś kiedyś zrobić? No wiesz, zamiast wychodzenia za mąż i rodzenia dzieci?

Takie pytania kobiety zazwyczaj zadają sobie za późno, gdy obiorą jakąś drogę i okazuje się, że jest to ślepa uliczka.

- Dlaczego o to pytasz?

- Oglądałam program o kobiecie, która zabiła swoje dzieci. Ponoć zawsze chciała być policjantką. I to chyba byłby naprawdę odpowiedni wybór. Tak czy inaczej jej psychoanalityk gada i gada o tym, że kobiety często podświadomie rezygnują ze swoich potrzeb. Porównuje to do ładowania broni. Pewnego dnia wybucha.

Rzeczywiście, wybucha.

Łatwo byłoby zmienić temat, ale Elizabeth nie chciała iść na łatwiznę. Były rzeczy, które powinna powiedzieć córkom, rady, których należało im udzielić. Niestety, czasami pewne prawdy człowiek odkrywa za późno.

- Nie „zamiast”, bo wtedy nie miałabym ciebie i Jamie, ale „oprócz”. Dawniej uwielbiałam malować. Gdzieś po drodze zgubiłam talent,

- Nie wiedziałam.

Prawdopodobnie to był największy błąd Elizabeth. Tak się bała swoich straconych marzeń, że zachowywała się, jakby nigdy nie istniały. Jak kobieta, która podcięła sobie skrzydła, ma nauczyć dzieci latania?

- Nie wiem, czemu nic nie mówiłam. To było kiedyś dla mnie bardzo ważne.

- Możesz znowu spróbować, mamusiu.

- Zastanawiam się nad kursem malowania w tutejszej uczelni.

Jednak to powiedziała. Zamieniła marzenie na słowa i nadała mu siłę głosu.

- Wspaniale. Jestem pewna, że wszystkich zakasujesz. Elizabeth roześmiała się. Nie myślała nawet o ocenach.

- Pamiętaj, Stephanie, to są twoje najlepsze lata. Nie masz jeszcze męża ani dzieci, nikt ci nie mówi, co wolno, a czego nie wolno. To twój czas na marzenia.

Elizabeth usłyszała w swoim głosie wyraźny żal. Łatwo było patrzeć na świat z perspektywy czasu. Miała zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale usłyszała dźwięk, który ją powstrzymał.

- Dziecinko? Płaczesz?

- Tylko nie myśl, że to z twojego powodu, mamusiu. Po prostu kiepsko się czuję. Teraz jeszcze zaczyna mnie boleć głowa. Chyba rozpadnę się na kawałki. Każę Jamie zadzwonić, gdy wróci z basenu.

- W porządku, skarbie. Pij dużo. I pozdrów ode mnie Tima. Od nas - poprawiła się.

Jak szybko przerzuciła się na myślenie w liczbie pojedynczej.

- Powiedz tatusiowi, że go kocham.

- Powiem.

- Powiedz, żeby dziś wieczorem do mnie zadzwonił. Chcę usłyszeć, jak wypadł jego wielki wywiad z Jayem.

(Jakim Jayem? - pomyślała Elizabeth).

- Dobrze - powiedziała. - Kocham cię.

- Ja też was kocham. Cześć.

Przez kilka dni życie Jacka w ogromnym tempie pędziło do przodu. W Court TV transmitowano rozprawę Drew Graylanda. Młody człowiek do niczego się nie przyznał i utrzymywał, że jest niewinny, ale jego słowa nie miały żadnego znaczenia. Paskudna, smutna historia znalazła się w centrum zainteresowania. Jak Ameryka długa i szeroka studenci i rodzice protestowali przeciwko brakowi odpowiedzialności sportowców. Studentki z dziesiątków uniwersytetów wniosły przeciwko futbolistom i koszykarzom oskarżenia o gwałt.

W samym środku tego wszystkiego tkwił Jack Shore. Dzięki szczęściu i zbiegowi okoliczności - a także morzu pieniędzy, które studio Fox wydało na reklamy - stał się narodowym przykładem przemiany. Wszyscy znów wiedzieli, kim jest.

Teraz siedział potwornie zdenerwowany.

Obok niego była Sally, która niespokojnie przytupywała, zaglądając jednocześnie do koszyka z owocami.

- Na pewno wspaniale wypadniesz - powiedziała przynajmniej piętnasty raz w ciągu kilku minut.

Prawdę mówiąc, bardzo potrzebował tych słów, potrzebował, żeby je powtarzała. Między innymi dlatego ją zatrudnił. Doskonale działała na jego ego i, oczywiście, cholernie dobrze spisywała się jako asystentka. Zajmowała się wszystkimi drobiazgami.

Ktoś zapukał do drzwi. W pomieszczeniu pojawiła się Avery Kormane, kobieta, która miała zaprowadzić go do małej, pozbawionej okien poczekalni i przygotować do wywiadu.

- Jak się pan miewa?

- Czy ktoś już haftował w Tonight Show, czy ja będę pierwszy?

- Naśladowca odgłosów ptaków z Kentucky po zerknięciu na publiczność upadł twarzą na podłogę. - Uśmiechnęła się. - Przed kamerami wszyscy się denerwują. Widziałam pańskie taśmy. Poradzi pan sobie. Jeśli będzie pan zdenerwowany, proszę po prostu skupić się na Jayu. To miły facet. Pomoże, jeśli się pan potknie.

Właśnie z tego powodu Sally wybrała Lena. Gdy w ubiegłym tygodniu zaczęły napływać oferty, Jack instynktownie zaczął się skłaniać ku Lattermanowi. Dopiero Sally przypomniała mu, że Leno jest o wiele łatwiejszy w kontaktach.

Avery zerknęła do swojego notatnika.

- Jak już panu wcześniej mówiłam, zajmie pan miejsce najbliżej Jaya. Pozostałe krzesła będą puste. George Clooney spieszy się na samolot do Waszyngtonu na następne spotkanie prasowe.

Jack zerknął na monitor na ścianie. Na ekranie Thea Cartwright ze śmiechem rozmawiała z Jayem. Bez wątplenia była najpiękniejszą kobietą w Hollywood.

- A co z Theą?

Avery gwałtownie uniosła głowę. Przymrużyła oczy za najbrzydszą na świecie oprawką.

- Zna ją pan? Nie ma tego w moich notatkach. Sally zmarszczyła czoło.

- Nie, nie znam. Po prostu uważam, że jest wspaniała. To wszystko. - Poczul się jak kompletny idiota.

Avery zmarszczyła czoło.

- Och, rozumiem. No cóż, Thea za chwilę wychodzi. Ma dzisiaj premierę. Po prostu proszę przywitać się z Jayem, pomachać ręką publiczności i usiąść.

- Zerknęła na zegarek. - Proszę za mną.

Jack zrobił, co mu kazano. Sally trzymała się jego boku jak przyklejona. Pokonali labirynt korytarzy, minęli kilka zamkniętych drzwi z zapalonymi napisami: „Emisja programu”. W końcu dotarli do celu.

Nad drzwiami świeciło się słowo „Hollywood”. Jarzeniówki cicho brzęczały.

Jack poczuł, że pocą mu się dłonie.

- Na pewno wspaniale wypadniesz - powtórzyła Sally.

Chciałby mieć przy sobie Elizabeth. Wystarczyło jej spojrzenie, delikatne muśnięcie dłoni, żeby go uspokoić. Od lat pragnął tego, żeby znaleźć się w telewizji ogólnokrajowej, ale teraz, gdy ta chwila nadeszła, był zdenerwowany jak wszyscy diabli.

Takie wystąpienie w niczym nie przypominało odczytywania wiadomości z telepromptera. Powinien być rozluźniony i dowcipny. Avery wspomniała, że mile widziane są „zabawne anegdotki z życia osobistego”.

Czy kiedykolwiek w życiu zdarzyło mu się coś zabawnego?

W ubiegłym miesiącu rzuciła mnie żona... buuu... naprawdę mnie rzuciła. Czy to wystarczająco zabawne? -pomyślał.

Brawa zatrzęsły całym studiem. Na ścianie błysnął czerwony napis.

Avery klepnęła Jacka po ramieniu.

- Wchodź, Jack. Połamania nóg.

Wymamrotał coś - nie miał pojęcia co - i chwiejnym krokiem wyłonił się zza rogu. Światła były tak jasne jak na Broadwayu i świeciły mu prosto w oczy. Z trudem dopatrzył się rzędów ludzkich twarzy. Nagle zdał sobie sprawę, że reflektory wcale nie są wycelowane w jego stronę; po prostu patrzył prosto w jeden z nich.

Idiota - pomyślał.

Uśmiechnął się niepewnie, jakby pożyczył uśmiech od kogoś innego.

Jay szedł w jego stronę z wyciągniętą ręką.

- Jumpin’ Jack Flash - zapowiedział z uśmiechem.

W tym momencie Jack uspokoił się. Zapomniał o tym, że zyskał niegdyś przydomek The Flash, Błysk.

- Cześć, Jay.

Pomachał tłumowi, który powitał go burzą oklasków.

Wyszedł za Jayem na środek jasno oświetlonej sceny. Kiedy był przy ogromnym drewnianym biurku, zobaczył Theę. W tym samym momencie usłyszał słowa Jaya:

- ...Thea chciała zostać. Twierdzi, że futbol jest jej ulubionym sportem.

Publiczność zawyła na znak aprobaty.

Thea wstała i podeszła do Jacka. Jej smukłe ciało było ledwo okryte kusym, czarnym topem bez ramiączek i jaskraworóżową minispódniczką. Prawie nie miała makijażu. Jej jasne jak pszenica włosy wyglądały tak, jakby

dostały się do maszyny do odchwaszczania. Była seksowna jak diabli. Dzięki wysokim obcasom dorównywała wzrostem Jackowi.

Przez ułamek sekundy znów miał szesnaście lat i pinezkami przyczepiał do ściany plakaty Farrah Fawcett. Thea uśmiechnęła się do tłumu.

- Co za przystojny facet. Prawda, moje panie?

Niemal zemdłał, słowo honoru. Nagle odniósł wrażenie, że płonie w światłach reflektorów. Poczul jej perfumy, piżmowe i słodkie jednocześnie. Kiwnął głową i na siłę oderwał od niej wzrok.

Usiadł.

- No więc - powiedział Jay, zajmując miejsce za biurkiem. - Spowodowałeś nieco zamieszania w świecie sportu.

- Byłem w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie, kiedy to wszystko się wydarzyło.

Powinien przed lustrem poćwiczyć pokorną minę. Nie umiał robić jej na zawołanie. Jay uśmiechnął się do niego.

- Idę o zakład, że miło jest wrócić w światła reflektorów.

- Owszem.

- Jak czułeś się podczas swoich „niefutbolowych” lat? Wszystkie osobistości zadawały mu takie pytanie. Nic bardziej nie przeraża ludzi sławnych niż myśl o tym, że mogliby rozplynać się w nicości.

- Jakbym zmienił ferrari na używane volvo.

- O rany - jęknął Jay, a publiczność wybuchnęła śmiechem. - Dlaczego to robisz? Nieźle wkurzyłeś wielu sportowców.

- Jestem ojcem - powiedział prosto z mostu. - Tam, w pokoju z Drew Graylandem mogła być jedna z moich córek. Musimy wrócić do dawnych dobrych obyczajów, kiedy sportowiec świecił przykładem, na boisku i poza nim.

Publiczność znów zaczęła bić brawa. Przez hałas przebiło się wycie.

Wywiad trwał jeszcze kilka minut. Jay był mistrzem w robieniu dowcipnych uwag nawet po najpoważniejszych wypowiedziach, a jednocześnie jakimś cudem udawało mu się nie spłyć tematu.

Potem nagle było już po wszystkim. Zaczęła grać muzyka, światła zgasły, a Jay wstał. Poklepał Jacka po plecach.

- Wypadłeś wspaniale.

Jack poczuł się, jakby właśnie poprowadził swój zespół do zdobycia Super Bowl.

Thea podeszła do Jaya i pocałowała go w policzek.

- Dzięki.

Obniżyła głos i powiedziała mu coś na ucho. Jay roześmiał się, potem pomachał Jackowi i zszedł ze sceny.

Thea podeszła do Jacka. Na jej pełnych wargach pojawił się promienny uśmiech. Wyraźnie było widać, że nie tylko doskonale wie, jakie wrażenie robi na mężczyznach, ale jeszcze na dodatek perfidnie to wykorzystuje.

- Byłeś naprawdę dobry - mruknęła, wychylając się w jego stronę.

- Dzięki.

- Może masz ochotę...

Nagle obok niego pojawiła się Sally.

- Wypadłeś naprawdę wspaniale - powiedziała zadyszana. Potem zwróciła się do Thei: - Mam na imię Sally. Jestem asystentką Jacka. To zaszczyt dla mnie, że mogę panią poznać.

Thea natychmiast zauważyła, że Sally zaborczo położyła rękę na ramieniu Jacka.

- Ale z ciebie szczęściara! Muszę już bieć. Mam dzisiaj premierę.

Kiedy uśmiechnęła się do Jacka, poczuł przypływ czystego pożądania.

- Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Ja też.

Gdy zniknęła, spojrzał na Sally, która wpatrywała się w niego, jakby był bogiem.

ROZDZIAŁ 19

W piątek Meghann zadzwoniła dokładnie o czasie.

Przez chwilę Elizabeth nie zamierzała podnieść słuchawki, ale wiedziała, że to bezcelowe. Meghann dzwoniłaby wtedy co pięć minut, aż Elizabeth się odezwie.

Z westchnieniem podeszła do telefonu.

- Cześć, Meg.

- Dobrze wiesz, że dzwoniłabym w nieskończoność. Elizabeth usiadła przy kuchennym stole.

- Tak właśnie przypuszczałam.

- Dzisiaj jest ważny dzień. Zaczyna się kurs malowania. Boże, chciałabym tam być.

- Żeby zawieźć mnie pod budynek uniwersytetu.

- I odprowadzić pod drzwi. Elizabeth blado się uśmiechnęła.

- Chwilami mam ochotę zrezygnować.

- To oczywiste, ale jeśli nie zrobisz tego teraz...

Meg nie dokończyła zdania. Niewypowiedziana groźba była gorsza choćby tylko dlatego, że nie miała konkretnej formy.

- Wiem. Dlatego się wybieram. Naprawdę.

- To dobrze. Zadzwonisz do mnie, jak wrócisz? Mam randkę, ale najpóźniej o dziewiątej powinnam już być u siebie.

- Czy właśnie o tej porze mamusia każe mu wracać do domu?

- Bardzo śmieszne. Tak się składa, że ma dwadzieścia osiem lat. Bardzo szacowny wiek. Chodzi raczej o to, że teraz nie tracę już czasu. Jeżeli randka w ciągu pierwszych trzydziestu minut nie przebiega po mojej myśli, na tych trzydziestu minutach się kończy.

- Może akurat ten facet cię zaskoczy.

- Birdie, oni wszyscy mnie zaskakują. W ubiegłym tygodniu mocniej przytuliłam się w drzwiach do chłopaka, z którym byłam na randce, i poczułam ramiączka stanika. No dobrze, muszę już iść. Głowa do góry i pamiętaj, że jesteś bardzo utalentowana.

Byłam - poprawiła Elizabeth.

- Nie zapomnę - zapewniła.

- Ruszaj się, rób coś. Nie zatrzymuj się ani nie zwalnij, dopóki nie usadowisz się wygodnie na krześle.

- W porządku.

Przez następną godzinę Elizabeth postępowała zgodnie z radą najlepszej przyjaciółki. Nie stanęła, nie westchnęła, nie zwolniła tempa ani się nie zastanawiała.

Spakuj torbę z farbami, pędzlami i papierem.

Weź prysznic.

Wysusz włosy.

Ubierz się.

Wsiądź do samochodu.

Dojazd do budynku uniwersytetu nie zajął jej nawet trzydziestu minut. Zatrzymała się na parkingu i weszła do gmachu.

Na drzwiach sali numer 108 wisiała kartka z napisem: „Malarstwo dla początkujących, 17.00”.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Na sali w półokręgu siedziało sześć, może siedem osób - same kobiety. Przed sobą miały stół przykryty białym materiałem. Na środku stołu stała brązowa drewniana miska pełna jasnoczerwonych jabłek.

Elizabeth starała się, jak mogła, poruszać niepostrzeżenie, gdy obchodziła regał z książkami i kierowała się w stronę pustego krzesła. Przyciskała do piersi płócienną torbę, jakby to była kamizelka kuloodporna.

Za jej plecami ktoś otworzył i cicho zamknął drzwi. Męski głos powiedział:

- Witam na kursie malarstwa dla początkujących. Jeśli przyniosły panie sznurki i koraliki na makramy, wasze zajęcia są w innej sali.

Przeszedł między uczestniczkami kursu, lekko kołysząc biodrami, jak typowy kowboj albo tancerz. Miał na sobie czarny podkoszulek, który opinał się na łopatkach, i wyblakłe lewisy. Kiedy podszedł do tablicy i odwrócił się, Elizabeth gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Prawdopodobnie nie była jedyną kobietą, która zareagowała w taki sposób.

Był młody - nie miał więcej niż dwadzieścia dziewięć, góra trzydzieści lat - ale, mój Boże, był naprawdę przystojny. Jak Brad Pitt w filmie Thelma i Louise.

- Nazywam się Daniel Boudreaux - przedstawił się, odsłaniając w uśmiechu białe zęby. - Przez sześć tygodni będę waszym instruktorem. Moje zadanie polega na wprowadzeniu was w arkana malowania.

Jego błękitne oczy przez chwilę wędrowały od twarzy do twarzy; na dłużej zatrzymały się przy Elizabeth, chociaż może tylko tak jej się zdawało.

- Mam nadzieję, że będzie to początek romansu, który potrwa do końca waszego życia. Dla tych z was, które przywiązują wagę do takich drobiazków

- chociaż nie powinny, bo w końcu rozmawiamy o sztuce - studiowałem w Rhode Island School of Design i Yale. Cierpię na nadmiar wiedzy i brak talentu. To jednak mnie nie powstrzymuje. Przez całe lato łowię ryby na Alasce, a przez całą zimę maluję.

Odsunął się od tablicy i stanął przy stole z owocami.

- Porozmawiajmy trochę o kompozycji.

Elizabeth czuła, że wali jej serce. Wkrótce - pomyślała - Daniel powie: „W porządku, zaczynamy”.

- ...Tego, co najważniejsze w sztuce, nie można znaleźć na końcu pędzla. To coś znajduje się w oku artysty...

Elizabeth była idiotką, myśląc, że jej się uda. Zapomniała, jak myśli artysta i co trzeba zrobić, żeby przenieść emocje na koniuszek pędzla.

- ...Tak jak wszystko inne, malowanie wymaga pewnych czynności wstępnych. Nie chodzi tu na razie o mieszanie farb. Zaczniemy od farb akrylowych i przygotowania palety. Widzicie ten okryty folią owal, który ustawiłem obok waszych krzeseł?

Elizabeth niespiesznie wyjęła przyniesione przez siebie materiały malarskie. Łatwo było wytłumaczyć jej letarg - korzystała z mięśni, które zdążyły zaniknąć.

- ...Zaczniemy malować na papierze, a potem przejdziemy do płótna. Przypnijcie kartkę...

Elizabeth umieściła duży, szorstki kawałek papieru na sztaludze, która stała przed jej krzesłem. Sięgnęła do torby, ale zdała sobie sprawę, że nikt się nie poruszył. Położyła więc ręce na kolanach.

- ...Teraz spójrzcie na owoce. Naprawdę dobrze im się przyjrzyjcie. Zwróćcie uwagę na wypukłości, na sposób, w jaki światło odbija się na gładkich powierzchniach, jak znika w zagłębieniach. Malowanie polega na patrzeniu. Spójrzcie na miskę, wyobraźcie sobie, że czujecie jej fakturę, zauważcie kolory, jakie zawiera. Gdy będziecie gotowe, zacznijcie. Potem zrobimy kilka szkiców, ale na razie chcę, żebyście namalowały to, co widzicie. Postępujcie, jakby każda z was była dzieckiem, które właśnie dostało farbki. Wolność w najczystszej formie.

Elizabeth słyszała odgłos pędzli zbyt energicznie zanurzanych w farbach i dźwięki, które towarzyszą dotknięciu włosia o papier.

Opróżniła umysł z wszelkich myśli oprócz tej jednej -o owocach. Światło i cień; kolor, kształt i kompozycja...

Nagle przestraszona, zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Daniel pochylał się nad nią.

- Czy coś się stało? - spytał. Zarumieniła się.

- Przepraszam. Co powiedziałeś?

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Zrobiła to tak szybko, że niemal zderzyli się głowami. Ze śmiechem zrobił krok do tyłu.

- Jak masz na imię?

- Elizabeth.

- W porządku, Elizabeth, co się stało? Dlaczego jeszcze nie zaczęłaś.

- Ponieważ jeszcze nie widzę.

- Jabłek? Możesz przysunąć się bliżej.

- Nie... obrazu.

- No proszę. To interesująca odpowiedź. W takim razie zamknij oczy.

Postąpiła zgodnie ze wskazówką i natychmiast zaczęła tego żałować. W ciemności wydawało jej się, że Daniel jest bliżej niż w rzeczywistości; czuła zapach jego wody po goleniu.

- Opisz owoce.

- Leżą w drewnianej misce, ręcznie wystruganej, jak mi się zdaje, przez kogoś, kto nie był w tym wcale dobry. Miska została wykonana z jednego kawałka drewna. Stół jest typowy, metalowy, prawdopodobnie z drewnianym blatem. Przykryłeś go drogim, białym bawełnianym obrusem. Jabłka to McIntoshe, czerwone z zielonymi i czarnymi plamami, niemal w kształcie serca. Światło pada na nie z prawej strony. Na skraju stołu jest piórko, może sójki.

Przez chwilę milczał. Czuła bicie serca. Waliło tak głośno, że zastanawiała się, czy Daniel to słyszy. „Kobieta padła trupem podczas kursu malowania, ponieważ instruktor kazał jej opisać jabłka. Szczegóły na stronie jedenastej”.

- Nie podobają ci się - powiedział w końcu. - Coś ci się nie podoba. Widocznie źle je ułożyłem. Jak powinienem to zrobić?

- Wolałabym żółty obrus, nie biały. Na nim powinno być jedno jabłko, nie, pomarańcza. Żadnej miski. Cała reszta jedynie przeszkadza.

Pochylił się niżej. Poczowała ruch powietrza, gdy się poruszył, usłyszała jego oddech. Potem dotknął jej ręki. Skuliła się, próbowała cofnąć dłoń. Nie puścił jej. Po chwili zdała sobie sprawę, że trzyma w ręce pędzel.

Otworzyła oczy. Patrzył prosto na nią.

- Pokaż mi, co potrafisz, Elizabeth.

Znajdował się tak blisko, że nie była w stanie logicznie myśleć, nie mogła nawet oddychać. Poprawiła pędzel w dłoni, pragnąc go poczuć.

Nagle widziała tylko obraz: swój obraz. Zwyczajną, okrągłą pomarańczę. Wszystko wokół tonęło w jasnych promieniach słońca, które odbijały się od

żółtego płótna. Pomarańcza rzucała lekko lawendowy cień. Maleńka, zielona skaza znaczyła porowatą skórę owocu. Elizabeth zanurzyła czubek pędzla w farbie - neapolitańskiej żółci -i zaczęła malować.

Ani na chwilę nie przerywała. Krew dosłownie wrzała w jej żyłach, ręce wykonywały ruch za ruchem. Serce waliło w piersiach i skroniach. Czuła się jak na początku migreny, ale wcale się nie przejmowała. To było lepsze niż seks - w każdym razie lepsze niż jakikolwiek stosunek, jaki miała od lat.

Kiedy skończyła, wypuściła gwałtownie powietrze z płuc. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że je powstrzymywała.

Była roztrzęsiona, spocona. Robiło jej się niedobrze, a jednocześnie odczuwała szaloną radość. Powoli rozejrzała się dookoła.

Sala była pusta.

Zerknęła na zegarek. Ósma. Kurs zakończył się godzinę temu.

- O mój Boże!

Roześmiała się. Czuła się wspaniale.

- Gdzie studiowałaś?

Odwróciła się. Daniel wyszedł spomiędzy regałów na tyłach sali. Patrzył na nią z takim natężeniem, że aż ją to zaniepokoiło. Poczowała ucisk w żołądku, niepokój, jak na skraju przepaści.

- Na University of Washington. Mniej więcej tysiąc lat temu.

Ruszył w jej stronę.

- Wykładał tam wtedy Waldgrin? Była wyraźnie zaskoczona.

- Taaak. Znałeś Lea?

- Żartujesz? Autostopem przejechałem przez cały kraj, żeby się u niego uczyć.

- To wspaniały nauczyciel.

Daniel podszedł do niej. Przez długą chwilę patrzył na jej obraz - dopiero teraz zauważyła, że jest to dziecięca eksplozja barw; żadnej precyzji, żadnego wyrafinowania -potem spojrzał na nią.

Znów poczuła ucisk żołądka, który przypominał jej okres studiów. Wiedziała, co to jest: pociąg fizyczny. Pociągał ją mężczyzna prawdopodobnie o połowę młodszy od niej.

O Boże - pomyślała. Czy on widzi to na jej twarzy? Co będzie, jeśli zaproponuje jej randkę? Co ona wtedy powie? „Jesteś za młody. Za przystojny. Ja jestem za stara. Moja bielizna ma rozmiar namiotu cyrkowego”.

Czyżby naprawdę to pomyślała? Wyobrażała sobie, że Daniel zaproponuje jej randkę? Używając słów Jamie: „Jakby to było możliwe”.

Uśmiechnęła się.

- Czemu przyszedłeś na mój kurs?
- Od dawna nie malowałam.
- To przestępstwo.

Drżącymi palcami zdjęła obraz ze sztalugi, przewiesiła płócienną torbę przez ramię i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy była na progu, powiedział:

- Masz talent, wiesz o tym.

Elizabeth nie odważyła się odwrócić. Uśmiechała się tak promiennie, że prawdopodobnie wyglądała jak komik - a przy jej zmarszczkach to mogłoby śmiertelnie przestraszyć młodego chłopca.

Uśmiechała się przez całą drogę do domu. Kilkakrotnie wybuchnęła nawet głośnym śmiechem.

W domu przylepiła rysunek taśmą klejącą do lodówki i patrzyła na niego.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak dobrze się czuła. Udało jej się coś osiągnąć. I nie było to coś tak łatwego jak wynegocjowanie dobrej ceny za jakiś antyk czy wybranie odpowiedniego materiału na obicie sofy. Odniosła prawdziwy sukces.

Nalała sobie kieliszek wina, a potem zadzwoniła do Meghann. Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Malowałam, Meg. Naprawdę malowałam! Hip-hip-hurraa! A tak dla porządku, mój instruktor jest boski. W sam raz dla ciebie. Zadzwoń do mnie, gdy wrócisz do domu.

Ze śmiechem nastawiła płytę kompaktową Smash Mouth. Śpiewała i tańczyła sama samiuteńka po salonie. Kiedy wirowała przy kominku, zauważyła zdjęcie na gzymsie i zatrzymała się.

Był na nim Jack z dziewczętami. Nie pamiętała zbyt dokładnie, kiedy zostało zrobione. W tle leżał śnieg i wszyscy ubrali się jak na całonocny pobyt w Arktyce.

Jack miał na sobie beżową zamszową kurtkę, obszytą owczym futerkiem, i bardzo długie włosy z pierwszymi oznakami siwizny nad uszami.

Nagle zaczęła marzyć o tym, żeby mieć go przy sobie. Byłby z niej dumny. Stara miłość, uczucie, które niegdyś całkowicie wypełniało jej serce, teraz nagle wróciło i przypomniało jej, że kiedyś u boku Jacka żyło jej się całkiem dobrze. Niemal o tym zapomniała.

Podeszła do następnego zdjęcia. Była to stara fotka, zrobiona całe wieki temu. Elizabeth w gładkiej spódnicy i swetrze z szetlandzkiej wełny, ze sznurem pereł na szyi. Jack, ubrany w dzinsy i kurtkę podobną do tych, jakie noszą listonosze, uśmiechał się, jak przystało na zarozumiałego gwiazdora futbolu. Za nimi widać było Frosh Pond.

University of Washington.

Lata zamków z piasku.

Zamknęła oczy, kołysząc się w rytm muzyki i przypominając sobie tamte czasy... pierwszy pocałunek...

Uczyli się razem, siedząc na trawniku w Quad. Była późna wiosna, wiśnie powoli zaczynały przekwitać, małe, różowe płatki spadały na ziemię. Dzieciaki w krótkich spodenkach i podkoszulkach grały w frisbee i kopały piłkę.

Jack pochylił się i zamknął książkę.

- Wiesz, co mówią o nauce. Że jeśli człowiek zbyt dużo się uczy, w końcu traci wzrok.

Ze śmiechem opadła na trawę i wsparła głowę na ręce. Jack położył się obok niej i również oparł głowę na dłoni.

- Jesteś taka piękna! Przypuszczam, że twój narzeczony z Haruardu przez cały czas ci to powtarza.

- Me.

Głos Elizabeth był tylko odrobinę silniejszy od szeptu. Na jej policzku wylądował różowy płatek wiśni.

Jack strzepnął go. Czując muśnięcie jego palców, zadrżała. Powoli pochylił się nad nią, dając jej dużo czasu, żeby go powstrzymała, odwróciła się.

Leżała nieruchomo, szybko oddychając.

Nie był to jakiś wielki pocałunek, raczej krótkie muśnięcie warg. Kiedy Jack się odsunął, był tak samo roztrzęsiony jak ona. Rozplakała się.

- Czy mogłabyś kiedyś pokochać takiego chłopaka jak ja ?

- Och, Jack - odparła. - Jak myślisz, dlaczego płaczę?

Dotknęła zdjęcia, musnęła palcem przystojną twarz. Nigdy pocałunek żadnego mężczyzny nie skłonił jej do łez.

Po raz pierwszy od tygodni zastanawiała się, czy mają jeszcze jakąś szansę.

Teraz, kiedy znów zaczęła malować, wszystko wydawało się możliwe. Świat odzyskał kolory i pasję; nie była już kobietą w odcieniach szarości.

Zadzwoił telefon.

Meghann.

Elizabeth podbiegła i podniosła słuchawkę.

- Czy się z nim przespałaś? - spytała.

- Hmm... Birdie? Elizabeth skrzywiła się. Cholera!

- Cześć, Anito, przepraszam.

- To ja przepraszam, że tak późno dzwonię. Po prostu... Po prostu obiecałaś, że zadzwonisz.

Elizabeth usłyszała w głosie macochy lekkie drżenie. Był to dźwięk, który znają wszystkie kobiety. Oznacza rozpaczliwą próbę wykrzesania z siebie odwagi i siły. Elizabeth skuliła się na sofie.

- Przepraszam, Anito. Trochę dziś zaszalałam. Jak się miewasz?

Anita roześmiała się. Był to raczej smutny śmiech.

- Och, skarbie, staram się nie myśleć zbyt dużo o sobie. Elizabeth poczuła sympatię do macochy.

- To dla nas, kobiet, takie charakterystyczne, prawda? Wpychamy pod wodę nasze życie, a same staramy się pływać po powierzchni. Potem pewnego dnia nagle zdajemy sobie sprawę, że ta sadzawka należy do kogoś innego.

- O czym ty, do licha, mówisz?

- Przepraszam, Anito. Prawdę mówiąc, jestem nieźle wstawiona, dlatego trochę filozofuję.

Z trudem wymówiła ostatnie słowo.

- Zauważyłam coś dziwnego w twoim liście. Doszłam do wniosku, że kryje się za tym coś, o czym nie wiem.

- Masz dość własnych kłopotów, Anito. Nie potrzeba, żebym dorzucała ci moje.

- Po prostu nie możesz tego zrobić, prawda, Birdie?

- Czego?

- Podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami. Miałam nadzieję, że teraz, po śmierci Edwarda, może między nami coś się zmieni.

- Próbuję oszczędzić ci bólu - odparła Elizabeth urażona. - Jesteśmy z Jackiem w separacji, ale dziewczęta o tym nie wiedzą, więc o niczym im nie mów.

- O rany!

Anita wypuściła powietrze z płuc. Ten dźwięk przypominał pisk gumowej zabawki dla dzieci.

- Sprawialiście wrażenie szczęśliwych. Co się stało?

- Wszystko i nic.

Elizabeth upiła spory łyk wina. Jak ma wyjaśnić bliżej nieokreślone niezadowolenie kobiecie, która tak niewiele chciała od życia? Anita mogła zrozumieć przyływy i odpływy uczuć, jakie zdarzają się w wieloletnich małżeństwach, ale nie pojęłaby, w jaki sposób taki odpływ może zniszczyć kobietą duszę. A już z całą pewnością nie pojęłaby pustki w gnieździe po odlocie młodych.

- To po prostu drobna stłuczka na drodze, Anito. Jestem pewna, że jakoś sobie poradzimy.

Jeszcze tego samego wieczoru, trzy kieliszki wina później, na pewno uda jej się w to uwierzyć.

- Pewnego dnia przestanę mieć nadzieję, Birdie, że kiedyś dorośniesz. Wtedy prawdopodobnie nazajutrz mnie pochowają.

Anita roześmiała się, ale był to gorzki śmiech, a może tylko jakiś bliżej nieokreślony dźwięk?

- No cóż, przykro mi, że macie kłopoty. To chciałaś usłyszeć, prawda?

Elizabeth postanowiła przenieść się na bezpieczny grunt; Rozmowa stawała się zbyt osobista; psuła też dobry nastrój.

- Wystarczy o mnie. Jak sobie radzisz? Często o tobie myślę.

- W tym ogromnym domu aż roi się od duchów - wyznała Anita. - Czasami jest tak cicho, że można zwariować. Na szczęście w takich sytuacjach szybko sobie przypominam, że zawsze byłam wariatką.

- Wiesz, co bardzo mi pomaga? Siedzenie na plaży. Może zmiana otoczenia dobrze by ci zrobiła.

- Tak sądzisz?

Tak było zdecydowanie lepiej. Otoczenie to bezpieczny temat.

- W samotnym siedzeniu na brzegu morza jest jakaś niezwykła magia. To zabawne, przez całe lata bałam się plaży. Teraz nie wytrzymuję zbyt długo z dala od niej. -Po tym wyznaniu głos jej się załamał. - Zawsze chciałam, żebyście ją zobaczyli, to znaczy, ty i tata.

- Wiem, skarbie. Myśleliśmy, że mamy czas.

Czas. Hak, na którym wszystko można zawiesić: życie, poniesione straty, nadzieję, miłość. Jakże często przecieka między palcami jak żywe srebro. Na szczęście niekiedy udaje się wrócić do tego, co było, i zatrzymać to już na zawsze.

- Dziś wieczorem zaczęłam kurs malowania - wyznała niemal szeptem.

- Och, Birdie, cudownie. Byłam wściekła, że zaniedbałaś swój talent.

Elizabeth była zaskoczona.

- Uważałaś, że mam talent? Nigdy mi tego nie mówiłaś.

Anita westchnęła.

- Och, skarbie, mówiłam ci, mówiłam. No cóż, uważaj na siebie, dobrze?

- Ty też, Anito. I pomyśl o siedzeniu na plaży.

- Pomyślę, skarbie, na-pewno. Może rzeczywiście przydałaby mi się zmiana otoczenia.

ROZDZIAŁ 20

Nawet jeśli gdzieś wysoko świeciło słońce i spoglądało na ziemię, która wytrwale krążyła po swojej orbicie, trudno byłoby to sprawdzić. Niebo zasnuwały grube, ciężkie, ołowiane chmury.

W dni takie jak ten, ani bezchmurny, ani burzowy, nie było nic do roboty, pozostawało jedynie zapalić w kominku, skulić się na sofie z filiżanką herbaty i zadzwonić do najlepszej przyjaciółki. Dlatego Elizabeth właśnie to robiła.

- Kto umarł? - spytała Meghann szorstko. Elizabeth zerknęła na zegarek. Był sobotni ranek, za piętnaście dziesiąta.

- Domyślam się, że moja puszczalska przyjaciółka wczoraj wieczorem miała szczęście.

- „Szczęście” to rzecz względna, ale owszem, przespałam się z nim. - Meghann zrobiła pauzę. - Wiesz, nie ma szans, żeby związek trwał długo, jeśli gra wstępna zajmuje mniej niż dziesięć minut, a sam stosunek połowę tego czasu. Zaczekaj. Przyniosę sobie kawę. - Słuchawka stuknęła o ladę. Chwilę później Meghann ponownie ją podniosła. - No więc, jak było na kursie?

- Udało mi się. Malowałam.

- Wiem. Jak było? Czy wciąż jesteś wspaniała? Jeszcze jedno, dostałaś katalogi, które ci wysłałam?

- Zwolnij nieco, mój doradco. Wszystko po kolei. Znów malowałam. Na razie tyle.

- Jestem z ciebie dumna, Birdie.

- Zakładam, że wczoraj wieczorem nie odsłuchwałaś automatycznej sekretarki. Mój instruktor jest boski.

- Nie chrzanisz? Boski facet w pipidowie? Wyraźnie mam pecha. Chyba od jakiegoś czasu stadami opuszczają wielkie miasta. Ile ma lat?

- W sam raz dla ciebie. Na pewno nie ma pojęcia, co to Pet Rock*.

* Zabawka z połowy lat siedemdziesiątych (przyp. tłum.).

- No i?

- No i co?

Meghann westchnęła teatralnie.

- Masz czterdzieści pięć lat, nie dziewięćdziesiąt pięć. Czujesz coś?

Elizabeth nie wiedziała, dlaczego to pytanie ją zaskoczyło. Od lat Meghann wypytywała ją o tak zwane fantazje. Nie mogła uwierzyć, że Elizabeth naprawdę nie zwraca uwagi na innych mężczyzn.

„Nie oczekuję, żebyś coś z tym robiła - mawiała Meghann - ale nie w mówisz mi, że czasami nie śnisz o którymś z nich”.

Po takiej rozmowie Elizabeth zawsze czuła się trochę tak, jakby była nienormalna, ale właściwie nigdy nie ciągnęło jej do innych mężczyzn. Och, od czasu do czasu na widok faceta w telewizji myślała: „Ale przystojny gość”, nigdy jednak nie przenosiła tych wrażeń do sypialni. Bóg świadkiem, ani razu nie zastanawiała się nad zdradą. Wciąż nie potrafiła sobie czegoś takiego wyobrazić. Prawdę mówiąc, seks z Jackiem zawsze bardzo jej odpowiadał. Dopiero ostatnio ich namiętność nieco przygasła.

- No tak - odparła, zaskakując siebie samą. - Potem przypomniałam sobie rozmiar mojej bielizny.

- Jesteś żałosna, wiesz? Gdybyś nie miała przez pół życia problemów z trawieniem, wiedziałabyś, że dobrze wyglądasz.

- Nigdy nie miałam problemów z trawieniem.

- Możesz mi pogadać. Rzeczywiście przytyłaś kilka kilogramów, ale tylko kilka. Wciąż jesteś piękna. Brad byłby szczęśliwy, gdyby mógł się z tobą przespać.

Ta rozmowa posuwała się do przodu szybciej niż uciekinier z więzienia.

- Taaak, oczywiście. Myślę... Och, zaczekaj chwilę, dzwoni drugi telefon.

Sprawdziła, kto to taki.

- Meg? To dziewczęta. Muszę z nimi pogadać. Zadzwoń później, dobrze?

- Dobrze. Jestem z ciebie dumna, Birdie. Mam nadzieję, że ty też.

- Jestem. Dzięki.

Elizabeth przełączyła telefon na drugą linię.

- Halo?

- Witaj, mamusiu. To Jamie.

- Cześć, słoneczko - powiedziała Elizabeth. - Cieszę się, że cię słyszę. Jak wypadły zawody?

Jamie wybuchnęła płaczem.

- Nie... nienawidzę pływania. Przez cały czas jestem mokra.

- Nic dziwnego. Pływasz od szkoły podstawowej. Elizabeth starała się nie uśmiechać, ale nie przyszło jej to łatwo. Poważne kryzysy, które przeżywała jej młodsza latorośl, były równie przewidywalne jak tropikalne burze i trwały mniej więcej tak samo długo. Widocznie Jamie podczas niedzielnych zawodów przegrała wyścig na swoim dystansie.

- Wiem, ale robi mi się niedobrze na samą myśl o wodzie. Przegrałam o trzydzieści sekund.

To już było zdecydowanie coś nowego. Elizabeth wyprostowała się i podciągnęła kolana pod brodę.

- A co na to twój nauczyciel, którego zatrudniliśmy? Po chwili przerwy Jamie powiedziała:

- Chodzę z nim. Ma na imię Michael. Jest strasznie fajny. Gra na saksofonie w uczelnianym kwartecie jazzowym. Wiesz, jakie to seksowne? To pierwszy facet, który podczas randki nie mówi, jak zagrywać piłkę ani nie zachwyca się tatą.

Jakie to podobne do Jamie! Tylko ona mogła zakochać się w swoim nauczycielu. Nie było sensu poruszać poważnych spraw, póki nie zostanie omówiona najnowsza miłość.

- No dobrze, opowiedz mi o nim.

Jak zwykle Jamie nie brakowało historyjek na temat nowego chłopaka. Wyraźnie w nauce z Michaelem przeszkodę stanowiły jego oczy - „Są takie brązowe, mamusiu, zdumiewająco brązowe” - i głos - „Mówi prawie szeptem, jak niektórzy starzy jazzmani. To jest niesamowicie seksowne”.

W końcu, gdy opowiedziała wszystko o swoim nowym chłopcu, wróciła do sprawy.

- Zresztą w tej chwili nie potrzebuję nauczyciela, tylko czasu na naukę. Dlatego chcę zrezygnować z pływania. Tatusz zarabia furę pieniędzy, tak mi przynajmniej powiedział, więc stać was na prywatne lekcje dla mnie, prawda?

- Wszystko po kolei, dziecinko. Nawet nie próbuj mi wmawiać, że potrzebujesz więcej czasu na naukę. Chcesz zrezygnować, żeby częściej przebywać z Michaelem?

- Zastanów się tylko, co ty mówisz, mamo. Już od czasów Małej Ligi godzę chłopców i pływanie.

- W takim razie o co naprawdę chodzi? Dlaczego chcesz zrezygnować?

- Powiedzieć ci prawdę? - Nastąpiła chwila przerwy, a potem: - Nie jestem dość dobra.

Słyszając wypowiedziane niemal szeptem słowa, Elizabeth poczuła ucisk w sercu. Chciała zaprotestować, powiedzieć Jamie, że na pewno jest dość dobra... że w ogóle nie ma o czym mówić. To jednak byłoby pójście na łatwiznę. Dziecięca odpowiedź na dorosłe pytanie.

- Mów dalej.

- Niektóre dziewczęta naprawdę mają talent, mamusiu. Hannah Tournilae to wspaniały materiał na mistrzynię olimpijską. Zrezygnowałabym już dawno temu, ale tata przyjeżdżał na każde zawody, a kiedy wygrałam, zachowywał się, jakbym pokonała raka. Niestety, teraz nie czeka już na mnie na mecie. Nawet nie dzwoni, żeby zapytać, jak mi poszło.

- Tata cię kocha. Wiesz o tym. Dla żadnego z nas nie jest ważne, czy pływasz. Po prostu chcemy, żebyś była szczęśliwa.

- W takim razie powiesz mi, że rezygnuję? Elizabeth roześmiała się.

- Nie. Sama będziesz musiała porozmawiać z ojcem na ten temat, ale powiem ci tylko jedno, skarbie: nie rezygnuj z czegoś tylko dlatego, że nie jesteś dość dobra. Takie podejście może potem powtarzać się w twoim dalszym życiu. Uwierz mi, wiem coś na ten temat.

- Chcesz, żebym dotrwała do końca sezonu.

Jamie wyjątkowo szybko doszła do takiego wniosku; dzięki temu Elizabeth zorientowała się, jaka powinna być właściwa odpowiedź.

- Jestem pewna, że twój trener to doceni.

- Nienawidzę, gdy to robisz.

- Co takiego?

- Udajesz, że się ze mną zgadzasz, a potem podrzucasz mi jakiś granat w postaci zdroworozsądkowej sugestii.

Elizabeth uśmiechnęła się. To był doskonały opis macierzyństwa.

- Poprę cię, niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiesz.

- W porządku. Zrezygnuję po zakończeniu sezonu. Jamie próbowała udawać silną i pewną siebie, ale wahanie spowodowało w jej głosie lekkie drżenie.

- Pewnie nie mogę liczyć na to, że przekażesz wszystko tacie w moim imieniu?

- Nie.

- Świetnie.

Elizabeth wiedziała, że córka jest na nią zła, tak samo, jak wiedziała, że ta złość nie potrwa długo. Jamie była podobna do dziadka: zmienna i nieprzewidywalna. W jednej chwili potrafiła człowieka nienawidzić, by w następnej go uwielbiać.

- Jamie? - powiedziała Elizabeth, czekając na: „Co jeszcze?”

Wiedziała, co chce powiedzieć, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. W przypadku Jamie poważna rozmowa przypominała nieco jazdę główną arterią Los Angeles. Jeśli chciało się zmienić pasmo, trzeba było zrobić to z ogromną ostrożnością.

- A może chcesz zrezygnować z pływania, bo jesteś przygnębiona po śmierci dziadka?

Jamie potrzebowała dobrej chwili, żeby odpowiedzieć, po czym głos wyraźnie jej drżał.

- Przez cały czas bardzo mi go brakuje.

- Mnie też. Wciąż z nim rozmawiam. To mi trochę pomaga.
 - Mieszkasz teraz sama. Ja przebywam wśród tysięcy studentów; większość stanowią przyszli psychoanalitycy. Jeśli zacznę rozmawiać ze zmarłym dziadkiem, od razu mnie zamkną.
 - Nigdy nie przejmowałaś się tym, co myślą inni ludzie. Nie rób tego teraz, ale jeśli się wstydzisz, rozmawiaj z nim w domu. Stephanie nie będzie się śmiała.
 - Jaka Stephanie? - spytała Jamie z goryczą. Widocznie tu częściowo leżał problem. Stephanie była bardzo zajęta przygotowaniem do ukończenia studiów i Jamie za nic w świecie nie przyznałaby się, że brakuje jej starszej siostry.
 - Zakładam, że jest za bardzo zajęta, aby spędzać z tobą czas.
 - Praktycznie rzecz biorąc, cudowny Tim prawie u nas mieszka, a kiedy Steph. dostanie z testu najwyższą ocenę, przynosi jej kwiaty. Wyobrażasz sobie? Kwiaty! Do diabła, ona otrzymuje najwyższe oceny od czasu, kiedy w przedszkolu kazano jej wyrecytować alfabet. Nasze mieszkanie wygląda jak kwaciarnia w „Krwiożerczej roślinie”. Rzygać mi się chce.
 - Jesteś zazdrosna - szepnęła Elizabeth. Cisza.
 - Taaak. Co gorsza, chcę mnie zabrać ze sobą na przerwę wiosenną. Barbie, Ken... i Skipper. Taaak. Gorzej byłoby tylko, gdybym musiała zostać tutaj sama i przyglądać się, jak więdną głupie kwiatki.
 - Może przyjechałabyś do domu, pobyła ze mną? - zaproponowała Elizabeth automatycznie.
- Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Przygotowuję przecież dom na wynajem. Czy zdołam powiedzieć to głośno, stojąc twarzą w twarz z córką?
- Do domu? To znaczy gdzie, do ciebie czy do taty? A skoro już o tym mowa, kiedy przeprowadzasz się do Nowego Jorku? Gdy po raz ostatni rozmawiałam z tatą, sprawiał wrażenie samotnego.
- To były niebezpieczne wody, zwłaszcza gdy obok płynęła Jamie.
- Gdy tylko znajdę odpowiednich najemców.
 - Na kogo czekasz? Na brytyjską rodzinę królewską? Wynajmij ten pieprzony dom jakiemuś biedakowi, który lubi, gdy na podwórku w ciągu jednej nocy wyrastają mu grzyby, i nie ma nic przeciwko temu, że deszcz bez przerwy wali mu po głowie jak tysiąc małych młoteczków.
 - Nie lubisz tego domu? Jamie wybuchnęła śmiechem.
 - Oczywiście, że lubię, ale to tylko dom. Mieszkałyśmy w milionach domów.

Elizabeth westchnęła. To był jeden ze skutków ubocznych życia u boku Jacka. Nie dali dziewczętom poczucia, że gdzieś w jakimś konkretnym miejscu jest ich dom.

- Masz rację - przyznała.

- W takim razie co będziemy robić? O ile dobrze pamiętam, marzec jest szczególnie ponurym miesiącem. Pewnie ani razu nie zobaczymy słońca.

Na te słowa Elizabeth mimo woli się uśmiechnęła.

- Mogłybyśmy wypożyczać filmy i grać w gry planszowe.

- Uspokój się, moje serce. Gry planszowe z moją mamą podczas przerwy wiosennej. - Roześmiała się. - Pomyślę o tym, mamusiu. Naprawdę. Muszę już kończyć. Za godzinę przyjeżdża po mnie Michael.

- Czy twoja siostra jest w domu?

- Przykro mi. Zajmuje się dzisiaj chorymi na Alzheimera. Powiem jej, żeby jutro do ciebie zadzwoniła. Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Cześć.

Po odłożeniu słuchawki Elizabeth przez dobrą chwilę nie odrywała wzroku od telefonu. Przyszło jej na myśl, że powinna zadzwonić do Jacka.

Dobrze by było, gdyby wiedział o kłopotach Jamie. Jeśli będzie uprzedzony, że córka chce zrezygnować z pływania, ich rozmowa będzie miała łagodniejszy przebieg.

Elizabeth zawsze ułatwiała kontakty Jacka z dziewczętami. Jack po prostu... czasami nie dostrzegał pewnych rzeczy, przegapiał ważne chwile. Od początku starała się - trzeba przyznać, że sama wzięła to zadanie na swoje barki - podpowiadać mężowi, jak powinien postępować z córkami.

Obawiała się, że bez jej sugestii Jack niechcący może zranić uczucia córek. Wybrała jego numer.

Jack miał właśnie spotkanie z Sally.

- On naprawdę wymierzył cios po skończeniu walki... i złamał facetowi szczękę?

Przytaknęła.

- Wszystko zostało utrwalone na taśmie filmowej. Pytanie brzmi: czy należy to uznać za napaść i pobicie, bo było już po meczu? Czy też można przyjąć, że ryzyko obejmuje wszystko, co dzieje się na ringu?

- To częste pytanie, nie tylko w boksie. Przykładem mogą być bramki strzelone po czasie w futbolu, nie wspominając już o hokeju. W tej chwili...

Zadzwonił telefon. Jack czekał chwilę, aż odbierze go sekretarka, ale potem przypomniał sobie, że wyszła na lunch.

- Sekundę. - Podniósł słuchawkę i powiedział: - Jackson Shore.

- Już miałam zamiar zrezygnować.

Elizabeth wybuchnęła wymuszonym śmiechem; wyraźnie była zdenerwowana.

- Cześć, Birdie - powiedział po chwilowym zaskoczeniu.

Uśmiech zniknął z twarzy Sally. Zerknęła na drzwi.

- Trafiłam na nieodpowiednią chwilę? - spytała Elizabeth.

Jej głos brzmiał dziwnie niepewnie, chociaż wcale go to nie dziwiło. W ciągu kilku krótkich tygodni stali się sobie obcy. Wydawałoby się, że po dwudziestu czterech latach wspólnego życia nie ma takiej możliwości, a jednak była to prawda.

Milczenie między nimi przeciągało się, stawało się niezręczne. Wszystko potoczyło się tak niespodziewanie; Elizabeth zawsze zastępowała mu kompas, wskazywała kierunek, przynajmniej tak uważał. Wydawało mu się, że bez niej przepadnie z kretelem, ale wcale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, a teraz bardziej się obawiał, że przepadnie przy niej.

- Jack?

- Jestem tutaj.

Nie wiedział dokładnie, co Elizabeth chce od niego usłyszeć. Co gorsza, nie wiedział, co chce jej powiedzieć. Może nic. Nagłe przestraszył się, że postanowiła do niego wrócić; teraz to on potrzebował czasu.

Sally wstała.

- Zostawię was na chwilę - szepnęła.

Przytaknął i poruszając tylko wargami, powiedział:

- Dzięki.

- Kto to? - spytała Birdie.

Nagle poczuł wyrzuty sumienia, chociaż bez powodu. W końcu on i Sally jedynie wspólnie pracowali.

- Moja asystentka. Mieliśmy zebranie.

- Może zadzwonię później...

Chciał powiedzieć: „To zadzwoń”, a potem unikać rozmowy, jednak było to bezcelowe. Z ciężkim westchnieniem i jeszcze cięższym sercem patrzył, jak Sally wychodzi, potem powiedział:

- No więc, Birdie, o co chodzi?

- Co u ciebie w pracy?

Nie wiedział, co chciał usłyszeć (może: „Och, Jack, kocham cię, nie mogę bez ciebie żyć”), ale z całą pewnością nie spodziewał się pytania o pracę.

- Szczerze mówiąc, Birdie, kocham ją. Czuję się młodszy o dwadzieścia lat. - Słyszał obronny ton swojego głosu i próbował go złagodzić. - Zapomniałem, jak to jest.

- Kiedy jest się gwiazdą? - dopowiedziała. Tak dobrze go znała.

- Tak.

- Jestem z ciebie dumna, Jack. Wiedziałam, że będziesz dobry. Bez najmniejszych wątpliwości.

Uśmiechnął się. Opinia Elizabeth na jego temat zawsze była ważniejsza od opinii innych ludzi, nawet od jego własnej. Nigdy nie umiał naprawdę cieszyć się z sukcesu, póki Elizabeth go nie pocałowała i nie powiedziała: „Udało ci się, kochanie”.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że pomimo ostatnich nieporozumień wciąż tego od niej potrzebował.

- Dzięki. A co u ciebie? Co porabiasz?

- Zapisałam się na kurs malarstwa.

Ku swojemu zdziwieniu Jack poczuł ukłucie zazdrości. Przez tyle lat próbował ją namówić, żeby znów zaczęła malować.

Choć może jedynie miał zamiar ją do tego zachęcać? Teraz nie potrafił już odróżnić intencji od działania, ale z całego serca się ucieszył:

- To wspaniale, Birdie.

- Rozmawiałam...

- Czy...

Zaczęli jednocześnie, potem oboje wybuchnęli śmiechem.

- Ty pierwsza - zaproponował Jack.

- Właśnie rozmawiałam z Jamie. Przeżywa ciężki okres. Wiesz... nauka, pływanie, śmierć taty, koniec studiów Stephanie. Nie potrafi sobie z tym wszystkim poradzić.

- Dotychczas zawsze miała ciebie.

- I może na tym polega problem. Na pewno zadzwoni do ciebie po radę. Rozmawiaj z nią delikatnie, dobrze? Wysłuchaj jej, zanim zaczniesz coś mówić.

Cóż to, do diabła, ma znaczyć? Zawsze słuchał swoich córek.

- W porządku.

- To dobrze. - Po chwili dodała: - Mam problemy... z okłamywaniem ich. A ty?

- Okłamywaniem? O czym ty mówisz?

- No wiesz... O powtarzaniu im, że przygotowuję dom do wynajmu. Jamie w końcu się połapie. Myślę, że wkrótce będziemy musieli powiedzieć im prawdę.

Jack poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu cios między oczy. Choć nowe, samotne życie bardzo mu odpowiadało, w ogóle nie brał pod uwagę, że to może być koniec jego małżeństwa.

Ich małżeństwa.

W czasie potrzebnym na nabranie powietrza w płuca i wypuszczenie go przypomniał sobie życie z Elizabeth, dobre i złe chwile.

Jedyną rzeczą, na którą zawsze i w stu procentach mógł liczyć, kamieniem węgielnym jego życia, była pewność, że Elizabeth go kocha. Prawdę mówiąc, jej prośba o separację nie zmieniła tego przekonania. Teraz jednak Jack zaczął się zastanawiać.

Czy, pomijając całe gówno i młodzieńcze marzenia, mógł żyć bez jej miłości?

- Mamy jeszcze szansę, prawda? - spytał.

Przez chwilę się zastanawiała. Kiedy w końcu odpowiedziała, jej głos brzmiał prawie jak szept.

- Mam nadzieję, że tak. Uśmiechnął się z ulgą.

- Ja też mam taką nadzieję, kochanie. Znow zapadła cisza.

W końcu Elizabeth powiedziała:

- Nie zapominaj o Jamie. Jest w tej chwili bardzo nieodporna psychicznie. Rozmawiaj z nią delikatnie.

Powiedziała to po raz drugi.

- Zawsze rozmawiam z nią delikatnie.

Elizabeth westchnęła... a może tylko stłumiła śmiech? Nie był pewien. Tak czy inaczej, poirytowała go.

- Nie mogę już dłużej łagodzić stosunków między tobą, Jack, a dziewczętami. Tylko od ciebie zależy, jak dogadasz się z Jamie.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

- W porządku.

- No cóż, w takim razie wracaj do pracy.

- Zgoda. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Znow byli sobie obcy.

- Ja też.

Zdał sobie sprawę, że czeka, aż usłyszy słowa: „Kocham cię”, ale ze słuchawki dobiegał tylko sygnał.

Elizabeth poczuła nieprzepartą chęć, żeby jeszcze raz do niego zadzwonić i powiedzieć: „Nie możemy być tak daleko od siebie”.

Niemniej naprawdę bardzo się oddalili, uczuciowo i fizycznie. Przecież o to jej chodziło. Dlatego, gdy odebrał telefon, jego głos brzmiał tak pewnie i radośnie, a potem... gdy Jack zdał sobie sprawę, kto dzwoni, stracił pewność siebie.

Po dwudziestu czterech latach wspólnego życia zaczęli dryfować w stronę przeciwnych brzegów i rozpoczęli samodzielne życie. Ich rozmowy przypominały porozumiewanie się alfabetem Morse'a: pospieszne zdania przedzierały długie pauzy.

Próbowała zrozumieć własne emocje i odnaleźć najważniejszą z nich. Zaledwie kilka dni temu na widok starych zdjęć pomyślała: „Wciąż mamy szansę”. Tymczasem każdy dzień coraz bardziej oddalał małżonków od miłości, która niegdyś ich łączyła.

Nagle Elizabeth poczuła, że znajduje się na rozdrożu, którego wcześniej nie zauważyła. Stała na skrzyżowaniu tego, o czym marzyła, i tego, co zostawiała za sobą.

Gdyby podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Jacka, wróciłaby w miejsce, w którym już była.

Pewnego dnia poczuje się na tyle mocna i na tyle pewna siebie (przynajmniej wciąż miała taką nadzieję), żeby zadzwonić do Jacka i powiedzieć: „Kocham cię; spróbujmy jeszcze raz”.

Byle nie dziś.

ROZDZIAŁ 21

Droga Birdie!

Wciąż zastanawiam się nad rozmową, którą odbyliśmy parę dni temu. Jak zwykle ukrywasz przede mną swoje problemy, myśląc, że niczego nie zrozumieję. W końcu jestem tylko złą macochą i tak dalej.

Przez wiele lat pozwalałam Ci dyktować warunki, ale teraz jestem tym zmęczona. Może dlatego, że się zestarzałam i już nie boję się Ciebie tak jak kiedyś. A może dlatego, że odkąd zostałam sama, zupełnie inaczej podchodzę do życia.

Uwierz mi, skarbie, wiem, jak to jest, kiedy w małżeństwie coś zaczyna się psuć. Jedno nieporozumienie napędza następne, aż w końcu pewnego dnia człowiek opuszcza partnera. Przypomina wilka, który wpadł we wnyki i odgryza własną łapę, żeby się uwolnić.

Jeśli jesteś do mnie podobna, przekonasz się, że świat to wielkie i ponure miejsce, a miłość - nawet jeśli wyobrażałaś ją sobie zupełnie inaczej - jest jedynym światłem w długim, ciemnym tunelu.

Krótko mówiąc, Birdie, kochanie, dobrze Cię rozumiem. Nie mogę Ci nic doradzić, ponieważ życie nauczyło mnie jednego: że najgłębsze prawdy odkrywa się w samotności. Modlę się za Ciebie, Jacka i Wasze piękne córki.

Z całego serca pozdrawiam

Anita

PS Nie zwracaj sobie głowy odpisywaniem. Mam zamiar skorzystać z Twojej rady i wybrać się na plażę!

Elizabeth przeczytała ten list trzy razy, potem ostrożnie go złożyła i wsunęła z powrotem do pachnącej fiołkami koperty.

Podeszła do przeszklonego okna i spojrzała na ocean. Wystarczyło kilka słów, żeby Anita zdrowo potrzęsnęła Elizabeth, spowodowała pewną zmianę w jej patrzeniu na świat.

Przez lata obserwowała różne kobiety - przyjaciółki, nieznajome, znane postacie z telewizji i kina - które opuściły męża. Często patrzyła z zazdrością, jak podejmują one ryzyko i zaczynają wszystko od nowa. Wyobrażała sobie, że wiodą nowe, cudowne życie, tak odmienne od jej życia jak ćwierćdolarówka od kapsla z piwa. Bez przerwy wtedy myślała: „Gdybym tylko mogła zacząć życie od nowa”.

Nigdy nie zwracała uwagi na kobiety, które zostawały przy mężach i z trudem torowały sobie drogę przez dżunglę codziennego życia, żeby w końcu znaleźć prawdziwy skarb.

W którymś momencie Anita opuściła Edwarda. Spakowała walizki i wyprowadziła się ze Sweetwater. Czego szukała... i co kazało jej wrócić? Czy naprawdę było to tak proste i nieskończenie skomplikowane zarazem jak prawdziwa miłość?

Elizabeth poczuła iskierkę sympatii do macochy. Chciałaby, żeby usiadły i porozmawiały o swoich losach, które dotychczas tak bardzo się od siebie różniły, a teraz nagle stały się dziwnie podobne.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer Anity. Telefon dzwonił i dzwonił. W końcu włączyła się automatyczna sekretarka.

Odezwał się wolny, miękki głos ojca.

„Dodzwoniliście się do Sweetwater. W tej chwili nie ma nas w domu, ale proszę zostawić wiadomość. Obiecuję, że oddzwonimy”. Na taśmie był jakiś przytłumiony dźwięk - głos Anity - potem tata dodał: „No... tak... proszę najpierw poczekać na sygnał. Dziękuję”.

Elizabeth była tak roztrzęsiona z powodu głosu ojca, że odłożyła słuchawkę, nie zostawiając wiadomości.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie próbowała ich powstrzymać. Było to coś, czego nauczyła się w ciągu ostatnich tygodni. Smutek musi znaleźć ujście. Jeśli człowiek mu się podda, jeśli pozwoli sobie na oplakanie straty, po jakimś czasie będzie mógł iść dalej.

Usiadła na brzegu łóżka. Na biurku stało oprawione zdjęcie: mała dziewczynka w pełnej falbanek różowej sukieneczce, białych rajstopkach i czarnych lakierkach.

Przyjęcie z okazji siódmych urodzin. Później tego samego wieczoru ojciec zabrał Elizabeth do Nashville na musical South Pacific.

Kiedy po powrocie położył ją do łóżka, powiedział: „Słoneczko, byłaś dzisiaj najładniejszą dziewczyną wieczoru. Jestem bardzo dumny, że miałem cię u swego boku”. Potem przytulił ją mocno do siebie. Poczuli się bezpieczni.

Jak bardzo tego - i jego - teraz potrzebowała!

Siedziała przez długą chwilę, rozmawiając z ojcem, jakby znajdował się tuż obok niej.

Minał tydzień.

Po latach beznadziejnego snucia się na tle szarego zimowego krajobrazu, który wybrali inni ludzie, Elizabeth w końcu rozpoczęła własny, słoneczny, błękitny dzień.

Każdego ranka budziła się z uczuciem oczekiwania, dzięki czemu uśmiechała się, nawet nuciła podczas codziennych zajęć. Potem w samo

południe, niezależnie od tego, co miała do zrobienia czy załatwienia, rzucała wszystko i malowała.

Początkowo próbowała poprawić swój rysunek z kursu. Dodawała kolory, następne warstwy farby, starała się uporządkować całość, ale nic jej nie wychodziło.

Niestety, potwierdzała się stara prawda, że nie da się zrobić czegoś z niczego.

Kłopot z pomarańczą polegał na tym, że to nie była pomarańcza Elizabeth. Najlepsze dzieła sztuki ukazują część duszy artysty, a owoce nigdy nie poruszały jej duszy.

Kiedy snuła się w poszukiwaniu jakiegoś tematu do malowania, we wszystkim dostrzegała możliwości, ale nic nie wydawało jej się dość dobre.

Ocean.

Zacząła powoli, metodycznie rozpinać płótno w sposób, w jaki nauczono ją ponad dwadzieścia lat temu. Pierwszy etap tworzenia obrazu przychodził jej z taką łatwością, jakby przez wszystkie minione lata malowała, naciągała i gruntowała płótna, przygotowywała farby, rozmazywała barwy na zużytej palecie.

Słońce świeciło jasno i lśniło jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy pomyślała o wyrażeniu swojej miłości w obrazie. Przeniosła nową sztalugę, zagruntowane płótna, farby i pędzle na skraj podwórka. Rozłożyła grubą, błękitną folię i wszystko na niej poustawiała.

Jak okiem sięgnąć rozciągał się senny, błękitny ocean. Tego dnia widziała maleńkie, barwne plamki, grę światła i cienia, zmienną fakturę. Dostrzegała wszystkie elementy, które tworzyły całość, a dzięki temu, że znów potrafiła patrzeć na świat tak jak niegdyś, poczuła się młoda i pełna nadziei.

Trzymała pędzel w pewnej już teraz dłoni i patrzyła na morze. Widziała rozmazane kształty, które wysuwały się naprzód, i wszystko, co pozostawało w tle. Bacznie przyglądała się różnym odcieniom światła, które padało na piasek, wodę, skały i rozjaśniało niebo, potem bardzo powoli przeniosła wzrok na paletę i wybrała podstawowy kolor.

Błękit kobaltowy.

Kolor oczu Jacka - pomyślała.

Ta myśl pojawiła się znikąd i zaskoczyła Elizabeth.

Zamoczyła pędzel w farbie i zaczęła malować.

Dzień po dniu wracała w to samo miejsce, rozstawiała sztalugi i siadała do pracy. Codziennie kładła nową warstwę koloru, jedną na drugiej, aż trudno było powiedzieć, że zaczęła od kobaltu. Stopniowo czuła, że odzyskuje

wspaniały dar. Obraz - jej obraz - odzwierciedlał wszystko, co tak kochała w tym widoku, i wszystko, za czym tęskniła. Niebezpieczne, surowe, żywe.

Tego wieczoru postanowiła zabrać swoje płótno na kurs. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże je Danielowi.

Cieężko pracowała - ale mimo to nie straciła ani jednego grama na wadze (co bardzo ją dziwiło) - żeby ukończyć obraz na dzisiejszy wieczór. Takie dostała zadanie domowe. Zaczynaj jakąś pracę. Jakąkolwiek.

O czwartej, chociaż obraz nie był jeszcze gotowy, sprawdziła, czy to, co namalowała, wyschło - na szczęście farba okazała się sucha - potem owinęła płótno w gazę i ostrożnie umieściła je na tylnym siedzeniu samochodu. Wzięła prysznic, wyszczotkowała włosy, aż stały się błyszczące, i włożyła czarną dżersejową tunikę oraz czarne spodnie. Jedyłą ozdobę stanowił srebrno-turkusowy naszyjnik.

W sumie prezentowała się całkiem nieźle.

Gdy weszła na salę, nikogo jeszcze nie było. Zerknęła na zegarek: przyszła prawie dwadzieścia minut za wcześnie.

- Ale ze mnie idiotka! - powiedziała na głos.

Była w pułapce. Jeśli wyjdzie, może spotkać kogoś z kursu albo, co gorsza, samego Daniela. Wtedy musiałyby mu wyjaśnić, dlaczego wychodzi. Jeśli zostanie, Daniel może pojawić się wcześniej i zacząć się zastanawiać, od jak dawna Elizabeth stoi w drzwiach jak druhna, która czeka na swoją kolej.

- Mówiłaś coś?

Stał w otwartych drzwiach. Jego promienny uśmiech rozjaśniał całą twarz; widziała kurze łapki w kącikach oczu i zagłębienia w policzkach.

- Przyszłam za wcześnie - wydukała.

- Przychodzenie przed czasem to wspaniała cecha u kobiety.

Uśmiechnął się jeszcze promiennie, odsłaniając rząd białych, równych zębów.

- Chcesz mi coś pokazać?

Elizabeth nie wiedziała, czy Daniel z nią flirtuje, czy nie. Mogła go spytać, ale kiedy spojrzała na jego ładną twarz, pociemniało jej w oczach.

- Słucham? Idiotka - pomyślała.

- Pytałem, czy coś przyniosłaś.

Zdała sobie sprawę, że Daniel o wszystkim wie. Wie, że Elizabeth drży i poci się jak nastolatka, która staje przed najprzystojniejszym chłopcem w szkole.

Nic dziwnego, że tak się uśmiechał. Młodego mężczyznę nieźle musi bawić trudne do ukrycia pożądanie kobiety w średnim wieku.

- Obraz - powiedziała szybko. - Kazałeś nam namalować coś, co nas wzrusza. Wybrałam widok ze swojego domu.

- Pokaż.

Czekała, kiedy Daniel odwróci się i wejdzie do środka, ale on nadal stał w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uśmiechem na twarzy.

W końcu obeszła go ostrożnie, mając nadzieję, że nie zawadzi pupą o jego biodro. Pod tablicą czekała pusta sztaluga.

Drżącymi rękoma ustawiła na niej obraz.

Daniel pojawił się obok niej. Poruszał się tak cicho, że nie usłyszała jego kroków. Po prostu nagle stanął tuż obok.

- To zatoka Tamarack - powiedział. Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Niegdyś często wybierałem się tam z dziadkiem na wyprawę kajakiem. Jest tam wspaniałe jezioro pływowe...

- Tak, tuż obok czarnych skał.

Kiedy zdała sobie sprawę, że dokończyła za niego zdanie, chciała wymierzyć sobie policzek.

- Nie miałam pojęcia, że moja zatoka tak się nazywa. Pewnie powinnam to wiedzieć, ponieważ tam właśnie mieszkam, ale nigdy nie przywiązywałam zbytnej wagi do map, choć interesują mnie wykresy pływów.

Zamknij się, Birdie - pomyślała.

Tak mocno zacisnęła zęby, że aż głośno stuknęły.

- Nie wierzysz, że jesteś bardzo utalentowana, prawda? Jego głos był miękki jak piasek na plaży. Komplement rozgrzał ją od środka; poczuła się, jakby znów miała dwadzieścia lat.

- Miło, że to mówisz - powiedziała, modląc się, żeby na jej policzkach nie pojawiły się rumieńce.

Zbliżył się do niej o krok; podszedł tak blisko, że zauważyła na jego skroni małą bliznę w kształcie półksiężyca. Miała ochotę dotknąć jej, spytać, co mu się stało.

Zdecydowanie pora skończyć z czytaniem romansów - pomyślała.

- Zapraszam cię po zajęciach na kawę - powiedział. Cofnęła się tak szybko, że uderzyła pupą o biurko.

- Jestem mężatką. - Uniosła lewą rękę i pokazała palec. - Słowo daję. Co prawda żyjemy obecnie w separacji, ale to nie rozwód. Chociaż mąż wspomniał coś o rozwodzie, myślę jednak, że nie mówił tego poważnie. Nadal więc jestem mężatką.

Próbowała przestać mówić, ale nie mogła się powstrzymać. Cisza byłaby potwornie niezręczna.

- Mam dwie córki. Podejrzewam, że są w twoim wieku. Może nawet je znasz. Stephanie jest...

Powstrzymał ją dotykaniem.

- Och - westchnęła.

- To tylko kawa - wyjaśnił.

Jeśli to możliwe - chociaż szczerze w to wątpiła - poczuła się jeszcze głupiej.

- Tak. Kawa. Zwyczajny napój. Nie masz nic przeciwko temu, że jestem mężatką?

- W przypadku kawy, nie.

Była pewna, że tym razem naprawdę się zarumieniła.

- Nie wiem, co mnie naszło. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Po prostu jesteśmy umówieni po zajęciach. Chciałbym coś z tobą przedyskutować.

Przytaknęła. Bez wątpienia uznał ją za kretynkę. Panią Robinson po przejściach.

- Oczywiście, chętnie napiję się kawy.

Jack dostał jeden z upragnionych biletów na premierę najnowszego filmu Disneya. Ubrał się starannie, wybrał czarny sweter od Armaniego i ciemnoszare wełniane spodnie. Według Sally ciemne kolory doskonale pasowały do jego jasnych obecnie włosów i opalanej skóry, a jego niebieskie oczy przypominały oczy Paula Newmana.

Właśnie miał zamiar włożyć płaszcz, gdy zadzwonił telefon. Chyba zawiadamiają go, że podjechał samochód. Szybko podniósł słuchawkę.

- Halo, słucham?

- Cześć, tato.

Jamie. Przez cały tydzień nie odpowiadał na jej telefony.

- Cześć, dziecinko, co porabiasz?

- Nie oddzwoniłeś.

- Wiem. Przykro mi. Byłem ostatnio bardzo zajęty. Powiedz, co z tobą, co u ciebie słychać. Zamierzałem zadzwonić po zawodach pływackich w ubiegłą sobotę, ale znasz mnie. Często zapominam, po co wyszedłem z domu.

- Tak, tatusiu, znam cię.

Zerknął na zegarek. Była 6.35. Lada chwila podjedzie samochód. Cholera!

- Posłuchaj, skarbie, muszę... - Odezwała się druga linia. - Zaczekaj chwileczkę, mam drugi telefon.

Nacisnął guzik i powiedział:

- Słucham?

- Pan Shore? Podjechał samochód.

- Dzięki, Billy. Zaraz schodzę - powiedział i wrócił do rozmowy z Jamie. - Czeka samochód, skarbie. Muszę kończyć.

- Chciałam z tobą chwilę porozmawiać.

Rozejrzał się w poszukiwaniu płaszcza. Gdzie on go zostawił?

- O co chodzi? - spytał, zaglądając pod łóżko.

Nie, tutaj go nie ma. Szukał dalej. Jak na tak małe pomieszczenie, zbyt często coś gubił.

- Rezygnuję z pływania.

Tutaj się schował! Jack wziął czarny skórzany płaszcz ze stołu kuchennego. W tym momencie dotarło do niego, co powiedziała córka. Zamarł w bezruchu.

- Co takiego?

Ciężko westchnęła; ostatnio był to jej ulubiony sposób porozumiewania się.

- Rezygnuję z pływania.

Ponownie zerknął na zegarek: 6.43. Film zaczyna się za siedemnaście minut. Jeśli w tej chwili wyjdzie, jeszcze zdąży. Za minutę może być...

- Po prostu przechodzisz ciężki okres, skarbie. Zdarzało ci się to już wcześniej, ale sama wiesz, jak bardzo kochasz sport. Kiedy grałem w...

- Daruj sobie anegdoty futbolowe. Zresztą nie lubię pływać, nigdy nie lubiłam.

Była 6.46.

Jack usiadł na skraju łóżka.

- Jak zwykle przesadzasz. Uwierz mi, trudno być najlepszym. Wiem coś o tym. Czasami...

- ...po treningu człowiek czuje się, jakby go przejechał czołg. Wiem, tatusiu. Zawsze mi to powtarzasz. Ale tym razem w ogóle mnie nie słuchasz. REZYGNUJĘ! Pod koniec sezonu opuszczam zespół. Definitywnie. Koniec z wodą. Marzę o chwili, kiedy nie będę musiała zakładać czepka. Chciałam przedyskutować to z tobą w ubiegłym tygodniu, ale ani razu nie oddzwoniłeś. Jutro powiem o wszystkim trenerowi.

- Nie rób tego.

Nie wiedział, co powiedzieć, co gorsza, nie miał czasu się zastanawiać.

- Posłuchaj, skarbie, muszę już kończyć. Naprawdę. Mam dziś wieczorem ważną sprawę do załatwienia. Ludzie na mnie liczą. Zadzwoń do ciebie jutro i wtedy porozmawiamy na ten temat. Obiecuję.

- Naprawdę? - Urwała. - Wiesz co, tato?

- Taaak?

- Obcy ludzie nie są jedynymi osobami, które na ciebie liczą. Dlaczego oni stali się dla ciebie najważniejsi?

Nim zdołał odpowiedzieć, odłożyła słuchawkę.

- Cóż to, do diabła, miało znaczyć?

Nagle przypomniał sobie, co powiedziała mu Elizabeth podczas ostatniej rozmowy telefonicznej. Było to coś w rodzaju: „Nie mogę już dłużej łagodzić twoich stosunków z dziewczętami. Tylko od ciebie zależy, jak dogadasz się z Jamie”.

Obie zachowały się, jakby był kimś obcym i nie miał pojęcia, co dzieje się w jego rodzinie. To śmieszne. Wiedział, co jest ważne... zapewnienie dziewczętom możliwości, których sam nigdy nie miał. Pracował sześćdziesiąt do siedemdziesięciu godzin tygodniowo, żeby zarobić na dobre życie, co więcej, trenował każdy zespół, do którego należała Jamie.

Rzucił słuchawkę na widełki i wyszedł z pokoju. Nim dotarł do foyer, kipiał ze złości. Usiadł z tyłu samochodu i zamknął drzwi.

„Ludzie obcy nie są jedynymi osobami, które na ciebie liczą”.

Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer córki. Odezwała się Stephanie.

- Halo, słucham?

- Cześć, skarbie. Jest tam gdzieś Jamie?

O sekundę za późno zdał sobie sprawę, że powiedział te słowa z wyraźną złością. Stephanie zawsze była bardzo wrażliwa. Niestety, za każdym razem przypominał sobie o tym o ułamek sekundy za późno.

- Przepraszam, dziecinko. Właśnie dzwoniła do mnie twoja siostra. Wymierzyła mi cios między oczy. Nie chciałem być szorstki.

- Rozumiem. Nikt nie potrafi doprowadzić cię do szału tak jak Jamie.

- Czy księżniczka jest w domu?

- Właśnie wyszła ze swoim chłopcem.

- Keithem?

- Keith to już przeszłość. Będziesz musiał dzwonić nieco częściej, jeśli chcesz orientować się w życiu miłosnym Jamie.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne.

- Jesteśmy na miejscu, panie Shore.

- Dzięki. Zaczeka) chwilę, Steph.

Podpisał rachunek i wysiadł z samochodu. Światła neonów rzucały na chodnik żółte światło. Przed teatrem kłębiły się tłumy paparazzich i gapiów, którzy chcieli zobaczyć znane twarze. Wszyscy stali za czerwonym

aksamitnym sznurem. Jules Asner prowadził wywiad z jakimś mężczyzną w smokingu.

Gdy Jack wysiadł z samochodu, jakiś reflektor błysnął mu prosto w oczy. Jack uśmiechnął się, pomachał ręką i poszedł dalej.

W foyer znalazł cichy kąt.

- Stephanie?

- Jestem, tatusiu. Co to za hałas?

- Premiera filmu. Potworne tłumy.

- Świetnie. Są jakieś gwiazdy filmowe?

- Ma się pojawić George Clooney i Danny De Vito. A także jedna ze znanych małolat, ale nie pamiętam jej nazwiska.

- Wspaniale. Miłej zabawy.

- Porozmawiamy jutro, dobrze, Skarbie? Będziesz mogła powiedzieć mi wszystko na temat...

Genetyki... mikrobiologii... fizyki... Wiedział, że Steph kilkakrotnie zmieniała specjalizację, ale nie mógł sobie przypomnieć, którą ostatecznie wybrała. Cholera!

- ...swojego życia.

- Obiecujesz?

- Masz moje słowo. Przekaż Jamie, że z nią też porozmawiam.

- W porządku. Będziemy w domu jutro rano do jedenastej. Czy to ci odpowiada?

- Jesteśmy umówieni. Kocham cię, Steph. Zamknął telefon i włożył go do kieszeni. Znalazł swój fotel.

Sala szybko się zapełniła. Na scenie pojawił się młody człowiek z cieniuchnym jak ołówek, przynajmniej piętnastocentymetrowym końskim ogonem. Młodzieniec miał na sobie czerwony sweter, którego rękawy sięgały daleko poza koniuszki palców, i pomięte, brązowe spodnie. Idąc, stukał chodakami. Chodakami!

Na widowni rozległy się posykiwania.

- Nazywam się Simon Aronosky. Jestem reżyserem filmu, który za chwilę zobaczycie. True Love to tragiczna, ale niewątpliwie podnosząca na duchu opowieść o kobiecie, która zapadła w śpiączkę. Chciałem zaprezentować trudne decyzje, które w takiej sytuacji musiał podjąć mąż, żeby zapobiec rozpadowi rodziny. Po wyświetleniu filmu chętnie odpowiem na kilka pytań. Och, proszę przed wyjściem wypełnić swoje karty z komentarzem. Ludzie z Disneya chcieliby dowiedzieć się, co o tym myślicie.

Światła na widowni przygasły. Zaczęły się napisy. „A Northwest Diversified Entertainment przedstawia... film Simona Aronosky'ego...” „George Clooney” „Thea Cartwright”.

Film nakręcony został w konwencji czarno-białej i zaczynał się od zbliżenia twarzy Thei. Siedziała przy stole kuchennym i przy świeczce robiła listę zakupów. Jasne, długie, falujące włosy sprawiały wrażenie utkanych z kilkunastu odcieni szarości i bieli. Jednak uwaga kamerzysty skupiona była na oczach kobiety. Dużych, szarych oczach, które wydawały się obiecywać cały świat.

Boże, była taka śliczna.

Jack próbował skoncentrować się na treści, ale nigdy nie lubił czarno-białych filmów, a ten był jednym z modnych ostatnio „wyciskaczy łez”, których w rzeczywistości nikt nie lubi, chociaż twórcy zarabiają na nich krocie.

Obudził go odgłos oklasków.

Zapalono światła.

Simon przygarbiony wrócił na scenę. Głośno się śmiał.

- Dzięki. Odpowiem na wszystkie pytania, ale najpierw chciałbym przedstawić państwu naszą gwiazdę. Panie i panowie, Thea Cartwright. Jack wyprostował się.

Thea wyszła na scenę. Nawet z tej odległości widać było, że promienieje dziwnym blaskiem. Błysnęły flesze, zawarczały kamery, ludzie zaczęli bić szalone brawa.

Aktorka miała na sobie skąpą, czarną bluzeczkę, która ukazywała niemal całe piersi, obcisłe jak skóra biodrówki i czarne sandaalki na cienkich, wysokich obcasach. Klamra u paska była wysadzana kryształami górskimi.

Pomachała publiczności, potem przeczesła palcami rozczochrane, jasne włosy.

- Witaj, Nowy Jorku - powiedziała z uśmiechem. - Jak wam się podobał mój film?

Publiczność oszalała.

- Kto miał ochotę pocałować moją bohaterkę, żeby się obudziła?

Jeszcze większe brawa. Przez następne trzydzieści minut Jack był świadkiem, jak Thea uwodzi salę pełną obcych ludzi. Pod koniec jedli jej z ręki. Coś w jej błyszczących, czarnych oczach sprawiało, że każdemu mężczyźnie - łącznie z Jackiem - wydawało się, iż Thea wybrała właśnie jego i że jej uśmiech coś oznacza.

- No cóż - powiedziała, obniżając głos do ledwo słyszalnego seksownego pomruku - muszę już iść. Dziś wieczorem czeka mnie jeszcze kilka imprez. Ciao.

Wyszła.

Na scenę wrócił reżyser. Jack nie zdołał zapanować nad sobą i głośno jęknął. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było wysłuchiwanie poetyckich bzdur przedstawiciela pokolenia X na temat sztuki. Wyszedł z teatru. W pobliskiej restauracji miało się odbyć przyjęcie popremierowe. Postanowił, że wypije drinka i wróci do domu.

Był pierwszym gościem, który pojawił się w restauracji. Ochroniarz przy wejściu poprosił o pokazanie zaproszenia, spojrzął na nie i kiwnął głową.

- Proszę.

Jack przeszedł przez kuchnię na świeżym powietrzu, gdzie kucharze w białych czapkach wyczyniali istne cuda. Stoły były puste; kelnerzy w smokingach czekali na początek przyjęcia.

Jack podszedł do baru i zamówił sobie dewara z lodem.

Ktoś stanął za jego plecami.

- Cześć, Jack. Widzę, że przyjąłeś moje zaproszenie. Kiedy się odwrócił, zobaczył uśmiechniętą Theę.

- To ty umieściłaś mnie na liście gości?

- Chciałam mieć coś, na co będę mogła niecierpliwie czekać podczas całej balangi. Gdzie twoja pomocnica?

- Sally? - Roześmiał się. - Przygotowuje szczegóły naszego najbliższego programu. Też chciała zobaczyć twój film. A przy okazji powiem ci, że był naprawdę... dobry.

Uśmiechnęła się zbyt promiennie, a co za tym idzie, nieszczerze.

- Mam nadzieję. Moja poprzednia produkcja rozeszła się po świecie tak szybko, że obejrzałam ją w samolocie, lecąc na premierę. Potrzebny mi hit.

Chyba z pewnym opóźnieniem zdała sobie sprawę, co właśnie powiedziała, bo parsknęła śmiechem i upiła łyk swojego drinka.

W sąsiedniej sali grał zespół. Była to jakaś spokojna, romantyczna melodia, której nikt nie usłyszy, gdy zejdzie się tłum.

- Zatańcz ze mną - zaproponowała Thea, stawiając swój kieliszek na barze.

- Theo...

Tak bardzo zaschło mu w ustach, że nie zdołał powiedzieć nic więcej. Nagle zrozumiał, dlaczego mężczyzna zagubiony na morzu w końcu pije morską wodę.

Przysunęła się bliżej i objęła go rękami za szyję.

Stali twarzą w twarz. Poruszała się wolno, kusicielsko. Jack mógł zrobić tylko jedno: objąć ją. Zmarszczył czoło, gdy zauważył, jaka jest chuda. Wręcz koścista.

Po raz pierwszy od ponad dwunastu lat trzymał w ramionach obcą kobietę. W tym momencie przypomniał sobie dawne życie: kobiety, długie, namiętne noce w łóżkach hotelowych.

I noc, kiedy nastąpił koniec.

Był w Tavern on the Green z kobietą, której teraz nie mógł sobie nawet przypomnieć: Jeszcze jedną ładną blondynką. W Nowym Jorku kończyła się wiosna; jeszcze nikt nie myślał o tak charakterystycznym dla nowojorskiego lata smogu i wysokiej wilgotności.

Tańczyli na zewnątrz, przytuleni w świetle stu chińskich jedwabnych latarenek. Zespół grał My Romance. Tak, tego nie zapomniał.

Nagle Jack usłyszał jakiś dziwny dźwięk, który nie pasował do reszty. Odwrócił się i zobaczył Birdie. Stała na skraju trawnika, przyciskała torebkę do klatki piersiowej, a po policzkach płynęły jej łzy.

Nim przedarł się przez tłum, zniknęła. Gdy tego wieczoru wrócił do domu, nikogo w nim nie było. Przeprowadziła się z dziewczynkami do hotelu.

Nie zostawiła żadnego listu. Zamiast tego na ich ogromnym łóżku położyła otwartą walizkę, a obok zdjęcie całej rodziny.

Przesłanie było wyraźne: Wybieraj. Całe wieki patrzył na otwartą walizkę. Potem zamknął ją i odłożył na bok. Thea odsunęła się.

- Coś się stało?

Uratował go nagły hałas. Tłum ludzi wszedł do restauracji, głośno rozmawiając.

- Cholera!

Cofnęła się i poprawiła włosy.

- Mieszkam w St. Regis, w apartamencie prezydenckim. Jestem zarejestrowana jako Scarlett O'Hara. Przyjdź do mnie po przyjęciu.

Kusiło go, żeby powiedzieć „tak”.

Na litość boską, jesteśmy w separacji. Co więcej, to Birdie się przy tym upierała, dzięki czemu, Jacko, właściwie masz carte blanche - powiedział jego wewnętrzny zły duch, który został uciszony przed wielu laty.

Jack znał jednak prawdę.

Wiedział, że istnieją pewne granice.

- Nic z tego, Theo.

- Co znaczy „nic z tego”? - spytała szorstko, jakby od dawna nie spotkała się z odmową.

- Nie mogę.

- Jest tutaj! - zawołał ktoś z tłumu i wszyscy ruszyli w ich stronę.

Gdy Thea poszła przywitać się z wielbicielami, Jack szybko wyszedł.

Gdyby został, gdyby dokończył swojego scotcha, a potem wypił kilka następnych, wcześniej czy później zapomnieliby, dlaczego powinien trzymać się z daleka od apartamentu Thei.

RS

ROZDZIAŁ 22

Najnowsza galeria sztuki w Echo Beach znajdowała się na rogu Main i First. Na szyldzie z kutego żelaza widniała nazwa: ECLÉCTICA.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej to miejsce zajmował zupełnie inny sklep, ale nowy właściciel całkowicie odrestaurował lokal. Wejście pokrywały gonty w kolorze kawy z ekspresu, a przed samą wystawą stały skrzynki ze świeżo zasadzonymi kwiatami.

Witryna była szczelnie zasłonięta czarnym papierem. Za szybą widniała kartka z napisem: „Nie zaglądać. Przygotowujemy wystawę, która na pewno wam się spodoba”.

Elizabeth zerknęła na karteluszek, który dostała od Daniela. To tutaj.

„Po prostu idź i zobacz - powiedział przy kawie. -Właścicielka całkiem niedawno sprowadziła się do Echo Beach. Przyda jej się pomoc”.

Elizabeth chciała odmówić, ale kiedy Daniel spojrzał na nią tymi swoimi niewiarygodnie błękitnymi oczami, automatycznie przytaknęła.

Teraz żałowała, że się zgodziła. W większości tak zwanych galerii sztuki w Echo Beach sprzedawano drobiazgi: pamiątki wykonane z wypolerowanego drewna wyrzucanego przez morze... ozdoby choinkowe z brzydkiego jesionu, który wyglądał jak lody czekoladowo-waniliowe... szydełkowe serwetki... przedmioty z muszli i inne tego typu rzeczy. Elizabeth trzymała się z daleka od większości takich sklepików.

Jednak obietnica to obietnica.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Przy wejściu nad jej głową zadźwięczał dzwoneczek, głośno zaskrzeczał ptak. - Jest tu ktoś?

Bez odpowiedzi. Rozejrzała się wokół.

Po lewej stronie stał stół ze zdumiewającymi drewnianymi rzeźbami. W większości były to kobiety - nagie kobiety - a raczej ich torsy, wykonane z nader pięknego drewna w kolorze starego czerwonego wina, wypolerowanego tak, że powierzchnia przypominała jedwab. Elizabeth nie mogła się powstrzymać; dotknęła jednej z figurek; palec prześlizgnął się po delikatnie wypukłym ramieniu.

Na następnym stole znajdowała się wystawa czarno--białych zdjęć. Każda odbitka była ekstrawagancko owinięta w czarny zamsz i oprawiona w złoto. Fotograf po mistrzowsku uchwycił ducha wybrzeża w serii oryginalnych zdjęć: plaża podczas odpływu w wietrzny dzień... spowita mgłą latarnia morska zwana Terrible Tilly... przerażające nocne zdjęcie Haystack Rock, skały, która wznosiła się nad powierzchnią wody jak antyczny monolit.

Na tylnej ścianie wisiało kilka obrazów. Ani za dużo, ani za mało. Akwarelka ukazująca pootwierane parasole. Abstrakcja, w której można się było dopatrzeć żagli wydętych przez wiatr. Największy obraz olejny przedstawiał Orca Point.

- Zdumiewające - szepnęła Elizabeth.

- Prawda?

Odwróciła się. Podczas gwałtownego ruchu uderzyła biodrem o stół, zagrzechotał naszyjnik ze szklanych paciorków.

Zza wiszącego gobelinu wyłoniła się kobieta. Mierzyła ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i była niemal tak samo szeroka jak wysoka. Jej włosy mogły się kojarzyć z ptasim gniazdem, brązowe fale sięgały pasa. Miała na sobie suknię, która przypominała nieco worek i opadała aż do bosych stóp ze srebrnym pierścieniem w kształcie motyla na lewym dużym palcu. Głęboki dekolt ukazywał piersi, które poruszały się przy każdym kroku. Na prawym ramieniu kobiety siedział ogromny, biały ptak.

Podeszła bliżej.

- Jestem Duża Marge. - Uśmiechnęła się. - Dostałam to przezwisko w komunie w Bay Area. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego taka kruszynka jak ja została obarczona taką ksywką, ale mówi się trudno. - Teatralnie zmarszczyła czoło. - „Obarczona” to nieodpowiednie słowo. Zabraniam ci go używać.

- Dostosuję się.

Duża Marge roześmiała się serdecznie. Jej piersi wyraźnie zadrżały.

Elizabeth wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Elizabeth Shore. Daniel Boudreaux prosił, żebym tu zajrzała.

Marge chwyciła rękę Elizabeth i mocno nią potrząsnęła.

- Mówił mi o tobie. Cieszę się, że wpadłaś. Chciałam porozmawiać z tobą o Stormy Weather Arts Festival.

- To wielkie wydarzenie.

- Tak twierdzi Danny, chociaż trudno wyobrazić sobie promenadę artystów przy takiej pogodzie. Nie znam miejsca, gdzie padałoby równie często jak tutaj.

- Miejscowi nie zwracają na to uwagi, a turyści odkrywają za późno. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła ci pomóc przy otwarciu galerii. Znam tu kilka osób.

- Dzięki, ale nieźle sobie z tym radzę. Niestety, miejscowych artystów można policzyć na palcach jednej ręki. Pewnie ci, którzy byli naprawdę

dobrzy, powyjeżdżali. - Przyjrzała się Elizabeth. - Danny dzwonił do mnie i powiedział, że warto zorganizować wystawę twoich prac.

Elizabeth roześmiała się.

- Taaak.

- Uprzedził mnie, że będziesz przerażona - powiedziała cicho Marge.

Uśmiech zniknął z twarzy Elizabeth. Cofnęła się o krok. Gdy zdała sobie sprawę, co zrobiła, zatrzymała się.

- Wróciłam do malowania po wielu latach przerwy. Marge wymownie spojrzała na obrączkę Elizabeth.

- Wychowywanie dzieci, co?

- Tak.

Uśmiechnęła się, chociaż był to ponury uśmiech, wręcz grymas twarzy.

- Jesteś dobra?

- Niegdyś byłam.

Wciąż brakowało jej pewności siebie. Marge zacmokała, potem prychnęła i uderzyła się tłustymi dłońmi po biodrach.

- Zdanie Danny'ego w zupełności mi wystarcza. Chciałabym podczas festiwalu zaprezentować twoje prace.

- Nie.

- Dlaczego nie?

Elizabeth nie wiedziała, jak powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź.

- A jeśli nie będą dobre?

- Wtedy po prostu ich nie sprzedam. Choć może i tak znajdę na nie nabywców. Do diabła, skarbie, w końcu to sztuka. Wszystko może się zdarzyć. Chcesz mieć gwarancję, podejmij pracę w banku. Po co malować, jeśli nikt nie może zobaczyć obrazów?

- Może się nad tym zastanowię. Marge zerknęła na zegar ścienny.

- Daję ci trzy minuty.

- To nie...

Marge zbliżyła się o krok.

- Znam cię, Elizabeth. Do diabła, kiedyś byłam taka jak ty. Przez dziesięć lat próbowałam dopasować swoją pełnowymiarową osobowość do karłowatego małżeństwa. Jeśli nie odpowiesz mi od razu, to nigdy więcej się u mnie nie pojawisz.

Spostrzeżenie Marge było wyjątkowo trafne, a jednocześnie w jakiś sposób pomogło Elizabeth odnaleźć w sobie dość siły, żeby wyrazić zgodę. Nie potrzebowała nadzwyczajnych zdolności parapsychicznych, żeby usłyszeć w głowie głos Marge: „Cholera jasna, Birdie, nawet nie próbuj się wahać”.

- Ile obrazów potrzebujesz?

- Pięć. Czy to możliwe?

Elizabeth nie miała pojęcia, ale wiedziała, że musi spróbować. Przynajmniej raz.

- Nikt ich nie kupi i dobrze o tym wiesz.

- Jestem pewna, że obie przeżyłyśmy gorsze rzeczy. Daj spokój, Elizabeth, obiecay, że je namalujesz.

- Spróbuję.

Marge z uśmiechem odparła:

- Kocham pewność siebie u kobiet.

Klepnęła Elizabeth po ramieniu tak mocno, że aż ją pchnęła.

- Jeszcze jesteś tutaj? Powinnaś być w domu i malować. No, jazda!

W ciągu pięciu dni Jack był w sześciu miastach i przez cały czas zwijał się jak w ukropie. Przeprowadził wywiady z: Alexem Rodriguezem, Kenem Griffeyem Jr., Ran-dym Johnsonem, Shawnem Kempem i Brianem Bosworthem.

Po nagraniu rozmów przez trzy dni siedział w pokoju montażowym, opracowując narrację i podkład muzyczny do jednogodzinnego specjalnego wydania, zatytułowanego Upadli bogowie.

Każda minuta sprawiała mu niesłychaną radość.

- Ty i Sally wykonaliście kawał świetnej roboty - powiedział Tom Jinaro, opierając się o krzesło. - Miałeś rację, że ją zatrudniłeś. Jest wspaniała.

- Dzięki.

Jack przyszedł na spotkanie pewny siebie. Wiedział, że jego program jest po mistrzowsku wykonany i dobrze będzie się go oglądało. Obnażył się emocjonalnie przed kamerą, ale dzięki temu nadał swojej opowieści ludzkie oblicze. Przyznał się, jak trudno żyć, gdy o człowieku zapomni miasto, które niegdyś niemal nosiło go na rękach. Alex i Ken z całkowitą szczerością wyjawili, jak bardzo ich bolało, gdy dawni wielbiciele zaczęli ich szkalować. Brian przekonująco opowiedział o tym, jak został zapomniany.

Tom ponownie wychylił się do przodu.

- Siedzę w tej branży od lat. Obserwuję, jak ludzie pojawiają się i znikają. Częściej znikają. Ty, Jack, jesteś naprawdę świetny. Nigdy nie widziałem nikogo, kto tak szybko wspinałby się po szczeblach kariery. Namówiłem Marka, żeby opracował twój program specjalny, ponieważ to najlepszy operator. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że stać cię na coś takiego, ale jego zdaniem byłeś tak dobry jak nikt wcześniej.

- Dzięki - powiedział Jack ponownie.

- A zatem, co chcesz?

- Słucham?

- To proste pytanie. Co chcesz? Fox NFL Sunday Show? Swoją godzinę na wywiady? Umowę na książkę? Co?

- Wiesz, co robiłem trzy miesiące temu, Tom? Błagałem o pracę w regionalnym programie sportowym... i nie dostałem jej. - Odczekał, żeby jego słowa dotarły do słuchacza. - Zatrudniłeś mnie, kiedy byłem w dołku, zawodowym dołku. Dałeś mi szansę. Uwierz mi, nigdy tego nie zapomnę.

Tom uśmiechnął się ze znużeniem.

- Twierdzisz, że będziesz pamiętał, ale gdy zaczniesz kosztami otrzymywać różne propozycje, przypomnisz sobie, ile masz lat, a twój agent namówi cię, żebyś odcinał kupony, póki jasno świeci twoja gwiazda. Na tym polega gra, w której bierzemy udział. - Wychylił się do przodu. - To, co ci teraz powiem, nie może wyjść poza mój gabinet. Jeśli ktoś się dowie, będę wiedział, że to ty puściłeś farbę.

- O co chodzi?

- Jeden z facetów rezygnuje z NFL Sunday. Jeden z wielkiej czwórki. Nie mogę ci powiedzieć który, ale liczymy, że w przyszłym roku zajmiesz jego miejsce.

Jedynym jeszcze większym programem był Monday Night Football.

Jack gwałtownie nabrał powietrza w płuca, rozkoszując się tą chwilą.

- Dzięki.

Tyle zdołał powiedzieć. Obawiał się, że przy następnym słowie mógłby wybuchnąć śmiechem.

- To jeszcze nic pewnego - zastrzegł Tom z uśmiechem na ustach. - Ale jest bardzo duża szansa. Więc pozwól, że udzielę ci rady, jak mężczyzna mężczyźnie. W NFL miałeś opinię niegrzecznego chłopca i według mnie się nie zmieniłeś. Słyszę, że niemal mieszkasz w pubie Kela.

Jack chciał zaprotestować, ale Tom powstrzymał go wybuchem śmiechu.

- Zachowaj protesty dla swojej nieobecnej małżonki. Nie obchodzi mnie, co robisz poza ekranem, dopóki nie zacnie się to odbijać na oglądalności. Wiesz, jak to jest, kiedy prasa brukowa na kogoś się zawezmie. Wszelkie szanse można zaprzepaścić w ułamku sekundy. Trzymaj się z daleka od prochów, jeżdżenia po pijanemu i młodych kobiet.

- Nie martw się. Tym razem nie zejdem na psy. Jestem starszy i mądrzejszy.

- Miło to słyszeć. Porozmawiam ze Steve'em. Chcę, żebyś razem z Markiem poprawił jeszcze muzykę. Początkowy fragment brzmi dla mnie jak

kawałek z pogrzebu mojej ciotki Rose. A podczas rozmowy z Randym Johnsonem jest złe cięcie.

- Dzięki. Jak sądzisz, kiedy będziemy mogli to wyemitować?

- Za jakiś tydzień. Chcemy stworzyć z Marion nową serię programów sportowych. Zamierzamy rozpocząć ją jak najszybciej.

Jack wyszedł z biura i udał się prosto do pokoju montażowego, gdzie on i Mark Lackoft spędzili następne dziesięć godzin, sprawdzając i dopracowując każdy ułamek sekundy materiału filmowego. Kiedy skończyli, Upadli bogowie byli warci nagrody.

Jack, choć wyczerpany i potwornie głodny, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy czuł się tak dobrze. Po wyjściu z biura udał się piechotą do domu, krocząc dumnie jak Tony Manero. Niemal słyszał dźwięki: „Stayin' Alive”.

- Cześć, Billy! - zawołał do odzwiernego, gdy przechodził przez foyer, kierując się do windy.

Po otwarciu drzwi do swojego apartamentu omal nie krzyknął: „Birdie, jestem w domu!”, ale w porę się powstrzymał.

W mieszkaniu było cicho jak w grobie. W powietrzu nie unosił się zapach świec, nie grała muzyka, z kuchni nie docierały zapachy smakowitej kolacji.

Dobry nastrój prysnął. Jack nie zdawał sobie sprawy, jak nieważny jest sukces, jeśli nie ma się nim z kim podzielić.

Przygotował sobie drinka, potem włożył płytę kompaktową do odtwarzacza: stary album zespołu Queen. Z maleńkiego, czarnego głośnika popłynęły pierwsze takty *We Are the Champions*.

Sącząc drinka, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Tego wieczoru widok za oknem mu nie pomógł. W dole widział tylko tłum obcych ludzi. Po raz pierwszy w wielomilionowym mieście Jack poczuł się samotny.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Birdie, ale rozłączył się, nim odebrała. Nie wiedział, co jej powiedzieć. „Kocham cię” już nie wystarczało, a co jeszcze mógł wymyślić? Zdawał sobie tylko sprawę, że dzisiejsze zwycięstwo bez niej nic nie znaczy.

Dokończył drinka i nalał sobie następnego. Apartament zaczął się rozmazywać, zniknęły załomy ścian. Zespół Queen przeszedł do *Another One Bites the Dust*.

Jack usiadł na podłodze i oparł się o fotel. Otworzył pojemnik na napoje ukryty w aksamitnym podłokietniku. Dwukrotnie próbował wstawić kieliszek do wnęki, potem zrezygnował i dokończył scotcha.

Może powinien wyjść na miasto, wypić kilka drinków u Kela.

Nie, nie miał ochoty nigdzie się ruszać.

Miał ochotę na rozmowę z żoną. Chciał jej pokazać taśmę i zobaczyć, jak po obejrzeniu Elizabeth uśmiecha się do niego. W dawnych czasach wybuchnęłyby płaczem, nie miał wątpliwości. Powiedziałyby: „Och, kochanie, to było cudowne. Zawsze wiedziałam, że cię na to stać”.

Potrzebował tego teraz.

To zabawne, jak bardzo można czegoś potrzebować, nawet jeśli przez lata się tego nie doceniało.

Wstał. Apartament zakołysał się, potem wrócił do pionu.

Jack był bardziej pijany niż przypuszczał. No to cooo?

Zresztą dlaczego miałby być trzeźwy. Wolałby być w tej chwili zalany w pestkę, zapomnieć o wielu rzeczach.

Na przykład o delikatnym dotyku Elizabeth... albo o tym, jak błyszcząły jej zielone oczy, kiedy była dumna z osiągnięć męża.

Potykając się, poszedł do kuchni i przygotował sobie następnego drinka. Gdzieś zostawił miarkę do przyrządzania koktajli - Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie - ale to nie miało znaczenia.

Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi. Serce podskoczyło mu w piersi. Wbrew zdrowemu rozsądkowi pomyślał, że to Birdie.

Szybko otworzył.

Na progu stała Sally. Opierała się o framugę i w jednej ręce trzymała butelkę dom pérignona. Rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona. Miała na sobie ładną, zebraną wokół szyi sukienkę, która podkreślała wąską talię i kończyła się tuż nad kolanami.

- Przemknęłam się odźwiernemu. Nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ skąd.

- Widziałam ostateczną wersję - powiedziała z uśmiechem.

Magiczne słowa.

- Dobra, prawda?

- Jesteś genialny, Jack. Boski. Prawie płakałam, gdy Alex Rodriguez mówił o opuszczeniu Seattle.

Jej słowa były jak woda życia, która kapała na jego wysuszone serce.

Cofnął się, żeby ją wpuścić. Wpadł na ścianę i niemal upadł.

- O kurczę. Przepraszam.

Chwyciła go za ramię, żeby nie upadł. Kopnięciem zamknęła drzwi.

- Chyba nie potrzebujesz już szampana.

- Jestem trochę pijany - wyznał, a może tylko tak mu się wydawało?

Podeszła bliżej.

Przycisnęła do niego swoje drobne, gibkie ciało. Jęknął, nagle zdając sobie sprawę, jak samotny był w ciągu ostatnich miesięcy.

- Sally:..

Nie wiedział, co powiedzieć, o co prosić. Czuł tylko, że kręci mu się w głowie, a jego penis jest twardy jak kamień. Cała krew odpłynęła mu z mózgu.

Jednak próbował. Ostatkiem sił starał się przypomnieć sobie wszystkie powody i wyjaśnienia. Zamierzał nawet powiedzieć: „Zaczekaj, Sally”, ale go pocałowała.

W tym momencie skończyło się pseudoracjonalne myślenie. Kiedy wargi dziewczyny dotknęły jego ust, był stracony. Miał wrażenie, że czas niemal zatrzymał się w miejscu, a jednocześnie pędził do przodu z prędkością błyskawicy.

Poddał się; to było takie proste. W jakimś odległym, zamroczonym zakamarku mózgu zdawał sobie sprawę, że skacze na główkę z wysokości drapacza chmur, ale jakoś zbytnio się tym nie przejął. Przez wiele miesięcy - prawdę mówiąc, lat - panował nad sobą, dotrzymując twardo obietnicy, którą złożył Elizabeth.

Obecnie jego żona mieszkała w Oregonie i wyraźnie dała mu do zrozumienia, że go nie chce. Nic tak nie bolało, jak przyznanie się do tego faktu.

Sally przyglądała się Jackowi, w jej oczach widać było tę samą, trudną do opanowania namiętność, z powodu której tak bolał go członek.

- No więc?

Miał sucho w ustach, dlatego myślał jedynie o miejscach, w których może być wilgotno.

- Wiesz, że wciąż jestem żonaty - powiedział, czując, że to zdanie jest osobistym zwycięstwem samokontroli.

- Wiem. Nie chcę twojej obrączki. - Z uśmiechem na ustach dotknęła jego spodni. - Wystarczy mi to.

Jack nie mógł nic na to poradzić. Wtulił członek w jej dłoń. Poczuł, jak najwyższy guzik spodni rozpina się.

Zaczął coś mówić, chociaż nie wiedział co...

- Zabierz mnie do łóżka - szepnęła.

Nie zdołał się oprzeć czterem krótkim słowom.

ROZDZIAŁ 23

Elizabeth do końca dnia poruszała się jak automat. Rozmrażając kurczaka i przygotowując zapiekankę, myślała: „Wystawa. Wystawa moich prac”.

Gdy podrumieniła kurczaka i pokroiła cebulę, zdała sobie sprawę, że gotuje jak za dawnych dobrych czasów. Taką porcją zapiekanki można obdzielić osiem osób.

Gdy posiłek był w piekarniku, poszła do spiżarni i wyjęła pejzaż morski. Do jutra rana powinna go skończyć i zacząć następny obraz.

Może tym razem poeksperymentuje z akwarelami? W dawnych czasach bardzo lubiła farby olejne, ale teraz była starsza. Dzięki plamistej łagodności akwarele miały ogromny urok. A co ważniejsze, pozwoliłyby oszczędzić na czasie. Szybciej zdoła przygotować pięć prac na wystawę, jeśli nie będzie robić ich farbami olejnymi.

Wydawało jej się, że pod dom podjechał jakiś samochód. Trzasnęły drzwi.

Może Meghann zrobiła sobie wolne i przyjechała na Południe na babski weekend.

Elizabeth podeszła do drzwi i energicznie je otworzyła.

Na progu stała Anita. Miała na sobie luźną, białą sukienkę i różowe buciki. Znaczną część twarzy osłaniał fioletowy kapelusz z opadającym rondem. Obok stała ogromna walizka i długie, wąskie pudło. Elizabeth zauważyła odjeżdżającą jasnozieloną taksówkę.

- Cześć, Birdie - powiedziała Anita z niepewnym uśmiechem na ustach. - Zdecydowałam się na twoją plażę.

Elizabeth nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Po pierwsze, dziwił ją wygląd Anity: bardziej przypominała postać z baśni Grimmów niż jak dotychczas teksaskiego poszukiwacza złota. Zrezygnowała z jaskrawych kolorów i zaczesywania włosów do góry. Przerzuciła przez ramię prosty, biały warkocz. Było w niej coś niezmiernie, kruche, coś, co sugerowało ogromny smutek.

Jeszcze bardziej zaskakujące wydawało się, że próbowała dokonać inwazji na samotnię, która tak dużo kosztowała Elizabeth.

Młodsza z kobiet przypominała sobie ostatnią rozmowę telefoniczną. Była wtedy niezmiernie szczęśliwa, że zaczęła chodzić na kurs malarstwa... ale też nieźle wstawiona. Czyżby zaprosiła Anitę?

Nie.

Nie było żadnego zaproszenia, niezależnie od tego, czy była pijana, czy nie. Chociaż potem napisała łzawy list pod tytułem „Jesteśmy rodziną”. Wszystko to Elizabeth przypomniała sobie w ułamku sekundy.

- Po cichutku liczę na to, że nie masz nic przeciwko mojej wizycie. Moja mama na pewno w grobie się przewraca na takie odstępstwo od etykiety, ale przeglądałam czasopisma podróżnicze, zastanawiając się, gdzie pojechać, i zobaczyłam reklamę plaż Oregonu. Uznałam, że to musi być jakiś znak.

- Zmieniłaś... wygląd - wydukała Elizabeth niezręcznie.

Anita wybuchnęła śmiechem.

- Tak. Wszystkie poprzednie stroje nosiłam ze względu na Edwarda. To jest mój naturalny kolor włosów.

Dla ojca?

Czyżby władczy, arystokratyczny ojciec Elizabeth chciał, żeby jego żona ubierała się jak Dolly Parton?

Elizabeth nie mogła tego zrozumieć. Nie chciała wpuszczać do środka nikogo, zwłaszcza Anity, królowej Hunów - ale co miała zrobić?

„Zajmij się nią, dobrze?”

- Wejdz.

Elizabeth dźwignęła ogromną walizkę (Dlaczego Anita zabrała ze sobą tak dużo rzeczy? Jak długo zamierza zostać?) i przeciągnęła ją przez próg.

Starsza pani weszła do środka i rozejrzała się. Splotła dłonie.

- A więc to jest twój sławetny domek na plaży. Ojciec zawsze bardzo chciał go zobaczyć.

To zdanie na chwilę je połączyło.

- Prosiłam go, żeby przyjechał czwartego lipca.

- Tak - potwierdziła Anita cicho.

- Chodź, pokażę ci sypialnię dla gości. Jest na piętrze. Elizabeth odwróciła się i weszła w głąb domu, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Kiedy dotarła do podstawy schodów, obejrzała się za siebie.

Anita stała przed kominkiem. W ładnym, złocistoczerwonym blasku jej suknia mieniła się kolorami. Starsza pani sięgnęła po jedno z oprawionych zdjęć na gzymsie nad kominkiem.

Była to fotografia wykonana podczas Bożego Narodzenia, gdy cała rodzina stała przy pięknie udekorowanej choince. Wszyscy tak bardzo się śmiali, że mieli pomarszczone twarze. Wszyscy, oprócz taty. On jeden był poważny i poirytowany.

Nic dziwnego. Kupił Elizabeth na gwiazdkę aparat fotograficzny. Potrzebował dwudziestu minut - i niemal tylu prób - żeby ustawić automatyczny czas.

„Nie chcę widzieć waszych kwaśnych min - huknął, sfrustrowany ich śmiechem - po prostu uśmiechnijcie się, do jasnej cholery. Ma być wesoło”.

Było to ostatnie zdjęcie ojca.

Anita odwróciła się. W jej oczach były łzy.

- Czy mogę dostać odbitkę?

- Oczywiście.

Macocha jeszcze przez chwilę spoglądała na zdjęcie, potem ruszyła w stronę schodów. Zniknął gdzieś sposób chodzenia podpatrzony u Bette Midler, w jego miejsce pojawiły się płynne, pełne gracji ruchy, które sugerowały, że Anita przynajmniej przez kilka lat chodziła na kurs tańca. Zatrzymała się przed Elizabeth.

- Nie wiedziałam, gdzie się wybrać, Birdie - szepnęła. -A nie mogłam zostać w domu ani dnia dłużej.

Elizabeth dobrze to rozumiała. Ojciec wytwarzał wokół siebie dużo ciepła. Bez niego w domu musi panować chłód. Spojrzała na macochę. Co dziwne, nie dostrzegła w niej kobiety, z którą walczyła przez większość swojego życia. Nowa Anita była kruchą, delikatną, zagubioną duszyczką.

- Nie mam nic przeciwko temu, Anito. Jesteśmy rodziną.

Niezależnie od wszystkiego, to była prawda.

Jack budził się powoli. Jęknął. Czuł się tak, jakby oberwał łomem po głowie. Obrócił się na łóżku; wyciągniętą ręką uderzył w szafkę nocną, zrzucił lampkę na podłogę. Otworzył jedno oko. Była 8.07.

W nocy musiało przez chwilę nie być prądu. Nigdy nie spał dłużej niż do piątej.

Potem zauważył na podłodze coś czerwonego. Małego.

Oblizując spierzchnięte wargi, próbował skupić wzrok.

Po chwili gwałtownie usiadł. Przy tym ruchu ból głowy przybrał na sile.

O cholera! Spojrzał w lewo.

Łóżko było puste.

Jack zachwiał się, na chwilę zamknął oczy, a potem powoli odsunął kołdrę na bok i wstał z łóżka. Chwiejnym krokiem dotarł do łazienki, gdzie Sally zostawiła dla niego wiadomość. Napisała ją szminką na lustrze.

Wspaniały seks Całuję

Sally

Nad „a” w jej imieniu była maleńka aureola. Zaczęło mu pulsować w głowie.

Nigdy by do tego nie doszło, gdyby Birdie przeprowadziła się do Nowego Jorku - pomyślał. - Gdyby go nie zostawiła.

(Taaak, najlepiej zrzucić winę na nią). Z lustra spoglądała na niego wiadomość. „Wspaniały seks”.

Było cholernie dobrze, to fakt. Nie tak, żeby wybić głową dziurę w suficie, ale cholernie dobrze. To dodało mu energii, sprawiło, że znów poczuł się młody.

Pożądanym.

Zawsze miał pewną słabość: rozpaczliwie, aż do bólu pragnął, żeby ktoś go pożałował. Podczas leczenia odwykowego jeden z psychoanalityków wyjaśnił mu, że chce być pożądanym, bo jego rodzice byli alkoholikami i młodo umarli. Nie myślał o tym ani specjalnie się nie przejmował, wiedział jednak, że przed laty owa rozpaczliwa potrzeba omal go nie zgubiła.

Teraz znów mogła go zgubić.

- Pozwól, że udzielę ci rady, jak mężczyzna mężczyźnie - powiedział Tom Jinaro tego dnia, kiedy machał mu przed oczami marchewką w postaci NFL Sunday. - Trzymaj się z daleka od prochów, jazdy po pijanemu i młodych kobiet. Wszelkie możliwości mogą wyparować w ułamku sekundy.

Gdyby wyszło na jaw, że miał stosunek ze swoją asystentką...

Przez głowę przemknęły mu słowa: NAPASTOWANIE SEKSUALNE. Jeśli Sally będzie chciała, w każdej chwili może go zniszczyć.

Chociaż tak bardzo się starał.

- Chryste Panie - szepnął, patrząc w lustro. Napisany wiśniową kredką liścik miłosny przecinał jego odbicie.

- Nigdy więcej - obiecał sobie. - To była jednorazowa przygoda. Błąd.

Elizabeth nawet się o tym nie dowie. Nigdy.

- Jednorazowa przygoda - powiedział ponownie i naprawdę tak myślał.

Kiedy odświeżony wchodził do biura, czuł się już znacznie lepiej. Był silniejszy i pewniejszy siebie. Popełnił błąd - bez wątpienia poważny błąd - ale już więcej go nie powtórzy. Jednorazowy, ogromny przyływ głupoty na rozległej prerii reszty jego życia.

Usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać notatki, które zrobił poprzedniego dnia po południu. Pracował nad relacją ze stadniny koni w Poulsbo w stanie Waszyngton, zwanej Blue Heron Farms, gdzie uczyły się jeździć niepełnosprawne dzieci.

Nagle drzwi się otworzyły.

Pojawiła się w nich Sally, ubrana w dopasowany, czarny kostium i szmaragdową jedwabną bluzkę. Uśmiechała się od ucha do ucha.

Jakimś cudem Jack poczuł się jednocześnie stary i młody.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Przepraszam, że wyszłam, kiedy jeszcze spałeś. Musiałam być wcześniej w pracy - wyjaśniła.

- Nie wracajmy do tego.

Zrobiło mu się niedobrze. Był zdenerwowany, zawstydzony, a zarazem podekscytowany. Naprawdę - pomyślał - nie wracajmy do tego.

Z uśmiechem splotła ręce za plecami i podeszła do niego. Stukot jej wysokich obcasów rozbrzmiewał przerażająco głośno w wielkim pomieszczeniu. Jedynym odgłosem jeszcze głośniejszym było bicie jego serca.

„Jednorazowa przygoda” - przypomniał sobie.

- Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

Oparła ręce na jego biurku i wychyliła się do przodu, ukazując koronkowy, beżowy brzeg stanika i jasne, jędrne piersi.

Jack próbował nie przypominać sobie, jaka była słodka, jakie ma różowe brodawki... Przestań - nakazał sobie.

- Nigdy nie zgadniesz, kto dzwonił dziś rano - powiedziała.

- Kto?

Nie odrywał wzroku od jej twarzy. Nie chciał widzieć niczego, co znajdowało się poniżej kołnierzyka. No, w najgorszym razie, górnego guzika.

- Twój agent. Prosił, żebym przekazała ci propozycję... magazynu „People”.

- „People”? - Wstał. - Czego oni chcą? Oparła się biodrem o brzeg jego biurka.

- W numerze, w którym opublikowana będzie lista pięćdziesięciu najpiękniejszych osób, chcą zamieścić obszerny artykuł na twój temat.

- Żartujesz?

- Przeżywasz wspaniały okres - powiedziała. - Znów jesteś gwiazdą.

Nie zamierzał tego robić, ale wziął ją w ramiona.

- Zabierz mnie ze sobą na zdjęcia - poprosiła, muskając palcem jego wargi.

Spojrzał na jej owalną twarz i poczuł potężny przyływ pożądania. Boże, dopomóż! Znów jej pragnął.

Elizabeth przez całą noc obracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo przyzwyczaiła się do samotności, aż do chwili, gdy na jej progu pojawił się niespodziewany gość.

O świcie ubrała się, na paluszkach przeszła na drugą stronę korytarza i uchyliła drzwi pokoju gościnnego. Anita wciąż spała.

Elizabeth szybko napisała na karteczce, że idzie nad wodę, po czym wyszła.

Ściskając mocno płócienną torbę, zeszła schodami na plażę. Tego dnia ocean był niespokojny, fale pędziły do przodu, a potem szybko się cofały. Nad odległymi skałami krążyły tysiące nadbrzeżnych ptaków, głośno kracząc i pokrzykując.

Położyła torbę na swojej skale i powędrowała dalej. Szła coraz szybciej i szybciej, aż w naturalny sposób zaczęła biec. Fale dodawały jej energii, czuła się silna i wolna. W oddali widziała parę latawców, które ścigały się ze sobą na wietrze. Rybołów opuścił się do gniazda na uschniętym drzewie iglastym.

Na kilka wspaniałych minut Elizabeth zapomniała, że poprzedniego wieczoru w jej domu pojawiła się Anita, ciągnąc za sobą walizkę tak dużą, że wystarczyłaby na dwumiesięczny pobyt.

Po jakimś czasie wróciła na swoje miejsce. Usiadła, ciężko dysząc, na płaskiej skale, podciągnęła pod siebie kolana i patrzyła na bezkresne, błękitne morze. Po niebie sunęło kilka srebrzystych obłoczków.

Warto było zmusić się do wysiłku. Po wielu latach ignorowania swojego ciała Elizabeth w końcu odkryła, co jest ważne. Kto by się przejmował tym, czy nosi szóstkę czy czternastkę? Chciała po prostu trochę się ruszać: biegać po plaży, wspinać się po schodach i jeździć na rowerze. Nie chodziło o rozmiar; liczyło się zdrowie.

To bardzo niewiele, ale w przypadku kobiety, która przez niemal trzydzieści lat liczyła kalorie, oznaczało cudowną wolność.

- Birdie, skarbie? Tu jesteś?

Odwróciła się. Kilka kroków od niej stała Anita, w długiej, kwiecistej spódnicy i ciężkim, robionym na drutach białym swetrze.

Elizabeth niechętnie zrobiła jej miejsce na swojej ulubionej skale.

- Proszę. Zmieścimy się obie. Anita usiadła obok Elizabeth.

- O kurczę! Te schody są mordercze. Nic dziwnego, że schudłaś.

Elizabeth odwróciła się.

- Schudłam?

- Przynajmniej pięć kilo, skarbie. Ubranie z ciebie spada. - Zacisnęła wargi z dezaprobatą. - Oczywiście, luźny dres, który tak lubisz, spadałby nawet ze słońca.

Znów się pojawiła dobrze znana uszczypliwość i krytyka, wszystko to, co przez lata charakteryzowało ich wzajemne stosunki. Elizabeth, uśmiechnij się

i przejdź nad tym do porządku dziennego - pomyślała - bo inaczej będzie to bardzo długa wizyta.

- Prawdopodobnie dzięki ćwiczeniom.

- Rozumiem, sama uprawiam jogę.

Elizabeth o tym nie wiedziała. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że niewiele wie o życiu Anity. Postanowiła to wykorzystać, gdyż dzięki temu miała jakiś temat do rozmowy.

- Co jeszcze robisz?

- Różne zwyczajne rzeczy. Należę do klubu miłośników książki. Spotykamy się raz w miesiącu. Ostatnio czytaliśmy Godziny. W czwartkowe poranki gram z dziewczętami w brydża. We wtorki pracuję jako wolontariuszka w przytułku dla kobiet. Poza tym robię na drutach tyle szali, że można by przykryć nimi niewielki kraj. Oczywiście, twój ojciec zabierał mi większość czasu.

Urwała i zamyśliła się na długą chwilę. Potem szepnęła:

- Nie śni mi się. Co wieczór kładę się do łóżka, marząc o tym, że go zobaczę... ale nie przychodzi.

Elizabeth знаła to uczucie.

- Przez całe życie czekałam, kiedy przyśni mi się moja mama. Nigdy się nie doczekałam.

- Czuję się trochę tak, jakbym traciła go po raz drugi - wyznała Anita. Po następnej długiej pauzie dodała: - Zawsze wiedziałam, że go przeżyję. Wydawało mi się, że jestem na to przygotowana. Byłam głupia, bardzo głupia. Nie można się przygotować na stratę kogoś, kogo się kocha.

Elizabeth nic nie mogła na to powiedzieć. Żal jest jak ocean, który właśnie się przed nimi rozciągał; fale suną jedna za drugą, ale czasami zdarza się taki przyływ, że może wciągnąć człowieka pod wodę. Przeważnie trzeba sobie z nim radzić w samotności, w ciemności, kiedy człowiek najbardziej się boi. Może Anita przyjechała do Echo Beach, bo ciemności towarzyszyła zbyt głucha cisza? Może chciała porozmawiać o ojcu.

- Jak poznałaś tatę? - spytała Elizabeth. Anita uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Pracowałam w salonie piękności. Boże, wciąż pamiętam chwilę, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam. Wyglądał jak bohater sobotniego wieczorku tanecznego z potarganymi, czarnymi włosami i ciemnymi oczami. W tamtych czasach nosił wąsy, a jego oczy były ciemne jak noc. Odwróciłam się do mojej przyjaciółki, Mabel, i powiedziałam: „Och, widzisz tego faceta?” -

Westchnęła. - Chyba wtedy się w nim zakochałam. Oczywiście, wówczas nawet mnie nie zauważył.

Elizabeth zmarszczyła czoło. Ojciec po śmierci mamy zgolił wąsy. Potem już nigdy ich nie nosił.

- Kiedy to było?

Anita nie patrzyła na nią.

- To nie ma znaczenia.

- Znałaś moją matkę - powiedziała nagle Elizabeth, prostując się.

Anita zaczęła coś mówić... Elizabeth była pewna, że usłyszy zaprzeczenie. Gdy jednak ich spojrzenia się spotkały, Anita ciężko westchnęła i odchyliła się do tyłu.

- Prawdę mówiąc, nie, chociaż przyjechała z nim tamtego dnia. Mabel obcinała jej włosy.

- Rozmawiałaś z nią?

. - Ja? Nie. Właśnie ukończyłam szkołę piękności. Nikt nie zwracał na mnie zbytnej uwagi.

- Opowiedz mi o niej.

- Niewiele wiem. Oczywiście, słyszałam różne opowieści. Druga żona zawsze słyszy różne opowieści na temat pierwszej. Na podstawie wszystkich relacji mogę powiedzieć tylko tyle, że twoja mama była najpiękniejszą i najodważniejszą kobietą w Springdale.

- Te same słowa słyszałam przez lata. Chwilami odnosiłam wrażenie, że wszyscy po prostu wkuli je na pamięć. Powiedz mi coś prawdziwego. Dlaczego tata nigdy o niej nie mówił? - Zerknęła na Anitę. - Proszę.

- Zanim się urodziłaś, twoja mama na jakiś czas uciekła.

- Zostawiła tatę?

- Tak, z tego, co słyszałam, w środku nocy. Potrzebował nieco czasu, żeby ją znaleźć. Była w drodze do Karoliny Północnej, ale trafił na jej trop i sprowadził ją z powrotem do domu. Ludzie powiadali, że potem była już całkiem inna. Smutna i cicha. Pewnego dnia Jenny Pilger widziała nawet, jak twoja mama rozplakała się w „Piggly Wiggly”.

- Cierpiała na depresję.

Elizabeth nie mogła uwierzyć, że jej mama, kobieta, którą wszyscy uważali za odważną i przebojową, mogła być przygnębiona. Potrzeba czasu, żeby przetrwać taką informację.

- Kochała cię. Stara Anna Deaver twierdzi, że Margue-rite nigdy nie spuszczała cię z oka. Spędzała z tobą większość nocy. Nigdy nie pozwalała, żeby zajął się tobą ktoś inny. Wieść gminna jednak niesie, że nigdy nie

pozbyła się smutku. Podobno czasami tak mocno cię obejmowała, że aż oczy wychodziły ci na wierzch. Najczęściej mówiono, że w ogóle przestała się uśmiechać. Że zostawiła uśmiech w Karolinie Północnej i nie potrafiła nawet uśmiechnąć się do ciebie.

- Często błagałam ojca, żeby mi coś o niej opowiedział. Mówił tylko: „Trzymaj się swoich wspomnień, serduszek”. Tyle że ja nie miałam żadnych wspomnień, a przynajmniej miałam ich za mało.

Nigdy nie potrafiła opisać ojcu pustki, którą odczuwała jako dziecko.

- Może nie bardzo miał o czym opowiadać. Czasami nieszczęście spowija wszystko mgłą i wtedy nic już nie zostaje.

Nic nie zostaje. Tylko samo nieszczęście. Teraz Elizabeth wiedziała, jak to jest.

- Tak właśnie jest między mną a Jackiem.

- Czasami łatwo zapomnieć, dlaczego niegdyś się kogoś pokochało. - Anita nie odrywała wzroku od oceanu. - Ja też kiedyś go zostawiłam, wiesz?

- Nie, nie wiedziałam. Przynajmniej nie wtedy.

- Skąd miałaś to wiedzieć, skoro mieszkałaś tak daleko i miałaś swoje życie? Edward nie należał do mężczyzn, którzy potrafiliby powiedzieć swojej jedynej córce, że rozpadło im się małżeństwo.

- Przecież ty mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Taaak. W trakcie jednej z naszych długich, szczerych rozmów między matką i córką. Skarbie, kiedy dzwoniłaś, ledwo mówiłaś mi „cześć”.

- Dokąd się wtedy wybrałaś?

- To nie ma żadnego znaczenia. Nawet wtedy nie było ważne. Tak czy inaczej to cała opowieść.

Westchnęła. Elizabeth zastanawiała się, czy teraz, po śmierci ojca, to wspomnienie stało się boleśniejsze.

- Może nie powinnyśmy o tym rozmawiać?

Anita przez chwilę milczała. Ocean toczył fale w ich stronę, woda leniwie płynęła przez piasek, a potem się cofała.

- Czasami mnie przytłaczał. Był taki zachłanny, taki nienasycony, a ja tak młodo wyszłam za męża. Nie wiedziałam, czego chcę. Więc żyłam jego życiem. Przez długi czas to mi wystarczało.

Elizabeth знаła to uczucie. Jack i jej ojciec byli pod tym względem bardzo do siebie podobni. Obaj przypominali słońce; w gruncie rzeczy wszystko kręciło się wokół nich. Na początku to nie przeszkadzało, ale gdy człowiekowi przybywa lat, pewne rzeczy się zmieniają. Zaczyna się dostrzegać drogi, którymi się nie poszło, i zastanawiać „co by było, gdyby...”

Anita podciągnęła nogi pod brodę i objęła je rękami. Wykonała taki ruch, jakby chciała odwrócić się w stronę Elizabeth, potem jednak wbiła wzrok w obrączkę.

- Chciałam mieć dziecko.

Elizabeth przypomniała sobie niedawną noc w ogrodzie, kiedy beztrąsko spytała Anitę, dlaczego nie miała dzieci.

„Och, skarbie, to pytanie na inną okazję, może na rozmowę między dwiema innymi kobietami”.

„Innymi słowy, pilnuj swojego nosa”.

„Tak. Ten temat sprawia, że krwawi mi serce. Nie chcę go poruszać w trakcie zwyczajnej pogawędki o północy, dwa dni po śmierci męża”.

Jak bardzo musiało zboleć Anitę pytanie wypowiedziane wówczas na głos.

- Wiedziałam, że pewnego dnia zostanę sama - ciągnęła Anita, bawiąc się obrączką. - Myślałam, że łatwiej by mi było, gdybym miała dziecko. Więc gdy wróciłam do Edwarda, próbowałam zająć w ciążę. Trzykrotnie poroniłam. Za każdym razem był to chłopiec. Każdy zabierał ze sobą coraz większy kawał mojego serca, więc w końcu... - Wzruszyła ramionami. - Chyba trzy razy to dosyć. Uznałam, że Bóg wie, co robi.

Elizabeth poczuła sympatię do Anity, dostrzegła w niej kobietę, której nigdy wcześniej nie знаła. Co dziwne, poczuła się tak, jakby w końcu wróciła do domu.

- Przeżyłam jedno poronienie - szepnęła, zaskakując samą siebie tym wyznaniem. - Wiedział o tym tylko Jack. Potem długo miałam złamane serce.

Lekko ścisnęła kostkę Anity. Zrobiła to po raz pierwszy w życiu.

Anita wydała dziwny odgłos, coś w rodzaju cichego sapnięcia, i odwróciła się twarzą do Elizabeth.

- Mam coś dla ciebie. Przyniosłam to ze sobą aż z Tennessee, chociaż nie przyszło mi to łatwo.

Nic nie przychodzi łatwo - pomyślała Elizabeth, ale nie powiedziała głośno. Zamiast tego pomogła Anicie wstać. Wspięły się po chwiejnych schodach i pokonały wilgotny trawnik.

Kiedy dotarły na werandę, Elizabeth zauważyła ogromne pudło oparte o ścianę domu.

- Zastanawiałam się, co to takiego. Anita wbiegła do środka i wróciła z nożem.

- Otwórz.

Elizabeth rozcięła pudło wzdłuż zagięcia.

- Lepiej je połów - poradziła Anita.

Elizabeth położyła pudło na podłodze werandy. Uderzyło o nią z głośnym brzękiem. Przyklękła i zajrzała do wnętrza.

Zobaczyła błyszczące, zielone paliki... biały, powiązany sznur.

- Hamak taty.

- Potrafiliście wylegiwać się w nim godzinami, kołysać się w przód i w tył. Pamiętam, jak gotując obiad w kuchni, słyszałam twój chichot.

Elizabeth nagle poczuła się tak, jakby ojciec pojawił się tuż obok niej.

„Serduszko, możesz przynieść papciowi lemoniadę?”

- Obserwowaliśmy razem robaczki świętojańskie -szepnęła Elizabeth, przypominając sobie szczegóły. - Latały wokół nas, gdy byliśmy na hamaku.

- Chciałby, żebyś go miała - zapewniła Anita. - Powinnaś zawiesić go tuż nad schodami. Wtedy w pogodne dni mogłabyś w nim spać, słuchać oceanu... i przypominać sobie, jak bardzo cię kochał.

Elizabeth w końcu spojrzała na Anitę. Szczypały ją oczy. Nie mogła nic powiedzieć, nawet podziękować.

Na twarzy Anity pojawił się uśmiech.

- Nie ma za co.

W marcu w Nowym Jorku zapanował arktyczny chłód. W środku nocy zrobiło się tak zimno, że nawet na Times Square nie było żywego ducha. W dodatku zaczął padać śnieg. Początkowo pojedyncze płatki dryfowały przez wielkie miasto, ale o świcie Bóg przestał się cackać. Zaczął padać tak gęsty śnieg, że Jack prawie nie widział budynków po drugiej stronie ulicy.

Stał przy oknie i sącył latte. Na ulicy poniżej było zaledwie kilka samochodów i trzymały się od siebie w dużej odległości. Autobusy powoli, mozolnie posuwały się do przodu i z trudem podjeżdżały na przystanki. Na tle ołowianego nieba neony sprawiały wrażenie wyblakłych i zniszczonych, jak znaczki pocztowe z dawnych czasów. Kłębiaste chmury sunęły nisko po niebie, zawadzając o czubki wieżowców.

Jack miał właśnie wejść pod prysznic, kiedy zadzwonił telefon.

- Witam, panie Shore. Tutaj agencja ubezpieczeniowa „Ugryź mnie w ucho”. Potrzebujemy pańskiego upoważnienia na zajęcie się pana sprawami, ponieważ wyraźnie nie żyje pan już na naszej planecie.

Jack mimo woli wybuchnął śmiechem.

- Mea culpa - powiedział.

W przypadku Jamie zawsze lepiej było od razu przyznać się do winy. W przeciwnym razie potrafiła przeżuć człowieka i wypluć.

- Możesz sobie darować to swoje „mea culpa”. Nawet nie muszę o nic pytać. Przypuszczam, że byłeś bardzo zajęty odgrywaniem wielkiego człowieka i nie miałeś czasu, żeby do mnie zadzwonić w sprawie pływania.

- Rozmawialiśmy zaledwie dwa dni temu. Wiedziałem, że nie zrobisz nic w pośpiechu.

- Obudź się, tato. Myślę, że powinieneś przestać stosować wodę utlenioną. Rozmawialiśmy ponad tydzień temu.

Zmarszczył czoło.

- Tydzień? Niemożliwe.

- Możliwe.

- Dobrze, przepraszam, dziecinko. Naprawdę miałem zamiar do ciebie zadzwonić, ale mam potworny kręciołek. Ludzie z „People” chcą...

Prychnęła, słysząc dobrze sobie znane „miałem zamiar”.

- Taaak, oczywiście. Zawsze winni są inni ludzie. Próbował zapamiętać, żeby zacząć więcej uwagi zwracać na kalendarz.

- Pracuję piętnaście godzin na dobę.

- To pewnie dlatego nie było cię w domu, gdy dzwoniłam do ciebie... o drugiej w nocy. Pracowałeś.

Dzięki Bogu, nie rozmawiał z nią osobiście. Poczul, że się rumieni.

- Wczoraj wieczorem wziąłem tabletki nasenne. Ostatnio mam kłopoty ze spaniem... no wiesz, bez mamy i w ogóle.

To była prawda.

Albo kłamstwo, kto wie?

- Nawet nie wiedziałam, że za nią tęsknisz. Nigdy o niej nie mówisz.

- Naprawdę... za nią tęsknię. Lada dzień przyjedzie. Nagle zrozumiał, co Elizabeth miała na myśli, mówiąc, że ciężko jej okłamywać córki.

- Powtarzacie to od dawna. Stephanie i ja wymyśliłyśmy pewien plan, ale jesteś nam do tego potrzebny.

Natychmiast się uspokoił. A więc to tak: Jamie wymyśliła jakiś plan, a ochrzaniła go tylko dlatego, że chciała wzbudzić w nim wyrzuty sumienia i zapewnić sobie jego zgodę.

- Czego tym razem ode mnie oczekujecie? Że wyślę was na wakacje do Europy? A może podczas przerwy wiosennej chcecie ponurkować na Arubie?

- Stephanie i ja w piątek rano przylatujemy na lotnisko Kennedy'ego. Dołączysz tam do nas i razem polecimy do Oregonu na weekend.

- Co takiego?

- To urodziny mamy. Chyba nie zapomniałeś. Cholera!

- Nie, nie. Ależ skąd! Chętnie poleciałbym, żeby spędzić z nią kilka dni, ale mam w pracy...

- Nawet nie kończ tego zdania. Chcesz czy nie, tatusiu, lecisz z nami. Nie żartuję. Jesteś gwiazdą telewizji, a nie chirurgiem kardiologiem. Nikt nie umrze, jeśli zrobisz sobie wolny piątek.

Niech to diabli!

- Masz rację - przyznał tępo.

- Spotkamy się na lotnisku, zgoda? Dzięki temu będziemy mogli polecieć razem. Kupimy bilety na całą trasę i obciążymy kosztami twoją Visę.

- Oczywiście, czemu nie?

- I jeszcze jedno, tatusiu. To niespodzianka. Więc nie dzwoń do mamy, dobrze?

Jack zamknął oczy i westchnął.

- Dobrze, niech to będzie niespodzianka.

RS

ROZDZIAŁ 24

Poprzedniego wieczoru Elizabeth i Anita rozmawiały do późnej nocy. Nie wracały do spraw prywatnych, po prostu rozmawiały jak dwie kobiety, które znają się przez całe życie, ale naprawdę nic o sobie nie wiedzą. Ku ich obopólnemu zaskoczeniu okazało się, że mają ze sobą dużo wspólnego.

Rankiem, po śniadaniu, na które składały się jajka gotowane i tosty, poszły razem na długi spacer po plaży i znowu rozmawiały. Był cudowny wiosenny dzień, pełen słońca.

Później, kiedy Anita się zdrzemnęła, Elizabeth pojechała do miasta i zrobiła zakupy. Wróciła do domu późnym popołudniem. Wyjęła ze skrzynki swoją korespondencję, po czym skrzyła w Stormwatch Lane.

Nad morzem niebo zaczynało nabierać lekko różowawych i lawendowych barw. Zatrzymała się przed domem.

Anita stała na werandzie i patrzyła na ocean. Ubrana była w długą, luźną białą sukienkę i piękny, robiony na drutach, koralowy sweter. Białe włosy spłotła w pojedynczy warkocz, który opadał do połowy pleców.

Światło było zdumiewające. Zalewało dom jak stopione masło, łagodząc wszystkie ostre brzegi. Twarz Anity była pełna światła i cienia: smutne oczy, uśmiechnięte usta, zmarszczone czoło.

Elizabeth poczuła przyływ natchnienia.

- Mogę cię namalować?

Anita przycisnęła bladą, pokrytą żyłkami dłoń do klatki piersiowej.

- Chcesz uwiecznić mnie na obrazie?

- Nie obiecuję, że będzie dobry. Dopiero wróciłam do malowania, ale gdybyś się zgodziła...

- Mogłabym usiąść na tym powalonym pniu tuż nad urwiskiem.

Elizabeth odwróciła się. Rzeczywiście, na granicy posiadłości leżała urokliwa kłoda. W promieniach zachodzącego słońca emanował z niej srebrny blask. Za nią aż po horyzont rozciągał się połączony ocean. Elizabeth sama wybrałaby to miejsce, chociaż być może potrzebowałyby godziny, żeby się zdecydować. Tymczasem Anita wskazała na nie w pięć sekund.

Spojrzała na starszą panią.

- Jesteś artystką?

Anita wybuchnęła śmiechem.

- Nie, ale czytałam książkę Dziewczyna z perłą. Tę, o której wszyscy tyle opowiadają.

- Zostań tutaj. Zaraz wracam.

Elizabeth wbiegła do domu, doprawiła kurczaka i wrzuciła go do pieca razem z kilkoma ziemniakami i marchewkami, potem odstawiła zakupy na swoje miejsce i wzięła wszystko, co potrzebowała do malowania. Po niecałych piętnastu minutach znów była przed domem.

Anita stała przy pniu, ale na nim nie usiadła. Była zwrócona plecami do Elizabeth. Miała ręce zaciśnięte w obronnym kobiecym geście, który Elizabeth tak dobrze знаła.

Niebo o zmierzchu przypominało istny cud. Różowe, fioletowe, złociste i pomarańczowe warstwy układały się nad lśniącym, srebrnym oceanem. W oddali sękate drzewa już były czarne.

Anita rozmywała się w oczach Elizabeth, jakby kolory na niebie czerpały z niej siłę. Stawała się coraz bledsza, jej włosy i sukienka były niemal przezroczyste.

- Nie ruszaj się!

Elizabeth działała pod wpływem intuicji. Nigdy nie pracowała z taką prędkością i z takim wyczuciem. Mieszała kolory, nanosiła linie, rozpaczliwie próbowała uchwycić niezwykle piękno chwili. Warstwy kolorów w wyjątkowych odcieniach.

Malowała jak szalona, z desperacją, bez słowa, póki na krańcu świata, w miejscu, gdzie niebo styka się z ziemią, nie zniknął ostatni promyk słońca. Było niemal całkiem ciemno, gdy powiedziała:

- To by było na tyle, Anito. Koniec na dzisiaj.

Anita nagle rozluźniła się, skurczyła. Elizabeth zdała sobie sprawę, do jakiego wysiłku zmusiła swoją modelkę.

- Przepraszam. Czy bardzo zmęczyłaś się długim staniem?

- Zrobiłam to z ogromną przyjemnością.

- Musisz umierać z głodu. Ja zjadłabym konia z kopytami. Chodź do domu.

Anita zerknęła z zaciekawieniem na sztalugi.

- Mogę zobaczyć?

- Nie. - Elizabeth usłyszała szorstkość w swoim głosie, dlatego natychmiast wyraziła skruchę. - Przepraszam. Po prostu jeszcze nie teraz, zgoda?

Anita machnęła ręką w powietrzu.

- Oczywiście, skarbie.

Elizabeth wniosła obraz do domu i ustawiła go w spiżarni, żeby wysechł.

- Za chwilę kolacja będzie gotowa - powiedziała do Anity. - Idź na górę. Włóż coś ciepłego.

- Kochanie, czytasz w moich myślach.

Elizabeth nakryła do stołu i przyrządziła sałatkę, potem zawołała Anitę. Kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, powędrowała na piętro. Macocha siedziała na skraju łóżka i przyciskała do piersi małą poduszczkę obszytą koronką. Głowa opadała jej do przodu. Była tak nieruchoma, jakby drzemała.

- Anito?

Starsza pani uniosła głowę. Była blada; w półmroku jej kości policzkowe rzucały duże, ciemne cienie. W oczach błyszcząły łzy.

Elizabeth usiadła na skraju łóżka.

- Dobrze się czujesz?

- Chyba tak.

Elizabeth nie wiedziała, co powiedzieć. Tak to bywa ze smutkiem: w jednej chwili człowiek zachwyca się fantastycznym zachodem słońca, w drugiej - stara, błękitna poduszka usposabia go do łez.

Anita pogłaskała ręką poduszkę.

- Twój ojciec zawsze namawiał mnie, żebym spróbowała robić koronki igłowe, ale nigdy nie udało mi się opanować tej sztuki. Taka kobieca rzecz.

Elizabeth zerknęła na poduszkę. Była to jedna z niewielu pamiątek po matce. Często próbowała wyobrazić sobie, jak matka w fotelu bujanym wykonuje z jedwabnych nici piękne koronki, ale widziała jedynie czarno-białą kobietę spoglądającą prosto w obiektyw.

- Tę poduszkę zrobiła twoja mama - powiedziała Anita. - Poznaję po filigranowych oczkach. Kiedy była w salonie piękności, przez cały czas w trakcie strzyżenia robiła koronkę.

- Czasami próbuję ją sobie wyobrazić.

Anita odłożyła poduszkę i wstała, potem wsparła drobną dłoń na ramieniu Elizabeth i poprowadziła ją w stronę lustra, które wisiało nad toaletką.

Elizabeth spojrzała na swoją nabrzmiałą twarz. Miała rozczochrane włosy i ani odrobiny makijażu.

- Gdy po raz pierwszy zobaczyłam twoją mamę, pomyślałam, że to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałam. Ona i Edward wyglądali jak para gwiazd filmowych. - Anita odsunęła włosy z twarzy Elizabeth. - Jesteś jej wiernym odbiciem.

Będąc dziewczynką, Elizabeth spędziła wiele godzin na przeglądaniu albumów rodzinnych w poszukiwaniu zdjęć matki, ale znalazła zaledwie kilka.

Przez całe lata szukała w niewłaściwym miejscu i nikt jej nigdy tego nie powiedział. Wystarczyło spojrzeć w lustro. Teraz, kiedy popatrzyła w swoje zielone oczy, dostrzegła cień kobiety, za którą przez całe życie tęskniła.

- Dziękuję, Anito - powiedziała drżącym głosem.

- Nie ma za co, skarbie.

Jack ledwo spał tej nocy.

Rano z zaczerwienionymi oczami i potwornym kacem poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Niestety, gorąca woda nie była w stanie zmyć wyrzutów sumienia. Poprzedniego wieczoru znów przespał się z Sally.

Chciałby wierzyć, że to nic Wielkiego; w końcu on i Birdie byli w separacji. Wiedział jednak, że to nieprawda. Separacja nie daje prawa do tego, żeby sypiać z byle kim.

Była jedynie przerwą, urlopem w trakcie długiego małżeństwa. Gdyby dowiedział się, że Birdie go zdradziła, zamordowałby faceta.

Niegdyś mu wybaczyła, ale działo się to wiele lat temu, kiedy byli jeszcze całkiem innymi ludźmi. W tamtym czasie dla dobra rodziny Elizabeth szła na ustępstwa. Chociaż ją skrzywdził, wierzyła w niego. Wierzyła w nich.

Niestety, tamte czasy minęły. Nowa Birdie stała się kobietą nieprzewidywalną.

Mogła dowiedzieć się o jego błędzie i wnieść sprawę o rozwód.

Mogła też podejść do tego z całkowitą obojętnością. Może tak bardzo się oddaliła, że wierność przestała mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie?

Jack stał parę z lustrem w łazience i przyjrzał się swojemu zamglonemu odbiciu. Po całonocnej balandze zmarszczki wokół oczu pogłębiły się, a skóra przybrała chorobliwy, szarawy odcień. Łatwo było wyobrazić go sobie jako starszego pana, przygarbionego przez czas i wyniszczonego przez niehigieniczny tryb życia, wspierającego się na lasce, żeby nie upaść.

Zawsze wierzył, że u schyłku życia Birdie będzie obok niego, że nie przestanie go kochać, nawet gdy nie będzie miał już nic do zaoferowania oprócz trzęsącej się ręki i serca. Nigdy nie przyszło mu na myśl - nawet w ciągu ostatnich tygodni - że mogą ten okres spędzić z dala od siebie.

Nagle ogarnął go strach. A co, jeśli ostatecznie zaprzepaścił szansę?

Właśnie zaczął się golić, kiedy zadzwonił telefon. Nagi wszedł do sypialni, żeby odebrać telefon.

- Halo, słucham?

- Cześć, tatusiu. - Jamie prychnęła z obrzydzeniem. - Mówiłam ci, że wciąż jest w domu. Zapomniał o umowie.

Cholera! Dzisiaj mieli lecieć do Oregonu.

- Właśnie byłem w drzwiach.

Kiepsko z tobą, Jack. Bardzo kiepsko.

- Czasami zdarza się, że ludzie wyjeżdżają na lotnisko, nim wylądował samolot - zauważyła Jamie z przekąsem.

- Miałem taki zamiar.

- Miał taki zamiar - powiedziała Jamie, wyraźnie zwracając się do siostry. - Kiedy tu będziesz? Może powinniśmy wynająć pokój i poczekać, aż znajdziesz odpowiednią chwilę, żeby nas odebrać?

Zerknął na zegarek. Za dwanaście dziewiąta.

- Najdalej za godzinę. Nie wiem, jak wygląda ruch. Nasz samolot odlatuje dopiero o...

- Jedenastej czterdzieści dziewięć.

- No właśnie. Spotkajmy się przy bramce o dziesiątej. Jamie westchnęła.

- Będziemy tam, tatusiu.

- Przepraszam - powiedział. - Przykro mi, że tak się stało.

- Wiemy. Do zobaczenia.

Jack odłożył słuchawkę, wziął dwie aspiryny i pobiegł się ubrać.

Co by było, gdyby Birdie, patrząc na niego, domyśliła się, że ją zdradził? - pomyślał.

Cholera! Trzeba zacząć po kolei naprawiać wszystko, co dotychczas spieprzył. Na razie musi uporać się z faktem, że zapomniał spotkać się z córkami na lotnisku.

Dziesięć minut później był w drzwiach. Potem wsiadł do taksówki i skierował się na lotnisko Kennedy'ego.

Miał teraz sporo czasu, żeby wymyślić, co powiedzieć córkom oprócz „Przykro mi”.

Może Stephanie by to wystarczyło. Uśmiechnęłaby się i powiedziała: „W porządku, tatusiu”, ale Jamie tego nie kupi. Najpierw pójdzie z nim na noże, a potem będzie go ignorować tak długo, jak będzie miała ochotę.

Ponownie potrzebną mu była Birdie. To ona zawsze trzymała całą rodzinę razem. Kierowała nim łagodnie, choć zdecydowanie, ułatwiając mu relacje z córkami. Pilnowała, żeby przeprosił w razie potrzeby albo wysłuchał, gdy zachodziła taka konieczność. Bez niej był zdany na własne siły i nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Nie musisz udawać twardej - powiedziała Anita, gdy siedziały przy stole kuchennym, jedząc wczesny lunch.

Na ladzie stało kilka prezentów.

- To znaczy?

- Urodziny z macochą i kilka drobnych prezentów nie wystarczą. Przyznaj się, że tęsknisz za rodziną. Od rana przynajmniej pięćdziesiąt razy zerknęłaś na telefon.

- Jakoś to przeżyję. Poza tym obiecałaś, że dziś wieczorem nauczysz mnie grać w cribbage. Nie mogę się już doczekać.

Anita zerknęła na Elizabeth.

- Co zwykle robiłaś podczas swoich urodzin?

- Oprócz tego, że wcześniej przez tydzień przypominałam wszystkim o tym dniu?

Anita przytaknęła.

- Zastanówmy się. Zazwyczaj robiłam sobie dzień wolny od wszelkich zajęć i długo spałam. Kiedy się budziłam, dom był pusty. Jack i dziewczęta zawsze zostawiali mi życzenia urodzinowe na stole. Pewnego razu poprzywiązywali baloniki do oparcia krzeseł. - Serce Elizabeth mocniej zabiło. Zapomniała, że... - Wieczorem Jack przygotowywał dla mnie kolację. Potrafi przyrządzić tylko jedno danie. Potrzebuje na to dwóch godzin, dwóch drinków i przez cały czas klnie jak szewc. Po kolacji robił mi masaż, a potem kochaliśmy się. Och, i mogłam ścisnąć i całować dziewczynki, ile chciałam - nie miały prawa protestować.

- To musiało być cudowne.

- I było.

- Jesteś w tym dobra, wiesz?

- W czym?

- W ukrywaniu wszystkiego. Gdybym cię nie znała, mogłabym pomyśleć, że nic sobie z tego nie robisz.

- Dokonałam wyboru. Chciałam być sama.

Głos Elizabeth złagodniał; żal przełamał bariery, które stworzyła. Nagle pograżyła się w rozpacz, chociaż jeszcze przed minutą była szczęśliwa. Ukrywała wszystko, bo wiedziała, jak trudno jej będzie znieść ten dzień bez rodziny. Nikt nawet nie zadzwonił.

Przez cały ranek nie chciała o tym myśleć. Ze nikt nawet nie zadzwonił. Zmusiła się do uśmiechu.

- Idę pomalować. Do festiwalu muszę skończyć jeszcze cztery obrazy.

Anita wstała od stołu i odwiązała fartuszek.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym poszła z tobą? Mogę robić w tym czasie na drutach.

- Będzie mi miło, że mam towarzystwo - powiedziała Elizabeth zgodnie z prawdą. - Przebiorę się i wezmę swoje rzeczy.

Na piętrze wciągnęła luźne džinsy i spraną koszulę džinsową. Była niemal w drzwiach, gdy zdała sobie sprawę, że potrzebuje paska.

Wróciła do szafki i przejrzała swoje ubrania; w końcu znalazła stary skórzany pasek z ogromną, srebrną sprzączką. Przeciągnęła go przez szlufki i mocno zacisnęła, potem zeszła na parter.

Anita uśmiechnęła się do niej.

- Wyglądasz jak piosenkarka country.

- Ojciec kupił mi ten pasek w Oprylandzie, pamiętasz? Przez lata nie mogłam go nosić.

Z uśmiechem na ustach Elizabeth zabrała swoje rzeczy. Dziesięć minut później ona i Anita schodziły po schodach.

- Aż dziw, że możesz znieść tyle gratów po tych okropnych spróchniałych stopniach. Bez przerwy boję się, że skręcę nogę w kostce albo dam nurka głową w mokry piasek.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem. Znów poczuła się dobrze. Dziewczęta na pewno zadzwonią do niej wieczorem.

- Jest odpływ - zauważyła. - Możemy spędzić tu wiele godzin.

Anita podniosła torbę, którą zrzuciła z góry schodów. Miała w niej włóczkę i druty. Rozłożyła koc na piasku, usiadła i zaczęła machać drutami. Motek puchatej przędzy usadowił się na jej kolanach jak ptak w gniazdku.

Elizabeth ustawiła sztalugę, położyła kartkę papieru i rozejrzała się wokół siebie w poszukiwaniu tematu. Łatwo było coś znaleźć, trudniej się zdecydować. Wprawne oko dostrzegało dziesiątki możliwości: Terrible Tilly, odległa latarnia morska, samotna i surowa na tle akwamarynowego, bezkresnego morza i nieba... Dagger Rock, czarny monolit, który sterczał z oceanu w mankiecie białej piany... kormoran krążący nad skrawkiem lądu.

Zdecydowała się na ocean; był dzień na akwarele. Żadnych farb olejnych ani akrylowych. Do festiwalu musiała ukończyć cztery obrazy; jeśli będzie pracować w oleju, nie zdąży na czas.

Zadowolona z własnej decyzji, zaczęła pracę.

Nie było to takie łatwe, jak pamiętała. Trzykrotnie zaczynała i przerywała, bo nie radziła sobie z akwarelami. Wszystko wydawało jej się cholernie mokre; kolory bez przerwy się zlewały. Nie mogła dać sobie z nimi rady.

- Cholera!

Zerwała ostatnią kartkę ze sztalugi i rzuciła ją na ziemię.

- Początek nigdy nie jest łatwy - powiedziała Anita, ledwo unosząc głowę.

- Przypuszczalnie to właśnie odróżnia marzycieli od reszty świata.

Elizabeth westchnęła, dopiero w tej chwili zdając sobie sprawę, że znów źle oddycha.

- Kiedyś wiedziałam, jak to robić.

- A ja na studiach bardzo dobrze mówiłam po hiszpańsku.

Elizabeth zrozumiała. Umiejętności przychodzą i odchodzą. Jeśli chce się którąś z nich odzyskać, trzeba poszukać głębiej. Podeszła do wody i długo wpatrywała się w ocean. Pozwoliła, żeby barwy ją oczarowały, ukazały się na swój własny sposób i w swoim czasie.

Popęłniła błąd, próbując przenieść swoją wolę na papier. Straciła pewną umiejętność. Teraz musiała otworzyć się na odczucia. Być jak dziecko, które wszystkiemu się dziwi.

Wypuściła powietrze z płuc i wróciła do sztalugi. Ustawiła wszystko od nowa i czekała.

Morska bryza pieściła jej policzki, wypełniała nozdrza zapachami zgniłych wodorostów i rozgrzanego piasku. Spokojny, miarowy szum brzmiał jak muzyka. Elizabeth zaczęła się kołysać w jej rytm. Tym razem, gdy wzięła do ręki pędzel i zamoczyła go w farbce, czuła dawną magię.

Przez kilka godzin pracowała w zawrotnym tempie. W końcu cofnęła się i krytycznie spojrzała na swoją pracę.

Za pomocą różnych odcieni różu, jasnego błękitu i koloru lawendowego utrwalała na kartce dramatyczną, opadającą linię brzegową i lśniący półksiężyc piasku. Odległy szczyt Dagger Rock był prawie nierozpoznawalny, stanowił ciemny cień na tle zamglonego, jasnobłękitnego nieba. Kilka plam czerwieni i szarości sugerowało parę, która wędrowała w oddali wzdłuż plaży. Jednak coś było nie tak...

- O rany, Birdie, to jest piękne!

Elizabeth podskoczyła. Tak była zajęta swoją pracą, że nawet nie usłyszała podchodzącej Anity.

- Nie mogę uchwycić tych drzew.

- Ustawiasz je pod złym kątem. Widzisz, jak odchylają się do tyłu? Jakby wiatr odpychał je od tysięcy lat, a one mu uległy.

Uległy.

Pod wpływem ogromnego nacisku przestały rosnać prosto ku górze. Podobnie postąpiła Elizabeth w swoim małżeństwie. Zanurzyła pędzel w farbce i wróciła do pracy.

Wydawało jej się, że minęło zaledwie kilka minut, gdy Anita powiedziała:

- O Boże, jest już po drugiej. Musimy wracać do domu. Pospiesz się!

Wcisnęła swoją robótkę do torby i ruszyła w stronę schodów.

Elizabeth obserwowała oddalającą się Anitę. Starsza pani sapała i dyszała na schodach. Pędziła, jakby brała udział w wyścigu.

Elizabeth pozbierała swoje rzeczy, ostrożnie ujęła obraz w palce i powędrowała za Anitą. Była niemal na samej górze, kiedy poczuła dym.

- Anito? Czujesz to?

Słysząc było też dziwne głosy, jakby ktoś puścił radio niemal na cały regulator.

Elizabeth dotarła do najwyższego stopnia schodów, zatrzymała się i rozejrzała dokoła.

Z otwartych okien domu wystawały balony i unosiły się w powietrzu. Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Marge, Anita i Meghann - nie do wiary, Meghann! - stały w grupce na werandzie i śpiewały Happy Birthday.

Elizabeth niemal upuściła swoje rzeczy. Nikt nigdy nie zorganizował jej niespodziankowego przyjęcia urodzinowego.

Meghann ruszyła w jej stronę z rozłożonymi rękami. Uścisnęła mocno Elizabeth i szepnęła:

- Chyba nie przypuszczałaś, że zapomnę, prawda? Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Potem nagle pojawiły się przy niej wszystkie trzy, śmiejąc się i gadając jedna przez drugą.

Elizabeth nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuła się taka wyróżniona. Zawsze to ona organizowała imprezy pozostałym członkom rodziny, przyrządzała jedzenie i kupowała prezenty. Nawet na własne urodziny robiła listę prezentów i piekła tort.

Anita stała przy nowiuteńkim, czerwonym grillu.

Marge wyjęła Elizabeth z ręki wciąż jeszcze mokrą akwarelę.

- Och, Birdie, to jest wyjątkowe. Czy to dla mnie? Komplement ujął ją za serce.

- Oczywiście.

Kiedy Marge oddaliła się, podeszła Meghann.

- To Anita wszystko zaplanowała. Nawet przysłała mi bilet na samolot. - Uśmiechnęła się. - Jakby nie było mnie stać. - Spoważniała. - Tego bym się po niej nie spodziewała. No wiesz, po tylu opowieściach o Anicie królowej Hunów.

Elizabeth skrzywiła się. Wymyśliła to przezwisko w ósmej klasie, na lekcji historii; potem przywarło do Anity jak druga skóra. W ostatnich dniach prześladowało Elizabeth, wstydziła się dawnego pomysłu.

- Ona nie jest taka, jak myślałam - wyznała. - Zaraz wracam.

Przeszła przez podwórko.

Anita zarzuciła na lnianą sukienkę lawendowy kardi-gan, który zrobiła na drutach jakimś zawiłym wzorem. Zaczesała włosy do tyłu i upięła je w ciasny kok. Pochylała się i przekładała ostrygi z małego wiaderka na grill. Kiedy Elizabeth podeszła do niej, wyprostowała się.

- Niespodzianka.

- To wszystko twoja sprawka - powiedziała Elizabeth.

- Też mi coś. - Anita uśmiechnęła się. - Meghann i Marge to przyjaciółki, które gotowe są wszystko rzucić, byle wziąć udział w przyjęciu. A zresztą zawsze chciałam zorganizować ci niespodziankowe urodziny.

Elizabeth wiedziała, jak bardzo przez lata raniła macochę, a jednak Anita zorganizowała jej wspaniałą imprezę. Taką, jaką Elizabeth urządziłaby dla swoich córek.

- Dziękuję - powiedziała, wiedząc, że to nie wystarczy.

- Nie ma za co, Birdie. Elizabeth uścisnęła rękę Anity.

- Chcę, żebyśmy zaczęły od nowa. Oczywiście Anity zrobiły się okrągłe.

- Ojej...

Podeszła do nich Meghann. Zarzuciła rękę na szyję Elizabeth i stuknęła biodrem o jej biodro. W jednej ręce trzymała biały plastikowy dzbanek.

- Czy mogę namówić panie na margaritę? Nie martw się, Anito, potrafię cię odmłodzić.

Anita roześmiała się niepewnie i wytarła oczy.

- Skarbie, w żaden sposób nie da się już zrobić ze mnie młódki, ale chętnie skorzystam z margarity.

Potem przyjęcie zaczęło się na dobre. Marge ustawiła przenośny odtwarzacz na werandzie i skierowała głośniki w stronę podwórka. Meghann przyniosła olbrzymie pudło z płytami kompaktowymi i puściła muzykę, której Elizabeth nigdy wcześniej nie słyszała - różne kawałki Foo Fighters i Pearl Jam. Była to głośna, radosna muzyka.

Upiekły ostrygi na grillu i ugotowały małże w puszcze po kawie wypełnionej masłem, winem i przyprawami. Na wyższej półce grilla leżało pół łososia, moczonego wcześniej w plasterkach cytryny, cebuli i maśle. W wiaderku z lodem czekały kraby.

Elizabeth i Meghann wyniosły stół kuchenny na podwórko. W ciągu kilku minut zastawiły go jedzeniem. Była tam miseczka sałatki, kolby kukurydzy i bochenek domowego chleba czosnkowego.

Elizabeth nie mogła sobie przypomnieć, kiedy tak świetnie się bawiła. Wszystkie trzy tańczyły, rozmawiały, śmiały się. Czuła się tak, jakby miała dwadzieścia lat.

Kiedy piekły łososa, Marge puściła bardzo głośno Sister Sledge We Are Family.

Elizabeth z uśmiechem na ustach stała przy stole i układała srebrne sztuce. Stawiała noże w plastikowym pojemniku, kiedy usłyszała podjeżdżające auto.

Jack skręcił w Stormwatch Lane. - Ta droga nadal jest okropna.

Słyszał w swoim głosie rozdrażnienie i żałował, że nad nim nie zapanował. Nie wystarczało, że był coraz bliżej Birdie. O nie. Dziewczęta zastosowały wobec niego metodę „cichych dni”. Podczas lotu przez cały kraj Jamie powiedziała do niego zaledwie kilka słów.

Owszem, córki mówiły, i to dużo. Wystarczająco dużo, żeby kac Jacka urósł do gigantycznych rozmiarów. Tylko rozmawiały między sobą. Kiepskie i wyraźnie nieodpowiednie uwagi Jacka trafiały w próżnię.

Były na niego złe za to, że zapomniał się z nimi spotkać. Rozumiał wszystko. Bardziej niepokoiła go myśl, że na tym nie koniec. Że tak właśnie naprawdę wyglądają... stosunki między nimi, tylko dotychczas nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ilekcioć rodzina była razem - czy to podczas posiłków, świąt, czy wakacji - zawsze towarzyszyła im Birdie, płynnie łącząc poszczególne wątki rozmowy.

„Hej, Jack, mówiłeś Jamie o...”

„Stephanie, czy tata wie...”

Jack zawsze bardzo się starał wiedzieć wszystko o życiu swoich córek. Interesowało go, w co wierzą, co chcą robić, gdy dorosną, jakimi kobietami się stają. Nigdy natomiast nie przejmował się drobiazgami ich codziennego życia. To należało do Elizabeth. Tymczasem właśnie drobiazgi wypełniały ich rozmowę.

Teraz, bez Elizabeth, dystans między Jackiem a dziewczętami znacznie się powiększył. Zbyt mało pamiętał z ich codziennego życia, żeby naprawdę z nimi pogadać, toteż bał się, że palnie coś nieodpowiedniego i zdradzi się ze swoją niewiedzą. Nie był to odpowiedni dzień, żeby spieprzyć coś, na przykład pomylić imię chłopaka albo specjalizację.

Gdyby popełnił taki błąd, Jamie przewróciłaby oczami i powiedziała:

„Taaato, chyba nie wiesz, o czym mówisz”.

Nie byłby w stanie znieść psychicznego ataku nastolatki. Nie dzisiaj.

Trzymał się więc tylko bezpiecznych tematów.

- Dopisało nam szczęście. Jest piękna pogoda.

- Rzeczywiście - powiedziała Jamie z tylnego siedzenia. - Nie mogę uwierzyć, że nie pada.

Widok zapierał w piersiach dech. Jack mieszkał tu przez dwa lata, ale widział tylko padający deszcz i ołowiane niebo. Myślał jedynie o tym, żeby stąd uciec. Dopiero teraz zobaczył malowniczość dzikiego wybrzeża. Poszarpane skały, urwisko, skarłowaciałe drzewa, bezkresną szarą plażę. Tego dnia słońce zamieniło morze w żywe srebro.

Nic dziwnego, że Elizabeth tak się tu podobało. Była to cudownie dzika kraina. Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważył jej piękna?

Minął ostatni zakręt i zwolnił. Na podjeździe stało kilka samochodów. Gdy wysiadł, usłyszał muzykę. Jakąś starą piosenkę disco - chyba Glorii Gaynor.

Zatrzymał się za jasnoniebieską toyotą camry.

- Musimy wyjąć wszystko z samochodu i jakoś donieść do domu.

- Powiedziałeś to, jakbyśmy byli u podnóża Mont Rainer, tato.

Cała Jamie. Prawie nie słuchał. Serce waliło mu w piersiach, jakby chciało się z nich wyrwać.

Powinien zadzwonić. Zawiadomić Elizabeth.

Dziewczęta mogły planować niespodziankę, lepiej by jednak zrobił, gdyby uprzedził żonę, że przyjeżdża.

Steph i Jamie pobiegły przodem. Jack poszedł za nimi, ale nie było go stać na szybki krok.

Na podwórku zauważył grupkę kobiet. Stały wokół stołu. Nim zorientował się, że są wśród nich Anita i Meghann, Elizabeth się odwróciła.

Dziewczyny z krzykiem podbiegły do matki.

Jack nie mógł się ruszyć. Nagle zrozumiał, jak to jest, kiedy człowiek wraca z wojny i po raz pierwszy widzi twarz ukochanej kobiety. Patrzenie na nią sprawiało mu potworny ból, zwłaszcza że spoglądał z zewnątrz na życie, które niegdyś było jego życiem. Na myśl o ostatniej nocy spędzonej z Sally poczuł się jak człowiek chory.

Zauważył, że Elizabeth wyszczuplała i ma jaśniejsze włosy. Gdy dostrzegł na jej policzku smugę żółtej farby, przypomniał sobie pierwsze spotkanie.

- Tato, chodź tutaj! - krzyknęła Stephanie, machając ręką.

Elizabeth uniosła głowę i po raz pierwszy na niego spojrzała. Podszedł do niej, potem niezgrabnie wziął ją w ramiona.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Birdie.

- Cześć, Jack - powiedziała. - Cieszę się, że cię widzę. Jego imię wymówiła z taką łagodnością, że aż zabolowało go serce. Kiedy się odsuwała, nie chciał jej puścić.

Przyjęcie trwało do wieczora. O zmierzchu Marge wyjęła brązową papierową torbę pełną sztucznych ogni i wszyscy zeszli na plażę, żeby je odpalić.

Elizabeth z boku obserwowała córki i przyjaciółki w migotliwym, czerwonożółcistym blasku spadających iskier.

Jack trzymał się z daleka przez cały dzień. Oczywiście, rozmawiał ze wszystkimi, był przyjacielski, ale utrzymywał dystans. Elizabeth miała zamiar podejść do niego, ale przeszkodziła jej Stephanie.

- Nie zapaliłaś ani jednej petardy, mamusiu. Przecież to twoje święto.

Elizabeth roześmiała się.

- Prawdę mówiąc, kochanie, nigdy nie odpalałam sztucznych ogni.

Ojciec bardzo wczesnie zasiał w jej sercu strach przed petardami. „Dziewczeta nie bawią się sztucznymi ogniami” - powtarzał każdego 4 lipca. - „Mogłabyś urwać sobie swoje małe paluszki. Zostaw to chłopcom”.

Stephanie pociągnęła matkę do przodu, potem pochyliła się i pogrzebała w torbie. Wyjęła jakiś mały przedmiot w paski, coś w kształcie rakiety.

- Wetknij to w piasek i podpal, a potem po prostu się cofnij.

Elizabeth podpaliła petardę i odskoczyła tak szybko, że potknęła się na kawałku drewna wyrzuconego przez morze i upadła. Pojemniczek wystrzelił w ciemne niebo i eksplodował. Białe iskry spadały jak deszcz.

To było piękne, pewnie jak wszystko, co niebezpieczne.

- Koniec pokazu, dzieci - oznajmiła Marge, gdy zgasły ostatnie iskry.

W ciągu kilku minut posprząтали plażę i powędrowali schodami do domu. Kobiety wsiadały do samochodów i odjeżdżały, łącznie z Anitą i Meghann, które postanowiły spędzić tę noc w Inn Between w Echo Beach.

Elizabeth pożegnała każdą z nich i patrzyła, jak odjeżdżają. W końcu została na ciemnym podwórku, otoczona przez rodzinę.

- Jestem wypompowana - jęknęła Stephanie. - Wciąż żyję według czasu, który obowiązuje na wschodnim wybrzeżu.

Objęła matkę. We czwórkę weszli do domu.

Elizabeth umieściła dziewczęta w sypialni dla gości. Pachniało w niej Anitą - talkiem i saszetkami z lawendą.

Jamie usiadła na łóżku. Stephanie zajęła miejsce obok niej.

- To przyjęcie było dla mnie cudownym wydarzeniem - powiedziała Elizabeth. - Dzięki.

- Tęskniliśmy za tobą - wyznała Jamie szczerze.

Zrzuciła z nóg buty, zdjęła dzinsy i położyła się do łóżka.

Stephanie poszła do łazienki. Wróciła z różową, lśniącą twarzą w luźnej koszuli flanelowej. Pocałowała Elizabeth, po czym położyła się w łóżku obok siostry.

Matka nie była jeszcze gotowa, by rozstać się z córkami i rozmawiać z Jackiem.

- Opowiedz mi o swoim nowym chłopcu, Jamie.

- Tylko nie to - jęknęła Stephanie, parszczając śmiechem. - Skoro ma głądzić o jazzmanie i jego boskich oczach, to ja idę spać. Dobranoc, mamusiu.

Odwróciła się na bok.

Elizabeth usiadła na podłodze i oparła się o ścianę.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła.

Jamie odsunęła kołdrę i usiadła na podłodze obok matki.

- Skąd wiedziałas, że tata jest tym jedynym? Elizabeth odchyliła głowę i wpatrzyła się w sufit, gdzie na rzadko używanym wentylatorze zebrał się kurz.

- Prawdę mówiąc, wszystko wyjaśnił pierwszy pocałunek.

Przypomniała sobie, jak to jest, kiedy człowiek da się ponieść emocjom. Wtedy była gotowa zrezygnować ze wszystkiego, byle zostać z Jackiem.

I naprawdę to zrobiła.

- Kiedy wasz tata po raz pierwszy mnie pocałował, rozplakałam się.

- Dlaczego?

- Myślę, że tak się dzieje, kiedy człowiek się zakocha i traci grunt pod nogami. Miłość to niebezpieczne terytorium.

Jamie oparła głowę o ramię Elizabeth.

- Chyba jestem zakochana w Michaelu. To mnie przeraża.

- Widocznie dorastasz, dziecinko.

- Podejrzewam, że trochę boję się z powodu dziadka.

Nigdy nie wiedziałam, że w jednej minucie można pić z kimś ajerkoniak i otwierać prezenty, a chwilę później znaleźć się w okropnie ozdobionym pomieszczeniu, wybierać trumnę i udawać, że faktura drewna czy mosiężne wykończenia mają jakieś znaczenie.

Elizabeth objęła Jamie i przytuliła ją do siebie. Przez długą chwilę nic nie mówiła, tylko głaskała córkę po włosach, tak jak kiedyś.

- Twój dziadek nie byłby zadowolony, że się boisz. On nigdy niczego się nie bał.

- To samo powtarzam sobie przez cały czas, ale jestem w środku taka pusta.

- Wiem, skarbie. Z czasem będzie coraz łatwiej, na pewno. Oczywiście, tęsknota nie minie, ale w końcu zamieni się w tępy ból, przestanie być żywą, otwartą raną.

- Chciał, żebym wzięła udział w olimpiadzie. Przy okazji Bożego Narodzenia nie mówił o niczym innym. Tymczasem nie jestem w stanie pokonać dziewczyny z University of Virginia.

- Olimpiada wcale nie była dla niego taka ważna. Liczyłaś się tylko ty, Jaybird. Chciał widzieć cię szczęśliwą. Miałby złamane serce, gdyby podejrzewał, że przez niego masz zamiar zrezygnować z pływania.

Jamie spojrzała na matkę.

- Mogę zdradzić ci sekret?

- Zawsze.

- Wcale nie zamierzam zrezygnować z pływania. Po prostu próbowałam zwrócić na siebie uwagę taty. Nie udało mi się.

- Ma ostatnio dużo pracy. Bądź cierpliwa w stosunku do niego. To wspaniała rzecz, kiedy w średnim wieku nagle marzenie staje się rzeczywistością.

- Wiem, ale chciałabym, żeby było choć trochę łatwiej.

- Życie nie jest łatwe, Jamie. Kogo obchodzi, że nigdy nie przepłyniesz trzystu metrów tak szybko jak Hannah Tournilae? Liczy się świadomość, że próbowałaś.

- Czy to znaczy, że nadal będziesz ze mnie dumna, jeśli zostanę w zespole, chociaż może nigdy nie wygram wyścigu?

- Domagasz się komplementu.

- A jeśli obleję egzaminy?

- A masz na to szanse? Jamie uśmiechnęła się.

- Prawdę mówiąc, nie. Michael naprawdę mi pomaga. Po prostu chciałam sprawdzić waszą wiarę we mnie.

Cała Jamie. Jej nastroje przypominały nadmorską pogodę: jeśli ci się nie podoba, zaczekaj dziesięć sekund.

- Jesteś kochana, Jamie. A teraz idź już spać.

Córka pocałowała matkę w policzek, weszła do łóżka i położyła się obok siostry.

- Dobranoc, mamusiu. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Elizabeth wstała i wyłączyła światło, potem zeszła na parter.

Jack zdążył już zapalić w kominku. Ogień głośno trzaskał i rzucał złocisty blask na dywan. Mąż Elizabeth wyraźnie czuł się bardzo niezręcznie, jak wielka osobistość, która próbuje odrzucić zaproszenie na nieciekawą imprezę.

Elizabeth usiadła na sofie, zachowując pewien dystans. Przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało.

- Zazwyczaj bez ustanku musiałam wam przypominać o moich urodzinach - powiedziała w końcu Elizabeth.

- Pamiętam.

Roześmiał się, potem rozluźnił wszystkie mięśnie, jakby jedynie był niespokojny, co powie żona.

- Zawsze obawiałam się, że zapomnicie, a wołałam nie sprawdzać, jak się będę czuła, jeśli coś takiego się zdarzy. Dlaczego to robiłam, Jack? Dlaczego zakładałam, że nic dla was nie znaczę?

Odwrócił się do niej twarzą. W jego oczach był smutek, który rzadko widywała.

- ja pewnie bym zapomniał. Może nie co roku, może nie przez większość lat, ale w którymś momencie tak by się stało. Nie dlatego, że to dla mnie nieistotne, ale raczej dlatego, że nigdy nie musiałem myśleć samodzielnie. Zawsze mnie wyryczałaś. Byłaś moim kręgosłupem; trzymałaś mnie w pozycji pionowej. - Westchnął. - A ja uważałem to za coś całkiem naturalnego.

Elizabeth wiedziała, że przed paroma miesiącami Jack z pewnością tak nie myślał, a już zdecydowanie nie powiedziałby tego na głos.

- Sądzę, że ostatnio oboje dowiedzieliśmy się o sobie nowych rzeczy.

- Nie jestem takim ojcem, za jakiego zawsze się uważałem.

Sprawił wrażenie zaskoczonego własnym wyznaniem, jakby nie zamierzał się z tym zdradzać.

- Bez ciebie nie mam o czym rozmawiać z dziewczętami. Traktują mnie jak kompletnego idiotę.

W jednej chwili Jack pokazał się z zupełnie nowej strony: jako człowiek wrażliwy. To nieco zmieniało układ sił między nimi. Elizabeth poczuła się tak, jakby byli przyjaciółmi, którzy rozmawiają o swoich dzieciach.

- Mają dziewiętnaście i dwadzieścia lat, Jack. Uważają, że każdego, kto pamięta czasy Kennedy'ego, należałoby umieścić w domu starców. Ja kiedyś tak samo traktowałam Anitę.

- Czy Jamie podczas rozmowy z tobą też przewraca oczami?

- Oczywiście. Zazwyczaj tuż przed powiedzeniem: „Bądź rozsądna, mamo”. A Stephanie spogląda na mnie jak zraniona sarna i nie odzywa się do

mnie, póki nie postawi na swoim. Szlifują te metody od szóstej klasy. Miały je pod ręką na każde zawołanie.

- I jak sobie radziłaś?

- Gdy miałam dobry dzień, ignorowałam je. W gorszym dniu bardzo mnie to bolało. Na szczęście więcej było dobrych dni niż złych. - Zobaczyła, że zmarszczył czoło, więc zapytała: - O co chodzi, Jack? Minuty mijały bez odpowiedzi.

- Będziemy musieli im powiedzieć, prawda?

Niewiele brakowało, a byłaby go objęła, ale coś ją powstrzymało. Może strach. Gdyby dotknęła go teraz, kiedy jej serce wzbierało czułością, wszystko mogłoby się zacząć od początku, a nie była jeszcze przygotowana. Jej podróż nie dobiegła końca.

- Tak.

- Całą winę zrzucą na mnie.

- Powiem im, że to była moja decyzja.

- To nie ma znaczenia.

- Właściwie, Jack, obie są już dorosłe. Zrozumieją. Nie będziemy wspominać o rozwodzie, powiemy tylko o separacji.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Możemy nazwać to, jak chcemy. Do diabła, możemy powiedzieć, że zrobiliśmy sobie wakacje, ale żadna z nich nie jest głupia. Stracę je.

Nagle Elizabeth też się przestraszyła.

- Może nie musimy im o niczym mówić? Może nie zauważą, że między nami dzieje się coś złego.

- Cała Birdie - podsumował, uśmiechając się do niej smutno. - Marzycielka.

Powiedział to tak, że nagle chciało jej się płakać.

- Nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji co do przyszłości, Jack. Po prostu robimy sobie przerwę. To wszystko. Wciąż mamy szansę - zapewniła żarliwie.

Delikatnie dotknął jej twarzy, jakby była szklanym flakonikiem, który rozbił dawno temu.

- Bardzo chcę w to wierzyć.

- Ja też.

ROZDZIAŁ 25

Bomba wybuchła w sobotę późnym popołudniem.

Jamie usiadła po turecku na podłodze przy kominku. Wysunęła drobną, sterczącą brodę do przodu, dzięki czemu trochę przypominała buldoga. Jack wiedział, że szykują się kłopoty.

- W porządku, ludziska, a teraz powiedzcie, co jest grane.

Stephanie, która siedziała w fotelu bujanym w rogu pokoju, wyraźnie pobladła.

- Mam zadać pytanie inaczej? - ciągnęła Jamie, podnosząc głos. - Steph i ja nie jesteśmy głupie. Wiemy, że między wami coś nie gra.

- Mnie do tego nie mieszaj - ostrzegła Stephanie. Elizabeth usiadła na sofie i wsunęła nogi pod siebie.

Nie odpowiedziała.

Wyraźnie oddawała inicjatywę w ręce Jacka. Zawsze tak postępowali. Ona decydowała, co dziewczęta mogą robić, a czego im nie wolno, i zostawiała Jackowi rolę złego faceta, który przedstawia obowiązującą zasadę. To on rozmawiał z dziewczętami, gdy Elizabeth była niezadowolona z ich stopni.

- No więc? - powtórzyła pytanie Jamie.

Ona i Steph skierowały wzrok na Jacka. Wiedziały, że wszystkie złe wiadomości pochodzą od ojca.

Spojrzał na ukochane córki. Na twarzy Jamie widać było napięcie, jakby lada chwila miała wybuchnąć złością, ale w jej oczach czaił się smutek. Stephanie wpatrywała się w ręce, które położyła na kolanach. Wyglądała jak szeregowiec, który ukrywa się za budynkiem i czeka, kiedy zaczną latać szrapnele.

Jackowi zrobiło się niedobrze na myśl, że ma im o wszystkim powiedzieć, że zaraz padną zdradzieckie słowa. Już na zawsze zapamiętają, że to jego głos oznajmił im o rozpadzie rodziny.

Nie mógł tego zrobić.

Tkwiał więc w osłupieniu, jak zając złapany przez przednie światła samochodu. Nie zauważył, że Elizabeth wstała i obesza sofę.

Stanęła z tyłu i ucisnęła mu ramię. Delikatny dotyk sprawił Jackowi większy ból niż najpotężniejszy cios.

- Zapewne wyczuwacie, że między mną a tatą nie jest tak jak dawniej - powiedziała zdumiewająco spokojnym głosem.

Nie wierzył, że jego żona naprawdę zamierza powiedzieć córkom o wszystkim. Birdie. Kobieta, która zawsze unikała konfliktów jak ognia i nie

potrafiła podjąć decyzji, nawet gdyby od tego zależało jej życie... Chociaż z pewnością stanęłaby przed pociągiem, żeby uratować życie swoich dzieci.

- To chyba tylko część prawdy - uparcie obstawała przy swoim Jamie. - Zauważyliśmy, że tata w nocy spał na sofie.

- Ludzie, którzy się kochają, czasami się kłócą, Jamie -wtrąciła Stephanie, unosząc głowę.

Elizabeth mocniej zacisnęła rękę na ramieniu Jacka. Chciał położyć dłoń na jej ręce, ale był jak sparaliżowany. Z trudem oddychał.

- To trochę więcej niż kłótnia - kontynuowała Elizabeth spokojnie. - Prawda wygląda tak, że tata i ja jesteśmy w separacji.

Stephanie otworzyła usta i zbladła.

- O mój Boże!

- Wiem, że to dla was przykre - dodała szybko Elizabeth. - Czeka nas oboje mnóstwo wspólnej pracy, żeby przez wszystko przebrnąć, ale jakoś sobie poradzimy. Zresztą, tak czy inaczej, zawsze będziemy rodziną.

- Pieprzenie! „Zawsze będziemy rodziną”. Co za gówno!

Jamie poderwała się na równe nogi. Z trudem oddychała. Jack widział, że jest bliska łez.

- Tak samo jest, kiedy chłopak prosi dziewczynę, żeby zostali przyjaciółmi. To po prostu oznacza, że ma już inną.

Uchwyt Elizabeth stał się bolesny.

- Skarbie, pozwól, że coś ci wyjaśnię.

- Nic z tego. Nie chcę już słyszeć ani słowa więcej.

- Posłuchaj mnie, proszę. Tata i ja byliśmy bardzo młodzi, gdy wzięliśmy ślub - powiedziała Elizabeth.

Stephanie uniosła głowę.

- I to ma być powód? To, że pobierając się, byliście zbyt młodzi? Myślałam... To znaczy, zawsze byliście... O cholera! - Rozpłakała się.

Jack poczuł, że pęka mu serce. Nic nigdy tak bardzo go nie zabolalo. Nic. Nigdy.

- Skarbie... - zaczął.

Nie wiedział, co powiedzieć. Zerknął bezradnie na Birdie. Spojrzała na niego z góry; usta jej drżały. Potem jej piękna twarz pokryła się zmarszczkami.

Jack bez zastanowienia otoczył ją ramieniem.

- Poradzimy sobie - szepnął tuż przy jej mokrym policzku.

Nigdy nie kochał Birdie bardziej niż w tej chwili. Była silniejsza niż on kiedykolwiek w życiu. Teraz zdał sobie sprawę, ile ją to kosztowało. Była rozdarta i nieszczęśliwa, drżała w jego ramionach.

Spojrząwszy na córki, uświadomił sobie, że nigdy nie zapomni tej chwili.

Taką cenę musi zapłacić za wszystkie błędne decyzje, które podjął w życiu. Co więcej, spośród wszystkich błędnych decyzji najgorsze było to, że nie kochał Birdie dość mocno, by walczyć o ich małżeństwo.

- To trudne dla nas wszystkich - powiedział.

Jego słowa wyływały z ust bardzo powoli; zachowywał się jak ślepiec, który po omacku szuka drogi w ciemnym, krętym korytarzu.

- Ale was kochamy. - Zerknął na Birdie i dołożył wszelkich starań, żeby się nie rozplakać. - Kochamy się nawzajem. Na razie tyle wiemy na pewno. Możecie nam pomóc przez wszystko przebrnąć albo wpaść w złość i nie odzywać się. Jesteście dorośli. Nie możemy już dłużej podejmować za was decyzji. - Głos niemal mu się załamał. - Niemniej bardzo teraz potrzebujemy naszych córek. Może bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Musimy być rodziną.

Jamie się rozkleiła. Opadła na kolana i szepnęła coś, czego Jack nie usłyszał.

Elizabeth osunęła się obok niej na podłogę.

- Moje dziewczynki - szepnęła.

Jamie i Stephanie przytuliły się do niej. Wszystkie trzy obejmowały się i płakały.

Jack z utęsknieniem spoglądał na nie z góry. Chciał się do nich przyłączyć, przynajmniej raz być częścią wąskiego kręgu, ale nie mógł się poruszyć. Zawsze najpierw tworzyły trio, a dopiero potem rodzinę.

To Jamie, jego księżniczka wojownicza, pierwsza na niego spojrzała z twarzą pełną bólu.

- Chodź do nas, tatusiu - powiedziała, wyciągając rękę.

Elizabeth sięgnęła za siebie, poszukała ręki Jacka i mocno ją ścisnęła.

Osunął się z sofy na kolana i objął je wszystkie.

Elizabeth czuła się tak, jakby spędziła dwie rundy na ringu. Siedziała na huśtawce, na werandzie, kołysząc się w przód i w tył. Nad granatowym oceanem wisiał księżyc w pełni, jego blask posrebrzył powierzchnię wody.

Ostatnie cztery godziny były najgorsze w jej życiu.

Wszyscy siedzieli razem, na zmianę płacząc i krzycząc. Jamie oscylowała między wściekłością a rozpaczą, Stephanie uparcie milczała, nie przyjmując do wiadomości, że jej rodzice mogą się już nigdy nie pogodzić.

Teraz w końcu dziewczęta poszły spać.

Elizabeth usłyszała, że siatkowe drzwi otworzyły się, a potem stuknęły.

Jack wyszedł na werandę. Z westchnieniem usiadł na huśtawce obok niej.

- Powinnam skłamać - zaczęła.

- Nie wiem, skąd wzięłaś odwagę, żeby im powiedzieć - odparł. - Kiedy zaczęłaś płakać... Cholera, to było straszne.

- W końcu to moja wina - uznała. - To ja nie chciałam przeprowadzić się do Nowego Jorku. To ja napisałam list. Dlatego to ja musiałam im powiedzieć.

- Każde z nas doskonale wie, jak wygląda prawda, Birdie. Oboje jesteśmy winni.

Słowa Jacka były dla niej niezwykle cenne. Wziął na siebie część winy.

- Wciąż cię kocham - powiedziała.

Nagle zdała sobie sprawę, że to prawda. Że to zawsze była prawda. Odwróciła się do niego.

- Aż do dzisiejszego wieczoru o tym nie pamiętałam. Spojrzał na nią spokojnie.

- Przez wiele lat pytałem cię, co się dzieje z naszym małżeństwem. Właściwie nigdy nie udzieliłaś mi odpowiedzi, prawda?

- Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy człowiek powoli przestaje istnieć, Jack. Skąd miałbyś wiedzieć? Zawsze byłeś taki pewny siebie.

- Chyba żartujesz, Birdie. Z gwiazdy NFL stałem się zerem. Nikim.

- Ale tu chodzi o co innego. Mówię o tym, jaki jesteś w swoim wnętrzu. Nie jak wygląda twoja praca.

- Nigdy nie rozumiałaś tych spraw - powiedział. - Dla mężczyzny to, co robi, jest jednoznaczne z tym, kim jest. Kiedy straciłem futbol, straciłem grunt pod nogami.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Nie mogłem. Wstydzilem się, zresztą wiedziałem, co to będzie znaczyło dla ciebie jako żony zawodnika.

Miał rację. Nienawidziła czasów, kiedy grał w futbol; im lepiej szło mu na boisku, tym bardziej oddalał się od rodziny.

Dlatego pewnie nie było jej przy nim właśnie wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebował. Zamiast stać się jego cichą przystanią była jeszcze jednym portem, którego należało unikać.

- Przykro mi, Jack.

- Nie mów tak. Straciliśmy na to zbyt dużo lat.

- Nie straciliśmy ich, Jack - szepnęła. - Całkiem nieźle nam szło. Przez dwadzieścia cztery lata podtrzymywaliśmy się nawzajem na duchu. Stworzyliśmy bezpieczny dom, szczęśliwą rodzinę. Wychowaliśmy dwie śliczne, wrażliwe młode kobiety. - Zdobyła się na uśmiech. - Całkiem nieźle jak na parę dzieciaków, które pobrały się na ostatnim semestrze studiów. Przez wiele lat myślałam, że mamy wszystko.

Wstał i podał jej dłoń. Ujęła ją zdecydowanie i ścisnęła tak mocno, że aż chrupnęły kości.

- Jesteś wyjątkowa, wiesz o tym?

Nigdy wcześniej jej tego nie mówił. Ten niezbyt wyszukany komplement rozgrzał jej serce.

- Ty też.

- No cóż, dobranoc, Birdie.

- Dobranoc.

Poszła do swojej sypialni sama.

Jack wjechał na parking podziemny lotniska. Gdy wyłączył silnik pożyczanego samochodu, zapadła ogłuszająca cisza.

Jamie i Stephanie siedziały na tylnym siedzeniu, przytulając się do siebie. Tym razem nie było kłótni, która zajmie miejsce obok taty.

Zerknął w lusterko wsteczne.

- Lepiej już chodźmy. Chyba nie chcecie się spóźnić na swój lot.

- Nie chcemy - zapewniła Jamie, sięgając do klamki. - Marzymy o tym, żeby jak najszybciej uciec z tego stanu.

Stephanie rzuciła Jackowi pełne współczucia spojrzenie, potem wysiadła za siostrą. Nie czekając na Jacka, pędziły w stronę terminalu tak szybko, jakby uciekały z miejsca przestępstwa. Przechodząc niezliczone kontrole ochroniarzy, nawet nie obejrzały się za siebie.

Jack z westchnieniem poszedł za nimi.

Przy bramce wszyscy musieli się zatrzymać. Jamie w końcu odwróciła się do niego. Przez jedną sekundę ich spojrzenia spotkały się, w błękitnych oczach dziewczyny błysnęło coś ciepłego. Potem pojawił się w nich tak głęboki i potworny ból, że Jack aż się cofnął. Była bardzo nieszczęśliwa...

Wszystko przez niego i Birdie. Poczul ucisk serca, połączenie poczucia winy i żalu. Przede wszystkim żalu.

- Jamie - powiedział, podchodząc do niej z rozłożonymi rękoma.

- Nawet nie próbuj mnie dotykać - ostrzegła, robiąc krok do tyłu.

Wtedy zrozumiał, że określenie „złamane serce” wcale nie jest poetycką metaforą. Czuł się tak, jakby odrywano mu ścięgna i mięśnie od kości. Bolało go to bardziej niż jakikolwiek uraz kolana.

- Przepraszam, Jamie - szepnął. - Oboje przepraszamy.

Jamie wyraźnie się skrzywiła. Sprawiała wrażenie, jakby z trudem trzymała się na nogach.

- Ugryź mnie w ucho.

Odwróciła się i odeszła. Nawet po dotarciu do grupki czekających i zatrzymaniu się nie obejrzała się za siebie.

- Znasz Jamie - powiedziała Stephanie. - Jeśli się boi, wpada w szał.

Jack chciał powiedzieć, że on też się boi, ale nie potrafił zdobyć się aż na taką szczerość wobec córek. W końcu to on powinien być w rodzinie najsilniejszy.

- Podejrzewam, że wszyscy się boimy.

Stephanie starała się za wszelką cenę powstrzymać łzy. Ojciec obserwował ją z bolącym sercem. Starsza córka, zawsze taka silna, teraz wyglądała, jakby ktoś posklejał ją starą taśmą.

- Czuję się trochę tak jak człowiek, u którego właśnie odkryto schizofrenię. Wszystko, w co dotychczas wierzył, nagle stało się podejrzanym. Tak samo jest ze mną. Nie wiem, jak żyć, kiedy nasza rodzina się rozpada.

- Staraj się w nas wierzyć, Steph. Pewnego dnia zrozumiesz. Mama i ja jesteśmy razem od chwili, kiedy byliśmy w twoim wieku. To długo. Czasami pewne problemy... narastają bardzo wolno, ale nawet nie myślimy o rozwodzie.

Stephanie spojrzała na niego z żalosną nadzieją.

- Sądziłyśmy, że w tej sprawie kłamięcie.

- Nie. Po prostu staramy się przemyśleć pewne sprawy; to wszystko.

- Taaak.

Spikerka zapowiedziała lot numer 967.

Jack zerknął na Jamie. Stała plecami do niego. Nawet z tej odległości widział, że ma napięte mięśnie.

Biedna Jamie. Zawsze tak bardzo bała się, że może się załamać. Na pewno w środku jest rozdarta, ale nie pokaże tego po sobie.

- Zajmij się siostrą...

Nie był w stanie dokończyć. Przypomniał sobie dzień, kiedy Jamie złamała rękę. Przez całą drogę do lekarza siedziała w stoickim milczeniu. Dopiero późnym wieczorem wybuchnęła płaczem w ciemnym pokoju, przy maleńkiej lampce. Skuliła się w ramionach Jacka i szepnęła: „To boli, tatusiu”.

Wtedy wystarczyło pogłaskać ją po głowie i opowiedzieć bajkę do poduszki.

- Jest naprawdę wściekła na ciebie i mamę. Widziałeś, co wyprawiała w domu? Nawet nie pozwoliła, żeby mama odwiozła nas na lotnisko. Nigdy jeszcze nie była taka wściekła!

- Zastanawiam się, jak długo nie będzie z nami rozmawiała.

- Jamie? Póki nie stopnieje lodowiec polarny?

- Zajmij się nią. I sobą. Kocham cię, Stephanie. Córka spojrzała na niego.

- Bądź wobec nas szczerzy, tatusiu, dobrze? Jeśli nadejdzie czas, żebyśmy przestali mieć nadzieję, powiedz nam o tym.

- Obiecuję.

Widząc jej minę, zorientował się, że to nie było właściwe słowo. Trudno się dziwić. W przeszłości jego obietnice niewiele znaczyły. Dostrzegł następną zmianę, której musi dokonać.

Ponownie zapowiedziano lot.

- Chodź, Stephanie! - zawołała Jamie, machając na siostrę.

- Cześć, tatusiu.

Steph zarzuciła torbę na ramię i pobiegła w stronę Jamie. Obie wsiadły do samolotu, nie oglądając się za siebie.

Jack podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył niewyraźne odbicie swojej twarzy. Nieco dalej samolot odjeżdżał od rękawa. Jack powoli skierował się do swojej bramki.

Piękna wiosenna pogoda trwała do końca marca. Potem ze wzmożoną siłą wróciły deszcze. Elizabeth codziennie wkładała płaszcz przeciwdeszczowy i wysokie kalosze, po czym z nadzieją wędrowała do skrzynki pocztowej. Wielokrotnie wracała z pustymi rękami. W minionym tygodniu dostała dwa listy od Stephanie. Były to właściwie krótkie, uszczypliwe karteczki; każda zawierała palące pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Kto kogo przestał kochać?

Dlaczego przez te wszystkie lata kłamaliście? Czy myślicie o rozwodzie?

Pytania były niedojrzałymi żądaniami pewności w niepewnych czasach. Elizabeth wiedziała, że jej odpowiedzi są zbyt wymijające, żeby mogły pomóc. Jak mogło być inaczej? Pewne sprawy spowijała mgła zbyt wielu straconych lat.

Jamie nie napisała w ogóle. Nie odpowiedziała również na żadną z wiadomości, które matka zostawiła na ich automatycznej sekretarce.

Elizabeth zawsze łączyła z córkami bardzo bliska więź. Nie mogła więc znieść narzuconego przez nie dystansu, a także ich bólu i złości. Dawna Birdie

załamałaby się pod tym ciężarem, ale nowsza, silniejsza jej wersja była już mądrzejsza. Czasami kobieta musi bronić swoich potrzeb, nawet przed własnymi dziećmi. Tak jak w tej chwili. Mimo to milczenie córek poważnie ją trapiło, uniemożliwiało spokojny sen.

- Lepiej bym zrobiła, gdybym je okłamała... albo wróciła do Jacka - powiedziała Elizabeth do Anity przynajmniej ze sto razy od swojego przyjęcia urodzinowego. -Mogłabym przeprowadzić się do Nowego Jorku i zacząć od nowa stare życie. Wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi.

Odsunęła się od sztalugi, zmarszczyła czoło, potem dodała do zachodu słońca odrobinę fioletu. Kończyła obraz olejny, który zaczęła pierwszego wieczoru po przyjeździe Anity. Namalowała już cztery obrazy na Stormy Weather Arts Festival, a teraz deszcz zmusił ją do tego, żeby wróciła do portretu.

Anita siedziała przy stole kuchennym i robiła na drutach. Ledwo uniosła głowę.

- Nie sędzę, żeby wszyscy byli szczęśliwsi.

- W takim razie wszyscy pozostali - uściśliła Elizabeth. Ponownie odsunęła się od swojej pracy. Może była to najlepsza rzecz, jaką w życiu namalowała.

- W porządku. To by było na tyle.

- Czy mogę go w końcu zobaczyć?

Elizabeth przytaknęła, potem poczuła dziwne zdenerwowanie. Była zadowolona ze swojego obrazu, ale pokazanie go przyszło jej z trudem. Odsunęła się, żeby Anita mogła stanąć na wprost sztalugi.

Macocha przez całą wieczność milczała.

- Nie podoba ci się. Wiem, że kolory zachodu są trochę szalone; chciałam podkreślić łagodność twojej sylwetki, nieco przesadnie ukazując otaczający cię świat. Wygląda to trochę tak, jakby niebo wyciągało z ciebie życie, pozbawiało cię koloru.

Elizabeth przyjrzała się obrazowi, szukając usterek. Anita wyglądała na kruchą i nierzeczywistą, mimo to w jakiś sposób pełną siły, niczym stara królowa z dworu króla Artura. W jej oczach widać było wyraźny smutek, chociaż na wargach błąkał się delikatny uśmiezek.

- Może dodałam ci trochę zmarszczek? Myślałam... Anita dotknęła jej ramienia, ale nadal nic nie mówiła.

- Powiedz coś, proszę.

- Nigdy nie byłam taka piękna - powiedziała starsza pani przez zaciśnięte gardło.

- Ależ jesteś.

- Boże, chciałabym, żeby twój ojciec mógł to zobaczyć. Powiesiłby ten obraz na ścianie i dopilnował, żeby wszyscy go zobaczyli. „Chodź - mówiłby do każdego gościa -zobacz, co namalowała moja córeczka”. - Anita w końcu odwróciła się do Elizabeth. - Myślę, że będę musiała go w tym zastąpić.

W pierwszy czwartek kwietnia Elizabeth podjechała pod budynek uniwersytetu. Znalazła miejsce w pobliżu wejścia i zaparkowała. Światło z pobliskiej lampy ulicznej wpadało do środka samochodu i zalewało wszystko niesamowitym jasnoblękitnawym blaskiem.

Anita siedziała na miejscu pasażera i nerwowo zerkała na pasierbicę.

- Mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o to spotkanie, Birdie - powiedziała, wykręcając ręce. - Nigdy nie umiałam mówić o swoich kłopotach w obecności obcych ludzi.

- To ci pomoże, Anito. Naprawdę. Spotykają się tutaj kobiety z pozoru pozbawione pasji, ale to nieprawda. Są takie jak my.

Anita nie była przekonana.

- Dobrze.

Wysiadły z auta i ruszyły długą, ocienioną betonową ścieżką, potem przeszły przez podwójne metalowe pomarańczowe drzwi. Przed nimi ciągnął się szeroki, wyłożony linoleum korytarz z niebieskimi drzwiami.

Anita zatrzymała się.

Elizabeth ujęła rękę macochy i delikatnie ją ścisnęła. Przypomniała sobie, co sama czuła zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy bała się pokonać ten korytarz. Teraz szła bez trudu, wręcz z zapalem.

- Chodź!

Przy zamkniętych drzwiach spojrzała na Anitę.

- Gotowa?

- A czy wyglądam na gotową? Nie, nie jestem gotowa - Anita próbowała się uśmiechnąć - ale moja pasierbica wyraźnie nic sobie z tego nie robi.

Dmuchnęła na swój obfity biust i uniosła głowę.

Elizabeth rozpoznała ten gest. Za pierwszym razem zrobiła to samo: próbowała - jak przestraszony ptak -wyglądać na wyższą, niż była w rzeczywistości. Otworzyła drzwi i weszła do środka, ciągnąc za sobą Anitę.

Najpierw zobaczyła balony. W powietrzu wisiały ładne, wypełnione helem baloniki z życzeniami szczęścia, przywiązane do oparc krzesel. Kilka uwolniło się i fruwało pod sufitem.

- Przyszła! - odezwał się jakiś głos.

W jednej chwili wszystkie kobiety zbiły się w grupkę. Klaskały.

Elizabeth spojrzała na Anitę.

- Chyba lubią, gdy przybywa nowy członek.

Sarah Tylor precyzyjnie się przez grupę, uśmiechając się od ucha do ucha. W jasnożółtej sukience wyglądała jak promyk słońca na tle szarych ścian.

- Próbowalaś zachować wszystko w tajemnicy, Elizabeth. Nieładnie.

Elizabeth nie miała pojęcia, o czym Sarah mówi. Wtedy do przodu wysunęła się Joey.

- Wyczytałam o wszystkim w gazecie. Nie mogłam uwierzyć. Nie powiedziałaś nam.

Obok stanęła Mina.

- Joey od razu do mnie zadzwoniła. Pojechałam, żeby sobie też kupić ten numer. Od razu zadzwoniłam do Sarah.

Fran się uśmiechnęła łagodnie.

- Kiedy przeczytałam... - Wykrzywiła buzię, jakby lada chwila miała się rozplakać - ...przyłączyłam się do chóru. Mój pierwszy koncert odbędzie się w najbliższą niedzielę.

Tylko jedna Kim nie miała nic do powiedzenia. Stała z tyłu sali, przy ekspresie do kawy, jak zwykle od stóp do głów ubrana na czarno, i bawiła się paczką papierosów. Co chwila zerknęła w stronę grupki, potem szybko odwracała głowę.

- O czym wy, do licha, mówicie? - spytała Elizabeth, gdy na moment umilkły.

- O wystawie - wyjaśniła Joey głosem pełnym szacunku.

W sali rozległy się syki. Elizabeth zarumieniła się.

- Ach, rozumiem.

Anita ścisnęła jej rękę uspokajająco.

- Jesteśmy z ciebie takie dumne - powiedziała Mina. -Trzeba mieć naprawdę dużo odwagi, żeby zgodzić się na coś takiego.

- Musisz mieć stalowe nerwy - zgodziła się Fran.

Joey uśmiechnęła się do niej.

- Dzięki tobie, Elizabeth, uwierzyłam w siebie. Zapisalam się na kurs pomocy dentystycznych. Pomyślałam, że skoro ty się zdecydowałaś, ja też mogę.

- Tyle że teraz panicznie się boję - zdradziła bohaterka.

- Nie rozumiesz, że właśnie dlatego jesteśmy z ciebie takie dumne? - spytała Fran.

Nagle emocje przytłoczyły Elizabeth.

- Dziękuję.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - spytała Sarah. Elizabeth odwróciła się.

- To moja macocha, Anita.
- Witamy w grupie, Anito - powiedziała Sarah.
- Niedawno straciłam męża - wybuchnęła Anita, jakby bała się swojej „kolejki” i za wszelką cenę chciała tego uniknąć. Roześmiała się nerwowo. - To znaczy, wcale go nie straciłam. On po prostu... nie żyje.

Mina zrobiła krok do przodu i objęła Anitę.

- Usiądź obok mnie. Opowiem ci o moim Billu i o tym, jak uczyć się bez niego żyć.

Elizabeth jeszcze przez chwilę rozmawiała z kobietami, potem podeszła do Kim i do stołu z ekspresem.

- Cześć - powiedziała.

Kim spojrzała na nią spod przymrużonych powiek. Miała gruby makijaż.

- Jak będziesz się czuła, jeśli ci się nie powiedzie?

Elizabeth zadawała sobie to pytanie przy każdym posiłku. Od tygodni nie przestawała się martwić. Za każdym razem, kiedy zanurzała pędzel w farbie, na nowo zastanawiała się nad swoją decyzją i talentem.

- Nie myślę o porażce - wyznała w końcu.

- Ale nie wycofasz się? Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Przez wiele lat ponosiłam porażkę za porażką tylko dlatego, że nie próbowałam. Myślę, że nie ma nic gorszego.

Kim skubała za pasek torebki.

- Nie wiem, Elizabeth. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już gorzej być nie może, mój mąż przysyła mi nowe papiery. Mimo to życzę szczęścia. Myślę, że dobre rzeczy czasem się zdarzają, tyle że innym ludziom.

Elizabeth wciąż zastanawiała się, co powiedzieć, gdy nagle Kim opuściła salę.

Wiosna

Powab tego, co odległe i trudne, jest zwodniczy. Wielka możliwość kryje się tu, gdzie jesteś.

John Burroughs

ROZDZIAŁ 26

Elizabeth była kompletnie rozbita.

W nocy spała zaledwie dwie godziny. Przewracała się z boku na bok, co chwila oblewała się potem, nawet płakała, chociaż nie umiała powiedzieć, czy ze strachu, czy ze zdenerwowania. Wiedziała tylko, że za niecałą godzinę oficjalnie rozpoczyna się Stormy Weather Arts Festival, a ona - idiotka - zgodziła się zaprezentować na nim swoje obrazy.

- Czyżbym była wtedy pijana? - mruknęła, przebierając się po raz trzeci.

Podjęcie decyzji, co na siebie włożyć, przekraczało jej możliwości.

Przyklękła na zimnej drewnianej podłodze obok sofy. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak się bała. Dzisiaj poniesie klęskę. Co potem? Tak bardzo przecież walczyła o nowe życie. Wyrwała się z małżeństwa i z trudem torowała sobie własną drogę. Wyjęła stare pędzle i zrobiła coś niesłychanego: zaczęła marzyć.

- Trzymaj się, Birdie.

Poszła do garderoby i włożyła robioną na drutach, czarną sukienkę do kostek oraz śmiały skórzany pasek. Zostawiła rozpuszczone włosy (jakby chciała się za nimi ukryć) i zerknęła w lustro.

Miała opuchniętą twarz.

W głębi duszy jęknęła i postanowiła coś z tym zrobić. Tylko powoli. Najpierw podkład. Nałożyła grubszą warstwę niż zwykle, potem dodała róż i tusz do rzęs. Kiedy skończyła, wyglądała prawie jak człowiek.

Tak jak się spodziewała, za piętnaście dziewiąta zadzwonił telefon. Elizabeth przez chwilę zastanawiała się, czy go odbierać, ale wiedziała, że to bez sensu. Meghann prawdopodobnie wysłałaby gwardzistę, żeby sprawdził, co robi Elizabeth.

- Halo, słucham? - powiedziała, mając nadzieję, że jej głos nie zdradza niepewności.

- Bałam się, że nie odbierzesz - wyznała Meghann. -Dobrze się czujesz?

- Dałabym wszystko, żeby tylko nie iść dzisiaj do galerii. Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłam.

- Boże, chciałabym tam być. Tak mi przykro.
 - Prawdę mówiąc, cieszę się, że jesteś zajęta. Zadzwoń do ciebie, gdy będzie po wszystkim.

- Birdie?

- Tak?

- Uważam cię za bohaterkę. Pamiętaj. Jestem z ciebie dumna. Dzisiejszy dzień zmieni twoje życie.

Niestety, w tej chwili trudno jej było w to uwierzyć.

- Dzięki, Meg.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut, potem Elizabeth pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Przejrzała szuflady toaletki w poszukiwaniu odpowiedniego naszyjnika. W końcu znalazła to, o co jej chodziło: misterny, turkusowy kwiat, który Jack kupił jej, gdy dostał pracę w Albuquerque. „Będzie przynosił ci szczęście, kochanie” - powiedział.

Gdy go włożyła, po raz ostatni zerknęła w lustro. Potem zeszła na parter.

Anita już czekała na nią przy drzwiach. Miała na sobie ładny, lawendowy kostium ze spodniami. Białe jak śnieg włosy upięła w duży kok nad karkiem.

- Jak się miewasz? - spytała.

- Beznadziejnie. Może nie pojedę? Sztuka powinna sprzedawać się sama, prawda? Nie ma nic bardziej żalosego, niż gdy kobieta w średnim wieku płacze na oczach tłumy. O Boże, chyba zaraz zwymiotuję! Anita podeszła do niej i otoczyła ją ramieniem.

- Oddychaj.

Elizabeth zrobiła, co jej poleciła.

- Wdech, wydech, wdech, wydech. Trochę pomogło.

- Dzięki - powiedziała, wciąż roztrzęsiona.

Anita sięgnęła do kieszeni. Gdy wyjęła rękę, na jej dłoni leżał mały, wypolerowany do połysku szary kamyk w rdzawe, czarne i zielone prążki.

- To kamyk zmartwień twojego taty. Zawsze nosił go w kieszeni. Często żartował, że kiedy się urodziłaś, przypominał wielkością piłkę do kręgli, ale z czasem zmałał do okruszyny.

Elizabeth nie mogła uwierzyć, że jej ojciec czegokolwiek się bał, a tym bardziej nosił w kieszeni kamyk zmartwień.

- Wszyscy się boimy - powiedziała Anita. - Ważne jest, jak radzimy sobie z naszym strachem.

Elizabeth wzięła kamyk. Jak pocałunek usadowił się we wnętrzu dłoni. Niemal słyszała donośny głos ojca: „Wzbij się w powietrze, Birdie. Potrafisz”. To ją uspokoiło, przypomniało, co się liczy.

- Dzięki - szepnęła, ściskając macochę. Kiedy się odsunęła, Anita powiedziała:

- Chodźmy. Lepiej, żebyśmy się nie spóźniły.

Przez całą podróż Elizabeth koncentrowała się na oddechu. W wielu miejscach droga była zatłoczona, na szczęście udało jej się znaleźć miejsce do zaparkowania przed salonem piękności.

Echo Beach było wystrojone jak dziewczyna na tańce. Wszędzie wisiały chorągiewki i baloniki. Pogoda była wyjątkowo dobra: po niebie sunęły stalowoszare chmury, wiał zimny wiatr, ale nie padał deszcz. Wystawy mieniły się jasnymi kolorami. Nieliczni odporni turyści w płaszczach przeciwdeszczowych i kaloszach spacerowali po wąskiej głównej ulicy. Na plaży ludzie puszczali latawce, psy goniły za frisbees, a dzieciaki budowały zamki z piasku.

Elizabeth zatrzymała się na trotuarze naprzeciwko Eclectiki. W oknie wisiał biały plakat: „Spotkanie z miejscową artystką, Elizabeth Shore”.

- Chyba zaraz zwymiotuję.

- Na pewno tego nie zrobisz - powiedziała Anita. - Jesteś córką Edwarda Rhodesa. Nie będzie żadnego publicznego wymiotowania. Idziemy.

- Elizabeth!

Marge stała przed galerią i machała rękami. Miała na sobie suknię z obniżoną talią w kolorach zachodu słońca, a na nogach sandały. Włosy splotła w dwa grube warkocze. Między jej piersiami wisiał niezwykle piękny wisiołek.

- Pospiesz się! - krzyknęła, znikając we wnętrzu. Elizabeth przeszła przez ulicę. Przed galerią zatrzymała się na chwilę, gdyż nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Anita powiedziała:

- Powodzenia, kochanie. Weszły do galerii.

Wewnątrz czekała cała grupa „Kobiet bez pasji”. Kiedy Elizabeth weszła, zaczęły bić jej brawo. Stała jak wryta.

- Cześć, dziewczyny - powiedziała, wściekła, że drży jej głos. - Cieszę się, że was widzę.

Mina zachichotała.

- Jesteś naszą bohaterką. Nadajemy ci order „Bez pasji”. Joey uśmiechnęła się.

- Chętnie kupiłabym jeden z twoich obrazów, ale dostaję za małe napiwki. Chyba poproszę cię, żebyś zamiast tego złożyła mi autograf na serwetce.

Potem wszystkie zaczęły mówić jednocześnie.

- Twoje prace są niewiarygodne!

- Zdumiewające! Kiedy zaczęłaś malować?

- Świetne! Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? Elizabeth nie była w stanie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, ale to nie miało znaczenia. Ich entuzjazm pomagał jej uspokoić poszarpane nerwy. Po raz pierwszy od wielu godzin rozluźniła się i pozwoliła sobie na iskierkę nadziei.

Zaczęła nawet marzyć o sukcesie. O wspaniałej recenzji w „Echo Location”... wyprzedaniu prac... telefonie z większej galerii, na przykład w Portlandzie albo San Francisco.

- Elizabeth - powiedziała Marge z pewnym zniecierpliwieniem, jakby mówiła to już kilka razy.

- Tak? O co chodzi?

Marge wysunęła się do przodu. Trzymała w rękach bukiet róż.

- To dla ciebie.

- Och, nie musiałaś ich kupować.

Marge niewyraźnie się do niej uśmiechnęła.

- Wcale ich nie kupiłam. Wręczyła jej kwiaty.

Do jednego z nich był przyczepiony bilecik: „Jesteśmy wściekle, ale wciąż Cię kochamy. Powodzenia. Jamie i Stephanie. PS. Jesteśmy z Ciebie dumne”.

Słowa: „Jesteśmy z Ciebie dumne” rozmazały się Elizabeth przed oczami.

W tej chwili podeszła do niej Anita.

- To ja im powiedziałam. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Elizabeth chciała wziąć Anitę w ramiona, ale nie mogła się ruszyć. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Nie - odpowiedziała zachrypniętym głosem. - Dziękuję, Anito.

Starsza pani położyła dłoń na jej ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze.

Zdumiewające, ale z naręczem kwiatów i Anitą u boku Elizabeth niemal w to uwierzyła.

Marge zaczęła podawać hors d'oeuvres. Maleńkie hot dogi z plasterkami sera kraft. Potem włączyła crock-poł. Po kilku minutach w galerii pachniało, jakby ktoś przyrządzał teriyaki.

O dziesiątej na ulicach pełno było turystów i mieszkańców najbliższych okolic. Na parkingu przed biurem Windermere Realty jakiś zespół grał stare przeboje, a we wszystkich sklepach roilo się od kupujących. Zaczęło mżyć.

Turyści kupowali lody, latawce, bluzy, maty do opalania i ozdoby choinkowe wykonane z suchych wodorostów i drewna, które wyrzuciło

morze. Interesowali się również srebrnymi dzwonekami wiatrowymi, zdjęciami Haystack Rock i nadmorskimi akwarelami.

Z daleka obchodzili jedynie obrazy Elizabeth.

W miarę upływu czasu coraz wyraźniej było to widać. Marge stała przy kasie i obsługiwała klientów. Ściany wokół prac Elizabeth pustoszały.

Pierwsza wyszła Joey. Powiedziała, że musi iść do pracy - „uroczysty wieczór w Pig-in-a-Blanket” - ale Elizabeth widziała współczucie w oczach nowej przyjaciółki. Joey nie mogła patrzeć, jak Elizabeth powoli wykrwawia się na śmierć.

Koło drugiej Fran wspomniała, że musi odebrać dzieciaki, i zniknęła. Godzinę później Mina powędrowała na plac w poszukiwaniu hot dogów, chociaż ich nie brakowało. Jediną osobą, która nie szukała żadnych wymówek, była Anita; siedziała na taborecie w rogu, udając, że robi na drutach, ale Elizabeth wiedziała, że macocha bacznie ją obserwuje i wypatruje oznak załamania.

Elizabeth stała pod ścianą i tak mocno przyciskała ręce do tułowia, że ledwo mogła oddychać; napinała wszystkie mięśnie, aż bolały ją stawy. Ani na moment jednak nie przestawała się uśmiechać.

Była głupia, jeśli spodziewała się, że będzie inaczej. W głębi duszy przyznała się, że jest lekko zawiedziona, ale potem szybko odsunęła od siebie tę myśl. W przyszłości na pewno nie popełni już takiego błędu, ale teraz nie było warto się tym trapić. Co się stało, już się nie odstanie.

Minie również wrażenie, że jest krucha jak najdelikatniejsza porcelana. Jeśli nie będzie musiała ruszać się z miejsca, z pewnością uda jej się jakoś przebrnąć przez resztę dnia. Potem przebrnie przez noc, przez następny dzień, i tak dalej, i tak dalej. Tak wyglądało życie. Wieczorem pójdzie do domu, schowa swoje obrazy do pudła i spróbuje zapomnieć, że w ogóle zadała sobie tyle trudu.

Zabrzączał dzwonek nad drzwiami. Przez cały dzień dźwięczał bez przerwy. Uśmiechnęła się, żeby przywitać następną osobę, która nie będzie chciała jej obrazów.

W drzwiach pojawił się Daniel. Promienie słońca poślącały jego jasne włosy.

- Jak idzie? - spytał, podchodząc do niej.

- Źle. Prawdę mówiąc, to i tak spore niedopowiedzenie.

Minął ją i stanął przed obrazami. Trudno było ich nie zauważyć, wszystkie pozostałe ściany były puste. W końcu odwrócił się i spojrzał na nią.

- Są piękne. Naprawdę masz ogromny talent.

- O taaak. Wiem.

Czuła, że zaraz wybuchnie płaczem. Nie czekając, aż Daniel będzie świadkiem jej słabości, wybiegła ze sklepu. Na zewnątrz przynajmniej będzie mogła oddychać. Dogonił ją.

- Co powiedziałaabyś na lattel

- Chętnie.

Przeszli kawałek ruchliwą ulicą. W lodziarni kupił dwa rożki i dwie latte. Potem wyszli na promenadę i usiedli na betonowej ławce. Na plaży jakiś mężczyzna uczył małego chłopca, jak puszcza się latawce.

Elizabeth wpatrywała się w swoje lody, jakby próbowała znaleźć tam przepis na powszechny i trwałe pokój.

- Nie masz się czego wstydzić - powiedział w końcu.

- Wiem.

Jej zgoda zabrzmiała nieprzekonująco nawet w jej własnych uszach. Całą energię pochłaniało jej robienie dobrej miny do złej gry, nic nie zostało na zachowywanie pozorów.

- Jestem tylko trochę przygnębiona.

- Myślałaś, że będzie łatwo?

- Myślałam, że coś uda mi się sprzedać.

Ujął Elizabeth za brodę i delikatnie odwrócił jej twarz w swoją stronę.

- Czy to ma aż takie znaczenie?

- Nie, ale... cholera!

W tym momencie popłynęły łzy, które przez cały dzień starała się powstrzymać.

Daniel przytulił ją do siebie. Głaskał po włosach i pozwolił się wypłakać. W końcu odsunęła się ze szlochem, czując się jak idiotka.

- Przepraszam. To był po prostu okropny dzień.

- Nie poddawaj się, Birdie. Masz talent. Wiedziałem o tym od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak malujesz. Myślę, że poprzednio zbyt łatwo zrezygnowałaś.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest w ramionach Daniela, który mocno ją przytula. Czuła na czole jego oddech. Powoli uniosła głowę.

Ujął jej twarz w dłonie i kciukami otarł łzy.

- Potrzeba było sporej odwagi, żeby pokazać dzisiaj swoje prace. Wiem, że nie ma nic gorszego niż stanie przed ludźmi i mówienie: „Tu jestem”.

Spojrzała na jego usta. Usłyszała tylko jedno:

- Przed ludźmi?

- Powinnaś być z siebie dumna, Elizabeth. Każde inne uczucie byłoby przestępstwem.

Pochylił się.

Wiedziała, że Daniel ją pocałuje, i była na to przygotowana. Serce waliło jej w piersiach. O mój Boże...

Przycisnął wargi do jej ust i delikatnie dotknął języka. Poczowała smak kawy i mięty. Przyciągnęła go mocniej.

I... nic. Żadnego 4 lipca, żadnych sztucznych ogni.

Odsunął się i zmarszczył czoło.

- Nie tak to sobie wyobrażałaś, prawda? Próbował się uśmiechnąć.

Elizabeth była zaskoczona.

- Chyba jestem w większym stopniu mężatką, niż myślałam.

- Szkoda.

Wstał i podniósł swoją towarzyszkę. Potem, trzymając ją za rękę, przeszedł przez ulicę. Kluczyli wśród tłumu, zmierzając w stronę sklepu.

O sekundę za późno Elizabeth zdała sobie sprawę, dokąd idą. Mocno ścisnęła dłoń mężczyzny i próbowała się zatrzymać.

Pociągnął ją za sobą i nie przystanął, póki nie dotarli do otwartych drzwi.

- Daj mi spokój, Danielu. Tam czeka mnie śmierć przez powieszenie.

- W takim razie włóż szyję w pętlę, tak jak robią to artyści. - Uśmiechnął się do niej. - Jestem pewien, że daleko zajdziesz, Elizabeth Shore. A teraz idź tam, gdzie powinnaś być.

Wyprostowała plecy i wróciła do sklepu.

Marge z wyraźną ulgą uśmiechnęła się na jej widok.

- Cieszę się, że wróciłaś.

- Nie chciałam - wyznała.

Kiedy obejrzała się za siebie, okazało się, że Daniel zniknął.

- Stchórzyłam - dodała.

- To zawsze jest trudne dla artysty. Powinnam cię ostrzec.

- Trudne? - spytała Elizabeth. - Trudno jest zrobić sos hollandaise. To, co właśnie przeżywam, to doświadczenie z pogranicza życia i śmierci.

Marge roześmiała się, potem w ułamku sekundy spowaźniała.

- Przykro mi. Wiem, że to wcale nie jest zabawne. Teraz to Elizabeth się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że moje upokorzenie tak cię bawi. Może załamiesz się nieco później, gdy rozjedzie mnie autobus.

- Poradzisz sobie, Elizabeth. Nie martw się. Odezwał się dzwonek nad drzwiami.

- O Boże! - jęknęła Elizabeth, zmuszając się do bladego uśmiechu.

Do galerii weszła Kim. Była blada i wyraźnie zdenerwowana; jej wzrok niespokojnie przeszukiwał pomieszczenie. Miała na sobie czarne skórzane spodnie i czarny kaszmirowy golf. Co dziwne, przez ramię przerzuciła czerwony szal.

- Witamy w Eclectice - powiedziała Marge.

Kim obojętnie machnęła ręką, skierowała się do tylnej ściany i stanęła przed pracami Elizabeth.

- Artystka jest tam - powiedziała głośno Marge. Elizabeth wyszła zza rogu.

- Cześć, Kim. Minęłaś się z grupą.

Kim otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać.

- A tak chciałam spędzić z nimi więcej czasu. - Kiwnięciem głowy wskazała ścianę. - To twoje obrazy?

- Tak.

Kim zerknęła na nie. Na ułamek sekundy spojrzenie znajomej złagodniało i Elizabeth dostrzegła w jej oczach tęsknotę.

Teraz już знаła to uczucie. Przez wiele lat tkwiła zamknięta we własnym wnętrzu i nie potrafiła znaleźć drogi na zewnątrz. Kim była właśnie na tym etapie.

- Wezmę ten - powiedziała, wskazując nadmorski pejzaż.

- Przykro mi, ale w tym sklepie obowiązuje zakaz zakupów dokonywanych z litości.

- To znaczy?

- No cóż, tak jak obie przypuszczaliśmy, poniosłam dzisiaj sromotną klęskę. Oprócz moich obrazów zostały tylko lody o smaku tofu. I hot dogi Marge.

- Nadal nie wiem, co to jest zakup z litości.

- Kiedy przyjaciółka artystki kupuje jej obraz, kierując się współczuciem. Nie, dzięki. Chociaż doceniam twój gest.

Kim spojrzała na nią.

- Uważasz, że jesteśmy przyjaciółkami?

- Oczywiście - powiedziała Elizabeth cicho.

Na twarzy Kim pojawił się uśmiech, a w jej zachowaniu nastąpiła ogromna zmiana.

- Zdejmij ten obraz i każ go zapakować. Nawet nie próbuj nazywać tego zakupem z litości. Chcę go zawiesić w swoim salonie. Ilekroć na niego spojrzę, będzie mi przypominał, że można wszystko zacząć od nowa. Zgodzisz się sprzedać nadzieję przyjaciółce, prawda?

To był piękny gest; Kim nie wiedziała, że w ten sposób jedynie pogarsza sprawę.

Elizabeth zdjęła obraz ze ściany i zaniósła go do kasy.

- Pomyliłam cenę tego obrazu. Powinno tu być...

- Nic z tego - zaprotestowała Kim, stając obok Elizabeth. - Ten dupek zostawił mi kupę szmalu. Pozwól, że zrobię to po swojemu.

Elizabeth chciała się cieszyć, że sprzedała jeden obraz, ale trudno jej było pokonać przygnębienie. Jej dzieło wcale nie zostało kupione z powodu wartości artystycznej.

- W porządku.

Kiedy Kim zapłaciła za swój nabytek, odwróciła się do Elizabeth.

- Będiesz na spotkaniu w tym tygodniu?

- Oczywiście.

- Może potem zjadłybyśmy razem kolację? Oczywiście nie pogniewam się, jeśli masz już jakieś plany. W końcu proponuję ci to z bardzo niewielkim wyprzedzeniem.

- Bardzo chętnie się z tobą gdzieś wybiorę. Kim znów się uśmiechnęła.

- Świetnie. W takim rdzie do zobaczenia.

Elizabeth została jeszcze na chwilę i patrzyła, jak turyści snują się po sklepie. W końcu nie mogła już dłużej tego wytrzymać.

Ostatnią rzeczą, jaką widziała, opuszczając galerię, była ściana pełna jej prac.

Jack stał w oknie swojego biura i wyglądał na zewnątrz. Był piękny wiosenny dzień.

Powinien być najlepszym dniem jego życia. Dwadzieścia cztery godziny temu zaproponowano mu najbardziej upragnioną pracę w telewizji: NFL Sunday.

Od lat marzył o takiej chwili, może marzył o niej przez całe życie, ale teraz czuł się dziwnie sparaliżowany.

Nagle skrzypnęły drzwi.

- Tutaj jesteś - powiedział Warren. - Właśnie słyszałem o twojej sesji zdjęciowej dla „People”. No, no! Nieźle, całkiem nieźle.

- Pewnie będę najstarszym facetem w tym numerze. Warren zmarszczył czoło.

- Taaak. Widzę, że dzieje się z tobą coś złego. Chodźmy gdzieś.

Jack chwycił płaszcz i wyszedł z przyjacielem z budynku. Za milczącym porozumieniem powędrowali prosto do pubu na rogu i zajęli boks na tyłach lokalu.

- Podwójny bourbon z lodem - powiedział Warren, gdy pojawiła się barmanka.

Spojrzała na Jacka.

- Woda sodowa z cytryną.

- Wiedziałem, że coś ci dolega - zawyrokował Warren. - Woda sodowa?

- Ostatnio za dużo piję. Potem wszystko rozmazuje mi się przed oczami.

- Czyż nie o to właśnie chodzi?

- Tak mi się wydawało. Teraz wcale nie jestem pewien - urwał, a potem dodał: - Szefowie właśnie zaproponowali mi NFL Sunday.

Warren się wyprostował.

- Jezu, Jack! Większość facetów dałaby sobie uciąć lewe jajo za taką robotę, a tymczasem ty sączysz wodę sodową i niemal płaczesz. O co chodzi?

Jack zerknął w lewo. Nie miał w zwyczaju rozmawiać o takich sprawach, ale obecna cisza - i samotność - coraz bardziej mu dokuczały. Jeśli istniał na świecie ktoś, kto mógłby zrozumieć problemy małżeńskie, to z pewnością był nim trzykrotnie żonaty Warren.

- Powiedzieliśmy córkom o separacji.

- O kurczę! Właśnie dlatego nigdy nie miałem dzieci. Jak to przyjęły?

- Źle. Płakały, krzyczały i protestowały. Potem wróciły na uczelnię. Od tego czasu w ogóle się do mnie nie odzywają.

- To minie. Uwierz mi, po jakimś czasie pogodzą się z nowym układem sił w rodzinie.

No właśnie, to był powód jego bezsennych nocy. „Nowy układ sił w rodzinie”.

- A jeśli ja nie mogę się z nim pogodzić?

- To znaczy?

- Tęsknię za Birdie.

Więc jednak udało mu się to powiedzieć.

- Dokonałeś złej wymiany, Jacko, ale nie jesteś pierwszym facetem, któremu się to przytrafiło. Myślałeś, że wir, w który się rzuciłeś, jest prawdziwym ogniem, tymczasem pod koniec dnia liczy się tylko kobieta, która kochałaby cię takiego, jaki jesteś. - Spojrzał na Jacka. - Która w złych chwilach byłaby przy tobie. Tą kobietą, mój przyjacielu, była Birdie. Nie powinieneś nigdy pozwolić jej odejść.

- To ona mnie zostawiła.

- To Birdie cię zostawiła?

- Małżeństwo rozpadało się powoli. Nawet nie jestem pewien, kiedy to się stało. Czasami wydaje mi się, że wszystko zaczęło się w chwili, kiedy

straciłem futbol. Mogłem wtedy myśleć tylko o jednym: o tym, czego już nie mam. Ożeniłem się bardzo wcześnie, nigdy nie byłem młodym pistoletem ze swoich marzeń. No wiesz, gwiazdorem, który każdą noc spędza z inną kobietą. Bardzo tego chciałem. - Westchnął. - Przez lata pragnąłem tylko tego, żeby cofnąć się w czasie i dokonać innego wyboru. Chyba w końcu marzenie o tym, żeby być gdzie indziej, stało się moim celem; tak oto zniszczyłem nasze małżeństwo. Gdy dostałem tę pracę, wszystko wróciło. - Uśmiechnął się gorzko. - Po raz pierwszy w dorosłym życiu jestem wolny, bogaty i sławny. Mogę robić wszystko, co zechcę. Do diabła, sypiam z piękną kobietą, która jest o połowę młodsza ode mnie i nie widzi, że jej nie kocham. Zawsze o tym marzyłem, a teraz tego nienawidzę. Przez cały czas tęsknię za Birdie.

- Powiedziałaś jej o tym? Jack uniósł głowę.

- Boję się, że jest za późno. Warren upił łyk bourbona.

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która wytrzymałaby ze mną dwadzieścia cztery lata. Która wyciągnęłaby mnie z narkomanii i przebaczyła zdrady. Gdybym znalazł taką kobietę, Jacko, nigdy nie pozwoliłbym jej odejść.

- A jeśli Birdie powie mi, że jest za późno? - Jack zawiesił głos. - Jeśli już mnie nie kocha?

Warren spojrzał na niego uważnie.

- Wtedy twój film będzie musiał się obejść bez happy endu, przyjacielu. Czasami błędne decyzje mszczą się na człowieku do końca życia.

ROZDZIAŁ 27

Droga z galerii do domu wydawała się trwać całą wieczność.

Elizabeth poniosła porażkę.

Świadomość tego była jak jątrząca się rana, pominiawszy, że bolała, nie dawała o sobie zapomnieć.

Elizabeth czuła, że wyraźnie zmartwiona Anita co chwila zerka na nią z siedzenia obok, na szczęście nic nie mówiła. Nie była to odpowiednia pora na dodawanie otuchy. W ciągu ostatnich miesięcy Elizabeth słyszała wiele podniosłych słów ze strony Meghann, Anity i Daniela. Posłuchała przyjaciół i im uwierzyła.

I oto co zyskała. W wieku czterdziestu sześciu lat poniosła porażkę.

Skręciła w Stormwatch Lane i podjechała pod dom. Kiedy zaparkowała, uśmiechnęła się do Anity ze znużeniem.

- Dzięki za wszystko. Twoja obecność bardzo mi pomogła.

Anita sprawiała wrażenie poruszonej.

- Birdie, nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę, nic nie mów. Mam za sobą wystarczająco ciężkie przeżycie. Nie chcę o tym rozmawiać.

Anita kiwnęła głową. Kobiety z Południa od dziecka uczy się, jak w uprzejmy sposób ignorować przykre sprawy.

- Przyrządzę dobrą kolację.

- Nie jestem głodna. Za to chętnie wezmę gorącą kąpiel.

Chyba o sekundę za długo spoglądała na Anitę, gdyż nagle poczuła, że lada chwila przestanie panować nad sobą. Jeśli nie będzie uważać, rozpadnie się na kawałki jak stara porcelana, a to nikomu w niczym nie pomoże. Otworzyła drzwi i szybko pobiegła w stronę ukochanego domu.

Powitał ją łagodnymi światłami, słodkim zapachem i poczuciem bezpieczeństwa.

Wzięła głęboki wdech, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc. Gdy usłyszała, że Anita jest tuż za nią, skierowała się schodami na piętro i zamknęła za sobą drzwi sypialni. Podeszła do okna i próbowała zaczerpnąć otuchy z widoku, ale o tej porze roku noc zapadała dość wcześnie i za szybą roztaczała się już tylko ciemność.

Elizabeth poszła do łazienki i wlała do wody nakrętkę olejku o migdałowym zapachu. Napęłniła wannę bardziej niż zazwyczaj, zdając sobie sprawę, że gdy wejdzie, woda się przeleje. No cóż, pościara potem podłogę, i tyle. To przynajmniej robiła dobrze.

Rozebrała się i zanurzyła w niemal parzącej wodzie. Oczywiście, część rozlała się na kafelki. Elizabeth poczuła, że ze wszystkich stron otacza ją ciepło; para uniosła się w stronę twarzy. Słodki, duszący zapach migdałów wypełnił małą łazienkę.

Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Przypomniła sobie sceny z całego dnia. Klienci, którzy kupowali rzeźby, litografie, zdjęcia i obrazy innych malarzy... ale przechodzili obojętnie obok jej prac.

Chciałaby się rozplakać, ale to nie był tego rodzaju ból. Czuła się jak sparaliżowana. Jak więzień, który uwierzył w zwolnienie warunkowe, a potem bezlitośnie został odesłany do celi.

Najgorsze było to, że uwierzyła w siebie. Wiedziała, jak wygląda prawda, a jednak wpakowała się w lotne piaski i dała się wciągnąć. Uwierzyła, ośmieliła się, zaczęła marzyć.

Dlatego poniosła porażkę.

Jej prace nie były dość dobre. To było jasne.

Co dalej? Żeby odnaleźć siebie, zrezygnowała ze wszystkich dobrych rzeczy, które kiedykolwiek stworzyła.

No cóż, znalazła kobietę, której największym darem było niesienie pomocy innym, darzenie miłością i wspieranie ich marzeń. Kiedy siedziała w gorącej wodzie, zastanawiała się, dlaczego jej to nie wystarcza.

Wcale nie była artystką. Widocznie wiedziała o tym dwadzieścia pięć lat temu. Dlatego nie upierała się tak bardzo przy studiach na wydziale sztuk pięknych. Znała prawdę albo przynajmniej się jej domyślała. Zrezygnowała z tej drogi, dzięki czemu oszczędziła sobie udręki dzisiejszego dnia.

Elizabeth siedziała w wannie, póki woda nie ostygła, a ona sama nie dostała gęsiej skórki. Potem niechętnie wyszła. Owinęła się ręcznikiem i udała do łóżka.

Na widok telefonu pomyślała: „Zadzwoń do Jacka”.

Nie była pewna dlaczego, ale Jack zawsze był jej bezpieczną przystanią. Sięgnęła na szafkę nocną, podniosła słuchawkę i wybrała jego numer. Przez głowę przemknęły jej fragmenty rozmów. Szukała odpowiedniego pierwszego zdania.

„Kocham cię”. Miłe i bezpośrednie.

„Tęsknię za tobą”. Z pewnością prawdziwe.

„Potrzebuję cię”. Najprawdziwsza prawda.

Włączyła się automatyczna sekretarka i poinformowała, że Jacka i Birdie nie ma w tej chwili w domu.

Jacka i Birdie.

Nie zmienił nagrania. To dodało jej odwagi.

- Cześć, Jack - powiedziała, kładąc się na plecach i wbijając wzrok w sufit.
- Może nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali o przyszłości?

Urwała, próbując wymyślić, co jeszcze powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Bała się, że jeśli zacznie mówić, wybuchnie płaczem.

Rozłączyła się i wykręciła numer córek.

Znow automatyczna sekretarka. Zostawiła najświeższą wiadomość, przeprosiła w kilku słowach i podziękowała za kwiaty, potem się rozłączyła.

Leżała przez długą chwilę i patrzyła na sufit, obserwując, jak między krokwiemi pająk snuje pajęczynę. Zawsze tam był, ten sam mały czarny pajaczek, który wracał na swoje miejsce, ilekroć tylko zniszczyła mu sieć. Była w tym lekcja życia.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Birdie, skarbie?

Elizabeth zamknęła oczy. Naprawdę chciała zostać sama ze swoim smutkiem.

- Nic mi nie będzie, Anito.
- Kolacja gotowa.
- Nie chce mi się jeść. Przepraszam. Dziękuję, że coś przygotowałaś. Zobaczymy się rano.

Usłyszała, jak Anita oddała się... a potem wraca. Chwilę później stanęła w otwartych drzwiach z płaską, czarną puszką.

- Chodź, Birdie. Pora, żebyś to zobaczyła. - Stuknęła w puszkę. - To niegdyś należało do twojej mamy. Jeśli chcesz dowiedzieć się, co jest w środku, zejdz na dół.

Potem odwróciła się i wyszła.

Elizabeth nie chciała wstawać, ale właśnie pomachano jej przed nosem największą marchewką: mamą.

Z westchnieniem podniosła się i ubrała.

Na parterze usiadła na sofie obok Anity. Puszka leżała na ławie, jakby czekała.

Elizabeth długo na nią patrzyła. Przez kilka błogosławionych sekund zapomniiała o porażce w galerii.

Wyobraziła sobie list matki do córki albo, jeszcze lepiej, dziennik z cennymi wspomnieniami. Zdjęcia. Pamiątki. Odwróciła się do Anity.

Starsza pani była blada i niepewna. Zagryzała dolną wargę aż do krwi.

- Przywiozłam to ze sobą. Wiedziałam, że w którymś momencie nadejdzie odpowiednia chwila, żeby otworzyć tę puszkę.

Próbowała się uśmiechnąć, ale był to sztuczny uśmiech, który jedynie zdradzał jej zdenerwowanie.

- Twój ojciec bardzo cię kochał. Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

- Wiem o tym.

- Był typowym przedstawicielem swojej epoki i miejsca, w którym się wychował, dlatego wierzył, że mężczyźni powinni chronić kobiety przed wszelkimi... przykrościami.

- Daj spokój. Jestem tego świadoma.

Anita sięgnęła po puszkę i zdjęła pokrywkę. Drżącymi rękami podała pudło pasierbicy.

Elizabeth położyła je sobie na kolanach.

W środku w jednym rogu były spięte gumką zdjęcia o ozdobnych brzegach. Na ukos leżała długa kartonowa tuba.

Elizabeth najpierw wyjęła zdjęcia. Na wierzchu była mama. Siedziała na huśtawce na werandzie, ubrana w różowe rybaczki i kwiecistą szyfonową bluzeczkę z krótkimi, bufiastymi rękawkami i kołnierzykiem w stylu Piotrusia Pana. Podkurczyła nogi, tak że było widać tylko kawałek bosych stóp z pomalowanymi paznokciami.

Śmiała się.

Nie uśmiechała się, nie pozowała. Śmiała się.

W prawej ręce trzymała papierosa, a u jej stóp stał w połowie wypity koktajl. Wyglądała cudownie, jak żywa.

Po raz pierwszy Elizabeth widziała matkę jako kobietę z krwi i kości. Kogoś, kto się śmiał, palił papierosy, nosił rybaczki i malował paznokcie u nóg.

- Była piękna - powiedziała Elizabeth.

- Tak.

Na następnym zdjęciu uwieczniona została jakaś inna kobieta. Miała wyraziste, błyszczące oczy i falujące, czarne włosy, które opadały kaskadą aż do obfitych bioder. Wyglądała jak włoska wieśniaczka, prosta i pełna temperamentu. Pod każdym względem stanowiła przeciwieństwo delikatnej, arystokratycznej matki Elizabeth.

Wszystkie pozostałe zdjęcia ukazywały właśnie ją. Na plaży... na białej werandzie... na targu... z latawcem.

Elizabeth zawiedziona zmarszczyła czoło.

W końcu wzięła do ręki kartonową tubę i zdjęła przykrywkę. W środku było zwinięte płótno. Wyjęła je i rozłożyła na ławie.

Obraz przedstawiał ciemnowłosą kobietę i został wykonany farbami akrylowymi. Modelka wspierała się w pozycji półleżącej na czerwonych poduszkach; spowijały ją artystycznie ułożone czarne włosy. Była naga, jedynie jas-noróżowy szal przesłaniał jej obfite biodra. Miała pełne piersi i spore, brązowe brodawki.

Obraz był piękny. Przypominał prace Modiglianiego. Elizabeth niemal wyczuwała każde włókno szala i aksamitną delikatność opalanej skóry kobiety. Na poduszkach i ciele kobiety leżały porzucane setki różowych i żółtych płatków róż.

Z płótna emanował dziwny smutek. Czarne oczy kobiety pełne były rozpaczliwej tęsknoty. Jakby patrzyła na kochanka, który lada chwila ma odejść.

Elizabeth zerknęła na podpis. „Marguerite Rhodes”.

Czas niemal zatrzymał się w miejscu. Słyszała bicie swojego serca.

- Mama była artystką?

- Tak.

Po tylu latach w końcu odkryła ogniwo, które łączyło ją z matką: odziedziczony po niej talent. Elizabeth uniosła głowę.

- Dlaczego tata mi nie powiedział?

- Jest tu tylko jeden obraz.

- No to co? Przecież wiedział, że chcę zostać malarką. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo by mnie to ucieszyło.

Anita posmutniała. Przez jedną przerażającą sekundę Elizabeth myślała, że macocha się wycofa, zbyt przerażona wszystkim, co już ujawniła, by posunąć się jeszcze dalej.

- Pamiętasz, mówiłam ci, że twoja matka uciekła od Edwarda. Działo się to w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku.

Elizabeth zauważyła na obrazie datę: 1955. Anita ciężko westchnęła.

- Świat wyglądał wtedy inaczej. Ludzie nie byli tak tolerancyjni, nie akceptowali pewnych spraw... inaczej niż teraz.

Elizabeth ponownie spojrzała na obraz; tym razem dostrzegła w nim namietność. Delikatność pociągnięć pędzla, dojmujący smutek w oczach kobiety. Nagle zrozumiała tajemnicę, którą ukrywano przed nią od lat.

- Moja matka zakochała się w tej kobiecie.

- Nazywała się Missy Esteban. I owszem, była kochanką twojej matki.

Elizabeth oparła się o krzesło. Nagle dziesiątki dziecięcych wspomnień nabrały sensu. Zamknięte drzwi sypialni matki i dochodzące z za nich odgłosy płaczu.

- To dlatego cierpiała na depresję - powiedziała na głos Elizabeth.

Miała wrażenie, że nagle całe jej życie ułożyło się w jedną całość, poszczególne kawałki puzzli w końcu trafiły na właściwe miejsca. Czuła, że powinna bardziej to przeżyć, może nawet poczuć się zdradzona, ale w rzeczywistości nigdy nie знаła swojej matki; tak wyglądała bolesna prawda.

- To dlatego ojciec nie chciał o niej mówić. Wstydział się.

- Znałaś tatę; myślał, że jest lepszy od innych mężczyzn. Całe cholerne miasteczko traktowało go, jakby był pępkiem świata. Pogodził się z tym, że żona od niego uciekła. Przeżył to, ponieważ w końcu wróciła. Żartował tylko z przyjaciółmi, jakim niespokojnym duchem jest jego młoda kłaczka. Gdy jednak dowiedział się, że Marguerite się zakochała, i to w kobiecie... nie, z tym Edward za nic w świecie nie mógł się pogodzić. Zamknął więc prawdę w głębi serca. Udawał, że nic się nie stało.

- W jaki sposób się dowiedziałas?

- Dzięki dwudziestoletniemu bourbonowi. Twój tata pewnego wieczoru wypił trochę więcej, niż powinien, i wyrwało mu się to i owo.

Elizabeth wyprostowała się. Teraz wszystko miało sens. Milczenie, brak zdjęć, brak opowieści rodzinnych. Mama wymierzyła ojcu potężny cios: stracił pewność siebie. Nic dziwnego, że tak mocno trzymał się Anity.

- Dlaczego jej nie pamiętam? Zmarła dopiero, gdy miałam sześć lat.

- Kochała cię, Birdie, nawet bardzo, ale po powrocie miała złamane serce. Była zagubiona. Nie potrafiła się tobą zająć. Jednego dnia mocno cię tuliła, a potem zamykała się w sypialni i nie dostrzegała cię przez wiele tygodni. To prawie zabiło twojego ojca. Oczywiście, brała lekarstwa. W tamtych czasach kobietę, która zrobiła coś takiego, uważano za wariatkę. Każdy by tak pomyślał, zwłaszcza ona. Nie zapominaj, że pochodziła z porządnej, wierzącej rodziny. Grzeczne dziewczynki nie uprawiają seksu z innymi kobietami.

To wywołało stare jak świat wspomnienie. Pewnego dnia po czwartych urodzinach Elizabeth wstała wcześniej i pobiegła do sypialni mamy. Marguerite siedziała na podłodze z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej i płakała. Elizabeth nie pamiętała dokładnie, co mówiła, ale przypomniała sobie odpowiedź matki: „Nie bądź taka jak ja, Birdie. Nie bój się”.

Anita dotknęła dłoni Elizabeth.

- Twoja mama znalazła w życiu to, co chciała, ale zrezygnowała ze szczęścia. Pozwoliła, żeby presja rodziny wzięła górę nad sprawami dla niej najważniejszymi. Zrezygnowała z miłości i talentu. To ją zabiło. Znam cię, Birdie. Leżałaś w sypialni i myślałaś o tym, żeby się poddać, uznałaś, że byłaś głupia, wierząc w swój talent.

Elizabeth nagle poczuła, że przed Anitą niczego nie da się ukryć.

- Odkąd tak dobrze mnie znasz?

- Nie próbuj rezygnować, Elizabeth Shore. Zaszłaś za daleko i zbyt ciężko na to pracowałaś, żeby wrócić do dawnego stylu życia tylko dlatego, że się boisz. Jeśli się poddasz, popełnisz ten sam błąd co twoja matka. Może to cię nie zabije, ale z pewnością podetnie ci skrzydła, Birdie.

Elizabeth zamknęła oczy. Chciała zaprotestować, ale nie było sensu. Wiedziała o tym.

Co nie tak dawno powiedziała do Kim? „Przez wiele lat ponosiłam porażkę za porażką tylko dlatego, że nie próbowałam”. To prawda: każda niepodjęta próba powodowała coraz większą pustkę.

Teraz w końcu spróbowała i nie udało jej się, ale przynajmniej spróbowała. Mogła być z tego dumna.

Zdobyła się na niewyraźny uśmiech.

- Jesteś cudowna - szepnęła, przypominając sobie, ile razy Anita wyciągała do niej rękę, a ona ją odpychała.

- Ty też, Birdie.

- Przez wiele lat myślałam, że nie mam matki - powiedziała Elizabeth. - Myliłam się, prawda? Miałam, nawet dwie. Kocham cię, Anito. Powinnam ci to powiedzieć już dawno.

Usta Anity drżały. Machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „Nie przejmuj się”.

- Ojciec zawsze mi powtarzał, że pewnego dnia do tego dojdiesz.

W hotelowej sali balowej Jack czekał na swoje wystąpienie, ale nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o Birdie. Prawdę mówiąc, nawet go to dziwiło. Za każdym razem, kiedy próbował zastanowić się nad propozycją nowej, wspaniałej pracy czy zbliżającej się sesji zdjęciowej do magazynu „People”, miał ochotę podnieść słuchawkę i zadzwonić do żony. Żaden z jego triumfów się nie liczył, bo u jego boku nie było Birdie, która szepnęłaby mu na ucho: „Udało ci się, kochanie”.

Tak to jest z trzeźwością. Człowiek zaczyna logicznie myśleć, nic mu się nie rozmazuje i wszystko jawi się w jasnych, prawdziwych barwach.

Od rozmowy z Warrenem obraz stał się jeszcze ostrzejszy. Jack w końcu wyraźnie zobaczył całe swoje życie.

Dzień po dniu czegoś szukał. Nic mu nie wystarczało. Nawet Birdie. Teraz mógł się przyznać. Nie było sensu dłużej się okłamywać.

Był takim, a nie innym człowiekiem, więc obecnie został sam. Był mężem, który żyje z dala od żony, ojcem odrzuconym przez córki. Jeśli nie liczyć pracy, nie miał żadnych obowiązków, oprócz tych, które sam wziął na siebie.

Niestety, wolność wcale nie wyglądała tak, jak sobie wyobrażał.

Przez lata marzył o tym, żeby zacząć wszystko od nowa. W swoich wizjach ponownie miał szansę na wszystko: sławę, miłość, podziw, a przede wszystkim (bądź wobec siebie szczerzy, Jack) to, o czym najbardziej marzył, czyli kobiety. Smukłe młode kobiety w kusych sukienkach, kobiety, które wskakiwałyby mu do łóżka i nie wymagały niczego więcej oprócz jego twardego członka. Tak wyglądały jego marzenia. Pozbawione twarzy, bezimienne kochanki, które ubóstwiałyby jego ciało i nigdy nie prosiły, żeby opuszczał klapę sedesu albo w drodze do domu kupił podpaski.

Teraz jego marzenia się spełniły. Romans z Sally urzeczywistnił dawne sny. Seks był wspaniały - przynajmniej przynosił fizyczną satysfakcję - a to, co działo się później, bardzo odpowiadało Jackowi. Sally wstawiała, cicho się ubierała i szła do swojego mieszkania. Żadnych scen, że chce zostać, żadnego udawania miłości.

Żadnych wspólnych przeżyć, śmiechu, ciepła.

Warren miał rację; Jack dokonał beznadziejnej wymiany. Prawdziwe ciepło na fałszywy ogień.

Marzenie - światła rampy, kamery, bujne życie - nie było pełne. Ziało przerażającą pustką.

Teraz Jack tkwił samotnie w środku z pozoru ekscytującego życia i w końcu zaczął zdawać sobie sprawę, że on sam też jest pusty.

- Jack?

Sally dotknęła jego łokcia.

Z trudem wyrwał się z zamyślenia. Publiczność biła brawa. Wystarczyło krótkie spojrzenie na asystentkę, by się zorientować, że przegapił chwilę, kiedy go zapowiadano.

Wstał i przeszedł przez zatłoczoną salę balową. Całe pomieszczenie zastawione było stolikami z białymi obrusami.

Jack podszedł do mikrofonu i powiedział to samo, co w ostatnich miesiącach powtarzał już przynajmniej kilkanaście razy; wyraził życzenie, żeby sportowcy byli odpowiedzialni i zachowywali się, jak na sportowców

przystało. Kiedy skończył, rozległy się gromkie brawa. Potem przez następną godzinę pozował do zdjęć, odpowiadał na pytania i rozdawał autografy.

Nagle obok niego pojawiła się Sally.

- Dzięki za to, co dla mnie zrobiłeś. Mój kuzyn jest mi teraz niezwykle wdzięczny. Wszyscy uważają go za boga, bo udało mu się z tobą porozmawiać.

- Zawsze chętnie pomagam dzieciakom.

Jack nie mógł uwierzyć, że z jego ust padła tak standardowa odpowiedź i że udzielił jej nie komu innemu, tylko właśnie Sally.

Lekko zmarszczyła czoło. Wzięła go pod ramię i wyprowadziła z sali balowej do cichego stolika przy barze.

- Jestem zmartwiona.

Mówiła cicho. Przerwała tylko na chwilę, żeby zamówić kieliszek białego wina.

- Dlaczego?

- Ponieważ przez cały tydzień mnie unikasz. Przecież nie wywierałam na ciebie nacisku, prawda? Wiem, że jesteś żonaty. W takim razie co się dzieje? Myślałam, że obojgu nam odpowiada taki układ.

W przyćmionym świetle wyglądała na bardzo młodą. Jack poczuł się jeszcze starszy.

- Od piętnastu lat, aż do spotkania ciebie, byłem wierny żonie, ale liczyłem i zapamiętywałem wszystkie kobiety, z których rezygnowałem.

- Zbierasz punkty?

To było nieeleganckie pytanie, ale jakże prawdziwe.

- Odmawiając sobie, za każdym razem byłem bardzo dumny. Myślałem: „Ładnie z twojej strony, Jacko, jesteś twardy jak gład”. Co wieczór wracałem do domu, kładłem się do łóżka z żoną i mówiłem jej, że ją kocham. Myślałem, że to prawda.

- Co to ma wspólnego ze mną?

Decyzja, która od dłuższego czasu dojrzewała w jego głowie, nagle nabrała konkretnych kształtów.

- Nie chcę być dłużej takim facetem. Nie chcę sypiać z kobietą tylko dlatego, że mogę.

- Pieprzysz. Wiem, że to nie miłość, ale myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Daj spokój, Sally. Przyjaciele rozmawiają. Poznają się nawzajem. Nie kładą się do łóżka razem, a budzą samotnie.

- Nigdy nie chciałeś budzić się u mojego boku. - W jej oczach pojawił się ból. - Ilekroć proponowałam, że spędzę u ciebie noc, natychmiast zmieniałeś temat.

- Jesteś wspaniałą kobietą, Sally.

- Właśnie w taki sposób próbujesz mi powiedzieć, że nie jestem Elizabeth. Wiem, ale w końcu to ja przyjechałam za tobą do Nowego Jorku, nie ona.

- Wciąż ją kocham - szepnął. - Nie wiedziałem, jak bardzo, póki jej nie straciłem.

Sally bacznie mu się przyjrzała.

- To znaczy, że z nami koniec? Nagle zmieniłeś zdanie i kto by się przejmował tym, co czuje Sally?

- Zaslługujesz na więcej, niż mogę ci dać.

- Nie wierzę ci.

- Ale powinnaś.

Wiedział, że Sally bardzo stara się zachować spokój, ale drżały jej wargi. Wydawało jej się, że go kocha; ta myśl nigdy wcześniej nie przyszła mu do głowy. Jak mógł być taki ślepy? Położył dłoń na jej ręce. Nagle poczuł wszystkie lata, które ich dzieliły.

- Nie jestem twoim Facetem Numer Jeden, Sally. Uwierz mi. - Przypomniawsobie, jak po raz pierwszy pocałował Elizabeth. - Kiedy coś jest odpowiednie, człowiek od razu o tym wie.

- Pieprzenie. - Sally westchnęła. - Wiesz, dlaczego to wyznanie jest takie gówniane? Dlatego, że dzięki niemu jesteś jeszcze bardziej atrakcyjny. A co z moją pracą?

- Tom uważa, że będziesz wspaniałą asystentką reżysera.

- Świetnie. Staję się jedną z tych kobiet, które wskakują do łóżka, żeby dostać awans. - Wypiła resztkę wina. - Wynoszę się stąd. Moja wiara w siebie nie zniosłaby następnej porcji szczerości. Cześć, Jack. - Zrobiła kilka kroków, potem się obejrzała. Na jej twarzy nie było uśmiechu. - Ale przyjmę jego propozycję.

- Zasłużyłaś na to.

- Chyba już do końca życia będę się zastanawiać, czy aby na pewno, nie sądzisz? Do widzenia, Jack.

Patrzył, jak Sally odchodzi. Czekał, co poczuje. W dawnych czasach byłby to żal.

Poczuł ogromną ulgę.

Zapłacił za drinki i wyszedł na zewnątrz. Przed wejściem do hotelu było tłoczno: kręcili się tu turyści, goście i odźwierni. Prawie ich nie dostrzegali.

Gdy dotarł na ulicę, deszcz zwilżył mu twarz i przypomniał o Oregonie. O domu.

Teraz rozumiał swoją miłość do Elizabeth. Nie było to powierzchowne uczucie jak wiele innych. Krążyło w jego żyłach, tkwiło w kościach; dzięki niemu od tak dawna szedł prostą drogą.

Przez wiele lat codziennie wyznawali sobie miłość, ale często były to tylko puste słowa.

Wiedział, gdzie w tej chwili chciałby być; z pewnością nie w swoim pustym apartamencie, w którym nagromadziło się zbyt dużo żalu. Nie potrafił już na zawołanie przywołać obrazu swojej żony. Nie chciał ponownie popełnić tego błędu. Niegdyś wydawało mu się, że człowiek ma nieskończenie wiele możliwości; teraz wiedział, jak łatwo zboczyć z trasy i stracić wszystko. Przekonał się również, że nie zawsze da się wszystko naprawić.

Po raz pierwszy od lat modlił się: „Błagam, Boże, żeby nie było za późno”.

RS

ROZDZIAŁ 28

Elizabeth siedziała na swojej ulubionej skale na plaży i rozkoszowała się widokiem, któremu oddała serce. Była sama. W pobliżu nie kręciły się foki. Akurat żadna wydra nie baraszkowała w wodzie ani ptak nie nurkował w poszukiwaniu ryb. Fale sunęły do przodu, biała piana odpychała Elizabeth i odpychała.

Tej nocy obracała się w łóżku z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Myślała o wielu rzeczach, O matce i wysokiej cenie, jaką zapłaciła za miłość. O ojcu, córkach, małżeństwie i swoim malarstwie.

Wraz z nią w łóżku było całe jej życie, pełne wspomnień zarówno dobrych, jak i złych, dokonanych wyborów i nieobronionych dróg. Chyba po raz pierwszy zrozumiała, że kocha Jacka. Co prawda, nie brakowało trudnych chwil, żalu i wyrzeczeń, ale jej miłość stała się głęboka i prawdziwa.

Największym błędem było to, że nie potrafiła kochać siebie tak samo głęboko jak pozostałych członków rodziny.

W końcu wzięła sprawy w swoje ręce i zmieniła dotychczas obrany kurs. Postawiła na pierwszym miejscu swoje potrzeby, opuściła Jacka i zaczęła snuć marzenia. Ciężko pracowała, żeby je zrealizować, aż marszczyły jej się palce i bolał kręgosłup.

Potem na pierwszej przeszkodzie poddała się. Zwyczajnie i po prostu.

Jedna drobna komplikacja i od razu stała się dawną Birdie. Chciała zrezygnować. Jakby sztukę można było oceniać w kategoriach ekonomicznych.

To ją zirytowało.

Wstała i podeszła do wody. Fala próbowała ją zatrzymać. Piana zachlupotała wokół ogrodowych chodaków; lodowate strumyczki wdarły się do środka, zamoczyły dolny obrąbek spodni. Nie, teraz już nic jej nie cofnie. Nigdy już nie przestanie malować. Nawet gdyby nikomu nie podobały się jej prace. Wystarczy, że to robi.

Nagle ruszyła biegiem prosto przed siebie i wskoczyła w lodowate fale. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy woda zalała jej twarz, Elizabeth uświadomiła sobie, że już nie zawróci.

Zanurkowała w następnej fali - nigdy wcześniej nie miała odwagi tego zrobić. Wyłoniła się po drugiej stronie, w miejscu gdzie była spokojna woda.

Nagle zdała sobie sprawę, że życie bardzo przypomina fale. Czasami trzeba wpaść w niezłe tarapaty, żeby wyłonić się po drugiej stronie. Tego nauczyła ją nieudana wystawa: odpowiedniej perspektywy. Musi ciężiej pracować, więcej

się uczyć. Nic w życiu nie przychodzi łatwo; nadszedł czas, żeby się z tym pogodzić.

Wielka fala porwała ją i rzuciła w stronę plaży. Elizabeth wylądowała na piasku jak ptak z rozpostartymi skrzydłami i wybuchnęła śmiechem.

Kiedy wróciła do domu, przemoczona i przemarznięta, do jej nozdrzy dotarły boskie zapachy wanilii, cynamonu i świeżo zaparzonej kawy. Przypomniało jej się dzieciństwo. Anita zawsze w niedzielę po kościele przygotowywała wspaniałe brunchy:

Elizabeth jednym kopnięciem wrzuciła chodaki do kąta.

- Jak tu cudownie pachnie - powiedziała, drżąc. Anita stała przy piecu i gotowała. Miała zarumienioną twarz.

- Co ci się stało?

Elizabeth uśmiechnęła się. Lodowate strużki wody spływały po jej czole.

- Zaczęłam. Od nowa.

Anita odpowiedziała uśmiechem.

- W takim razie śmigaj na górę i przebierz się. Umieram z głodu. Tylko nie opowiadaj mi znów o kaloriach. Mam ochotę na francuskie tosty.

- Jem wszystko, co ugotuje ktoś inny, i dobrze o tym wiesz.

Elizabeth pobiegła na piętro, wysuszyła się i przebrała w dres, po czym szybko wróciła na parter. Gdy dotarła do kuchni, Anita już nałożyła porcje na talerze - francuskie tosty maczane w grand marnier, świeże truskawki, jajka na miękko - i siedziała na swoim miejscu. Brakowało już połowy jej tostu.

- Czekam jak kania dżdżu.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem i usiadła.

- Tata często to mówił.

- Śnił mi się dziś w nocy. Elizabeth uniosła głowę.

- Naprawdę? Co robił?

- Siedział w białym wiklinowym fotelu bujanym na werandzie. Edward zawsze klął, że ten bujak jest za mały na tyłek prawdziwego mężczyzny, ale tym razem wcale się nie skarżył. Palił papierosa i spoglądał na pola. Usiadłam u jego stóp, a on położył mi dłoń na karku, tak jak robił to miliony razy. „Mamuniu” - powiedział - „już czas”.

Elizabeth bez trudu wyobraziła sobie tę scenę i ojca.

- Pewnie był wściekły, że w tym roku pola nie zostały obsadzone kukurydzą.

Anita odłożyła widelec.

- Myślę, że nie o to mu chodziło. Raczej mówił o mnie. Elizabeth ugryzła kawałek francuskiego tostu.

- Aż grzech, że to jest takie dobre. No więc, o co mu chodziło?

- Nadszedł czas, żebym wróciła do domu - odparła Anita cicho. - Żebym zaczęła nowe życie. Już za długo się tu ukrywałam. Podczas spotkania kobiet bez pasji długo rozmawiałam z Miną. Przekonała mnie, że muszę zacząć nowe życie. Planujemy nawet wspólną wycieczkę.

Elizabeth odłożyła widelec. Była zdumiona, jak dużo chciałaby powiedzieć Anicie.

- Jesteś pewna, że już do tego dojrzałaś?

- Wyjechałam ze Sweetwater, bo nie mogłam znieść samotności. Teraz mam ciebie.

- Tak - przyznała Elizabeth - to prawda.

- Poradzisz sobie beze mnie?

- Oczywiście. Chyba jest coś, czego nauczyłyśmy się obie. Samotność wcale nie wydaje się taka zła. Na pewno będę za tobą tęsknić.

- Kochasz Jacka? - spytała Anita niespodziewanie.

Elizabeth była zaskoczona pytaniem, ale odpowiedź przyszła jej łatwo.

- Tak.

Anita uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- No cóż, skarbie, nie należę do kobiet, które rozdają rady jak cukierki, ale powiem ci jedno: prawdziwa miłość jest rzadkością. Polegamy na niej przez lata, nawet nie zastanawiając się nad tym faktem. Poeci mówią, że miłość trwa wiecznie. Trudno powiedzieć to samo o życiu. W jednej chwili leżysz z mężem w łóżku, a w następnej jesteś sama. Lepiej to sobie przemyśl.

Anita miała rację. Podczas wielomiesięcznej rozłąki Elizabeth liczyła na to, że jej życie stanie się proste i bezbolesne. Żadnych zakrętów o sto osiemdziesiąt stopni, żadnych nagłych przyspieszeń. Pragnęła pewności.

Tyle że życie nie jest takie.

„Kocham cię”.

Tylko te słowa naprawdę się liczą. Miała sześć lat, kiedy dowiedziała się, że można się obudzić w słoneczny poranek i cieszyć piękną pogodą, a po kilku minutach odkryć, że właśnie odszedł ktoś, kogo bardzo się kochało.

Kochała Jacka. Potrzebowała go, chociaż nie w tak rozpaczliwy, przerażający sposób jak poprzednio. Mogła bez niego żyć. Teraz już o tym wiedziała. Może taka właśnie była prawda, której szukała?

Mogła samotnie torować sobie drogę przez świat, ale skoro zaczęła nowe życie, chciała mieć Jacka u swego boku, żeby trzymał ją za rękę i szeptał jej, że wciąż jest piękna. Chciała patrzeć, jak siwieją mu włosy, a szare oczy tracą blask, i jednocześnie wiedzieć, że to nie ma żadnego znaczenia, ponieważ ich

miłość jest głębsza. Niezależnie od tego, czego szukała w życiu, Jack zawsze będzie się znajdował w centrum jej świata. W miejscu, które uznała za dom.

Anita bacznie jej się przyglądała.

- Będę za tobą tęsknić - powtórzyła Elizabeth, czując ucisk w gardle.

- Samoloty latają również na Wschód. - Anita nabrała na widelec kawałek tostu i włożyła go do ust. - A co z twoim malowaniem?

- Co masz na myśli?

- Zrezygnujesz? Elizabeth się uśmiechnęła.

- Z powodu jednej drobnej porażki? Nie. Za nic w świecie. Obiecuję.

Wiele lat temu, kiedy życie Jacka rozpadło się po raz pierwszy, został wezwany na dywanik przez szefa sieci telewizyjnej, w której pracował. Błagał o to, żeby dano mu jeszcze jedną szansę, ale nie udało się nic wskórać.

Był wtedy młody, wciąż wydawało mu się, że jest kimś ważnym. Błaganie uważał za coś nienaturalnego i niepotrzebnego, nic dziwnego więc, że zrobił to kiepsko.

Teraz, po tylu latach - i porażkach - był mądrzejszy. Wiedział, że jeśli straciło się coś cennego, warto nawet paść na kolana, choćby były ze szkła i podczas uderzenia o podłogę mogły się rozbić.

Siedział w wypożyczonym samochodzie i zastanawiał się nad wszystkimi błędami w swoim życiu. Na bardzo długiej liście najgorszym było traktowanie rodziny jak czegoś, co mu się należy.

Wysiadł z auta.

W Waszyngtonie panował przenikliwy ziąb. Nie wyczuwało się tu wiosny, chociaż w powietrzu wirowały maleńkie różowe płatki wiśni.

Kiedy wchodził betonowymi schodami do budynku, zdał sobie sprawę, że jest tu po raz pierwszy.

Wstydź się, Jack - pomyślał.

Pchnął podwójne, przeszklone drzwi. Poczul zapach chlorowanej wody. Dobrze znana woń i ciepło natychmiast cofnęły go pamięcią wstecz. Tyle godzin spędził na drewnianych trybunach, kibicując Jamie.

Przy biurku siedziała zielonowłosa kobieta. Przed sobą miała komputer.

- Czy dzisiaj rozgrywane są tu mistrzostwa ECAC? - spytał Jack.

Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała.

- Prawie już się skończyły. Proszę przejść przez męską przebieralnię. Pierwsze drzwi po lewej.

- Dzięki.

Jack zdjął zamszową kurtkę i przerzucił ją przez ramię. Po chwili znalazł się w gorącym, wilgotnym świecie krytego basenu.

Trybuny były przepelnione. Przy tylnej ścianie stały spore grupki kobiet w strojach kąpielowych i kolorowych czepkach.

Rozległ się sygnał. Pływaczki wskoczyły do basenu i zaczęły szybko płynąć.

Jack dotarł do trybun i usiadł. Przymrużył oczy i bacznie przyjrzał się drużynie Georgetown.

Była w niej Jamie.

Przewyższała o głowę pozostałe koleżanki z zespołu. Trzymała ręce przy ustach i zagrzewała do walki pływaczkę w basenie.

Na jej widok zabolalo go serce, była taka wysoka i dorosła. Za ledwie wczoraj miała siedem lat i wskakiwała do basenu nawet wtedy, kiedy to nie był jej wyścig.

„Po prostu chciałam popływać, tatusiu”.

Był wtedy z niej taki dumny. Dlaczego więc nie wziął jej w ramiona i nie szepnął: „To dobrze”, zamiast mówić, żeby zaczekała na swoją kolej?

Wyścig się skończył. Do basenu podeszła następna grupka pływaczek.

Jamie stanęła na swoim miejscu, rozluźniła mięśnie i przyjęła pozycję.

Był to wyścig na dwieście metrów. Nigdy nie lubiła tego dystansu.

Rozległ się sygnał i pływaczki wskoczyły do wody.

Jack nie mógł krzyczeć. Czuł się tak, jakby sam znajdował się w wodzie. Powoli wstał.

Po pierwszym nawrocie Jamie była na drugim miejscu.

- Trzymaj się - powiedział.

Przy drugim nawrocie spadła na czwarte miejsce. W dawnych czasach podbiegłby na brzeg basenu, pochylił się i zachęcał, żeby jeszcze bardziej się postarała.

Wtedy myślał, że liczy się tylko zwycięstwo. Teraz wiedział, że to nieprawda.

Po ostatnim nawrocie nabrała tempa. Wykonywała niemal idealne ruchy rąk.

Jack zszedł w dół trybun i stanął na poziomie basenu.

- Trzymaj się, Jamie - powiedział, wciąż idąc. Finisz był blisko.

Dopłynęła na trzecim miejscu, z czasem 2:33. Nie był to jej rekord, ale niewiele brakowało. Jack poczuł się z niej bardzo dumny.

Gdy wyszła z basenu, koleżanki z drużyny zebrały się wokół niej, ścisnęły ją, gratulowały.

Jack stał i czekał, kiedy go zauważy.

Gdy w końcu odwróciła głowę, uśmiech zniknął z jej twarzy. W tym momencie w zatłoczonym pomieszczeniu wszystko rozmazało się i zniknęło. Zostali tylko oni dwoje.

To Jack ruszył się pierwszy. Podeszedł do niej, przygotowany na wybuch złości. Bóg świadkiem, że coś takiego może powalić człowieka z nóg. Czasami trzeba szybko skakać na główkę.

- Cześć, Jamie. Dobry wyścig.

Zacisnęła ręce i wysunęła brodę do przodu, ale łagodność w jej oczach dawała mu nadzieję.

- Przyplłynęłam jako trzecia.

- Dałaś z siebie wszystko. Jestem z ciebie dumny.

Natychmiast opuściła głowę.

- Dlaczego przyjechałeś? Masz w Waszyngtonie jakieś sprawy do załatwienia?

- Przyjechałem, żeby popatrzeć, jak pływasz. Powoli uniosła głowę.

- Dawno cię nie było.

Wyraźnie chciała, żeby te słowa zabrzmiały ostro, ale głos jej się załamał.

- Zbyt dawno.

W jej oczach dostrzegł dziewczynkę, która kiedyś szła za nim wszędzie, i przestraszył się, że bez niej będzie samotny.

- No cóż, dzięki, że przyjechałeś. Powiem Stephanie, że tu jesteś. Kończy pracę.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Przez chwilę był tak zaszokowany, że stał jak wryty. Potem zawołał:

- Zaczekaj!

Zatrzymała się, ale nie odwróciła. Podeszedł do niej.

- Wybacz mi - szepnął, słysząc w swoim głosie rozpacz i chrypkę. - Zbyt dużo czasu spędziłem, myśląc tylko o sobie.

- Co mam ci wybaczyć? Zniżył głos do intymnego szeptu.

- Pamiętasz zawody w pierwszej klasie szkoły średniej, kiedy kiepsko wypadłaś? Wziąłem cię na bok i powiedziałem, że przyjęłaś złą postawę, ale przecież ty to wiedziałaś, prawda?

- Oczywiście.

Spojrzał na jej plecy, zastanawiając się, czy wystarczy mu odwagi, żeby jej dotknąć.

- Powinienem był cię przytulić i powiedzieć, że wynik nie ma znaczenia. Wszystko, co robisz, jest niczym w porównaniu z tym, kim jesteś. Zbyt długo trwało, nim do tego doszedłem. Przepraszam, Jamie. Zawiodłem cię.

Powoli odwróciła się. W oczach miała łzy.

- Proszę, nie płacz.

- Nie płaczę. Co z tobą i mamą?

- Nie wiem.

- Co się stało? Nie kapuję.

- Wyobraź sobie siebie i swojego chłopaka, Marka.

- Michaela - poprawiła. Cholera jasna!

- Przepraszam. Wyobraź sobie, że się pobieracie. Żyjesz u jego boku przez dwadzieścia cztery lata. Dzień po dniu jesteście razem. Wspólnie wychowujecie dzieci, zmieniacie pracę i przeprowadzacie się z miasta do miasta. Gdzieś w tym czasie grzebiecie rodziców i patrzycie, jak wasi przyjaciele rozwodzą się i rozstają ze swoimi dziećmi. Łatwo wtedy zapomnieć, dlaczego niegdyś pokochało się drugą osobę. - Zbliżył się do niej o krok. - Ale wiesz, co odkryłem?

- Co?

- Że jeśli się chce, można to sobie przypomnieć.

- Wciąż ją kochasz?

- Zawsze będę ją kochał. Tak samo jak zawsze kochałem ciebie i Stephanie. Jesteśmy rodziną. - To słowo powiedział łagodnie, z odkrytym niedawno szacunkiem. - Nie mam pojęcia, co będzie ze mną i waszą matką, ale wiem jedno: jesteś dla mnie całym światem, Jaybird. I zawsze będziesz.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez, ale się nie rozplakała.

- Kocham cię, tatusiu. Przytulił ją mocno.

Kiedy Elizabeth wróciła z lotniska do domu, zrobiło się niemal całkiem ciemno. Noc spowijała drzewa i stanowiła kontrast po neonoworóżowym zachodzie słońca. Gdy otworzyła drzwi i weszła do środka, otworzyła usta, żeby zawołać do Anity: „Jestem w domu!”.

Niestety, Anita siedziała w samolocie i leciała na Wschód.

Elizabeth wzięła głęboki wdech i poszła do sypialni, gdzie obok łóżka leżały starannie poukładane papiery, które przysłała jej Meghann. Przejrzała wszystkie. Przed oczami mignęły jej nazwy uczelni. Columbia University... The State University of New York... New York University. Uczelnie w Nowym Jorku. Blisko Jacka.

Zrobiłaś to bardzo subtelnie, Meg - pomyślała.

Wsunęła papiery pod pachę, potem zabrała żółty notes i długopis. Na parterze usiadła w kuchni i zaczęła wypełniać formularze. Gdy skończyła, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Meghann.

- Cześć, Meg - powiedziała bez wstępów. - Chciałabym dostać od ciebie rekomendację. Składałam papiery na wydziały sztuk pięknych.

- O rany! - krzyknęła Meghann. - Jestem z ciebie taka dumna. Odkładam słuchawkę. Muszę napisać list, w którym moja najlepsza przyjaciółka wypadnie jak Leonardo da Vinci w staniku i figach.

Następnie Elizabeth zadzwoniła do Daniela, który zareagował niemal tak samo. Rozmawiała z nim przez kilka minut, podała mu uczelnie i adresy, potem skończyła rozmowę. Zadzwoniła również na University of Washington z prośbą o przysłanie kopii jej dokumentów.

Teraz zostały do zrobienia jeszcze tylko dwie rzeczy. Sfotografowanie prac, żeby można było dołączyć do podania slajdy, i napisanie podania. Trzysta słów uzasadnienia, dlaczego władze uczelni powinny przyjąć czterdziestosześcioletnią kobietę.

Nalała sobie kieliszek wina i wróciła do kuchni.

Otworzyła żółty notes na czystej stronie i zaczęła pisać.

Na samym wstępie muszę zaznaczyć, że mam czterdzieści sześć lat. Może to jest istotne tylko dla mnie, a może nie. Jestem pewna, że Wasza uczelnia zostanie zasypana podaniami dwudziestoletnich studentów, którzy mogą się poszczycić wspaniałymi ocenami i ogromnym talentem. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak mam z nimi konkurować.

Chyba że liczą się marzenia. Wiem, że marzenia są tylko marzeniami, ale dla ludzi młodych dalsze studia to jedynie cel, który chcą osiągnąć, nagroda, którą pragną zdobyć. Dla kobiety, która połowę życia spędziła, pomagając innym ludziom w realizacji ich planów, studiowanie na wydziale sztuk pięknych znaczy zupełnie co innego.

Niegdyś, wiele lat temu, mówiono mi, że mam talent. Wtedy traktowałam to trochę tak jak kolor włosów i płeć, czyli coś, co otrzymałam za pośrednictwem DNA. Dopiero ostatnio zrozumiałam, że talent jest darem. Punktem wyjściowym, na którym można zbudować całe życie. Przed laty zrezygnowałam z tej szansy, wyszłam za mąż, urodziłam dzieci i zapomniałam, kim chciałam być.

Życie szybko mija. Najpierw człowiek ma dwadzieścia jeden lat i jest pełen zapału, a tuż potem budzi się jako czterdziesto-sześciolatek i rano zmęczony wstaje z łóżka, jednak, jeśli ma się szczęście, jedna chwila może wszystko zmienić.

Coś takiego zdarzyło mi się w tym roku. Obudziłam się. Jak śpiąca królewna otworzyłam oczy, ziewnęłam i rozejrzałam się wokół siebie. Zobaczyłam kobietę, która zapomniała, jakie uczucie towarzyszy malowaniu.

Teraz już to pamiętam. Od kilku miesięcy znów się uczę, przelewam serce i duszę na płótno. Przy okazji odkryłam, że -co dziwne - mój talent przetrwał. Z pewnością nie tak wspaniały jak przed laty, ale za to ja jestem silniejsza. Mam wyraźniejszą wizję. Tym razem wiem, że poprzez moją twórczość mogę przekazać światu coś ważnego.

Tak więc siedzę w tej chwili w kuchni i błagam Was, żebyście dali mi szansę i od najbliższej jesieni zarezerwowali dla mnie miejsce w Waszych salach wykładowych. Nie mogę zagwarantować, że będę sławna czy wyjątkowa, ale obiecuję, że dam z siebie wszystko, by dążyć do doskonałości.

Na pewno nie przestanę próbować.

Jack jechał Stormwatch Lane. Gdy dotarł do domu, wokół panowała nieprzenikniona ciemność.

Dom połyskiwał złocistym blaskiem na tle onyksowych wzgórz.

Podszedł do drzwi i zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc wszedł do środka.

Elizabeth była w salonie, tańczyła w długim białym podkoszulku i różowych skarpetkach frotowych. Trzymała przy ustach pusty kieliszek z wina i śpiewała z nagraniem: I can see clearly now, the rain is gone. Kołysała biodrami w prawo i lewo.

Nagle odwróciła się i zobaczyła Jacka. Na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech, który chwycił go za serce. W tym momencie zrozumiał, co mają na myśli poeci, kiedy piszą o powrocie do domu.

W dawnych czasach, gdy przyjeżdżał po długiej nieobecności, rzucała mu się w ramiona. Pasowali do siebie jak dwa kawałki puzzli; była to następna rzecz, którą traktował jak coś naturalnego.

Teraz spoglądali na siebie przez całą długość salonu. Tak dużo chciał jej powiedzieć. Przez całą drogę ćwiczył swoją przemowę, tylko czy Elizabeth zechce go wysłuchać?

- Nie uwierzysz, co zrobiłam dziś wieczorem - powiedziała, podchodząc do niego tanecznym krokiem.

- Co takiego?

To, że była taka promienna i radosna, trochę wytrąciło go z równowagi. Sprawiała wrażenie szczęśliwszej niż kiedykolwiek w życiu. Może odpowiadała jej samotność?

- Złożyłam papiery na wydziały sztuk pięknych!

- Wydziały sztuk pięknych?

Niezależnie od tego, czego się spodziewał, na pewno taka możliwość nawet, nie przyszła mu przez myśl. Poczuł przyływ dumy, która natychmiast została zastąpiona przez chłód.

- Gdzie?

- Och, na razie postanowiłam spróbować... w Nowym Jorku. - Uśmiechnęła się do niego. - Tam, gdzie mieszka mój mąż. Nie widzę powodu, dla którego miałabym studiować gdzie indziej.

Znów zaczął oddychać.

- Jestem z ciebie dumny, kochanie. Zawsze wiedziałem, że masz talent.

- Mogą mnie nie przyjąć.

- Przyjmą cię.

- Jeśli nie, spróbuję za rok, i znowu za rok. Może nawet trafię do Księgi rekordów Guinnessa. - Uśmiechnęła się.

- Zaproponowano mi NFL Sunday.

- To wspaniale. Kiedy zaczynasz?

- Jeszcze nie odpowiedziałem. Powiedziałem im, że muszę wcześniej porozmawiać z żoną.

- Żartujesz!

Odważył się dotknąć Elizabeth. Poprowadził ją za rękę na sofę. Myślał o wszystkich słowach, które przygotował. „Kocham cię, Birdie”. To było najważniejsze; resztę uważał za lukier. W ciągu dwóch dziesięcioleci sami spowodowali, że proste zdanie straciło sens. Teraz chciał go odzyskać.

- Nie chcę już dłużej bez ciebie żyć.

- Naprawdę?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, a w oczach dostrzegł coś nowego, coś, czego nie rozpoznawał. Trochę go to przerażało, przypominało mu, że Elizabeth się zmieniała.

- Jesteś dla mnie całym światem, Birdie. Nie wiedziałem, jak bardzo cię kocham, póki nie odeszłaś.

Wychyliła się do przodu i pocałowała go.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła tuż przy jego wargach. Czekał na te słowa.

Po pocałunku lekko się odsunął, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Tym razem liczy się tylko nasze życie, Birdie. Naprawdę. Nic nie jest ważniejsze od nas. Nic. Dlatego jeszcze nie przyjąłem tej pracy.

- Och, Jack!

Delikatnie dotknęła jego twarzy; ten dobrze znany gest spowodował ból w piersi.

- Dowiedziałam się czegoś o marzeniach. Nie spełniają się każdego dnia. Natomiast miłość... miłość może być krucha, ale jednak jest silniejsza, niż kiedykolwiek przypuszczałam. Przyjmij tę pracę. Znajdziemy jakieś ładne mieszkanie w Chelsea albo TriBeCe. Gdzieś, gdzie będę mogła malować.

Wiedział, że tym razem im się uda. Po dwudziestu czterech latach małżeństwa, po wychowaniu dwóch córek, w końcu znaleźli swoją drogę.

- Pokaż mi swoje prace - poprosił.

Jej twarz rozjaśniła się. Chwyciła go za rękę i podciągnęła do pozycji stojącej. Ręka w rękę przeszli przez kuchnię. Puściła jego dłoń tylko na moment, żeby wbiec do spiżarni i wynieść stamtąd duży obraz.

Oparła go o kredens i cofnęła się.

- Nie musisz udawać, że ci się podoba - powiedziała zdenerwowana.

Był zbyt zaskoczony, żeby cokolwiek powiedzieć.

Płótno Elizabeth ukazywało niesamowity, smutny skrawek wybrzeża w zimie i namalowane zostało w odcieniach szarości, czerni i fioletu. W oddali samotna postać szła przez plażę. Jack posmutniał, przypomniał sobie, jak szybko życie może przejść człowiekowi koło nosa, jak łatwo stracić z oczu to, co naprawdę się liczy, zwłaszcza jeśli przez cały czas myśli się tylko o przyszłości.

- Jezu, Birdie... to zdumiewające. - Odwrócił się do niej i powiedział cicho:

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, malowałaś, pamiętasz? W pobliżu moczarów, na skraju Lake Washington. Na płótnie był pusty port, tak samo melancholijny jak ta plaża... Chciałem ci wtedy powiedzieć, że na widok tego obrazu robi mi się smutno, ale nie miałem odwagi.

Uniosła brodę.

- Aż trudno uwierzyć, że to wszystko pamiętasz.

- Na długo zapomniałem, ale bez ciebie wszystko wyglądało nie tak. Mój świat stał się czarno-biały. - Dotknął jej twarzy; poczuł ciepłą skórę. - Na twój widok brak mi tchu, Birdie.

- Kocham cię, Jack. Nigdy więcej o tym nie zapomnę. Tym razem, kiedy Jack nachylił się, żeby pocałować żonę, to on miał w oczach łzy.

Lato

Gdy rodzi się pragnienie,
pojawia się również możliwość spełnienia go.
Choć często trzeba na to ciężko zapracować.

Richard Bach, Iluzje

Po niespełna sześciu tygodniach nadszedł list.

Szanowna pani Shore!

Z przyjemnością zawiadamiamy, że została pani przyjęta na Wydział Sztuk Pięknych Columbia University...

KONIEC.

RS